

KRZYSZTOF KOTOWSKI

pasjonujący **thriller**
napisany z nowoczesną,
pełną autoironii
i poczucia humoru
odwagą

CZAS CZARNYCH LUSTER

Długo oczekiwana
kontynuacja dziejów
„Kapłana”



KRZYSZTOF KOTOWSKI

CZAS CZARNYCH LUSTER



Copyright © by Krzysztof Kotowski, Warszawa 2012
Copyright © for the Polish edition by Buchmann Sp. z o.o.,
Warszawa 2012

Projekt okładki: *Krzysztof Kielbasiński*
Redaktor prowadzący: *Agnieszka Jeż-Nurzyńska*

Redakcja: *Bogumiła Widła*
Korekta: *Bogusława Jędrasik*
Skład: *TYPO Marek Ugorowski*

ISBN 978-83-7670-631-3

Wydawca:
Buchmann Sp. z o.o.
ul. Wiktorska 65/14, 02-587 Warszawa
Tel./faks 22 6312519
www.buchmann.pl

konwersja eLjot

SPIS TREŚCI

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

Modlitwa Miyapre

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Modlitwa Miyapre

SŁOWNIK PODRĘCZNY

SŁOWNIK UKŁADU CZASOWEGO „A” W PORZĄDKU

ALFABETYCZNYM

Oli – mojej żonie

Nigdy nie zapominaj:
Chodzimy nad piekłem
Oglądając kwiaty¹

Issa Kobayashi
haiku (1823)

MODLITWA MIYAPRE

Jestem Miyapre. Z plemienia Kaneczua. Z wielkiej rodziny Północy. Syn Tugurów, Kulonów, Mapuczów, Bororo i wielkich przodków z Quibaya.

Mówię teraz do Ciebie, wszechpotężny Diosuyage. I do Twoich synów. I do Twoich braci.

Stoję tu, pod wielką ceibą², pod którą tyle deszczów temu oddałeś mnie mojej ziemi, ludowi Kaneczua i Kueli, przy której stoję. Gdzie po raz pierwszy dostałem *pikadu*, by stać się mężczyzną.

Powiedziałeś, że mam nie tylko patrzeć na rosnące życie – z traw ziemi przodków Bowagindy, ale i unosić wzrok ku niebu, skąd przybyło i śpiewać z Księżycem. Bo kiedy Słońce musi odpocząć, to Ty dajesz nam chłód nocy i widok Księżyca, a on daje siłę jaguarowi. Gdy jednak śpiewamy, On słyszy nas i pozwala nie lękać się, gdyż noc tak dobra jest, jak i dzień.

My, Twoje dzieci, chodzimy po ziemi nie dłużej niż sto wielkich deszczów, ale troski nasze słyszać tu jeszcze po tysiącach... Jesteśmy mali i mamy słaby wzrok. Nasze uszy słyszą niewiele. Dlatego Ty, Diosuyage, czasem budzisz przodków, by mówili. Ich oczy na zawsze już są Twoimi, a uszy słyszą wszystko.

Dlaczego więc teraz milczą, gdy największy z nas

– Mantu – nie może znaleźć ścieżki do domu?

Choć kiedyś przybył z za wodospadów i nie jest synem przodków Quibaya, jego serce jest jak Twoja ceiba, a dusza

piękniejsza niż wielkie wody.

Lud, który wydał Mantu na świat, nazywa go Kapłanem. Ale on już jest nasz, a moje serce mówi mi, że nie wadzisz się z jego Bogiem. I pozwolisz mi także i jemu oddać kilka słów. Więc teraz mówię do Ciebie, co jesteś w trzech osobach i znasz ścieżki Kapłana lepiej niż najstarsze drzewa. Mówię do Ciebie, Synu Boga naszego Mantu, który umarłeś na krzyżu, by zmartwychwstać. Znajdź swojego sługę i pokaż mu ścieżkę do domu. Będę także i Tobie śpiewał z Księżycem, bo jak mówił Kapłan, jesteś dobry i potężny, kochasz każde stworzenie. Ty, Matko syna Boga, Mario... O Tobie też opowiadał mi nasz Mantu. Pozwalał mi z Tobą rozmawiać. Mówił, że patrzysz na nas i dajesz pokój. Znajdź kobietę, którą nazwaliśmy Ua. Ona także jest z ludów zza wodospadów. Odeszła z Kapłanem, by stać u jego boku.

Mówię do Was wszystkich, bogowie, bo cała rodzina Kaneczua straciła siły, by tańczyć, a nasze serca krwawią i tęsknią. Wznoszę do Was dłonie wykąpane w ayahuasca. Obudźcie przodków, by do nas przemówili, otwórzcie oczy wędrowcom, a ja, Miyapre z plemienia Kaneczua, oddam Wam wszystko, czego zażądacie, aby tylko nad głową Mantu i Uai nigdy nie gasło słońce...

ROZDZIAŁ 1

Luigi Balea długo milczał. Zastygł na kilka chwil, jakby przestał oddychać.

– Mistrzu... – szepnął nieśmiało Alain Forteil, jego sekretarz i wierny przyjaciel.

Balea uniósł znacząco dłoń, żądając ciszy. Po dłuższym czasie ruszył wolno w stronę okna, by spojrzeć na ogród pod zamkiem Chatillon.

Forteil postanowił opuścić komnatę, ale Mistrz ponownym uniesieniem dłoni zatrzymał go.

– To pewne? – spytał cichym głosem, nie odwracając się od okna.

– Czekali przy wyspie trzy dni. Nikt nie wrócił. Ani Kapłan, ani Haiku, ani ten osobliwy człowiek z Polski, który im doradzał.

Balea opuścił bezradnie głowę.

– Możemy spróbować tam wkroczyć... – zaproponował sekretarz.

– Nie możemy – usłyszeli spokojny, głęboki głos Andrei Villona, który właśnie wszedł do komnaty.

– Dziękuję, że przyszedłeś. – Luigi odwrócił się od okna. – Zakładam, że słyszałeś nowiny.

– Tak, Mistrzu.

– Co radzisz?

– Nie możemy tam wkroczyć. Ta wyspa to, jak mnie powiadomiono, ostatnie miejsce, w którym przetrwała

prehistoryczna kultura tak zwanych Sentinelczyków. Zakłada się, że mieszkańcy nie gościli nikogo od sześćdziesięciu tysięcy lat. Ci ludzie nie mają pojęcia o cywilizacji, kulturze masowej, polityce czy wojnach. Żyją jakby na osobnej planecie.

– Wiemy na pewno, że Kapłan, Haiku, ten tajemniczy chłopiec, oraz ich doradca naukowy dotarli na wyspę – wtrącił Alain Forteil.

– To prawda. – Villon pokiwał głową. – Wcześniej przybili tam też Xavril Ganti i jego dwumetrowy przyjaciel, o którym do dzisiaj nie możemy się absolutnie niczego dowiedzieć.

– No... coś tam wiemy – mruknął, wciąż poważnie zamyślony Balea. – Alain, powiadom pana Aleksaho Thaksina, że chcę z nim rozmawiać. Będę oczekiwał jego telefonu o siedemnastej naszego czasu.

– Tak, Mistrzu. – Forteil skłonił się i wyszedł.

– Przykro mi, Luigi – odezwał się, wyraźnie przejęty Villon, gdy tylko drzwi zamknęły się za sekretarzem. – Wierzę, że może jednak żyją i jeszcze wrócą.

– Jesteś ode mnie znacznie starszy i bardziej doświadczony, nauczycielu – odparł spokojnie Balea. – Widziałeś w życiu więcej niż ja. Jestem najmłodszym przywódcą naszej rodziny w całej jej historii. Ale chyba nawet ty zastawiasz się, jak to możliwe.

– Trudno zaprzeczyć – przyznał szczerze Andrea.

– W równej walce zabicie Kapłana jest właściwie niemożliwe. Mało prawdopodobna jest też broń palna na wyspie, której nigdy nie dotknęła stopa cywilizowanego człowieka. A miał przecież przy sobie Haiku, która bywa nawet skuteczniejsza niż on, bo mniej idealistyczna. – Gorzko się uśmiechnął.

– Z wyspy nie wrócił także Ganti, nie mówiąc o tym potężnym mężczyźnie i chłopcu, którego tak konsekwentnie szukał – dopowiedział Villon. – Jeśli więc oni nie żyją... to najprawdopodobniej wszyscy.

– Ale jeżeli tam jest tylko chmara dzikusów, to właściwie niemożliwe. – Balea wciąż kręcił głową z niedowierzaniem.

– Co zamierzasz?

– Będziemy cały czas dyskretnie obserwować wyspę. W razie konieczności nawet miesiąc, dwa. Aż uwierzę, że najpotężniejszy wojownik na świecie, jego uczennica oraz Ganti – aurelita, który był do niedawna w naszych szeregach, dali się zaskoczyć przez zgraję prehistorycznych półludzi!

Villon przesunął dłonią po swoich siwych włosach, ciężko westchnął, aż wreszcie usiadł w jednym z foteli.

– Część braci będzie cię naciskała, aby jednak tam wkroczyć – przypomniał z pewnością nie bez przyczyny.

– Posłucham twojej rady. – Balea rozwiązał wątpliwości. – Dyskretne wejście na wyspę to, jak widać, pewna śmierć. Musielibyśmy uderzyć całą armią, a to nie w naszym stylu. Szybko stracilibyśmy to, co od setek lat trzyma nas przy tak wielkiej władzy. Nie zaryzykuję zdekonspirowania bractwa i niemal otwartej wojny z czymś, czego nie umiemy ocenić, poznać ani nawet nazwać. Tam musi być coś więcej niż ci cali Sentinelczycy. A jeśli tak – musimy czekać. Tego nauczył mnie niegdyś stary Mistrz Aureil: nigdy nie zadawaj przeciwnikowi pytań, na które nie znasz odpowiedzi i nie wychodź na otwarte pole walki, jeśli nie wiesz o wrogu więcej, niż on sam wie o sobie.

– Jak to zorganizujemy? – spytał Villon.

– Bracia z Syjamu szukają kawałka lądu dogodnego do

urządzenia bazy. To archipelag – ponad pięćset wysp, z czego większość jest małych i niezamieszkanymi. Trzeba znaleźć miejsce, na które nikt postronny nie zwróci uwagi. Założyć dyskretnie bazę i prowizoryczny port dla co najmniej trzech niewielkich statków. Sentinel oficjalnie należy do Indii. Jest pod ścisłą ochroną rządu. Zabroniono komukolwiek zbliżać się do tej wyspy, a już szczególnie przybijać do wybrzeży. Im się udało i jak mi doniesiono, raczej nie zostali zauważeni. Ale gdyby ktoś podjął tam działania nieco bardziej spektakularne, natychmiast miałyby na głowie armię, Greenpeace, Survival International i tysiące innych potężnych organizacji, które przez lata naciskały na Hindusów, by objęli ścisłą ochroną rezerwat. Ostatnia rzecz, do której tęsknię, to my na pierwszych stronach gazet. Dobra wiadomość jest taka, że w stosunkowo niewielkiej odległości istnieją niezamieszkanymi wyspy, które nikogo nie obchodzą. Na jednej z nich dyskretnie się ulokujemy.

– W pełni się z tobą zgadzam, Luigi. – Doświadczony Andrea Villon wiedział, że Mistrz z pewnością nie wezwał go tylko po to, by utwierdzić w przekonaniu, że obaj są nieomylni. Balea miał mu do przekazania ważną wiadomość. Myśląc tak, stary nauczyciel – jak to często bywało – także i w tej kwestii miał rację.

– Andrea, drogi nauczycielu – rozpoczął po dłuższej chwili ciszy Mistrz. – Chcę się z tobą podzielić wiedzą, która jeszcze do nikogo tu nie dotarła i wolałbym, aby tak zostało.

– Jak sobie życzysz, Luigi – odparł Villon, skłaniając głowę.

Mistrz przestał spacerować i usiadł w fotelu naprzeciwko Villona.

– Kapłan zawarł ze mną układ – powiedział ciszej niż do tej pory. – Obiecałem mu pomoc w zamian za informacje, których

sami nie bylibyśmy w stanie zdobyć.

– Rozumiem – przytaknął Andrea.

– Użyłem swoich wpływów, by mógł bez przeszkód podróżować, zaopatrzyłem go w dokumenty, wysłałem naszych ludzi, żeby chronili bliskie mu osoby.

Balea wstał i podszedł do szafki, w której stało jego ulubione wino. Spojrzał pytająco na nauczyciela, ale ten uprzejmie podziękował. Andrea był całkowitym abstynentem, o czym Mistrz doskonale wiedział. Zawsze w takich momentach jednak grzecznościowo proponował mu kieliszek czterdziestoletniego chateau petrus i zawsze otrzymywał tę samą odpowiedź. Luigi nalał sobie jedną trzecią kieliszka i ponownie usiadł w fotelu.

– Ten potężny, dwumetrowy towarzysz podróży Xavrila Gantiego nazywa się Tyhron. Nikt nic o nim nie wie. Zjawił się znikąd. Nie widnieje w aktach żadnej instytucji na świecie, do których mamy wgląd. Nie jest nigdzie zarejestrowany. Do tej pory nie odnaleźliśmy jego rodziny, przyjaciół czy chociażby jakichkolwiek ludzi, którzy by go widzieli, znali lub skądkolwiek pamiętali.

Villon otworzył szerzej oczy.

– Ale nie to jest najciekawsze – ciągnął Mistrz. – Pamiętasz swój pojedynek z Xavrilem Gantim?

– Trudno zapomnieć – przyznał Andrea.

– Właśnie. Średnio zdolny uczeń pokonał mistrza fechtunku.

– Luigi głęboko westchnął. – Niełatwo w to uwierzyć. Tyle tylko, że to nie był uczciwy pojedynek, drogi nauczycielu.

Villon rzucił natychmiast Mistrzowi pytające spojrzenie.

– Ganti był tylko narzędziem. Naprawdę walczyłeś właśnie z Tyhronem.

– Boże mój... – jęknął Andrea. Pogładził siwe włosy i zamknął

na chwilę oczy. – Poproszę o kieliszek wina.

Tym razem Balea się nieco zaniepokoił, ale mając pełne zrozumienie dla swego dawnego nauczyciela, bez wahania podszedł do szafki, wyjął kolejny kielich, napełnił go w jednej trzeciej i podał Villonowi.

– Ten... ktoś, potrafi wpływać na ludzi. I to w dość konkretny sposób – kontynuował Mistrz. – Nie jest w stanie ulepszyć techniki tego, komu pomaga, ale umie... przyspieszyć jego ruchy, a to daje fenomenalną przewagę nad przeciwnikiem.

Villon odważnie pociągnął łyk wina.

– Trudne do uwierzenia, jednak widziałem to własne oczy.

– Trudne, bo w naszym świecie niespotykane czy raczej... rzadko spotykane. Ale Tyhron nie pochodzi stąd.

– Nie jest człowiekiem?!

– Tego nie powiedziałem. Ale nie jest taki jak my. I urodził się w innym świecie. Nie tym.

– Luigi... wiesz to od Kapłana?

– Tak. Mam... czy raczej – miałem z nim ograniczony kontakt, dlatego dane są nieścisłe. Zresztą Kapłan sam, jak sądzę, nie ma jeszcze dokładnych informacji. Wiemy tylko, że zarówno Tyhron, jak i chłopiec, którego prześladowuje, nie są stąd. Być może właśnie jest to kwestia nie tyle przestrzeni, ile czasu.

– Jedno z drugim się wiąże.

– Nie mam punktu zaczepienia. Ten człowiek jest dla mnie niczym czarna dziura. Praktycznie nie możemy się dowiedzieć niczego o jego pochodzeniu. Znam teorie związane z czasoprzestrzenią tylko z prac Einsteina, wcześniej z Kaluzy, Kleina trochę Minkowskiego. Chyba że chodzi tu o pojęcia z rzeczywistości w rozumieniu Hugh Everetta czy teorii superstrun. Bo dalej to już tylko czysta fantastyka.

– Nie wiem tyle o fizyce teoretycznej, co ty. Wiem tylko, że jeśli ten Tyhron potrafi tak wpływać na ludzi, ma przeogromną moc!

Balea wstał z fotela i swoim zwyczajem postanowił się przespacerować po komnacie.

– To szokująca dla nas zdolność, ale nie przesadzałbym – rzekł wyjątkowo spokojnie. – Gdy jest blisko osoby, na którą oddziałuje, niemałym podobno wysiłkiem zagina czas płynący dla niej, choć to kwestia ułamków sekund. Z twojego punktu widzenia to wystarczy, byś przegrał pojedynek, ale postronny obserwator może tego nawet nie zauważyć. – Mistrz zatrzymał się na chwilę, by pomyśleć. – Kapłan był oszczędny w słowach, ale obawiam się, że znacznie zdolniejszy jest jednak ten chłopiec.

– O tym samym pomyślałem – przyznał Villon. – Konsekwencja, z jaką dzieciak jest prześladowany, to jedno, a fakt, że Tyhron od tak dawna nie jest w stanie go pojmać, to drugie.

Mistrz przytaknął skinieniem głową.

– Dlatego, mój drogi nauczycielu, nadal wierzę, że istnieje ogromna szansa na to, że Kapłan powróci, a wszystko dzieje się zgodnie z jakimś przemyślanym planem.

– Może tylko szkoda, że nie był uprzejmy nam go wyjawić. Zawsze ukrywa wszystko do ostatniej chwili!

Balea uśmiechnął się szeroko.

– Andrea, wierny przyjacielu... czy nie jest w tym trochę podobny do nas?

Do komnaty ponownie wszedł Alain Forteil. Zamknął za sobą drzwi, ale przystanął na chwilę, by się upewnić, czy nie przeszkadza. Luigi przywołał sekretarza.

– List – oznajmił podając na tacy kopertę.
– Przeczytam, jak skończymy naradę.
– Przebadaliśmy go, jest bezpieczny – rzekł uspokajająco Alain. – W środku jest źdźbło trawy i kilka ziarenek zboża.

Mistrz natychmiast sięgnął po przesyłkę.

Andrea Villon zamarł na chwilę, bo doskonale zdawał sobie sprawę z tego, kim jest autor listu. Luigi spokojnie rozciął kopertę. Wysypał na tacę kilka ziaren pszenicy, wyjął kawałek pożółkłej już nieco trawy, a następnie wydobył powoli, jakby w obawie przed zniszczeniem przesyłki, kawałek ozdobnego papieru.

– Zawsze wam mówiłem, że jest nie tylko romantyczny, lecz także sentymentalny do bólu – mruknął nie bez ironii Balea.

Stary nauczyciel nawet nie drgnął. Był pochłonięty myślami na temat wieści przesłanych przez Kapłana. Mistrz rozłożył kartkę, jednak zamiast uważnie przeczytać, szybko przeniósł wzrok na okno, co zdradziło rozczarowanie, a nawet – rzadkie u Luigiego – rozdrażnienie.

– Zagadki, zagadki, zagadki.... jakże by inaczej... -westchnął i od niechcienia podał papier Villonowi.

Andrea, gdy tylko ujrzał treść, wyraźnie odetchnął z ulgą. Dyskretnie, ledwo zauważalnie, cicho, po swojemu, ale dla Balei – wyraźnie.

– Coś z tego rozumiesz? – spytał Luigi, wyraźnie zdziwiony reakcją nauczyciela.

– Oczywiście.

Mistrz wyciągnął rękę po list, aby ponownie na niego zerknąć.

– R.0000576Y0LIQUI. *Septem Montes Silvae* 379 – przeczytał

na głos. – Wspaniała wiadomość, Andrea. Może trochę jak dla mnie zbyt postmodernistycznie podana, ale skoro tak cię ucieszyła, ja również jestem szczęśliwy – zakończył zgryźliwie.

Villon jednak nie tylko nie dziwił się temu, co było napisane w przesyłce, lecz także nawet nie był specjalnie zaskoczony rozdrażnieniu znanego z opanowania Balei. Mało było rzeczy lub spraw, na których tak Mistrzowi zależało jak na informacjach od Kapłana. Zwłaszcza na temat, który właśnie omawiali.

– Wiesz co, Andrea? – Luigi jakby celowo oddalał moment, w którym zażąda od nauczyciela wyjaśnień.

– Czasem się czuję tak, jakby Krzysztof Lorent, nasz ukochany Kapłan, jakimś cudem był wciąż obecny wśród nas. I nas stale obserwował. Jakby wiedział, czego oczekujemy, bo chce jak najcelniej trafić, wyprowadzić z równowagi i znów być górą! – Balea założył ręce do tyłu i zaczął spacerować po komnacie. – Zobacz, rozmawiamy o jego zniknięciu na Sentinelu, o przeuroczej Haiku, która wyróżnęła swego czasu dziesiątki aurelitów w zemście za krzywdy, których doznała od zdrajcy Trantignana i nagle... jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki... otrzymujemy od niego list. Właśnie w tym momencie! Kiedy przyszedł?

– Jakąś godzinę temu – odpowiedział posłusznie Forteil. – Zgodnie z naszymi przepisami został poddany badaniu na obecność niebezpiecznych substancji.

– Jak wyglądał posłaniec? Człowiek w kapturze, a może Indianin?

– To nasz zwykły listonosz. Przychodzi codziennie do domku strażników.

Villon odwrócił się do sekretarza.

– Alain, mógłbyś nas zostawić samych? – poprosił spokojnie.

– Zostań, Alain! – rozkazał Luigi. – Nauczycielu... – Mistrz przyjął nieprzyjemnie oficjalną minę. – Mógłbyś nam zdradzić, co rozumiesz z treści listu?

– To numer katalogowy – odparł jak zwykle spokojnie Villon.

– On nas odsyła do księgi.

– Księgi...

– Tak. Bardzo starej księgi.

– Jakże by inaczej. A przy okazji... mamy ją?

– Mamy.

Luigi otworzył szeroko oczy.

– Chcesz powiedzieć, że mamy w Chatillon księgę, do której odsyła nas Kapłan i w której być może znajdziemy rozwiązanie zagadki?

– Nie – zaprzeczył nauczyciel. – Mamy najprawdopodobniej tę księgę, ale nie w Chatillon. Jest na to zbyt stara.

– W naszej bibliotece mamy oryginały rękopisów z czasów Dantego!

– Ta jest starsza. Być może znacznie starsza.

Nastała kłopotliwa cisza.

– Alain... – odezwał się po dłuższej chwili Balea. – Czy jednak mógłbyś nas opuścić na kilka chwil?

– Oczywiście, Mistrzu. – Sekretarz szybko wyszedł z komnaty.

– Dlaczego nic o tym nie wiem?! – spytał Luigi w sekundę po tym, jak za Forteilem zamknęły się drzwi. Tym razem nie ukrywał już gniewu. – Dlaczego nic nie wiem o sprawach, które ty rozpoznajesz w mig na kawałku papieru? Dlaczego nic nie wiem o księgach, które ty rozpoznajesz już po numerze

katalogowym?! Od ponad pięciu lat stoję na czele Rady Aurelickiej, najstarszego bractwa za Ziemi!

– Luigi, co się z tobą dzieje?! – Villon zmarszczył brwi. – Jestem od ciebie starszy o niemal trzydzieści lat, znam cię prawie od urodzenia i nigdy cię takim nie widziałem! W obecności sekretarza zdradzasz gniew i zniecierpliwienie! Podważasz moją sugestię, aby nas opuścił, gdy chcę ci zdradzić najskrytsze tajemnice znane garstce ludzi! Nie tak wspólnie ze świętej pamięci Mistrzem Aureilem uczyliśmy cię rządzić naszą rodziną, aby zachowała dawną potęgę.

– Alain to także wierny przyjaciel, a sprawy, o których mówimy, być może są najważniejszymi, z jakimi spotkaliśmy się w życiu. Obaj o tym wiemy – odparł już spokojniej Balea.

– Opanuj się i posłuchaj swojego dawnego nauczyciela! – kontynuował chłodno Villon.

– Ojciec Aureil potrafił przewidywać wiele zdarzeń, ale raczej nie zdawał sobie sprawy, że to ja zastąpię go na czele Rady. – Mistrz był już zupełnie opanowany. Wyważony ton przywodził na myśl dawnego Baleę – Uczył mnie wielu rzeczy, ale tych spraw musiałem nauczyć się sam.

– Jakże się mylisz, Luigi. – Andrea pokręcił głową z niedowierzaniem. – On zawsze wiedział, że to ty będziesz Mistrzem. Nie Iosif Punin, nie Luc Trantignan. Sięgnąłeś po władzę wcześniej, ale to nie oznacza, że w swoim czasie byś jej i tak nie otrzymał. Byłeś jego najzdolniejszym, choć przybranym synem.

– Dlaczego więc nie wiem tego, co zaraz pewnie mi powiesz?

– Na Boga! Bo obaliłeś starą Radę siłą! – Villon nie wytrzymał. – Złamałeś tradycję! Jesteś najmłodszym Mistrzem w całej naszej historii od czasów Aureliusza Marcellina, czyli od

czwartego wieku tej ery. Wcześniej nowego Mistrza wybierano na całe lata przed faktycznym objęciem władzy. Szkolono go, przygotowywano, powoli obarczano największymi tajemnicami, jak wiesz – nie zawsze zaszczytnymi. Ty wybrałeś drogę Adera Rodego, który przekonał cię do przewrotu. Być może ocaliłeś przez to potęgę bractwa. Może miałeś znacznie nowocześniejsze spojrzenie, ale fakt jest faktem – tradycję zastąpił biznes. Dziś jesteśmy przede wszystkim potężnym przedsięwzięciem biznesowym. Dawniej rządziła idea.

– Kochałem ojca Aureila – wyznał cicho Balea, podchodząc do okna.

– Ale go obaliłeś, Luigi. I nie zdążyłeś poznać całego ogromu tajemnic, a nawet kwestii dotyczących tajnych zwyczajów i tradycji.

– Przecież spędziłem tu całe życie, Andrea! Znam każdy kamień Chatillon.

– Ale nie wiesz, co jest napisane na tej kartce... – Villon ściszył głos, jednak te słowa chyba najmocniej dotknęły Mistrza w trakcie całej rozmowy.

– Jak wiele jest jeszcze spraw, o których wiedział Aureil, a których ja nie znam? – spytał spokojnie, choć wyjątkowo chłodno Balea.

– Nie mam pojęcia – przyznał nauczyciel. – Wiesz wszystko, co ci potrzebne. Nie interesujesz się tradycją. No... może z wyjątkiem wiedzy Kapłana. Jesteś dobrym przywódcą, sprawnie zarządzasz bractwem. Przemoc zastąpiły rozsądek i biznes. Kształcimy o połowę mniej rycerzy niż kiedyś. Jak przez całe wieki nadal nie sięgamy po broń palną, ale już znacznie rzadziej sięgamy też po nasze tradycyjne narzędzie, czyli miecz. Częściej po komputer. Nie wszystkim się to podoba,

choć – masz tego świadomość – ja akurat zawsze będę po twojej stronie. Podobne zdanie ma zdecydowana większość. Twoja władza jest silna i trwała. Ale kiedy w Japonii w połowie XIX wieku zabroniono samurajom nosić miecze, też nie byli zachwyceni.

– Wiem – przyznał Balea. Wypił nieco głębszy niż zwykle łyk wina i ponownie zaczął spacerować po komnacie. – Co to za księga?

– Nie wiem. Rozpoznaję tylko sygnatury. I wiem dzięki nim, gdzie powinna się znajdować.

– R.0000576Y0LIQUI..... – powtórzył Balea. – *Septem Montes Silvae* 379...

– Rzym. „Opuszczony księgozbiór”. Przez niektórych strażników nazywany nawet nieco pretensjonalnie jak na mój gust „Zdradzonym księgozbiorem”. Nasza tajna biblioteka. Jedna z trzech oprócz tej w Chatillon.

– W Rzymie?

– Prawie. Dwadzieścia kilometrów od Rzymu w Alteriale. Głębokie podziemia zamku Giovanniego DiPoleniego. Obecny strażnik.

– Strażnika?

– Tak. Wielkiego Strażnika Biblioteki. Wszystko, co robi on i jego ponad stu ludzi, służy ochronie naszych zbiorów.

– Kto go mianował?

– Ty. Na jednym z tysiąca dokumentów, które podpisujesz codziennie, nie zawsze nawet wiedząc, czego dotyczą. Od tego masz Forteila, mnie, Jeana Pierre’a.

Ludzi, którym ufasz. Nie martw się, nawet prezydent Stanów Zjednoczonych nie zna połowy tajemnic CIA czy FBI. Ty trzymasz w swoich rękach najważniejsze sprawy: politykę,

biznes, nasze interesy na całym niemal globie. A to tylko mól książkowy, chociaż każdy członek jego rodziny oddałby życie za ochronę tych zabytków. Zresztą DiPoleni zajmują się biblioteką od ponad pięciuset lat. Ty podpisałeś tylko prolongatę dla Giovanniego, który siedzi w tym dłużej, niż ty żyjesz. Biblioteka jest w dobrych rękach.

– Gdzie są dwie pozostałe?

– Jedna w okolicach Matruh w Egipcie, druga pod Stambułem. Ta pod Rzymem jest najcenniejsza.

– Mogę wiedzieć, ile wydajemy na to pieniędzy?

– O ile pamiętam budżet roczny na bibliotekę DiPolenich to... około pięciu milionów euro.

Balea opuścił bezradnie ręce.

– No rzeczywiście... zdecydowanie „zdradzony księgozbiór” – jęknął, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Luigi... tam są rękopisy sprzed ponad tysiąca lat. Niektóre sięgają czasów Chrystusa. Wymagają najnowocześniejszego sprzętu, jaki tylko może zaoferować współczesna nauka. Garstka ludzi wie o tym, że w tamtych podziemiach ukryto fragmenty ksiąg wschodnich Masoretów.

– Brunatne apokryfy?!

– Właśnie. Poza tym oryginały ksiąg Saxo Grammaticusa, Thietmara, a nawet Aureliusza Marcellina!

– Dobrze! – Luigi machnął ręką. – Wrócimy kiedyś do tego tematu. Teraz mnie interesuje, o co mogło chodzić Kapłanowi w tym liście?

– Być może wskazując tę księgę, usiłuje nas naprowadzić na coś ważnego, a nie miał warunków, aby przekazać to wprost.

– Jasne. – Balea pokiwał głową. – On nigdy nie ma

warunków. Każ przygotować samolot, poczytamy sobie we Włoszech. Ale to za chwilę. Co jeszcze możemy wywnioskować z tego, co tu nawypisywał?

– To dokładny numer katalogowy charakterystyczny dla tego księgozbioru. Kapłan poza tym użył tradycyjnie niegdyś stosowanej nazwy. *Septem Montes* to po prostu po łacinie siedem wzgórz, czyli Rzym. *Silva* to las. Kapłani Wiedzy w swojej symbolice używali lasu jako symbolu wiedzy zawartej w księgach. Zresztą o tym akurat wiesz, znasz łacinę.

– Wolę twoją. Jest znacznie... jak by to powiedzieć... praktyczniejsza. Chociaż swoją drogą, to jedyne, co z tego listu zrozumiałem. Podejrzewam, że 379 oznacza numer strony, od której mamy zacząć?

– Tak mi się wydaje. To najprostsze wytłumaczenie.

– Coraz mniej go lubię. Zawsze mnie drażnił, ale teraz przeszedł samego siebie. Załatw ten samolot, chciałbym, aby był gotowy za godzinę. Porozmawiaj zamiast mnie z Thaksinem. I zadzwoń do tego... jak mu tam?

– Giovanni DiPoleni. Arystokrata z ponadsześćsetletnią dokładnie spisaną tradycją rodzinną.

– Wspaniale. Niech nam przygotuje coś wykwintnego na kolację. Możliwe, że zostaniemy u niego przez pewien czas.

– Było u mnie dwóch aurelitów – powiedziała doktor Aleksandra Sambierska, gdy tylko otworzyły się drzwi. Stał w nich gospodarz, o fryzurze może chwilowo zaniedbanej, ale znacznie bujniejszej, ciekawszej i bardziej wyrafinowanej artystycznie nawet od tych noszonych niegdyś przez słynnych Sex Pistols, Depression czy Execute. On sam słynny z pewnością nie był, ale dorównywał starszym kolegom duchowym

imponującym zacięciem kolorystycznym ubioru, niezależną – widoczną już na pierwszy rzut oka – artystyczną dumą, oraz bezczelnym, ale i ujmującym spojrzeniem. Był też niewiarygodnie chudy. Raczej nie przekroczył jeszcze trzydziestki, a jeśli nawet – wygląd tego nie zdradzał. Gospodarzowi, zwanemu przez bliższych i dalszych przyjaciół Bzdetem (na inne imiona czy nazwiska nie reagował), towarzyszyła jego urocza małżonka – Cipucha. Mimo że Sambierska raczej nigdy nie miała specjalnych problemów z nadwagą, zawsze zazdrościła obojgu przyjaciółom ich sylwetek. I choć była lekarką, a oni prowadzili zdecydowanie bardziej od niej niefrasobliwy tryb życia, cieszyli się wspaniałym zdrowiem. Niewykluczone, że lepszym niż ona.

– Wejź – rzekł pośpiesznie Bzdet, otwierając szeroko drzwi.

Pora była dość późna. Dochodziła północ. Gospodarze zazwyczaj starali się żyć w zgodzie z naturą – wstawać o wschodzie, a kłaść o zachodzie słońca. Czasem jednak wyznaczali sobie „dni dzikości serca”; wtedy natura i zdrowe prawa przyrody schodziły na plan dalszy. Czas nieokiełznanej balangi zaburzał wtedy nieco rytm dobowy organizmów, ale – jak już wspomnieliśmy – na razie nie wpływał źle na ogólną formę tych czcicieli nie tylko „wszechwolnego jestestwa ducha”, ale i „pierwotnej harmonii wszechrzeczy”.

Dziś jednak Ola Sambierska zerwała swoich przyjaciół z łóżka, bo – jak bez trudu odczytała z ich wyrazów twarzy – z pewnością kilka minut temu spali. Bzdet, co lekarka z łatwością wychwyciła, przez kilka chwil miał nieco zaburzone poczucie rzeczywistości i potrzebował trochę czasu, aby doprowadzić się do ładu. Ponadto jako bardzo poważny filozof ideologii punkowej nie zwykł pokazywać się gdziekolwiek

„nieuczestny”, a w tej właśnie chwili jego – wspaniały na co dzień – zielono-żółto-niebieski czub był w oplakany stan. Cipucha, prezentująca raczej styl (cytat samej właścicielki fryzury) „dupniętej trawy”, miała mniejszy problem z codziennym wyrażaniem filozofii „krzyku wołającej o łyk powietrza marchewki”. Jej głowę zdobiły po prostu sztywno postawione, zielone włosy (będące metaforą twórczej agresji życiowej natki), które rzadko wymagały szczególnej troski. Nie wiadomo, jak Cipucha to robiła, ale nawet teraz, świeżo po zerwaniu się z łóżka, „dupnięta trawa” s t a n ę ł a na wysokości zadania.

– Co jest grane, Ola? – Rzeczywistość w oczach Bzdeta zaczynała zdecydowanie już łąpać ostrość.

Cipucha zamknęła drzwi wejściowe i zawisała nad Sambierską znacząco, gdy tylko lekarka usiadła na krześle.

– Przyszli po przyjacielsku i na szczęście podczas nieobecności mojego starego, ale i tak kapcie mi spadły na ich widok.

– Problemy z Krzysztofem i resztą?! – spytał szybko punk.

– Tak. – Ola głośno westchnęła. – Na razie nikt nie wrócił z wyspy.

– Ale chyba... – zaczęła płaczliwie Cipucha.

– On wie, co robi. – Bzdet nie dał jej dokończyć. – Nie ma co wpadać w panikę.

Nie wyglądał już na śpiącego. Nie wyglądał także na zaniepokojonego, ale lekarka dobrze wiedziała, że w istocie wiadomość zrobiła na nim nie mniejsze wrażenie niż na niej.

– Ale dlaczego nie dał do tej pory znać?! – nie ustępowała Cipucha.

– Czy ty się dobrze czujesz? – mruknął niecierpliwie w jej

stronę punk. – To wyspa Sentinelczyków na środku wielkiego morza. Nikt obcy tam nie był od sześćdziesięciu tysięcy lat. Nie sądzisz, że mogą mieć małe kłopoty z Internetem i telefonami?

– Mimo wszystko się denerwuję – wtrąciła Ola. – Minęło już kilka dni. Jeśli nie dają żadnego znaku życia, coś musi być nie w porządku.

Bzdet usiadł na krześle naprzeciwko Oli, prosząc wzrokiem żonę, by uczyniła to samo.

– A reszta? Nie mówię o Czesiu i Haiku.

– Ani Tyhron, ani Yovita, ani nikt inny nie odpłynął z wyspy. Kompletna cisza. Tak mówili ci aurelici.

– Co oni nagle tacy opiekuńczy? – Cipucha się skrzywiła.

– Zasługa Krzysztofa. Balea mu to przyrzekł. Pilnują naszego bezpieczeństwa.

– To, że nikt inny na razie nie uciekł z wyspy, trochę mnie uspokaja – bąknął pogrążony w myślach punk. Wyraźnie pośpiesznie rozważał wszystkie możliwe rozwiązania.

– A co w tym takiego uspokajającego? – spytała Sambierska.

– Zastanówcie się. Kto tam jest? Krzysiek, Yasuko, Yovita, Tyhron, ten cały Ganti... sami wymiatacze. Każde z nich starczyłoby za całą armię. Naprawdę wierzycie w to, że banda prehistorycznych przygłupów mogłaby komukolwiek z nich zrobić krzywdę?! Co innego, gdyby Tyhron i ten aurelicki zdrajca wrócili. Ale wyspa milczy. Nic się nie dzieje.

– I co, Mopiku? – jęknęła Cipucha – Przez tydzień siedzą tam i jarają faję pokoju z tymi... no, jak im tam?

– Sentinelczykami – pomogła Ola.

– No właśnie.

– Z jakiegoś powodu to jest wyjątkowe miejsce – bronił

swojej koncepcji Bzdet. – Przerabialiśmy tę kwestię tysiące razy. Nie wiemy tylko, dlaczego. Z jakiegoś powodu Yovita, choć uciekał tak długo przed Tyhronem, zaryzykował popłynięcie z Krzyśkiem, Yasuko i Czesiem! A tam już był jego śmiertelny wróg! Tyhron i Ganti tylko na niego czekali. Rozwiązanie moim zdaniem jest więc jedno. Tam tkwi coś nie z naszego świata, tylko z ich – Tyhrona i Yovity. Być może obaj muszą to mieć, aby... na przykład wróc do swoich?

– Trochę to *science fiction*. – Ola pokręciła głową.

– Tak? Zapomniałaś już, co wyniknęło z badań Yovity? Bo ja do dzisiaj pamiętam, jak ci szczena opadła, gdy zobaczyłaś wyniki rezonansu, prześwietleń i badań krwi tego dzieciaka. Wszyscy wiemy, że nie był stąd. Może jakimś cudem i z jakiegoś powodu teraz on zabrał Krzyśka, Yasuko i Czesia do siebie?

– Po grzyba? – dociekała bezpretensjonalnie Cipucha.

– Bo taka, kurwa, mogła być potrzeba!

– Jakoś nie widzę Krzysztofa chętnego do podróży w czasie. – Sambierska westchnęła powątpiewająco.

– A widzisz go, jak opuszcza Yovitę i resztę w potrzebie? – drążył wciąż uparcie Bzdet.

Lekarka przez pewien czas milczała.

– Macie coś do picia? – spytała po chwili.

– Znieczulenie?

– Tak jest.

– Zadzwoń do profesorka, że śpisz u nas. Jedną noc bez żony wytrzyma. A my coś wymyślimy do rana. Jestem pewien, że Krzysiek ma wszystko pod kontrolą. To w końcu, do cholery, legendarny Kapłan Wiedzy! Boją się go nawet aurelicy!

Chociaż lot nie był zbyt długi, Luigi Balea wciąż nie tryskał humorem. Milczał przez całą podróż, odmówił zjedzenia posiłku, nie spróbował nawet przygotowanej dla niego kawy. Poprosił za to uprzejmie, aby zarówno Alain Forteil, jak i Andrea Villon dali mu spokój oraz trzymali od niego z daleka towarzyszącą im obowiązkowo czwórkę aurelickich strażników.

Zaraz po wylądowaniu w Rzymie, bez specjalnie wylewnych powitań, rozkazał wsiąść całej ekipie do samochodów i jechać jak najszybciej na miejsce. Trzy czarne limuzyny volvo ruszyły więc, nie zwlekając, w stronę zamku DiPolenich, w którym, jak obiecali wysłannicy Wielkiego Strażnika Biblioteki, powinni się znaleźć najdalej za czterdzieści minut. Na czele kawalkady jechali oczywiście gospodarze w postaci quadrenty aurelitów wysłanych po Wielkiego Mistrza na lotnisko przez – mimo wszystko nieco zaskoczonego nagłą wizytą – *marchese*. W drugim samochodzie podróżowali tylko Balea, Villon oraz Forteil. Luigi zażądał, by auto poprowadził jego sekretarz. Chciał wymienić kilka zdań wyłącznie w towarzystwie najbliższych współpracowników. W trzecim jechała ochrona osobista Mistrza i wyrzucony przez Baleę kierowca drugiej limuzyny.

Andrea Villon od dłuższego czasu przemyślał dwie rzeczy. Po pierwsze, jak możliwie najszybciej oczyścić nie najlepszą atmosferę; po drugie, jak uniknąć jeszcze większego rozsierdzenia szefa. Bo musiał Balei zakomunikować, że oprócz faktów, o których przez tak długi czas nie był powiadamiany, u DiPoleniego może zastać coś, co zdecydowanie bardziej go zirytuje.

– Stąd pochodzisz, Luigi... – rozpoczął dość sentymentalnie, wreszcie przerywając nieznośną ciszę.

– Co ty powiesz? – mruknął, nie odwracając się od okna Balea.

– Próbuje jakoś rozgonić chmury – przyznał szczerze Villon.
– Nie możemy wjechać z takimi minami do zamku DiPolenich. Mimo wszystko to jeden z najstarszych rodów we Włoszech. Powinniśmy okazać im należny szacunek.

Mistrz odwrócił się i zawiesił wzrok na Andrei.

– Rozdrobnienie Włoch na dziesiątki państewek przez wieki powodowało, że więcej tu było uprzywilejowanej szlachty niż kogokolwiek innego – burknął zmęczonym głosem. – Kolejni papieże, do których w większości należały te ziemie, rozdawali tytuły i lenna częściej niż dzisiaj błogosławieństwa, szczególnie swoim licznym ówczesnym krewnym. Sabaudowie, jak wiesz, po zjednoczeniu też sobie raczej nie żalowali. Nie czaruj mnie więc tradycją arystokracji tego kraju, zwłaszcza tutejszymi sierocińcami. Byłem Włochem przez pierwszych pięć lat swojego życia. Gdy ojciec Aureil zabrał mnie stąd, stałem się Francuzem i pozostaję nim do dziś. Ale przede wszystkim jestem aurelitą. Tak, czasem miło tu wpaść i zobaczyć watykańskie mapy, pospacerować po Chiaramonti czy Forum Romanum. Nie traktuj mnie jednak jak turystę, szczególnie gdy chcesz mi powiedzieć coś, co jak sądzę, do reszty mnie rozdrażni.

– Chcę cię przygotować. – Głos Villona stwardniał.

– Mów.

– *Marchese* może nie chcieć udostępnić nam ksiąg.

– Słucham?!

– Zobowiązuje go do tego nasze prawo. Każdy, kto chce otworzyć którykolwiek z dokumentów Bibliotheca Desolo, musi mieć specjalne upoważnienie od Rady. Nawet Wielki Mistrz.

– Kto wprowadził to zarządzenie?!

– Mistrz Aureil.

Luigi ukrył twarz w dłoniach.

– Chryste, od prawie sześciu lat walczę z naszą biurokracją, tylko jak mam cokolwiek zdziałać, jeśli nawet nie wiem, co jest do zrobienia?! Ile mnie jeszcze czeka niespodzianek, zanim dojadę do dziadka, o którego istnieniu dowiedziałem się zaledwie kilkanaście godzin temu?!

– Istniejemy od 326 roku naszej ery. Jeszcze kilka wiosen, a wybiję nam tysiąc siedemsetna rocznica. Sześć lat to doprawdy niezbyt długi czas, drogi Luigi, na wytrzebiecie biurokracji nagromadzonej przez siedemnaście wieków.

– Nie drwij – ostrzegł groźnie Mistrz. – Nie jestem w nastroju. Villon natychmiast zamilkł.

– Co radzisz, drogi Nauczycielu? – spytał po dłuższej chwili już spokojniejszym tonem Balea.

– Skłamać.

Milczący do tej pory Alain Forteil nieśmiało obejrzał się z pierwszego siedzenia w ich stronę.

– A mógłbyś nieco rozwinąć temat? – Luigi nie zwrócił uwagi na sekretarza. Forteil szybko zresztą odwrócił głowę, ponownie skupiając się na prowadzeniu limuzyny.

– Dostęp do zbiorów biblioteki uzyskuje się na życzenie Rady lub... żądanie Kapłana.

– Nie mogłeś tak od razu?

– Mamy trochę szczęścia – ciągnął Andrea – Kapłani Ścieżki Wiedzy rodzą się raz na kilkaset lat, a my akurat mamy przyjemność znać osobiście Krzysztofa Lorenta, który był tak miły i urodził się w naszych czasach. A *marchese* Giovanni

DiPoleni ma tego świadomość.

– Co wie o Kapłanie?

– Że się pojawił.

– I?

– I że stoi po twojej stronie. W końcu to on pomógł ci dojść do władzy.

Balea ponownie zawiesił na Villonie zniecierpliwiony wzrok.

– Nie musimy wzbogacać jego wiedzy zbędnymi szczegółami – tłumaczył z pewną jednak niepewnością w głosie Andrea.

– A jeśli już ktoś przed nami „wzbogacił jego wiedzę” w te zbędne szczegóły? – spytał praktycznie Luigi.

– Zaryzykujemy i użyjemy twojego autorytetu – stwierdził twardo Villon. – Inaczej mógłbym nie doczekać chwili, w której Rada się zbierze i wydusi z siebie takie pozwolenie. Nie jestem już aż tak młody.

Udało mu się wreszcie rozbawić Baleę. Mistrz uśmiechnął się, po czym skinął lekko głową, następnie zaś z powrotem odwrócił się do okna.

– Jak daleko do zamku? – zaciekawiał się już nieco rozpogodzony.

Villon sięgnął do kieszeni po mapę.

– Podejrzewam, że już dojeżdżamy. Tak przynajmniej wynika z planu.

– *Marchese* DiPoleni ma rodzinę?

– Nie jest rycerzem aurelickim, tylko wysokim urzędnikiem. Ma żonę, dwóch synów i trzy wnuczki.

– Ani jednego wnuka?

Villon pokręcił głową.

– Pewnie za karę. – Luigi znów poweselał – Cholerny mól

książkowy.

– Zgodzi się. – Andrea zapewnił Mistrza. – Musi się zgodzić.

– Dla jego własnego dobra – wyszeptał Balea takim tonem, że nawet Villon wołał przez chwilę pomilczeć.

ROZDZIAŁ 2

Profesor Bogdan Wilecki – niegdyś wybitny historyk kultury, etnograf, antropolog, arogant, buntownik i podrywacz, a obecnie: wybitny historyk kultury, etnograf, antropolog, troskliwy mąż, kochająca głowa rodziny, od pięciu już prawie lat rozmiłowany niezmiennie i jak się wydaje, nieodwracalnie w doktor Aleksandrze Sambierskiej – był... wkurzony. Jechał teraz z nadmierną prędkością swoim wiecznie psującym się renault laguną rocznik... któryś tam (nigdy nie pamiętał, ale raczej szczególnie udany) i pomstował. Wóz co najmniej dwa razy w miesiącu odwiedzał warsztat, psuł nerwy profesorowi, był obiektem nieustających kpin Sambierskiej z francuskiej myśli motoryzacyjnej oraz niegdysiejszego fatalnego pomysłu męża, aby go zakupić. Tym razem jednak to nie samochód był obiektem irytacji Wileckiego. Od dwóch tygodni, czyli odkąd profesor wrócił z konferencji w Londynie, jakimś cudem auto nie sprawiało kłopotów, jakoś jeździło i o warsztatach w rodzinie chwilowo zapomniano. Teraz chodziło o... dość gwałtowną jak na stosunki obojga małżonków wymianę zdań przed zaledwie dziesięcioma minutami.

Ludzie żyjący ze sobą pod jednym dachem (z bardzo nielicznymi wyjątkami) zwykle co pewien czas się kłócą. W zdrowych związkach popycha to niejednokrotnie sprawy do przodu, czyni wspólne życie mniej zakłamanym, pozbawionym – w części przynajmniej – hipokryzji. Dają ułudę szczeroci, bywa że podbudowuje nadszarpnięte ego, podsuwa szansę na

wykazanie się klasą, wyrażaną przez zainteresowanych w prezentowanej kulturze sporu. Zdrowa sprzeczka ubarwia prozę życia, daje nowe szanse na tak zwany szerszy horyzont, a czasem obliuguje i skłania do... seksu. Nie jest więc raczej niczym złym, jeśli zamyka się w formie przewidzianej zdrową naturą miłości, poszukiwania „nieznanego” w świecie partnera czy głodem wiedzy nieosiągalnej w nudnych wieczornych, łóżkowych mrużdzeniach lub pośpiesznych, porannych ganiankach przed pracą z kawałkiem bułki z pomidorem w ustach. Kłopot zaczyna się wtedy, gdy w nawet tak – jak się wydaje – udany związek wkrada się... kłamstwo. A profesor Bogdan Wilecki, wybitny przecież historyk kultury, etnograf, antropolog, a także kochający mąż na kłamstwo był szczególnie uczulony. Miał także wcale nieczęsty dar wyczuwania fałszu na odległość. I nie była to cecha wynikająca z jego samooceny, ale z jak najbardziej obiektywnej opinii otoczenia. Doktor Aleksandra Sambierska okłamywała swojego męża co najmniej od dwóch tygodni, z niewiadomych powodów, w jakimś tam sensie umiejętnie, choć – najprawdopodobniej z tych właśnie przyczyn – nieskutecznie. Rozmowa telefoniczna sprzed dziesięciu minut stawiała kropkę nad „i”, przelewając, jak to się niemodnie już raczej mówi, kielich goryczy. W umyśle profesora rywalizowały ze sobą dwa silne uczucia: wspomnianej goryczy oraz... lęku. Nie miał bowiem zielonego pojęcia, co pcha, tak przecież uczciwą do tej pory w stosunkach z nim, ukochaną żonę do wciskania mu serii kłamstw, konsekwentnie co pewien czas podbudowywanych i karmionych wciąż nowymi. Im bliżej był domu Cipuchy i Bzdeta, tym mocniej strach brał górę nad wkurzeniem i żalem. Małżeństwo zaprzyjaźnionych punków traktował przecież

niemal jak rodzinę, a wszystko wskazywało na to, że oni również go okłamywali i to w nie mniejszym stopniu niż Aleksandra.

– To był cholernie głupi pomysł! – Ola pociągnęła spory łyk wina i otarła ręką czoło. – Trzeba mu było od razu wszystko powiedzieć. Wiedziałam, że jest za bystry na takie numery!

– Daj, kurwa, spokój. Chroniłaś go – zauważyła inteligentnie Cipucha. – Kiedy wszystko się zaczęło, wylatywał właśnie do Anglii. Nie było sensu go niepokoić. Zresztą, gdyby nawet dowiedział się o Yovicie na lotnisku, wróciłby natychmiast do domu, przez co schrzaniłby konferencję, na której wygłaszał, jak mówiłaś, cholernie ważny wykład.

– Cholernie ważny wykład – powtórzyła jak echo Sambierska.

– Na temat? – zaciekawiał się Bzdet.

– Teraz dopiero się zainteresowałaś? – burknęła coraz bardziej roztrzęsiona Ola.

– A nie sądzisz, że sytuacja to raczej usprawiedliwia?

– Na temat Kainitów i ich wpływu na rozwój gnostycyzmu.

– Biorąc pod uwagę naszą sytuację, to trochę taniec na cienkim lodzie! – Punk się skrzywił.

– Nie ma tam słowa o aurelitach – uspokoiła Sambierska. – Są tylko wnioski historyczno-filozoficzne, które wyciągnął dzięki naszej nowej wiedzy. Przez to jego prace są przełomowe, ale w żaden sposób nie naruszają tajemnicy. Sprawiedliwy kompromis.

– Myślisz, że Luigi Balea też tak myśli?

– Z pewnością zna już te materiały. Są teraz opublikowane i ogólnie dostępne – odparła niecierpliwie Ola. – Gdyby miał jakieś „ale”, aurelici, którzy dzisiaj ze mną gadali, z pewnością

by o tym napomknęli.

– Mają inne kłopoty – zauważył Bzdet.

– Ale mają też podzielną uwagę, gdy jest taka potrzeba – odrzekła pewnie Sambierska. – Wszystko na tamtym froncie jest pod kontrolą. Martwiłabym się teraz raczej o Krzyśka i resztę. I o to, co zrobi ze mną Bogdan, kiedy tu zaraz wpadnie!

– Ty się go boisz! – stwierdziła nie bez zdziwienia Cipucha.

– No jasne, do cholery! To w końcu mój mąż!

– Ja tam nigdy nie bałam się Mopika. – Dziewczyna pogłaskała czule Bzdetę po policzku.

– Ale wy jesteście świrami!

– I co z tego? – Cipucha wzruszyła ramionami. – Miłość jest jak sięgające po słońce zielone płuca marchewek tkwiących w ciemnej ziemi.

– Strach tylko wzmacnia ciemną stronę mocy – poparł ją Bzdet, słysząc, że jakiś samochód wjeżdża na ich podwórko. Z pewnością bliską stu procent można było podejrzewać, że to laguna profesora Wileckiego.

Zanim spodziewany poniekąd gość zdążył zapukać, drzwi się otworzyły i stanął w nich z uroczym uśmiechem na ustach gospodarz.

– Witaj, Bogdanie. – Skłonił się niemal uroczyście.

– Pieprz się, Bzdet! – syknął Wilecki. – Gdzie jest moja żona?

– W środku.

Profesor minął punka w progu i szybkim krokiem wszedł do domu. Sambierska z Cipuchą czekały na niego, siedząc przy dużym drewnianym stole w pomieszczeniu, w którym najczęściej przyjmowano gości i gdzie zwykle rozpoczynano

balangi podczas dni dzikości serca. Kończono je w. różnych miejscach.

– Jak to teraz będzie, Olu? – łagodnie zaczął zziąjany Wilecki.

– Już nie będziemy sobie ufać? Chrzanić to, co sobie obiecywaliśmy podczas całego naszego małżeństwa?

– To chyba trochę za wielkie słowa – wtrącił pojednawczo Bzdet.

– Zamknij się! – warknął w jego stronę Wilecki, po czym znowu skierował wzrok na żonę.

– Siadaj i przestań już! – odparła zdecydowanie Sambierska.

– Koniec kłamstw. – Profesor wykonał znany, tnący gest oznaczający grubą kreskę. – Odkąd wróciłem, udaję, że nie widzę tych „dodatkowych” dyżurów, wyjazdów w nieznanym kierunku, wymówek godnych może moich przytępawych studentów, ale nie nas!

– Koniec kłamstw – powiedziała spokojnie Ola.

Szybkie przyznanie się do winy nieco zbiło Wileckiego z tropu. Przez chwilę nic nie mówił, tylko świdrował wzrokiem żonę.

– Dlaczego...? – jęknął wreszcie po długiej chwili. – Co było nie tak?

– To nie twoja wina. I być może za chwilę ocenisz, że także i nie moja.

– Czy możecie nas na chwilę zostawić samych? – rzucił Wilecki w stronę punków, siadając powoli przy stole.

– Niech zostaną, proszę. – Ola pogładziła go delikatnie po dłoni. – To dotyczy nas wszystkich.

– To nie to, co myślisz – wtrąciła zapobiegawczo Cipucha.

– A skąd ty możesz wiedzieć, co ja myślę?! – odburknął

profesor, nie odwracając się nawet w jej stronę.

Dziewczyna rozłożyła tylko ręce, dając do zrozumienia Sambierskiej, że dalej musi sobie radzić sama.

– Ufasz mi trochę? – spytała wstępnie Ola.

– A powinienem?

– Sam oceń. Bzdeciu?

– Nie! Nie „Bzdeciu”! – zaprotestował Wilecki. – Ty, Olu! Czym zasłużyłem sobie na to, żebyście wszyscy traktowali mnie jak idiotę?

– Oczywiście, że niczym. Ale ostatnim razem sytuację, o której zaraz ci powiem, zniosłeś nie najlepiej, Boniu. Pomyślałam, że tym razem wezmę to na siebie i nie ma potrzeby rozchrzaniania twojej rocznej pracy. Wiem, że to spotkanie w Londynie odbywa się tylko raz do roku. Zapraszani są najwybitniejsi antropolodzy kultury na świecie. Nie mogłam.

– Zaraz, zaraz – przerwał jej profesor. – Jakie „ostatnim razem”?!

– Boniu.

– Tylko nie to.

– Nic na to nie mogliśmy poradzić.

– Tylko nie oni! Chryste!

– To nie do końca tylko kłopoty z aurelitami, uspokój się. – Tym razem ścisnęła jego dłoń bardziej zdecydowanie.

– Nie uspokoję się! Tyle razy omal nie straciliśmy wszyscy przez nich życia! Do dzisiaj żyjemy w strachu, że w pewnym momencie przestaną wierzyć w to, iż nie dochowamy tajemnicy.

– Co ty powiesz?! – Bzdet nie wytrzymał. – A twoja praca o Kainitach?!

– Nic ci do tego!

– Nie? Jak chodzi o twoją karierę, to wypisujesz i publikujesz rzeczy, które mogą nam wszystkim zagrażać, a gdy cierpi twoje ego, bo Olka próbowała cię chronić przed kłopotami, to przyjeżdżasz tu o pierwszej w nocy i szczerzysz kły. Nie wkurzaj mnie, profesorku! Jest w tobie więcej hipokryzji niż w nas wszystkich razem wziętych.

– Co ty możesz o tym wiedzieć, jajowaty łbie?!

– O tym, co się dzieje teraz, akurat więcej niż ty!

– Przestańcie! – wrzasnęła Sambierska. – Co wy wyprawiacie?!

– Moja praca nikomu nie zagrażała – wycedził przez zęby Wilecki.

– A skąd nowe wnioski?! – Bzdet, co zdziwiło nawet Cipuchę, naprawdę się wkurzył. – Odkryłeś? Wykopałeś coś nowego, czego nie wiedzieliby o gnostykach twoi koledzy po fachu?! Nie. Ty po prostu zerznąłeś historię aurelitów i skorzystałeś, że Balea w odpowiednim czasie przejął władzę, odsunął bractwo od religii i zrobił z nich regularną mafię kierującą się tylko interesami. Dlatego liczyłeś, że nic nam za to nie zrobią!

– Nie dlatego, idioto!

– A niby dlaczego, nadęty bucu?!

– Bo dałem to najpierw Linkowi!!!

– Co...?! – Nawet Bzdetowi na chwilę odebrało głos.

– Boniu... – Sambierska otworzyła szeroko oczy. – Dałeś do konsultacji swoją pracę Eberhardowi Linkowi?

– To wielkiej sławy profesor, mój dawny przyjaciel, ma największą wiedzę na tematy aurelickie. – Wilecki zaczął tracić grunt pod nogami.

– Co ty mówisz, Bogdan! – Ola zaczęła ciężko oddychać. – Eberhard Link to agent Luigiego Balei, który pomógł mu obalić poprzednika. I jak słusznie zauważyłeś, twój dawny przyjaciel.

– Link został przez Baleę tylko wykorzystany – bronił się profesor. – Tak jak Krzysztof Lorent!

– Ale dałeś mu swój odczyt do konsultacji, bo doskonale wiedziałeś, że pokaże go przed twoim wyjazdem aurelitom. W razie czego powstrzymałby cię. I dlatego byłeś pewien, że nic nam za to nie zrobią. A ja głupia myślałam.

– Przepraszam, Olu. Te odkrycia posuwają świat nauki o całe kilometry do przodu, a nawet Balea walczy w tej chwili z sekciarstwem w swoich szeregach. Nie było żadnego niebezpieczeństwa.

– I ty mnie oskarżasz o zatajanie faktów?!

– Bałem się o ciebie, do cholery! Podejrzewałem, że to może być coś z ich strony! Próbowałem jakoś się sam dowiedzieć i nie ciągnąłem cię za język, bo jeśli cię szantażowali, mogłem narazić wszystkich na jeszcze większy koszmar niż ten pięć lat temu. Bałem się, że może jednak to ja spieprzyłem!!!

Sambierska chwyciła jego dłoń obiema rękami i delikatnie uśmiechnęła się.

– A ja myślałam, że mnie podejrzewasz o... no wiesz. Jakiegoś innego faceta.

– Nie. Wiem, że mnie nie zdradzasz.

– Gratuluję ego – podsumował złośliwie Bzdet.

Wilecki po raz kolejny posłał w jego stronę chłodne jak Syberia spojrzenie.

– Może po prostu ufam żonie, tępaku!

– Właśnie widzę, hipokryto. Ona dzwoni do ciebie, że będzie

nocowała u nas, a ty robisz awanturę, przyjeżdżasz tu jak zazdrosny dupek i mówisz mi, że jej ufasz.

– Tak! Podejrzewałem, że zdradza mnie z tobą w towarzystwie Cipuchy, Einsteinie. Puknij się w to jajo, które nazywasz swoją głową!

– Jak się nie zamkniecie, zaraz stąd wyjdę i mnie nie znajdziecie przez miesiąc! Ty i ty! – wrzasnęła znowu Ola.

Wilecki spuścił głowę i podniósł ręce w geście poddania.

Bzdet wycofał się w stronę lodówki, wyciągnął kolejną butelkę wina, odkorkował i wypił trzy duże łyki.

– Nie pij dużo! – skarciła go Sambierska. – Chcę Bogdanowi wszystko opowiedzieć, jak najbardziej na trzeźwo. Pomóżcie mi.

Punk skinął głową i schował z powrotem butelkę w lodówce.

– Na dzień przed twoim wyjazdem pojawił się pewien chłopiec – zaczęła Ola. – Trafił tutaj, do tego domu. Jak się później okazało, nieprzypadkowo. Oni – wskazała na gospodarzy – wezwali mnie na pomoc, bo dzieciak był wyczerpany i zupełnie bez kontaktu. Jakby przed czymś uciekał, jakby biegł całe kilometry, zanim znalazł się w tym miejscu.

– Nic nie kumał, co się do niego mówiło – dodał Bzdet. – Był ubrany jak kolesie ze *Star Trek*. Coś próbował wydukać, aż wreszcie stracił przytomność.

– Przyjechałam z kardiologiem. – Sambierska przejęła pałeczkę. – Od razu zorientowaliśmy się, że coś jest nie tak. Miał kompletnie nieznaną nam rytm zatokowy, a kiedy zabraliśmy go na dokładne badania, okazało się, że jest zupełnie inny niż my. Zamiast trzustki i wątroby znaleźliśmy coś, co nawet trudno było nazwać, ale działało perfekt. Serce dwuprzedsionkowe i czterokomorowe. Płuca, nerki, krew, skóra bardzo podobne do naszych, ale miał za to potrójny system organiczny zamiast

podwójnego, jak u każdego człowieka. W mózgu stwierdziłam dodatkowy, niewielki płat czołowy. Na oko wyglądał jak normalny szesnastolatek, ale w środku to... właściwie niemal inny gatunek. Bardzo do nas podobny, cholernie podobny, genetycznie bliższy nam niż jakiegokolwiek zwierzę lub cokolwiek, co znamy żywego, ale jednak inny.

Profesor słuchał bardzo uważnie.

– Chłopiec z kosmosu? – spytał prawie normalnie.

– Jeszcze wrócimy do tego...

– Nie. Zajmijmy się tym od razu – nalegał prawie uprzejmie profesor.

Ola wzruszyła ramionami.

– Kiedy nawiązaliśmy kontakt, zaprzeczył. Twierdził, że jest stąd, a jednocześnie nie stąd.

– Rasa zagubionych w ewolucji filozofów?

– Bądź poważny! Gdy zaczął tłumaczyć, nikt nie był w stanie tego zrozumieć. Ale wciąż próbujemy wykombinować, skąd chłopak się wziął. Sprawa w toku. Może ty będziesz pierwszy?

– Mówił po polsku?

– Ależ skąd. W ogóle nie mówił. Kiedy zaczął dochodzić do siebie, część z nas jakby... zaczęła słyszeć jego myśli.

– Słucham?! – upewnił się Wilecki.

– Wiem, jak to brzmi. Ale najnowsze badania antropologiczno– neurologiczne już niemal z całkowitą pewnością udowadniają, że do prymitywnych przekazów telepatycznych jest zdolny także *Homo sapiens*. Nie kształcimy tego w sobie, nauczyliśmy się posługiwać przekazem werbalnym i natura dała za wygraną. Ale moglibyśmy to robić! Gdybyśmy z milion lat temu trochę nad tym popracowali.

– No dobrze, co wam „powiedział”? – spytał profesor.

– Skupię się tylko na tym, co najważniejsze. Odkryliśmy, że „mówi” tylko do osób, które miały kiedykolwiek kontakt z...

– No?

– Z Krzysztofem.

– Lorentem?

– Tak. Z Kapłanem Wiedzy, którego on nazywał Mantu.

– Później go tak nazywał – wtrącił Bzdet. – Kiedy już przyjechał.

– Lorent tu wrócił?

– Tak. Porozumieliśmy się z nim kanałem, który podał, zanim zaszył się w Ameryce Południowej i podziałało. Zjawił się bardzo szybko. I to w towarzystwie tej Japonki.

– O rany.

– Ona już nie jest zawodowym zabójcą. – Sambierska próbowała zapobiec kolejnemu wybuchowi. – Działają teraz razem.

– Jasne. I ona wam to powiedziała?

– Nie. Krzysztof. A to, co przeżyliśmy przez ostatnie tygodnie, spowodowało, że uwierzyliśmy. Rok mieszkała z Lorentem wśród Indian Kaneczua. Stawiam, że to daje sporą szansę na zmianę punktu widzenia.

– Myślałem, że nie przeżyła tej rzezi w Slazerhoffie.

– Wszyscy tak myśleli, i o to chodziło.

– Kiedy zlecieli się aurelici? – dociekał rzeczowo profesor – Tuż po przyjeździe Lorenta?

Sambierska pokręciła głową.

– Przypomnij sobie rozłam wśród aurelitów po obaleniu

Aureila.

– Trudno zapomnieć. Ludzie Trantignana mało nas nie pozabijali.

– No właśnie. Trantignan i aurelici wierni dawnemu porządkowi oddzielili się od Balei i wystąpili przeciwko niemu.

– Potem skończyło to się rzezią w Slazerhoffie i tyle z nich zostało.

– Niezupełnie – kontynuowała Ola. – Po pierwsze, nie wszyscy tam wówczas byli. Po drugie, na całym świecie w bractwie jest jeszcze sporo kretów, którym się nie podobały i dalej nie podobają nowe rządy. Nawet po śmierci Trantignana. Kilku z tych ludzi wykorzystał ktoś, kogo znamy pod imieniem Tyhron.

– Tyhron?

– Tyhron. Przedstawiciel gatunku Yovity, czyli tego chłopca, o którym ci cały czas opowiadamy.

– Tyhron, Yovita... – upewnił się Wilecki.

– Tak.

– Tak go nazwaliście? Yovita?

– Nie. Tak go nazwali jego rodzice. W jego świecie. Mówiłam, że nic jeszcze o tym nie wiemy.

Wilecki machnął ręką.

– A co zamierza ten drugi?

– Tyhron za wszelką cenę chciał zniszczyć dzieciaka.

– To ponaddwumetrowy kafar, naprawdę nieprzyjemny w obyciu – dodał na wszelki wypadek Bzdet.

– To przed nim Yovita uciekał, zanim znalazł się tutaj – wyjaśniła Ola.

– Gdybym was nie znał i nie przeżył tego, co... no wiecie,

uznałbym was za niepoczytalnych, wymagających szybkiej pomocy. Najlepiej w długotrwałym odosobnieniu.

– ...ale ponieważ nas znasz – wtrąciła Ola – i przeżyłeś co przeżyłeś, to...

– To ponownie zamieniam się w słuch i poproszę tę butelkę z lodówki.

– Skrócę wykład do minimum – zdecydowała Sambierska. – Kapłan błyskawicznie zrozumiał dzieciaka, choć pierwszy raz go widział! Znał jego język! Wiedział, jak mu pomóc! W ciągu kilku dni nauczył go werbalizować pojęcia, które do tej pory przekazywał nam na cicho.

– Telepatycznie.

– To uproszczenie, ale nieważne. Niech ci, cholera, będzie. Telepatycznie. Nazywaj sobie, jak chcesz. Ja bym tego nigdy tak nie określiła.

– Mów dalej – poprosił Wilecki, przyjmując uprzejmie butelczynę bzdetowskiego wina z rąk gospodarza.

– Podobnie było z Japonką, Haiku. Pamiętasz ją?

– Oczywiście. Przed zabiciem ofiary cytowała siedemnastowieczne japońskie wiersze.

– Tak – potwierdziła Ola. – Wróćmy do dzieciaka. Był niezwykły. Genialny umysł, błyskawicznie zapamiętywał najpierw poszczególne pojęcia, wyrazy, wreszcie całe zdania po polsku. Te prawie trzy tygodnie, na które składały się: twój wyjazd, powrót i pobyt w domu, kiedy ukrywałam pewne fakty przed tobą, spędziliśmy na docieranie do niego. Cholernie chcieliśmy mu pomóc. Wszyscy.

– Tak po prostu? Bezinteresownie?

Sambierską zatkąło.

– Czy ty słyszysz, co się do ciebie mówi?! Mieliśmy przed sobą nieznaną istotę, o niezwykłej anatomii, niesamowitych zdolnościach, z przerażającym przeciwnikiem na głowie. A Yovita mógł liczyć tylko na nas! Co ty byś zrobił?

– Zbadał i oddał do Instytutu Badań Kosmitów Spadających z Nieba.

– Dalej sobie rób jaja, to na pewno ci wszystko opowiemy – mruknął ostrzegawczo Bzdet.

Profesor łyknął zdrowo z butelki.

– Obrzydliwe – przyznał, ale bez pretensji.

– On nie był kosmitą – powtórzyła spokojnie Sambierska. – Ale kim był, do dzisiaj nie mamy pojęcia, choć być może Kapłan i Haiku już wiedzą.

– To może ich spytamy?

– Nie spytamy – odparła cierpko Ola. – Bo nie wiemy, gdzie są.

– Musisz zwolnić. Chyba zaczynam mieć problem ze zrozumieniem tego wszystkiego. – Profesor przetarł mocno oczy, jakby to miało pomóc.

– Wręcz przeciwnie, Olu – włączył się Bzdet. – Przyspiesz i pomiń całą część o barwnych przygodach naszej wspaniałej piątki w towarzystwie aurelitów Balei, którzy stanęli po naszej stronie, o przygodach aurelitów świętej pamięci Trantignana, którzy stanęli po stronie Tyhrona i opowiedz o wyspie Sentinelese.

Profesor wyprostował się jak rażony prądem.

– Czy on mówi.

– Tak. On o tym mówi – rzekła poważnie Cipucha.

– O Sentinelu Północnym?! – pytał dalej żonę, nie zwracając

uwagi na punków.

– Tak – potwierdziła Ola.

– Tym Sentinelu Północnym?

– Tak! Tym Sentinelu Północnym! – odpowiedzieli chórem wszyscy obecni.

– Mówimy o archipelagu między Zatoką Bengalską a Morzem Andamańskim – postanowił rozwiać wszelkie wątpliwości Bzdet – gdzie na jednej z wysp żyje lud, który od sześćdziesięciu tysięcy lat nikogo obcego nie gościł. Mówimy o jedynym miejscu na świecie, w którym zachowała się ostatnia całkowicie pierwotna kultura jeszcze z paleolitu. Ścisłe strzeżonym przez organizacje międzynarodowe i rząd Indii, który jest teoretycznym właścicielem tych ziem. Młody, uciekając przed Tyhronem, tam właśnie zaprowadził Kapłana, Haiku i mojego przyjaciela, którego jeszcze nie znasz. Nieważne. Finał opowieści jest taki, że wszyscy oni nie tylko jako pierwsi przedostali się na wyspę, ale do tej pory z niej nie wrócili, choć mieli na to już kilka dni. Dzisiaj do waszej chałupy przyszło dwóch aurelitów od Balei, rezydujących w Polsce, aby to potwierdzić. Koniec opowieści.

– Jaki koniec?! – Profesor Wilecki zerwał się na równe nogi. – To strzępy informacji! Jakiś dzieciak znikąd, Kapłani Wiedzy, wy wpłątani w nowy konflikt między aurelitami, jakiś Tyhron i nagle skok w waszej relacji na wyspę Sentinelczyków, wreszcie wiadomość, że dwóch drabów Balei było dzisiaj w naszym domu????!! To ma być koniec opowieści?!

– Resztę opowie ci Ola, u was, do poduszki – mruknął spokojnie Bzdet. – Bo teraz zajęłoby to tydzień. Dla nas ważne jest, że moi przyjaciele i porządny dzieciak, wszystko jedno z jakiej planety czy z jakiego czasu, z jakiej przyczyny nie są

w stanie się stamtąd wydostać. I nie możemy nikogo poprosić o pomoc, bo po pierwsze, wstęp tam jest surowo wzbroniony nawet rządowi Indii, po drugie, wykluczają to nawet aurelici.

– A teraz to nasi przyjaciele?

– Krzysztof zawarł pakt z Baleą – wyjaśniła Ola. – Jego ludzie nas chronią w zamian za informacje.

– Które? – drążył Wilecki.

Ola westchnęła głęboko.

– Na tej wyspie jest coś więcej niż chmara prehistorycznych dzikusów. Zarówno Tyhron, jak i Yovita cały czas podążali właśnie tam. Byli śmiertelnymi wrogami, a obaj chcieli się tam za wszelką cenę dostać. Pomyśl... to doskonałe miejsce, by ukryć coś cholernie ważnego. I to dla istot, które nie są stąd! Sam Yovita nie umiał określić, czym to jest, ale informacje wkodowane w jego, nieco inny niż nasz, mózg kazały mu tam podążać. I tego wszystkiego chce się dowiedzieć Luigi Balea.

– I po to pojechał tam Lorent?

– Krzysztof pojechał tam przede wszystkim po to, by chronić dzieciaka – wtrącił spokojnie Bzdet. – Ale on też miał w swoim mózgu zakodowaną tajemnicę, która ciągnęła go na Sentinelese. I choć jest legendarnym Kapłanem Ścieżki Wiedzy, najpotężniejszym człowiekiem na naszej planecie, posiadającym wiedzę setek swoich przodków zakodowaną genetycznie w jego umyśle, potrafiącym jako jedyny ze wszystkich ludzi korzystać z tej wiedzy i umiejętności tych przodków.

– No, skoro jesteś taki uroczysty, to Haiku jeszcze... wiesz... jakby... – bąkała nieśmiało Cipucha.

– OK. Ona też. A więc mimo to, mimo że Kapłan i Haiku umieją wykorzystywać nie dwadzieścia procent mózgu jak my

wszyscy, ale co najmniej trzykrotnie więcej... to nawet oni nie wiedzą, co to za tajemnica. Teraz już rozumiesz, Boguś, po co Krzysztof i reszta pojechali na Sentinelese?

Zamek przypominał Luigiemu nieco Chatillon, ale chyba bardziej Sully-sur-Loire. Z tą różnicą, że Alteriale nie było tak majestatyczne i surowe w swoim wyrazie jak Chatillon i nie stało niemal całkowicie w wodzie jak Sully. Wszystkie nosiły znamiona konserwatywnej dumy ponad siedemsetletniej historii, sięgającej oczywiście do myśli architektonicznej jeszcze średniowiecza oraz – jakżeby inaczej – starannie skrywanych, mrocznych tajemnic zamieszkujących w nich rodów. Wszystkie także były kilkakrotnie przebudowywane, ale szczególnie w Chatillon do czasu panowania Balei nie chwalono się tym zbyt. Sam Wielki Mistrz darzący główną siedzibę Wielkiego Bractwa Aurelitów uczuciem nie mniejszym niż jego poprzednik nie znosił tak wyrażanej przez starszych braci hipokryzji. Kochał historię, a wiedzę – zwłaszcza mediewistyczną – dorównywał najbardziej sędziwym członkom Rady. Nie znaczyło to jednak, że podzielał ich snobizm, zamiłowanie do przestarzałych rytuałów, a szczególnie zabobonów czających się w niejednym aurelickim umyśle. Tradycyjne podstawy religii Aureliusza Marcellina, zdaniem Luigiego, nadal niebezpiecznie spychały starszyznę na odległe manowce gnostycyzmu, a to psuło po prostu interesy.

Estetyka Alteriale DiPolenich miała te same korzenie co Chatillon. Obie budowle zaprojektowali Włosi, podobnie zresztą jak większość chociażby francuskich zamków nad Loarą. Tkwił tu pewien paradoks, bo Francja, a także Niemcy znacznie szybciej niż państwa włoskie wyzwoliły się z więzów romańskich na rzecz gotyku, i później – myślenia coraz bardziej

renesansowego. Mimo to właśnie włoscy architekci pozostali najściślejszą elitą najsłynniejszych; kreowali style niemal do czasów nowożytnych. I nic przez setki lat nie zdołało zachwiać ich pozycją.

Luigi Balea przed wejściem do środka kazał oprowadzić się dookoła budowli oraz po niewielkim parku. Alteriale okazało się znacznie mniejsze niż Chatillon, z nieporównanie uboższymi ziemiami należącymi do majątku. Nie dziwiło to Mistrza, nie wzbudzało specjalnej satysfakcji, choć cieszyło. Zamek mimo niewątpliwego uroku sprawiał z zewnątrz wrażenie dość skromnego. Dzisiejsze czasy zmuszały raczej do względnej dyskrecji, a nie epatowania przepychem. Gdyby ktokolwiek postronny dowiedział się, co zawierają – pozostające od setek lat tajemnicą – podziemia, mogłoby dojść do tragedii. Trudno sobie nawet wyobrazić, jakie spustoszenia w bractwie spowodowałyby takie zdarzenie.

Przybycie Mistrza wywołało wśród służby i obsługi spore zamieszanie. Luigi wolał, aby gospodarz opanował emocje swoich ludzi i uporządkował sytuację, zanim wejdzie do środka. Nie miał czasu na przyjmowanie wyrazów uwielbienia, czci, wymuszonego szacunku czy obserwowanie przykładów nieporadności spowodowanych wrażeniem, jakie wywołał. Dlatego po kilkudziesięciu minutach, kiedy miał już dość przechadzki, szybkim gestem dał ochronie znak, że pora kierować się do środka.

– Daj się pocałować w pierścień i pozwól na kilka słów pretensjonalnego przywitania – jęknął mu błagalnie prosto do ucha Andrea Villon. – Odwiedzamy bardzo konserwatywną rodzinę.

– To konieczne? – mruknął Balea.

– Inaczej niepotrzebnie ich urazimy.

Luigi zatrzymał się i zamknął na kilka sekund oczy. Wreszcie westchnął głęboko, dodając sobie sił i rażno ruszył w stronę wejścia.

– Mam nadzieję, że przynajmniej gotują lepiej niż te wszystkie leśne dziadki z Rady. – Skrzywił się z lekkim zniecierpliwieniem. – Każda wizyta u któregośkolwiek z nich oznacza kulinarne tortury.

Co najmniej czterometrowej szerokości i trzymetrowej wysokości kilkusetletnie, ciemne, drewniane, okute poczerńniętym żelazem, potężne dwuskrzydłowe drzwi wejściowe były otwarte na oścież. Tuż za nimi stał ubrany w garnitur „obiadowy” – wysoki, kościsty osiemdziesięciolatek. Nie zważając na wystrój otoczenia, Luigi przez chwilę skupił całą swoją uwagę na mężczyźnie. Ujrzał pooraną twarz, wysuszone usta, włosy dość krótkie, starannie uczesane, ale martwe, bez koloru, wzrok dalekowidza i poczuł dziwny zapach starego mchu – nie wiadomo, czy pochodzący z holu, w którym się właśnie znaleźli, czy od gospodarza. Na Balei widok Giovanniego DiPoleniego wywarł dość odpychające wrażenie. Mistrz był złego zdania o osobach niepojmujących, że istnieją kosmetyki także dla mężczyzn. Sztuczna, przestarzała elegancja ubioru, trupi uśmiech i arystokratyczna arogancja wypisana na pożółkłym czole to jednak trochę mało, aby zyskać szacunek Balei. Wolałby, aby starzec przywitał go nawet w szlafroku, ale za to z rześkim, zdrowym uśmiechem na zadbanej twarzy.

Luigi zerknął teraz na wystrój. Po prawej stronie holu wejściowego tkwił wyjątkowo duży, na szczęście wygasły kominek z marmuru kararyjskiego. Panował lekki półmrok. Hol nie miał okien. Posiłkowano się tu – w cieplejsze dni –

otwartymi drzwiami, w zimne zaś, jak domyślili się goście – owym potężnym kominkiem. Herb DiPolenich – wtopione w kamienną posadzkę trzy czarne półksiężyce skierowane ku dołowi – wyraźnie odznaczał się od znacznie jaśniejszego tła; ewidentnie o niego dbano. Balea zanotował w myślach kolejną złośliwą uwagę; wyjątkowa czystość podłogi, froterowanej jak się należało spodziewać co najmniej raz dziennie, boleśnie kontrastowała ze starą, wiekową zielenią nieprzyozdobionych w tym miejscu domostwa ścian.

DiPoleni wytwornie się uklonili.

– Nasza rodzina jest wyjątkowo zaszczycona tą wizytą – ogłosił głębokim, opanowanym głosem. – Moi synowie nie zdążyli niestety dotrzeć. Nie mieliśmy zbyt wiele czasu na przygotowania. Mam nadzieję, Wielki Mistrzu, że spotka się to z twoim zrozumieniem. Ja i moja małżonka Elizaveta godnie podejmiemy ciebie i naszych wspólnych przyjaciół z szacownego Chatillon.

Zgodnie z obawami Villona gospodarz podszedł wolno do Luigiego, uścisnął mocno jego dłoń i ucałował pierścień Marcellina. Balea doskonale rozumiał, że musiał go nosić zawsze, gdy opuszczał swój zamek, ale do tego typu scen wciąż przyzwyczać się nie umiał. Czuł się jak małomiasteczkowy ojciec chrzestny, któremu w końcu, przy podobnej okazji, jeden z zazdrosnych seniorów aurelickich odgryzie sygnet władzy wraz z palcem.

Następnie DiPoleni przywitał się z Andream i Alainem Forteilem. Ochrona Luigiego pozostała na zewnątrz, ale według zwyczaju obsługa zamku natychmiast się nią zaopiekowała. Dopóki Mistrz nie potrzebował nikogo z quadrenty, mieli czas wolny, podczas którego mogli się posilić i odpocząć.

Marchese postąpił trzy kroki w tył, jeszcze raz się delikatnie skłonił, po czym ruszył do sali jadalnej, w której przy stole czekała już pani domu.

Balea przez chwilę jeszcze nie ruszał z miejsca.

– Myślałem, że będzie tak szedł tyłem przez cały zamek, aż wyrznie o jeden z kandelabrow – mruknął dyskretnie do ucha Villona.

– Proszę, docień jego wysiłek – odparł równie cicho Andrea. – W obecności koronowanych głów w ogóle nie wolno odwracać się plecami. Nasz gospodarz i tak wykazał się względnym umiarem.

– W hipokryzji? – prychnął Luigi. – Ma mnie za młokosa wyciągniętego niegdyś z sierocińca, któremu nigdy nie należał się pierścień Marcelina, podczas gdy on – wielki arystokrata – musi teraz ćwiczyć ukłony przed uzurpatorem.

– Tym bardziej docień jego wysiłki.

Rozbawiony Balea uśmiechnął się szeroko.

– Co to za dziwne imię, Elizaveta? – spytał, ruszając powoli za krocącym dostojnie DiPolenim.

– Nasza pani domu jest spokrewniona z rodziną małżonki Włada IV Tepesa, hospodara wołoskiego sprzed ponad pięciuset pięćdziesięciu lat.

– Mówisz o Drakuli, drogi przyjacielu z „szacownego Chatillon”? O tym Drakuli?

– Tak, Wielki Mistrzu – odparł ze udawaną powagą Villon.

– Jakież to urocze – przyznał Luigi. – Chociaż może jednak jeszcze raz rozważymy, czy zostawać tu na noc?

– Czy ja dobrze rozumiem...? – Profesor Wilecki uniósł rękę, aby mu nie przeszkadzano w porządkowaniu myśli. – Przed

waszym domem pojawia się dziwny nastolatek, odkrywacie, że ma zdolność porozumiewania się pozawerbalnego, że nie zna żadnego ludzkiego języka, że jego anatomia jest inna niż nasza. Pomagacie mu. Okazuje się, że szuka Kapłana, dlatego tu się pojawił i jakimś cudem wie, że doskonale znacie Lorenta, tak?

– Tak. – Cała trójka pokiwała głową.

– Potem nagle chłopcu wpada do głowy, że macie z nim jechać na koniec świata, bo tam jest coś, co zapewni mu bezpieczeństwo przed dwumetrowym osiłkiem, który chce skrzywdzić dzieciaka, tak?

– Tak.

– A jednocześnie wszyscy macie świadomość tego, że ten jego najgorszy wróg też tam jedzie?

– No... tak – odpowiedziała, nie wdając się w szczegóły Ola. Bzdet i Cipucha skinęli tylko zgodnie głowami.

– To bez sensu. – Wilecki rozłożył ręce.

– Nie rozumiesz, Boniu – nie rezygnowała Sambierska. – Yovita ma nieprawdopodobne zdolności. Jeszcze bardziej zdumiewające niż Haiku i Kapłan.

– A co to ma wspólnego z tym akurat punktem naszej dyskusji?

– Ma – wtrącił Bzdet. – Bo jak ci próbujemy od pewnego czasu powiedzieć, chłopak miał coś wgranego w mózg, co w pewien sposób podpowiadało mu, jak ma po kolei postępować.

– Słucham?!

– Nie dziw się tak co chwilę, tylko trochę uważniej słuchaj – poprosiła z lekkim zniecierpliwieniem Ola. – Nawet my potrafimy hipnozą w pewien sposób zaprogramować niektórych pacjentów na określone działania. U nas ma to

zwykle cel leczniczy, działamy na psychikę. W jego świecie, gdziekolwiek ten świat jest, potrafią robić takie rzeczy w znacznie bardziej zaawansowanym stopniu. W jego mózgu zostały „spakowane” jak w komputerze pliki z wiedzą, którą wykorzystywał logicznie i rozumnie każdego dnia. Wszystko się sprawdzało. Nie „widział” wszystkiego od razu. Sam poznawał tę wiedzę.

– W odcinkach – dopowiedział Bzdet.

– No właśnie. Coś w tym stylu – zgodziła się Sambierska. – On na co dzień wyglądał jak zwykły szesnastolatek i nawet czasem się tak zachowywał. A właśnie owa wiedza powodowała, że nie robił głupot i nie wykorzystywał nieodpowiedzialnie swoich możliwości.

– No dobrze – przytaknął profesor. – Był telepatą. Co jeszcze takiego potrafił, że przekrzykujecie się w peanach na jego temat?

Bzdet i Ola spojrzeli na sobie z zakłopotaniem. Cipucha do czasu, gdy wyczuła, że Wilecki już na nią nie patrzy, z zainteresowaniem oglądała sufit.

– Yovita najprawdopodobniej. – Sambierska dość długo zbierała się z wykształceniem tego, co trzeba było wyznaczyć. – Jakby to najprościej powiedzieć... umie zaginać czasoprzestrzeń.

Twarz profesora ani o jotę nie zmieniła wyrazu. Patrzył z pewnym zakłopotaniem na żonę kilka dość długich sekund, po czym czule się uśmiechnął.

– Kochanie – zaczął delikatnie. – Masz przecież doktorat, prawda?

– Z psychiatrii, Boniu. I byłabym wdzięczna, gdybyś nie próbował z nas kpić! – zaznaczyła ostro Ola.

– Oni mają doktoraty ze stawiania kolorowych włosów na głowie. – Wskazał na małżeństwo punków. – Ale ty liznęłaś trochę nauki, więc bardzo cię proszę.

– Wciąż jednak jesteś dupkiem, Boguś. – Bzdet pokiwał z zażenowaniem głową. – Chyba mieliśmy rację, że trzymaliśmy wszystko w tajemnicy przed tobą.

– Czego ty ode mnie chcesz? – rzucił nadspodziewanie spokojnie Wilecki w stronę punka. – Żebym uwierzył, że szesnastolatek umie to, czego być może nie umie nawet Bóg?

– Nie masz pojęcia o fizyce, a już szczególnie teoretycznej, prawda? – spytał rzeczowo Bzdet.

– O czym ty mówisz?! – oburzył się zmieszany profesor.

– Jesteś antropologiem. Nawet nie liznęłaś, jak to mówisz, nauk ścisłych.

– Jestem wykładowcą.

– Czego? – przerwał natychmiast punk. – Historii sztuki? Kultur? Religioznawstwa starożytnego?

– A co ty możesz na ten temat wiedzieć?!

Wszyscy już trzy zdania temu wiedzieli, że Wilecki za chwilę się wścieknie. Wytykanie mu niewiedzy w jakiegokolwiek dziedzinie doprowadzało go do szału.

– Boniu, mam do ciebie prośbę – wtrąciła spokojnie Sambierska. – Zrób dla mnie ten wysiłek i postaraj się w końcu zrozumieć, że istnieją dziedziny, w których bywamy nieco bardziej zorientowani niż ty. Nie ucz mnie więc teorii możliwości ludzkiego mózgu, a Bzdetu fizyki.

– A co on takiego może wiedzieć?! – Profesor nie dał się przekonać.

– Byś się zdziwił – odezwała się milcząca do tej pory Cipucha.

– Nie masz pojęcia, kim mój Mopik jest z wykształcenia, prawda? – zapytała zadziornie. – Znasz nas jak łyse konie, ale tu leżysz, co? Nie znalazłeś jakoś czasu, by się dowiedzieć czy chociaż zapytać.

– Jadę do domu! – Wilecki wstał i spojrzał znacząco na Olę.

– Zamknij się wreszcie i raz w życiu przestań być bufonem – skarciła go Sambierska. – Siadaj i słuchaj!

Zachowanie żony tak boleśnie go zaskoczyło, że przez chwilę rozważał samodzielny powrót. Nie dość, że wciąż stała po stronie punków, to jeszcze obrażała go w ich obecności.

– Zawsze traktujesz wszystkich z góry, zwłaszcza ich – ciągnęła Ola, wskazując na Bzdeta i Cipuchę. – Choć dobrze wiem, że w zakamarkach swojego przemądrzałego łba uważasz ich za cholernie bliskie ci osoby.

– Seans psychoanalityczny? Raczej nie dziś! – Wilecki był nieprzejednany.

– Ale to prawda – nie ustępowała Ola.

Profesor zmrużył oczy i postanowił wykazać chwilową wielkoduszność.

– Być może... – przyznał wyniośle. – Sporo razem przeżyliśmy. Trochę może szkoda, że mimo takiej wielkiej przyjaźni okłamują mnie przez ostatnie dwa tygodnie podobnie jak ty! Ale istnieją tajemnice, które zna tylko nasza czwórka.

– A to zbliża – pomogła pani doktor.

– Powiedziałem, że być może – odparł profesor. – Ale na co dzień mnie wkurwiają! Niezależnie od wszystkiego!

– Bo nie biją pokłonów przed tobą jak twoi studenci? Tak. Tacy są. I za to ich cenisz, chociaż w życiu się do tego nie przyznasz. Tak samo jak kochasz mnie, dlatego że codziennie ci pyskują!

– Kocham cię, bo masz fajny tyłek. Reszta jest do niczego. – Wilecki usiadł z powrotem na krześle, pozwalając sobie już na uśmiech.

Bzdet przysunął swoje krzesło bliżej profesora.

– Znana nam czasoprzestrzeń, czyli czterowymiarowa rzeczywistość, która nas otacza tu i w kosmosie, zagina się tylko pod wpływem ciał o ogromnej masie – zaczął cierpliwie.

– Wiem – przytaknął Wilecki.

– Jak na przykład czarne dziury.

– Wiem – powtórzył spokojnie profesor.

– To nie tylko zagina przestrzeń, ale i zakrzywia czas.

– Tylko w teorii Einsteina.

– Już nie tylko. Światła gwiazd docierają do nas po łuku i to wiemy z licznych doświadczeń oraz całkowicie pewnych dowodów.

– Mówię o czasie.

– To też już właściwie udowodniono. Grawitacja ponad wszelką wątpliwość ma wpływ na szybkość przepływu czasu. W górach czas płynie wolniej niż nad morzem, choć różnice są tak niewielkie, że nikt tego w żaden sposób nie odczuwa. Ale w kosmosie to już inna sprawa.

– Cały czas nijak to się ma do dzieciaka.

– Cała zabawa polega na tym, że on, mimo iż nie jest obiektem o dużej masie i chyba nie potrafi – choć tego jestem już nie tak pewien – wytwarzać grawitacji, może mieć niewielki, ale jednak, wpływ na czas.

– Jak niewielki? – dopytywał cierpliwie profesor.

– Podobno ułamki sekund.

– Podobno?

– My tego nie widzieliśmy. Ale Krzysiek widział. Cały wic w tym, że kłopotliwy kolega Yovity z jego świata – Tyhron – też to umie.

– No proszę – przytaknął uprzejmie Wilecki. – A... jak?

– Jak to możliwe?

– To też. Ale pytam, jak to można zaobserwować?

Bzdet podrapał się delikatnie w niedogoloną dzisiaj brodę.

– Obaj mogą oddziaływać na przepływ czasu w niewielkiej, ograniczonej przestrzeni. Praktycznie wygląda to tak, że będąc w pobliżu kogoś, na przykład ciebie czy mnie, umię sprawić, że czas dla tej osoby będzie płynął szybciej. Podobno minimalnie, ale jednak.

– Znajdując się blisko mnie, potrafi sprawić, że czas dla mnie będzie płynął szybciej? – upewnił się Wilecki.

– O ułamek sekundy i to w krótkim czasie obiektywnym – odpowiedział pewnie Bzdet.

– Co to daje?

Punk uśmiechnął się chytrze.

– Zajebicie dużo. To jego mechanizm obronny. I on, i Tyhron sami nie uczestniczyli tu w żadnych mordolaniach. Tyhron wykorzystywał do walki kilku ocalałych aurelitów Trantignana, a Yovita – Krzyśka i Japonkę. To znaczy do tej pory, z tego, co się dowiedzieliśmy, wypróbował to raz na Haiku.

– Jak?

– Pomyśl, co się dzieje, kiedy wszystko wokół ciebie zwolni.

– Ja jestem... szybszy. – Wilecki wzruszył ramionami.

– Właśnie! – Bzdet klasnął w dłonie. – W walce wręcz, na miecze czy nawet podczas wymiany ognia z broni palnej

najważniejsza jest zawsze szybkość. Jeśli zostawisz przeciwnika w tyle, jeśli szybciej zadasz cios, nawet mając gorszą technikę, będziesz górą. W ten sposób, nie zdejmując krawata, wygrałbyś z Alim, Tysonem czy Lewisem na ringu. Dlaczego tak patrzysz?

Wilecki wykrzywił w kąśliwym uśmiechu końcówki ust.

– Ty, piewca pokoju i miłości między ludźmi, pacyfista, wróg... jak to było? „Zindustrializowanego, zakłamanego i egoistycznego, pozbawionego duchowej wspólnoty układu społecznego”, z taką fascynacją rozprawiasz o potędze siły i ludziach walki.

– Niczego takiego nie mówię. – Bzdet zmarszczył brwi. – Fascynuje mnie fizyka teoretyczna i absolutnie fenomenalne, trudne do uwierzenia zjawiska, na które się natknęliśmy. Lorent walczy tylko wtedy, kiedy musi. Nawet Japonka, mimo że była kiedyś zawodową zabójczynią, podąża teraz jego ścieżką. Ali zaś był przede wszystkim bojownikiem o wyzwolenie Afro-Amerykanów z ciemnoty rasizmu, walczył o pokój, poświęcając trzy lata swojego sportowego życia, by przeciwstawić się wojnie w Wietnamie, był prześladowany przez rząd i jego agendy.

– Czyżby?

– Lennox Lewis jest świetnym szachistą, doktorem *honoris causa* University of North London.

– Dosyć. – Profesor się skrzywił. – Co dalej?

– Mówiąc w skrócie, chłopak nie dał się złapać, a wszyscy nawet nie natknęliśmy się na tego Tyhrona – pomogła Ola. – Umiał go wyczuć, świetnie omijał niebezpieczeństwa i...

– ...fantastycznie wykorzystywał Lorenta i was wszystkich, jak tamten aurelitów – dokończył zgryźliwie profesor.

– Nie tak bym to ujęła, ale nie mam siły się z tobą kłócić.

W każdym razie, jak już ci mówiliśmy, Luigi Balea pomagał swoimi wpływami na całym świecie Kapłanowi i Haiku, tak że mogli swobodnie podróżować, omijać gliniarzy w Azji, a wcześniej w Ameryce Południowej i tutaj.

– Wiemy, że dopłynęli w pobliże Sentinelu Północnego i to wszystko. Nawet aurelici nie wiedzą, co dalej. Zeszli ze statku, dostali się na wyspę i ślad po nich zaginął – skończył za Sambierską Bzdet.

– Jezu. – Wilecki westchnął ciężko. Powoli tracił ochotę na wyzywanie się na punkach i żonie. – Trudno teraz mieć nadzieję na dobre wiadomości.

– Przestań! – syknęła Sambierska. – Nawet mi tak nie mów!

– Nawet tak nie mów! – powtórzyła jak echo Cipucha.

– Tam oprócz dzieciaka, Krzyśka i Japonki jest także mój najbliższy przyjaciel – dodał cicho Bzdet.

– Znam go? – zainteresował się profesor.

– Nie. Czesiu Dybcio.

Wilecki uniósł brwi, jakby pytał: „Mówisz poważnie”?

– Tak się, do cholery, nazywa. Ty masz czterdzieści kilka lat i profesurę. Jeszcze nie przeszedł ci nawyk naśmiewania się z cudzych obciachowych nazwisk? Jest geniuszem. I teraz nie żartuję. Dlatego go wzięli ze sobą. Genialny fizyk, chemik i wynalazca. Geografię i medycynę ma w małym palcu. Przeczytał więcej książek, niż ja mam włosów na głowie.

– Wierzę. – Profesor powstrzymał go gestem dłoni.

– Co robimy? – spytała Ola.

– Co? – Wilecki jakby wyrwał się z zamyślenia.

– W skrócie opowiedzieliśmy ci, jak wygląda sytuacja. Ze szczegółami zajęłoby to nie całą noc, ale i następny dzień.

– O szczegóły zapytam Lorenta, jak znowu się spotkamy. Tyle mi wystarczy – odparł spokojnie profesor.

Ola z uśmiechem spojrzała na punków.

– Więc jednak nie wierzysz, że coś im się stało? – zapytała, raczej pewna odpowiedzi.

– Zastanawiam się – odpowiedział Wilecki. – Oficjalnie wiadomo, że na wyspie znajduje się ostatnie na ziemi ocalałe plemię niemające nigdy kontaktu z cywilizacją. Z ostrożnych obserwacji i badań z powietrza wiadomo, że jest ich około dwustu. Żyją na poziomie ludów z paleolitu. Nie znają wojen, bo nie mają z kim ich prowadzić. A jeśli tak, to nie umieją zorganizować uporządkowanego ataku. Łuki i dzidy mają do codziennej samoobrony i walk wewnątrzplemiennych. O broni palnej nie ma w ogóle mowy. W takiej sytuacji są bez szans z Kapłanami.

– To oficjalna wersja – przyznał Bzdet. – A jeśli tak naprawdę ktoś nimi kieruje? Ktoś, kto nie tylko z łatwością przedostaje się na wyspę, lecz także potrafi pozostawać w ukryciu najprawdopodobniej od bardzo dawna.

– To niemal niemożliwe.

– Wyspa jest chroniona, ale Indie nie mają tam straży. Uznaje się tylko, że każdy, kto naruszyłby ten obszar, zostałby natychmiast zauważony poprzez zakłócenie spokoju Sentinelczyków, co wychwyciłyby chociażby satelity i bardzo wrażliwe na tym punkcie zielone organizacje całego świata. Ich okręty często tam się pojawiają.

– A jednak nasi przyjaciele.

– I wrogowie – dodała Ola.

– I wrogowie – powtórzył profesor. – Jakoś tam się przedostali. Pozostają tam. I jakimś cudem nikt tego nie odkrył.

Na razie.

– Każdy poszukiwacz przygód, grupy drobnych awanturników czy ktokolwiek, kto amatorsko próbowałby dostać się na wyspę, zginąłby od strzał i dzid – postawiła tezę Sambierska.

– Raczej tak – zgodził się profesor.

– Nasi są tam od kilku dni i nie tylko nie sprowokowali żadnego konfliktu, bo już dawno o tym trąbiłyby telewizje, ale jeszcze umieją się jakoś tak ukryć, że nie wykrywają ich satelity. I tak nie rozumiem, jakim cudem nie odnotowano ich wejścia. Przecież nie są niewidzialni.

– Satelity obserwują to miejsce z zainteresowaniem, ale góra dwie, trzy godziny dziennie. Prawda, Boguś? -upewnił się Bzdet.

– Podobno jeszcze rzadziej – przyznał Wilecki. – Z punktu widzenia nauki dowiedziano się wszystkiego, czego można było się dowiedzieć o nich bez wkraczania na teren. Tam nie ma już co badać. Od czasu do czasu ktoś zerknie, czy mają spokój i tyle. Wejść na wyspę, jeśli się jest zawodowcem i ma się wiedzę o godzinach „dyżurów” satelitów szpiegowskich, to żaden problem. Cała zabawa polega na tym, jak tam pozostać żywym i... niezauważonym.

– Krzysztof miał tę wiedzę od Balei, którego wpływy umożliwiają zdobycie takich danych – podjęła Ola.

– Ale jak to zrobił Tyhron?

– I w tym szkopał cały, jak pisał Szekspir. – Profesor uśmiechnął się chytrze. – Na wyspie jest coś, co istnieje tam być może od bardzo dawna.

– Boniu, wkraczamy na teren dość wybujałego *science fiction* – ostrzegła Sambierska.

– Dawno już wkroczyliśmy. – Wilecki się nie zniechęcał. – To

coś jest tak ukryte, że pozostało w cieniu i jest niedostrzegalne z powietrza, ani niewykrywalne żadną inną techniką na odległość, a nikt oficjalnie tam przecież nie wchodzi. To coś znają Sentinelczycy i zgadzają się na to lub nie mają innego wyjścia. To coś jest, jeśli mówicie prawdę, ze świata chłopca i jego groźnego wroga. To coś... nie jest nasze.

– O kurwa.... – zaznaczyła swój niepokój, raczej niewtrącająca się zbyt wiele do dyskusji Cipucha.

– To oczywiście tylko teoria. – Profesor Wilecki rozłożył ręce.
– Przypuszczenie. Zabawa w dedukcję.

– Bardzo prawdopodobna teoria – ocenił spokojnie Bzdet. – Trudniej mi uwierzyć w to, że Yovita, Tyhron i reszta jechali tam po nic, niż w to, co mówisz. Jeszcze trudniej mi uwierzyć, że Kapłani, a także ten wielkolud dali się zabić bezradnym jak dzieci Sentinelczykom.

– Jeśli moja teoria jest słuszna... – ciągnął Wilecki – ...to te dzieci dżungli nie są aż takie bezradne i niewinne. Być może to naiwny pogląd, że oni nie mieli kontaktu z cywilizacją. Może właśnie mieli... i to z cywilizacją inną niż nasza. Jak być może niegdyś starożytni Egipcjanie, dzięki czemu powstały piramidy.

– Wow! – Bzdet pokiwał głową. – Ale pojechałeś.

– Może nie aż tak bardzo.

– Zgadzam się w stu procentach z tym, co powiedział Boniu – zadeklarowała Sambierska. – Nikt nie opuścił wyspy. Ani nasi, ani Tyhron czy ktokolwiek z jego obstawy. Wszyscy tam są i robią coś, co być może nie mieści się nam w głowach, a dzikusy są tylko wygodnym parawanem.

– Z szacunkiem, Olu – obruszył się Bzdet. – Sentinelczycy to ostatni prawdziwi ludzie natury, odrzucający ucisk cywilizacyjny. Należy im się za to najwyższe uznanie.

– Tak jest – zgodziła się natychmiast Ola, podnosząc ręce w geście kapitulacji, aby uniknąć dalszego wykładu.

– Co robimy? – powtórnie zapytała męża.

– Niewiele możemy – odparł profesor. – Skoro na wyspie spotkali się wrogowie, a panuje cisza, to dzieje się tam coś być może ważniejszego niż ich konflikt. Coś, co zawiesza broń na tyle czasu, na ile trzeba dochować wspólnej tajemnicy. Być może nawet oni współdziałają.

– To już za daleko zabrnąłeś. – Bzdet pokręcił głową. – Za mało wiemy.

– Słusznie – zgodził się niespodziewanie Wilecki.

– Co robimy? – znowu powtórzyła Ola.

– Jak to co? – Profesor wzruszył ramionami. – Jedziemy do Eberharda Linka. Tylko on może wiedzieć coś więcej.

– Jedziemy? – spytała dla pewności Cipucha. – Do Danii?

– Ja pojedę – uszczegółowił Wilecki. – Wy zostańcie i czekajcie na ewentualne wiadomości od naszych wspaniałych strażników Balei.

– Jadę z tobą – zdecydowała Sambierska.

– Może lepiej nie robić zamieszania. Ja mam jeszcze przez tydzień przerwę w wykładach. Nikt nie zauważy mojego wyjazdu. Twoje zwolnienie z pracy wywoła kłopoty. Już widzę, jak cię tak chętnie puszczają z dnia na dzień. Zaczną się pytania. Nie warto. Sam pojedę.

– Może masz rację – przyznała Ola.

– On zawsze ma rację – zauważył z przekąsem Bzdet, ale jakoś nie doczekał się spodziewanej riposty. Może nawet trochę go to rozczarowało.

ROZDZIAŁ 3

Coquilles Saint-Jacques à la crème de corail³ poprzedzone tapasowymi, śródziemnomorskimi przystawkami nie były złe. Luigi Balea musiał w duszy przyznać, że mylił się co do gospodarzy, przewidując problemy także i w tym zakresie. Giovanni DiPoleni posiadał najwyraźniej wiedzę co do gustu Mistrza; znał jego niechęć do dziczyzny i w ogóle do czerwonego mięsa oraz wyjątkowe wymagania co do win. Petrus, rocznik '54 Balea odebrał co prawda jako nieco protekcyjny sygnał ostrzegawczy, mający przypomnieć jemu, młodszemu niż rarytas, który właśnie podano, gdzie się tak naprawdę znajduje. A przede wszystkim, z kim rozmawia i jak wiele jeszcze mu brakuje, by dorównać elicie aurelickiej, której dumny rodowód przewyższał wszystko, co do tej pory był w stanie zbudować młodociany Mistrz, w dodatku niebłękitnej krwi. Luigi umiał docenić odwagę i dumę. Może nawet w pewien sposób potrafił zajrzeć do serc rozczarowanej porażką sprzed sześciu lat starszyszy. Rozumiał to i nadal nie lubił DiPoleniego; czuł do niego coś na kształt mieszaniny politowania i odrazy do topornej, ograniczonej intelektualnie gaskonady, skrywanej starannie, ale niezbyt jednak umiejętnie. Znacznie lepsze wrażenie zrobiła żona gospodarza.

Naturalna, skromna, choć elegancka dama, a przy tym bezpośrednia i zwyczajnie miła. Balea nie znalazł w niej całego tego nadęcia, które tak odpychało go od starszego pokolenia arystokracji aurelickiej. Poddawała się najwyraźniej dyktatowi

męża, ale – jak wyczuł Luigi – nie ciążyło jej to, było raczej aktem dobrej woli i swobody, jaką umiała z siebie wykrzesać. Jak kazał bezsensowny zwyczaj – nie witała gości wraz z małżonkiem. Miała powinność czekać przy bogato zastawionym stole, symbolizując swoją postawą ostoję ogniska domowego i wszystko, co miało być apoteozą zdrowych, konserwatywnych wartości rodziny. Była wyraźnie młodsza od DiPoleniego, nieporównanie bardziej zadbana, estetycznie świadoma i - jak złośliwie pomyślał Balea – po prostu bystrzejsza. Umiała subtelnie uwydatnić ślady dawnej urody, a choć jej pochodzenie było takie a nie inne, to... gospodarz bardziej przypominał wampira niż jego żona.

Mistrz planował nieco zakpić z całej tej sytuacji przed starannie przemyślanym atakiem, a ponieważ znał swego dawnego nauczyciela Andreę Villona jak własną kieszeń – był przekonany, że przyjaciel ochoczo mu w tym pomoże.

– Gratuluję smaku. – Uśmiechnął się chytrze, przesuwając wolno dłoń po stole.

– Orzech południowy sprzed czterystu osiemdziesięciu lat. – Gospodarz złapał przynętę. – Dzieło wykonane na zamówienie Humberta DiPoleniego. Widnieje na tamtym obrazie. – Przeniósł wzrok na ścianę po lewej stronie stołu. Groźnym wzrokiem spoglądał z niego brodaty grubas, naśladujący w stroju i postawie Henryka VIII Tudora. Obrazy przodków wypełniające tę salę i - jak się Luigi domyślał – nie tylko tę, różniły oczywiście style epok, w których powstały, ale łączył co ciekawe format. Wszystkie były tego samego rozmiaru, identycznie oprawione. Ramy można było zmienić w dowolnym czasie, ale dyscyplina formalna, utrzymywana przez całe stulecie zasługiwała na szacunek.

– *Mona Liza* Leonarda, jak doskonale wszyscy wiemy, powstała również na tym rodzaju drewna. Żywimy w Chatillon spory sentyment do włoskiego dorobku, nie tylko zresztą w tej dziedzinie – kontynuował Balea.

– Do dzisiaj w Luwrze nie mają pojęcia, że to my mamy oryginał – wtrącił beztrąsko Villon, z szacunkiem popijając szacowne petrus. Jednak widelec DiPoleniego zamarł w połowie drogi do ust.

– Nasi goście żartują, kochanie. – Elizaveta uśmiechnęła się wyrozumiale.

– Wiem – odparł sucho gospodarz. – Jak znajdują panowie propozycję naszej kuchni?

Kpina Andrei rozdrażniła Wielkiego Strażnika Biblioteki, co szczerze uradowało Baleę. Nauczyciel nie zawiódł go, zwłaszcza że Mistrz nie pamiętał, kiedy Villon ostatni raz pozwolił sobie na tego typu niezbyt wyrafinowany dowcip. Jakby chciał nagle odnaleźć w sobie dawnego, psotnego chłopca, którego już dawno zaszyto w skórze dostojnego, emerytowanego dziś nauczyciela rycerzy aurelickich. Przyjaźń z Luigim od dłuższego czasu wpływała na niego rozluźniająco, z czego Balea czerpał wyjątkowo budującą satysfakcję.

– Zarówno małże świętego Jakuba, jak i cała oprawa wyjątkowa. Jestem pod wrażeniem, nasz drogi Strażniku – rzekł dość oficjalnie Mistrz – Wierzę głęboko, że dalsza część wizyty również nas nie zawiedzie.

– Dołożymy wszelkich starań – obiecał uprzejmie, ale chłodno DiPoleni.

Andrea odłożył delikatnie widelec.

– R.0000576YOLIQUI – wyrecytował, nie posiłkując się kartką. Sięgnął kolejny raz po swoje chateau i tak jak do tej pory

czynił, właściwie tylko umoczył usta w winie. Przy całej jego abstynencji dzisiaj nie mógł sobie odmówić takiego rarytasu; sączył cały czas ten sam kieliszek i na nim postanowił skończyć.

Strażnik przez chwilę milczał.

– *Księga Błękitnego Języka*, zwana też *Błękitną Księgą* – odparł wreszcie rzeczowo, udając, że nie jest zaskoczony.

– Pomożesz nam, Giovanni? – spytał Villon, sięgając po szparagi.

Tym razem nastąpiła dłuższa i bardziej kłopotliwa cisza, której gospodarz jakoś nie kwapił się przerwać.

– Proponuję deser. – Elizaveta uśmiechnęła się, świetnie wyczuwając napięcie przy stole. – L’oeuf d’or⁴, chyba że najpierw życzą sobie panowie kawę z owocem jałowca lub kardamonem.

– Wyborny pomysł – podchwycił Luigi.

– Możemy na ciebie liczyć? – spytał powtórnie Andrea, pozornie skupiony wyłącznie na jedzeniu.

– To mój obowiązek – odpowiedział oficjalnie DiPoleni. – Każde polecenie Rady jest dla mnie wiążące.

Villon podniósł na niego zimny wzrok. Balea nie zrezygnował jednak z urzędowego uśmiechu.

– Przyznaję, że jestem ciekaw tego deseru – rzucił w kierunku Elizavety, która dała odpowiedni znak stojącemu w pobliżu kamerdynerowi.

– Desery to nasza specjalność. – Wielki Strażnik zmrużył oczy.

– Nie wątpię. – Z twarzy Luigiego nagle zniknął uśmiech. Odłożył sztucce, gotów do ataku. Villon i milczący do tej pory Forteil przyjęli „gotowość bojową”; czekali na sygnał.

– Wielki Mistrzu – podjął zaskakująco spokojnie Strażnik. – Przygotowanie deseru z tego, co wiem, zajmie około dwudziestu minut. Proponuję niewielką przerwę w naszej uczcie. Rozprostujmy kości krótkim spacerem.

Balea wyczuł na sobie pytające spojrzenia Alaina i Andrei. Propozycja gospodarza, jak ocenił, nie była raczej grą na czas. Rozmowa w cztery oczy nie miała chyba także w sobie niczego szczególnie poufnego. Staruszek wyraźnie wolał pojedynek jeden na jeden i najwidoczniej czegoś chciał, a to dawało nadzieję na sukces bez niepotrzebnego konfliktu. Mistrz przy całej niechęci do DiPoleniego i jego drażniącej fanfaronady liczył, że nie będzie musiał używać siły. To mogłoby wywołać nieoczekiwane reperkusje i - co zawsze było podstawowym argumentem – mogłoby mieć zły wpływ na interesy Chatillon.

– Dobry pomysł – zdecydował, wstając wolno od stołu. – Przejdźmy się.

Villon i Forteil, słysząc to, błyskawicznie zainteresowali się ponownie jedzeniem.

Strażnik wskazał dłonią korytarz prowadzący w głąb zamku.

Gdy tylko oddalili się od pozostałych, DiPoleni zaczął prosto z mostu, zaskakująco rezygnując z całego, starannie do tej pory hołubionego ceremoniału:

– Nie masz pozwolenia Rady, chłopcze, prawda?

Luigi przełknął, tym razem wyrażony nieoficjalnie, protekcyjny ton starucha. Szedł wolno, milcząc. Czekał na konkrety.

Strażnik nie spodziewał się odpowiedzi.

– Oczywiście, że nie masz. – Uśmiechnął się z wyższością. – Obserwuję cię, odkąd objąłeś urząd. Pod maską postępowego liberała dążysz konsekwentnie do całkowitej dyktatury.

Znacznie bardziej bezceremonialnie niż swego czasu Aureil. Uczyniłeś z tych ponad stu nieobradujących od dawna biedaków ciało martwe jak pomnik Marcellina w podziemiach tego zamku. Od sześciu lat ani razu nie zwołałeś Rady, nie poprosiłeś o żaden dekret, o żadną decyzję. Nie starczyło ci nawet czasu, aby podzielić się z tym najważniejszym jeszcze kilkadziesiąt lat temu gremium żadnym poglądem. Nie poprosiłeś o ani jedną opinię. Nie wykorzystasteś nawet pretekstu ostatniego nadania godności nowym rycerzom, aby przedstawić te nazwiska. Może choć trochę ukoiłbyś ich próżność.

– Tędy? – spytał spokojnie Balea, wskazując na rozwidleniu korytarzy w lewo.

– Tak – odpowiedział DiPoleni. – Idziemy w kierunku windy. Biblioteka jest dwadzieścia metrów pod ziemią.

Mistrz przeniósł wzrok na Strażnika. Pozwolił sobie na ujawnienie mimo wszystko zdziwienia, ale wciąż nie komentował niczego, co do tej pory usłyszał.

– Przecież po to tu przyjechałeś – ciągnął pewnym tonem Strażnik. – Jeszcze parę kroków.

– Chyba spędzimy tu trochę więcej niż dwadzieścia minut. – Luigi postanowił nieco rozpoznać grunt, po którym właśnie zaczęli stąpać.

– Niekoniecznie. To zależy wyłącznie od ciebie.

Balea tym razem zatrzymał dłużej wzrok na twarzy Giovanniego.

– Słucham – podjął chłodno.

– Obaliłeś Aureila, ale byłeś jego ważnym uczniem. Brak ci jego doświadczenia, jednak być może umiesz patrzeć szerzej. Twój poprzednik postępował delikatniej z Radą, lecz dążył do

tego samego. Powoli, umiejętnie umniejszał jej znaczenie, przenosząc cierpliwie rok po roku kolejne kompetencje na Chatillon, sprzedając je za stanowiska. Manipulował składem Rady i zmuszał kolejnych dostojników, zawdzięczających mu awans, do przepychania odpowiednich decyzji. Aż w końcu niemal całkowicie odpiłowali gałąź, na której siedzieli i dziś pozostało im w rękach kilka z pozoru nieistotnych praw, o których Aureil, a także i ty zapomnieliście czy raczej... zlekceważyliście. Jak na przykład zgoda na dostęp do Matruh, Hazi pod Stambułem czy. Alteriale. Rada tylko czeka na okazję do zemsty. Nie sądzę, abyś odważył się jawnie złamać prawo bractwa i użyć siły. Straciłbyś poparcie nawet tych, którzy wynieśli cię na urząd. Zostałbyś sam. Nasze prawo to jedyne, co broni każdego z nas. A nasi bracia w tej chwili są przede wszystkim biznesmenami. Na tym polega ich lojalność. Sam przecież tego chciałeś. Wyrznąłeś wszystkie idee, żyjące w naszej krwi od ponad półtora tysiąca lat. Został tylko interes. Postanowiłem się dostosować. Chyba cię to uspokoiło.

Stanęli przed windą. Strażnik otworzył kodem wejście. Jechali w milczeniu przez kilkadziesiąt sekund. Metalowe drzwi się otworzyły i weszli do obszernego pomieszczenia, zdecydowanie bardziej przypominającego nowoczesny przedsionek do obszernego skarbcza niż podziemia zamku.

– Oto biblioteka – ogłosił z dumą DiPoleni. – Dzielą nas od niej metrowej szerokości drzwi ze stopu, który jest w stanie wytrzymać atak dowolnej znanej ludzkości broni konwencjonalnej. Przetrwa każde bombardowanie czy długotrwały pożar. Biblioteka to w rzeczywistości wielkie potężne pudło, w większości zbudowane z tak zwanych stopów metali SM. Aż strach pomyśleć, co by było, gdybym nagle

zapomniał kodu.

– Lub gdybyś nagle zmarł. – Balea uśmiechnął się przyjacielsko.

– Nie musisz być niemiły, Luigi – odparł spokojnie Strażnik. – Chcę się dogadać.

– Co za ulga, bo już myślałem, że zabierasz się do szantażu.

– Niepotrzebny sarkazm. Aureil został wiele lat temu wybrany na Wielkiego Mistrza między innymi głosami moich stronników i oczywiście dzięki mojemu poparciu. Kilka lat później dość bezwzględnie zdołał usunąć mnie z Rady pod pretekstem skupienia całej uwagi nad najważniejszym naszym skarbcem, czyli Zdradzonym Księgozbiorem. Sprytne posunięcie. Na moim miejscu zasiadł w Radzie niegdysiejszy konkurent Aureila do urzędu. Mój rodak, którego niegdys zdradziłem, by tamten mógł zostać Mistrzem. Gdy twój poprzednik upadł, nie płakałem za nim.

– Chcesz wrócić do Rady? – spytał prosto z mostu Balea.

– Po co? Abyś mógł mnie poniżyć, jak tych biedaków, którzy od sześciu już lat obrastają pajęczynami?

Mistrz w odpowiedzi rozłożył bezradnie ręce.

– Mam pewien czuły punkt – pomógł DiPoleni. – Kapłan.

Balea uniósł brwi. Dość szybko stało się dla niego jasne, co otworzy metrowe drzwi, przed którymi stali.

– Jestem pewien, że najpierw użyłbyś Villona do zastraszenia mnie – ciągnął Strażnik. – Potem, gdyby to nie pomogło, sam byś się za mnie wziął. A na koniec usłyszałbym, że przybyłeś z polecenia Kapłana, który jako jedyny może tu wejść wyłącznie na swoje żądanie, bez żadnych pozwoleń od kogokolwiek. Chyba się nie mylę.

– Jestem pod wrażeniem – przyznał już drugi raz dzisiaj

Balea.

– Być może masz mnie za głupca, przestarzały relikw odchodzi epoki. Starca o ciasnych poglądach i niemodnym sposobie bycia. Jaka szkoda, że przy całej swojej przebiegłości nawet przez chwilę nie pomyślałeś o... partnerstwie.

– Teraz przyznaję, że mnie zaskakujesz. – Balea postanowił być bardziej otwarty.

– Nie chcę zbyt wiele. Proszę o drobiazg.

– Zamieniam się w słuch.

– Gdzie teraz jest Kapłan?

– Słucham?!

– Otworzę te drzwi, zachowam dyskrecję przed Radą, rozkoduję i udostępnię wam *Błękitną Księgę*. Przetłumaczę i pozwolę wam wykorzystać się jako źródło wiedzy w zamian za odpowiedź na kilka prostych pytań: Gdzie jest teraz Kapłan? Z kim tam jest? A przede wszystkim – dlaczego?

– Tylko ciekawość?

– Powiedzmy. Nie uda ci się przede mną zataić prawdy. Jeśli zaczniesz kłamać, zorientuję się.

– Gdybym zdecydował się na tę wymianę, to z pewnością nie z zamiarem próby przechytrzenia cię, Wielki

Strażniku. Choć ciekawi mnie, skąd u ciebie taka pewność, że nie umiałbym oszukiwać?

– Bo ja wiem, co jest w tych księgach. I jakoś po telefonie Villona od razu wiedziałem, że będzie wam chodziło o *Błękitną*. Przyznasz, że rozbudziłem twoją ciekawość?

Luigi włożył ręce do kieszeni. Rozejrzał się po przestronnym, dobrze oświetlonym pomieszczeniu, w którym nie było żadnego mebla. Tylko metalowe ściany; surowe, sterylne, czyste, jakby

wczoraj je wzniesiono.

– Gdzie jest ten pomnik Marcellina? – spytał nieśpiesznie.

– W środku. Po prawej stronie od wejścia.

– Aureil tu bywał?

– Często. Przynajmniej raz na kwartał.

– Czytał?

– Częściej kontrolował. Sprawdzał stan zabezpieczeń. Podpisywał wdrażanie nowych rozwiązań, nadzorował komputeryzację.

– Komputeryzację? – Balea nie krył zdziwienia. – On?!

– Za jego panowania komputery stały się powszechne. Dzięki niemu to wygląda, tak jak wygląda. Wcześniej przez setki lat biblioteka skazana była na metody charakterystyczne dla czasów, w których przyszło jej trwać. A jak wiemy, różne to były czasy.

– I gdy kontrolował tak dokładnie to miejsce, jak wspominałeś kilka minut temu, nie pomyślał o załatwieniu stałego pozwolenia dla głowy naszej rodziny?

– Zadbał o to Cortese. Alberto Cortese. Wspominałem ci o nim. To ten, który zajął moje miejsce w Radzie. Doprowadził do imiennej uchwały zezwalającej na stały całoroczny dostęp i przedłużał go aż do śmierci

Mistrza. Aureil nie zajmował się tym w ogóle. Biblioteka zyskała ogromne unowocześnienia i zabezpieczenia. Białe kruki, a tylko takie tu mamy, całkowicie zabezpieczono. Każdy z nich znajduje się w specjalnej kapsule zawierającej powietrze o ściśle kontrolowanym składzie pod odpowiednim ciśnieniem. Niektóre z nich są w zagrożonym stanie, ale od kilkadziesiąt lat praktycznie przestały się starzeć. Mamy tu najnowocześniejsze metody dostępne współczesnej nauce.

Nieźle jak na leśnych dziadków, nie sądzisz? Tak nas często nazywasz, prawda?

– Was?

– Moje pokolenie arystokracji aurelickiej.

Balea roześmiał się szczerze.

– Jak długo twoja rodzina się zajmuje księgozbiorem? – spytał.

– Od pięciuset czterdziestu dwóch lat.

Mistrz, nie wyjmując rąk z kieszeni, zaczął spacerować po pomieszczeniu. Wreszcie zatrzymał się i skupił wzrok na potężnych tytanowych drzwiach do skarbcza.

– Kapłan jest na jednej z wysp Morza Andamańskiego – rzekł spokojnie.

– Dziękuję. – Strażnik się skłonił.

– Jest tam wraz z Yasuko Kimurą zwaną Haiku – kontynuował Luigi. – Japonką o niejasnym pochodzeniu i możliwościach zbliżonych do potencjału Krzysztofa Lorenta.

– Wiem o jej istnieniu – przyznał DiPoleni.

– Ponadto towarzyszy mu Polak Czesław Dyb. Dysio. Dybcio, trudno mi wymawiać te słowiańskie nazwiska. Geniusz naukowy. Mimo braku wyższego wykształcenia dysponuje ogromną wiedzą z wielu dziedzin; fizyki teoretycznej, matematyki, medycyny, chemii.

– I ten chłopiec... – odpowiedział Strażnik, ułatwiając Mistrzowi porządkowanie faktów.

Balea spojrzał na DiPoleniego z szacunkiem.

– Skąd się o nim dowiedziałeś?

– Od mojego człowieka, któremu najpierw ufał Trantignan, a potem Xavril Ganti – ostatni przyjaciel naszego tajemniczego

gościa, Tyhrona.

– Twojego człowieka?

Strażnik skinął głową.

– Pracował tylko dla ciebie? – spytał, wietrząc podstęp Balea.

– Tak – skłamał DiPoleni. Uznał, że na resztę prawdy przyjdzie jeszcze czas.

– Co masz na myśli, mówiąc „gość”? – Mistrz uszanował dyskrecję Strażnika dotyczącą szpiega jego rodziny u dawnego wspólnego wroga Trantignana. Czuł przez skórę, że taki szpieg musiał pracować z pewnością dla kogoś jeszcze, i miał pewne podejrzenia, dla kogo. Giovanni nie byłby w stanie przy uszczuplonych w ostatnich latach wpływach samodzielnie prowadzić takiego agenta. Luigi udał teraz zdziwienie, zwrócił uwagę na określenie „tajemniczy gość”, starając się skrócić drogę do pełnego odsłonięcia kart w sprawie Yovity i Tyhrona.

Strażnik nie rozczarował go.

– Obaj wiemy, że zarówno on, jak i ten chłopiec nie są tacy jak my. Być może nie są nawet ludźmi.

– Wiesz tyle, co ja. – Balea rozłożył ręce.

– Nie – zaprzeczył DiPoleni. – Nie wiedziałem, gdzie jest Kapłan i nie zdążyłem się dowiedzieć, jaki był cel jego podróży. A to chyba klucz do całej zagadki. Czy wiesz może, która to wyspa?

– Andamany, Sentinel Północny.

– Wyspa Sentinelczyków?! – wszedł mu w słowo podniecony Strażnik.

– Tak.

– Dlaczego?

– Z tego, co wiem, chłopiec ich tam skierował.

– Tak podejrzewałem! – DiPoleni jeszcze bardziej się ożywił.
– Wiedziałem, że tam coś musi być! Księgi zbyt wiele mówią o tym.

– Teraz ty mnie zainteresowałeś. – Balea zmrużył badawczo oczy.

– Opowiem ci i pokażę. Swoją wiedzę czerpiesz bezpośrednio od Kapłana?

– Tak.

– Czego zażądał w zamian?

– Tego, co z łatwością możemy mu dać. Swobodę poruszania się po świecie bez problemów z policją i tajnymi służbami, które wciąż szukają jego i Japonki.

– Oczywiście – przytaknął starzec, po czym znów uśmiechnął się do swoich myśli. – Wszystko zmierza do celu.

– Czyli?

– Na wyspie Sentinelczyków musi być coś, co nawet trudno nam sobie wyobrazić, ale to może jest... klucz do innego świata. Świata Tyhrona i małego Yovity.

– Takie... gwiazdne wrota? – Balea był nieco zmieszany. Jego twardo trzymający się realiów i faktów sposób myślenia nie zawsze dobrze znosił podobne rewelacje.

– Być może. Ale to raczej wrota czasowe.

– Skąd ten wniosek?

– Pokażę to w księgach. *Zdradzony Księgozbiór* jest do twojej dyspozycji. Ale może najpierw uporządkujmy myśli przy deserze.

Luigi uśmiechnął się, potakując głową.

– Skąd ta nazwa. *Zdradzony Księgozbiór*?

– O tym również się dowiesz. Ale teraz odpowiedz na

pytanie, które nurtuje mnie od dłuższego czasu... czy naprawdę nie jesteś ciekaw naszego deseru?

ROZDZIAŁ 4

– Ciemność! Widzę ciemność, ciemność widzę! -ogłosił nie bez trwogi Czesiu Dybcio. Wydawało mu się, że leży na wznak na czymś rozległym, bardziej przypominającym podłogę niż łóżko.

– Co on mówi? – spytał budzący się właśnie Yovita Krzysztofa Lorenta, który chyba leżał najbliżej.

– Cytuje fragment dialogu z polskiego filmu. Raczej nie znasz – odparł spokojnie Kapłan.

– Co to znaczy „polskiego filmu”?

– To tak długo będzie?! – Dybcio nie rezygnował. – Dlaczego tu nie ma światła?! Gdzie mój dyktafon?

– Możesz się przymknąć? – mruknęła ponuro Yasuko Kimura. – Nie rozumiesz? To już koniec, jesteśmy martwi. Tak wygląda powolny rozkład twoich komórek. Mózg wysyła do świadomości ostatnie impulsy...

– Haiku! Mogłabyś... – próbował prosić zdecydowanym tonem Lorent, ale tylko pokręcił głową i zrezygnował. – Ja też nic nie widzę. Mam wrażenie, że na pewien czas straciłem przytomność. Obudziłem się przed chwilą.

– To normalne – wyjaśnił szybko i zdecydowanie już przytomnie Yovita. – Każdy z nas dokładnie w tym samym momencie stracił synchronizację z czasem i także dokładnie w tym samym momencie ją odzyska.

Dezorientacja trwa bardzo krótko. Wszyscy powinniśmy już być całkowicie przytomni. Jesteśmy w *blgaharze*⁵, miejscu,

w którym nastąpi ostateczna synchronizacja.

– Czyli już?! Przeszliśmy? – pytał Czesio, zdążywszy w międzyczasie dostać zadyszki.

– Właściwie... tak. – Chłopiec roześmiał się wesoło z pewną dumą w głosie. – Jesteście teraz u mnie. Nie mogę uwierzyć!

Dzieciak był wyraźnie podekscytowany.

– Długo pozostaniemy w ciemności? – dociekała z kolei Yasuko. Była spokojna, opanowana i jak zwykle czujna. Stres postanowiła podleczyć zgryźliwością w stosunku do Czesia, co zawsze jakoś ją relaksowało.

– W rzeczywistości tu jest całkowicie jasno – odparł poważnie Yovita. – Tylko my nic na razie nie widzimy. Jak mówiłem, nie jesteśmy jeszcze zsynchronizowani z czasem, w którym się znaleźliśmy. To potrwa nieco dłużej niż samo odzyskiwanie przytomności. Mamy za sobą potężny skok.

– Jak wygląda to miejsce? – spytał Lorent.

– Identycznie jak to, z którego wystartowaliśmy.

– Jesteśmy tu sami?

– Tak. To rodzaj... – na chwilę przerwał. – Śluzy.

– Nieładnie tak chodzić po czyimś mózgu – rzuciła natychmiast w stronę Yovity Haiku, udając groźny ton. Nie umiała gniewać się na chłopaka, choć nie zamierzała mu pozwalać na to, co właśnie zrobił. – Nie znałeś tego wyrazu, prawda?

– Nie wszedłem zbyt głęboko – usprawiedliwił się szybko. – Miałaś to słowo na samym wierzchu.

– Który raz ci mówię, żebyś nie bawił się w ten sposób?

– I tak wiem, że na to nie pozwolisz. – Yovita niewidocznie dla nikogo wzruszył ramionami. – Wytropisz mnie w sekundę

po tym, jak choćby na chwilę do ciebie zajrzę. Nie umiem jeszcze zbyt dobrze posługiwać się waszymi pojęciami – poskarżył się z dziecięcą pretensją w głosie.

– Nie bądź taki cwany. – Kimura postanowiła, że jednak tym razem mu nie popuści. – Jesteś za młody, żeby hasać po mózgu dorosłej kobiety.

– Według waszego czasu jesteś ode mnie starsza tylko o siedem lat – zauważył chłopiec.

– To dużo! – stwierdziła z naciskiem Yasuko. – I nie myśl, że dzięki swoim zdolnościom wolno ci wszystko. Jak tylko zaczniemy coś widzieć, przewinę cię przez kolano i zobaczysz wtedy, jaki z ciebie potężny Yovita!

– O co jej chodzi? – dzieciak nieco bezradnie spytał Lorenta.

– Ona żartuje, to tylko takie powiedzenie. – Kapłan uśmiechnął się. – Metafora.

– Metafora?

– Później ci wytłumaczę. Ale nie wchodź jej więcej do głowy, chyba że na to pozwoli.

– *Ugha, trgha, hitra* - zadźwięczało nagle ze wszystkich stron. Głos wydawał się męski, ale dość wysoki. Dybcio, Kimura, a nawet Kapłan zamarli na chwilę, wstrzymując oddechy.

– Już słyszemy dźwięki – wyjaśnił po chwili rezolutnie Yovita. – Za kilka sekund zaczniemy widzieć.

– Dlaczego nagle ten facet tak zagadał w dziwnym dialekcie...? – spytał Czesio, jednak postanowił nie przekrzykiwać głośników.

– *Setr, mabhana, setrmabhana, ughabhana...* - tym razem głos był już wyraźnie kobiecy.

– To nie dialekt. – Yovita teraz roześmiał się dość głośno. – To

lamiarhadi, język mojego kraju.

– Chodzi o jakąś próbę mikrofonu? – Dybcio zaczął się nerwowo wiercić.

– Oni liczą – wyjaśnił Kapłan.

– To są liczebniki?!

– Tak – potwierdziła Haiku.

– I rozumiecie, który oznacza którą liczbę?

Żadne z nich nie odpowiedziało, lecz w sali dość nagle zrobiło się jasno. Co ciekawe, nikt nie zmrużył oczu; nie zareagowały tak jak zwykle, gdy w ciemności pojawia się światło. Rzeczywiście pomieszczenie do złudzenia przypominało to z wyspy. Idealny sześcian, ściany, sufit i podłoga równomiernie naświetlone białym, sterylnym blaskiem, bez widocznych lamp.

– Mamo, już przestańcie! – zażądał Yovita. – Widzimy i słyszymy.

Przez chwilę dochodził ich krótki dialog kilku osób; Czesio oczywiście go nie zrozumiał. Wreszcie ten sam głos, który żegnał ich po tamtej stronie, spokojnie zapytał po angielsku:

– Zawroty głowy? Nudności? Poczucie dezorientacji?

– Chcemy już na górę, mamo! – westchnął niecierpliwie chłopiec.

– Witaj, Vilesteo. – Krzysztof Lorent postanowił być przynajmniej przez chwilę oficjalny.

– Witaj, Kapłanie – padło w odpowiedzi. – To zaszczyt dla nas, że tu jesteś.

– Żebym tylko wiedział, gdzie jestem. – Lorent uśmiechnął się szczerze.

– Wciąż w tym samym miejscu. Na Ziemi. Tylko kilka

minut... wcześniejszej. Za ledwie kilka. Dokładnie 4,5898746532 w tym momencie. Odległość czasowa między naszymi światami stale się powiększa.

Wszyscy zaczęli się powoli podnosić.

– Na pewno samopoczucie w porządku? – nie rezygnowała Vilestea.

– U mnie w porządku – odparł po polsku Czesio, który w końcu przestał się mazgać. – Trochę sobie to inaczej wyobrażałem.

– Jak? – zainteresował się Yovita.

– No nie wiem... futurystyczne meble, dziwne istoty w długich, białych, zwiewnych szatach jak na filmach. A na zewnątrz latające pojazdy, budowle pod niebo. Nie wiem, co będzie po wyjściu stąd, jednak na razie specjalnie nie czuję wyjątkowości sytuacji. Ściany fajnie oświetlone, trochę jak w *Seksmisji*, ale reszta. Tu nawet nie ma łóżek, jesteśmy na podłodze.

– Genialny kretyn. – Haiku pokręciła głową.

– Miałaś być miła – przypomniał Krzysztof. – Obiecałaś mi to, kiedy opuszczaliśmy Kaneczua.

Haiku burknęła coś pod nosem, ale skupiła się przede wszystkim na poprawieniu fryzury i obserwacji Yovity.

Chłopiec wstał szybko, a jego forma była przynajmniej na pierwszy rzut oka zdecydowanie dobra. Po ostatnich przeżyciach to o niego chyba należało się najbardziej martwić, ale być może wszelkie problemy miał już za sobą. Wreszcie był u siebie.

Lorent jak zwykle emanował spokojem. Dyskretnie sprawdził, czy nadal ma wszystko, co zabrał ze sobą, po czym stanął spokojnie, czekając na sugestie Vilestei.

– Za chwilę otworzy się wejście do czegoś, co będzie wam przypominało windę – usłyszeli z niewidocznych dla nich głośników.

Drzwi do skarbca Giovanniego DiPoleniiego otworzyły się, a gospodarz wszedł do środka jako pierwszy, by zapalić światła i rozbroić systemy alarmowe.

– W wolnej chwili powiesz mi, jak tego dokonałeś? -spytał szeptem Andrea Villon, zbliżając głowę do ucha Luigiego Balei.

– Nie było trudno – odparł niemal obojętnym tonem Mistrz. – Po prostu zaspokoilem jego ciekawość.

– Ciekawość.

– Tak. Ciekawość. Pierwszy stopień do piekła, którym tak się fascynują arystokraci aureliccy.

– Nie obrażamy Alaina, zostawiając go na górze?

– Nie przejmuj się nim. Po wszystkim zdamy mu kompletną relację i on o tym doskonale wie.

– Panowie o coś pytali? – DiPoleni wychylił się zza potężnych drzwi.

– Nie. – Andrea uśmiechnął się politycznie. – Wciąż próbujemy zgadnąć, czym tak naprawdę był deser; rodzajem zagadkowej galaretki, przetworem owocowym czy przyrządzonym na słodko nieznanym nam stworzeniem, które kiedyś żyło?

– Hm... – odpowiedział mu równie polityczny uśmiech. – Czasem nawet ja sam nie mam pojęcia, co była uprzejma zasugerować naszym kucharzom moja najdroższa małżonka. Ale jeśli chodzi o l'oeuf d'or, mieliśmy kiedyś przyjemność zamówić ten deser w Grand Perle Ulombe. Na degustację

czekaliśmy trzy tygodnie. Deser uwieńczono płatkami złota i niezwykłym dwukaratowym brylantem. Całość kosztowała dwadzieścia pięć tysięcy euro. Ale smakołyk spełnił oczekiwania, stąd się wzięła jego stała obecność w naszej domowej kuchni. Zapraszam do środka.

Wnętrze biblioteki przypominało długi na sto metrów i szeroki na dwadzieścia nowoczesny bunkier. Ściany, sufit i podłoga z grubego na co najmniej metr metalowego stopu koloru szarawego prezentowały się sterylnie i... raczej solidnie. Zamiast półek na książki w trzech rzędach biegły od ściany do ściany również metalowe, ale koloru do złudzenia przypominającego biały, bloki z dziesiątkami wbudowanych kasetek i klawiatur służących, jak podpowiadała logika, do otwierania poszczególnych sejfów, w których znajdowały się ukryte tu dzieła. Przy wejściu na marmurowym cokole rzeczywiście tkwiło niewielkie, kamienne popiersie Aureliusza Marcellina, raczej niezbyt udane. Głowa założyciela bractwa miała kolor kremowy i wyglądała nieco zbyt pretensjonalnie. Duma, która miała chyba być motywem przewodnim przyświecającym twórcy dzieła, nieco przysłoniła najwyraźniej także i rozsądek rzeźbiarza, co zaowocowało efektem chyba kłopotliwym dla samego gospodarza zamku. Nic dziwnego, że DiPoleni, nie mogąc wzgardzić posągiem założyciela bractwa, postanowił pójść na kompromis. Na co dzień nie musiał popiersia oglądać, ale zapewnił mu miejsce dość godne.

Egzaltowane spojrzenie Marcellina rozbawiło nieco Luigiego.

– Rzeczywiście miał tak duży, złamany nos? – spytał, mijając rzeźbę.

Marchese zareagował wyraźnym zakłopotaniem.

– Obawiam się, że twórca, jak każdy z nas, nie miał niestety dostatecznej wiedzy o tym, jak wyglądał w rzeczywistości pierwszy Wielki Mistrz. – DiPoleni zatrzymał się na chwilę, jakby dopiero teraz dotarła do niego treść pytania Balei. – Złamany nos?!

– Wygląda, jakby był trochę przesunięty w prawo, nie uważasz Strażniku?

Gospodarz odetchnął głęboko, starając się jak najszybciej zakończyć temat.

– Nikt nie jest doskonały – odparł i przyśpieszył kroku.

– Oczywiście masz na myśli rzeźbiarza? – Balea najwyraźniej postanowił podręczyć Strażnika, robił to bardziej dla zabawy niż w jakimkolwiek poważnym celu.

– Oczywiście. – Tym razem DiPoleni był pewien, że zakończył sprawę.

– A kiedy to dzieło powstało? – Luigi nie mógł sobie odmówić.

– Około trzydziestu lat temu – burknął Strażnik.

– Na twoje zamówienie?

– To dar od Chatillon!

Tym razem odpowiedział mu tylko pełen zrozumienia uśmiech Balei. „Rzeczywiście musieliście się wyjątkowo kochać z Aureilem” – pomyślał złośliwie Mistrz, ale tę refleksję zachował tylko dla siebie.

Strażnik zatrzymał się i po chwili krótkiego zastanowienia przeszedł do sedna sprawy:

– Jak panowie widzicie, nasza biblioteka to właściwie bardziej rodzaj kasy pancernej niż starodawny, zakurzony księgozbiór. Każdy egzemplarz przebywa w specjalnej kasecie,

która zachowuje odpowiedni skład powietrza, ciśnienie i temperaturę. Wszyscy wiemy, że dostęp do zbiorów ma wyłącznie ścisła elita. Praktycznie do tajemnicy dopuszczeni są tylko członkowie Rady oraz osoby, których obdarzy zaufaniem Wielki Mistrz. Tradycja pozwala na dostęp także Kapłanom Wiedzy, ale od niemal czterystu lat pojawił się tylko jeden

– Krzysztof Lorent. Tajemnica Yasuko Kimury do dziś nie jest do końca wyjaśniona.

– Wiemy. – Luigi uśmiechnął się łaskawie.

– Mam jednak obowiązek, Mistrzu, powiedzieć o tym wszystkim każdej osobie, która wchodzi do skarbcza pierwszy raz. A tak jest, przy całym szacunku, w twoim przypadku.

– Czyń więc swoją powinność – przytaknął niezmiennie rozbawiony sytuacją i całym tym nieco teatralnym przemówieniem Luigi.

– Nawet członkowie Rady muszą mieć pozwolenie pozostałych jej członków w stosunku dwóch trzecich głosów „za”. W przypadku Wielkiego Mistrza wystarcza normalna większość.

– Giovanni – przerwał mu Balea.

– Tak, Mistrzu.

– To tylko Andrea Villon. Mój najwierniejszy przyjaciel i dawny nauczyciel. Nie musimy odgrywać przed nim całej tej scenki. Nikomu nie ufam bardziej niż jemu. Właśnie za chwilę złamiemy prawo, o którym tak dogłębnie starasz się nam opowiedzieć i zajrzemy do jednej z najważniejszych i najstarszych ksiąg na świecie. Bez pozwolenia Rady, a co najważniejsze, nawet bez jej wiedzy. Wyświadcz mi tę przyjemność i przejdź do rzeczy.

Strażnik przez chwilę się zastanawiał, wreszcie pokiwał

wolno głową.

– W porządku. Oczywiście w normalnych warunkach zawsze otwarcie dowolnego sejfów, a jest ich tutaj dwieście sześćdziesiąt osiem, dzieje się w obecności kilku osób.

– Czy to stanowi teraz przeszkodę?

– To nie tylko teatr czy rodzaj uroczystości. Komputer odnotowuje każde otwarcie dowolnej kasety z tego sejfów. Co roku muszę się z tego rozliczać. Gdyby odkryto nielegalne wejście, nawet trudno mi sobie wyobrazić, jakie byłyby konsekwencje.

– Doskonale wiesz, że Rada nie jest cię w stanie odsunąć od biblioteki. Pominę też fakt, że znajduje się ona w twoim zamku o ponadpięćsetletniej tradycji – zauważył Andrea.

– To prawda – zgodził się DiPoleni. – Moje odwołanie może się odbyć tylko za pełną jednogomyślnością Rady i Wielkiego Mistrza.

– Po prolongacie, której już ci udzieliłem pewien czas temu, nawet jeden głos sprzeciwu umarza sprawę. Rzecz praktycznie nie do przeprowadzenia. Oczywiście do czasu objęcia władzy przez kolejnego mistrza. Dlatego zdecydowałeś się zaryzykować.

Strażnik przybrał swobodniejszy wyraz twarzy.

– Jestem już stary. Mam dwóch synów, ale ani jednego wnuka. Do tej pory nigdy nie wybrano Strażnika, który w chwili nominacji nie posiadał już męskiego potomka.

– Świat się zmienia, Giovanni – przypomniał Luigi. – Ale choć tak trudno cię odwołać, to o powołaniu nowego gospodarza którejkolwiek z naszych bibliotek decyduję ja. Na wniosek Rady, ale... jednak ja. Jestem na bieżąco, lecąc tutaj, przeglądałem dokładnie dokumenty, które stanowią nasze prawo w tych

sprawach.

Balea zbliżył się do Strażnika na odległość kilku centymetrów.

– Mówiłeś, że obserwowałeś mnie od samego początku, a zatem wiesz, jak dobrą mam pamięć. I potrafię się odwdzięczać. Dotrzymuję słowa. Nie mów więc, że nie zabezpieczyłeś się, na wypadek gdybyś zapragnął bez świadków przypomnieć sobie któryś z ważniejszych wersów!

– Zawsze otwieram bibliotekę w obecności co najmniej dwóch członków Rady i Klucznika, który zmieniany jest co rok. To funkcja podobna do faxy w quadrentach. Jest tylko świadkiem. Ale to on posiada wiedzę o kodach.

– Zna kody?

– Nie. Ale wie, gdzie są zdeponowane; to na wypadek mojej nagłej śmierci.

– A gdzie są zdeponowane?

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że w trzech niezależnych bankach, zmienianych co rok wraz z Klucznikiem. W odpowiednich skrytkach są kopie dokumentów kodowych.

– A gdyby jakiś zły człowiek zastrzelił was obu naraz? – spytał znany z dociekliwości Villon.

– To byłoby trudne. Kim jest Klucznik, wiem tylko ja i Rada. A więc zabójcą musiałby być zdrajca, który umiałby przechytrzyć ochronę moją i Klucznika. Rzecz jasna, i na to jest przepis. W razie nagłej niedyspozycji nas obu banki posiadają instrukcję z upoważnieniem, na którym widnieje nazwisko przewodniczącego Rady. Jeśli on byłby również niedostępny, istnieje odpowiednia kolejność prawa dostępu.

– A Wielki Mistrz? – zainteresował się Villon. – Widzę, że dość daleko jest na tej liście.

– Nie ja wymyślałem to prawo – odparł szybko Strażnik. – Poza tym Mistrz ma wielką władzę, która umiejętnie użyta znosi wszelkie bariery. I doskonale o tym wiesz, Andrea.

– Dosyć – mruknął zmęczony Balea. – Jak pomóc, Giovanni? DiPoleni rozłożył ręce i zamilkł na dłuższą chwilę.

– Musimy sobie zaufać – zachęcił go Luigi. – A doszliśmy już dość daleko. Jesteś równie jak my ciekaw wiedzy Kapłanów, którą bardzo rzadko chcieli się z nami dzielić. Teraz jest okazja, by zerknąć za kulisy. Ja kładę na stół pierwszy element układanki, ty otwórz, co trzeba i wyjmij drugi. Zobaczymy, czy do siebie pasują.

– Do końca roku jestem w stanie ukryć otwarcie kapsuł. Gdyby to była tylko jedna księga, a treść przeglądalibyśmy wyłącznie na ekranie, nie byłoby problemu. Umiałbym to podciągnąć pod kontrolę powietrza lub uruchomienie się alarmu bezpieczeństwa, ale chyba będziemy musieli zajrzeć do kilku źródeł, jeśli ma to cokolwiek dać.

– Często włączają się alarmy? – spytał Villon.

– Zdarza się. Wystarczy, że skład mieszanki powietrza ulegnie minimalnej zmianie i system natychmiast to zgłasza.

– Co się wtedy dzieje?

– Przy niewielkich problemach ja się tym zajmuję, przy większych – przysięgły technik, przy bardzo poważnych – główny inżynier. Wszyscy od pokoleń w naszych szeregach.

– Potrafią być dyskretni? Możemy im zaufać? – spytał Luigi.

– Możemy, ale teraz nie musimy. Jeśli zajrzemy tylko do komputerów, bez rozpieczętowania kapsuł, postaram się zatrzeć ślady. W przeciwnym razie do końca roku, czyli do złożenia raportu Radzie trzeba będzie wymyślić wiarygodne kłamstwo.

– Jeśli umiesz tak dobrze zacierać ślady w komputerach... – zaczął Balea.

– To groźny z ciebie... – starał się dokończyć Villon.

– Leśny dziadek? – wtrącił złośliwie DiPoleni.

– Postaraj się nas trochę polubić – rzekł Andrea. – Teraz gramy naprawdę w tej samej drużynie.

Strażnik uśmiechnął się kącikami ust.

– Naprawdę jesteś tak biegły, jak myślę? Poruszasz się bez problemu w zainstalowanym tu systemie? – upewnił się Luigi.

– W tym i każdym innym obecnie istniejącym.

– W każdym? – Villon uniósł brwi.

– Mówię o profesjonalnych, najdoskonalszych zabezpieczeniach obiektów o szczególnym znaczeniu. Nie jest ich zbyt wiele na rynku. A ja, odkąd nasz księgozbiór został skomputeryzowany, większość czasu poświęcam na zdobycie maksymalnej wiedzy, śledzenie wszelkiego rodzaju nowinek i – mimo że jesteśmy poza siecią – staram się być na bieżąco w kwestiach włamań, hakerów, crackerów. Jak to się mówi slangiem społeczności hakerskiej, jestem *geek* – podsumował poważnie.

Luigi mimowolnie wymienił się zdumionymi spojrzeniami z Andream.

– W komputerach jest cała treść tych książek? – spytał jeszcze dla pewności.

– Tak. Wszystkie dane zostały wprowadzone dość późno, w latach 1988-1990. Dwieście sześćdziesiąt osiem książek.

– Kto to robił?

– Ciężka dwuletnia praca trzech osób. Sergia Siriego, moja i najlepszego z nas – Stevena McCendricka. Sergio był świetnym

konserwatorem. Wiele ksiąg mimo najlepszej jak tylko było możliwe opieki przez setki lat znajdowało się w złym stanie. Tylko osiemdziesiąt trzy dzieła są odczytane w całości. Dwadzieścia cztery poznaliśmy zaledwie w pięciu procentach. Dalszych dziesięć – w ośmiu do dziesięciu procent.

– *Błękitna Księga?* – spytał natychmiast Luigi.

– Hm. – DiPoleni uśmiechnął się tajemniczo. – Mamy ją w całości, odczytano ją w całości, zrozumiano... nie zaryzykowałbym nawet dwudziestu procent.

Luigi i Andrea znowu spojrzeli po sobie.

– Zapraszam do pracowni. Znajduje się na samym końcu. – Strażnik wykonał gest dłonią. – Tam jest cały potrzebny sprzęt. Zasiądziemy w fotelach, księgę będziemy oglądali na dużym ekranie. Z tamtego stanowiska wprowadzę kody i w ten sposób bez otwierania kapsuły będziemy mogli przeczytać treść.

DiPoleni zaczął wolno iść w kierunku, który wskazał. W milczeniu doszli do długiego, brązowego biurka przy metalowej ścianie. Miało blat przypominający zwyczajną drewnianą, prasowaną sklejkę. Stały przy nim trzy czarne fotele ze sztucznej skóry, ale tylko przed środkowym umieszczona była klawiatura i bezprzewodowy komputerowy wskaźnik. Pięćdziesięciudwucalowy ekran wbudowano, co ciekawe, w metalową ścianę.

– Siadajcie panowie – zachęcił Strażnik.

Luigi jednak wciąż stał.

– Na czym polega trudność w zrozumieniu tej księgi?

DiPoleni ponownie uśmiechnął się zagadkowo.

– Jest w zadziwiająco doskonałym, stanie. Praktycznie niezniszczona. Wygląda, jakby była kopią, a nie oryginałem, ale jest oryginałem ponad wszelką wątpliwość. A co najciekawsze,

nie mamy pojęcia, z czego jest zrobiona. A jej sens? Przekonacie się niebawem.

– Nie mamy pojęcia, z czego jest zrobiona?!

– Tak. To nie jest ani papirus, ani jakikolwiek inny materiał, na którym pisano dwa tysiące lat temu lub dawniej.

– Dawniej?! – spytał Villon.

DiPoleni skinął głową.

– Księga to zwój o kolorze zbliżonym do niebieskiego, stąd się wywodzi jej nazwa. W strukturze przypomina skrzyżowanie kauczuku z... elastycznym plastikiem. Logicznie rzecz ujmując, kompletny nonsens. To tak jakby za czasów Chrystusa znaleziono na pustyni samolot odrzutowy. Datowanie metodą Libby'ego dało jeszcze bardziej niewiarygodne wyniki.

– Księga jest zbyt stara – raczej stwierdził, niż zapytał Luigi.

– „Stara” to naprawdę mało powiedziane – uzupełnił Strażnik. – *Papirus Rylandsa*⁶ jest przy tym nowością wydawniczą. W *Błękitnej Księdze* względna liczba izotopu węgla C14 do C12 i C13 wynosi około dwóch dziesiątych procent. To by oznaczało, że materiał pochodzi sprzed ponad pięćdziesięciu tysięcy lat. A to niemożliwe. Nikt wtedy na Ziemi nie miał pojęcia o sensownym pisaniu, zwłaszcza o formułowaniu systemów filozoficznych!

Balea spokojnie usiadł w fotelu. Villon przetarł opuszkami palców oczy, co robił zwykle, gdy chciał się wyjątkowo mocno skupić.

– O istnieniu tego księgozbioru nikt oprócz nas nie ma zielonego pojęcia – rzekł wyważonym tonem Di-Poleni. – Badanie tego materiału jest w związku z tym szczególnie trudne. Kiedy musimy zachować tak głęboką tajemnicę, łatwiej o fałszerstwo.

– Być może – stwierdził Balea. – Ale równie dobrze napisy mogłyby pochodzić z czasów Marcellina, a tylko materiał, na którym pisano z czasów znacznie starszych. Jeśli dzisiaj napisalibyśmy na dowolnym głazie narzutowym jakiegokolwiek zdanie, za kilkaset lat można by orzec, że powstało miliony lat temu. A to tylko kamień pochodziłby z tamtych czasów.

– Można zbadać sam napis metodami TL, testami pyłkowymi czy C14? – spytał Villon.

– Trudne i niebezpieczne dla dzieła. Próbowano. Nadwątliliśmy napisy, a i tak naukowcy nie byli w stanie niczego wywnioskować. Za czasów Aureila dyskutowano o tym miesiącami. W laboratorium żądano zbyt dużej ilości materiału. To po prostu zniszczyłoby zabytek. Zdecydowano o zaniechaniu takich działań. Aspekt naukowy był wówczas drugorzędny. Jak wiecie, priorytet stanowiła idea religijna.

– Tak czy owak, zdumiewające jest nawet istnienie tego materiału w tak odległych czasach! – podjął Villon.

– Dwadzieścia lat temu, kiedy ostatni raz zezwolono na badania, nasi naukowcy nie byli w stanie określić, co to jest. Zwój, na którym napisano *Błękitną Księgę*, trzeba sobie to odważyć powiedzieć... po prostu nie pochodzi stąd.

– Podobnie jak Tyhron czy ten chłopiec, którego ścigał – przypomniał Luigi. – Zanim więc zaczniemy się tak dziwić, spróbujmy zbadać i przyporządkować fakty, które znamy, z treścią księgi.

– I tu czeka nas kolejna tajemnica. – Widać było, że DiPoleni czerpie nieskrywaną przyjemność z powolnego podnoszenia kurtyny. – Język księgi również nie jest na

Ziemi znany. Przypomina nieco borealny, ale w niewielkim stopniu. Jest oczywiście znacznie bardziej skomplikowany

i rozwinięty.

– Skąd to wiemy?

– Tym zajmował się właśnie geniusz lingwistyczny Steven McCendrick. Dzięki niemu wiemy tak wiele o tekście. Wymarły dialekt borealny liczy sobie co najmniej czternaście tysięcy lat. To najstarszy dający się odtworzyć język na Ziemi.

– Czy brat Steven żyje?

– Niestety zostałem sam. Siri zmarł zaledwie rok po ukończeniu sczytywania ksiąg, a McCendrick pięć lat temu.

– Za dużo tajemnic – westchnął Balea. – Odkoduj zbiór, Giovanni. W międzyczasie opowiesz nam, jak nasz nieżyjący brat Steven rozszyfrował nieznany język. Obawiam się, że przed nami długa praca, a koniec niepewny.

– To dopiero początek, Wielki Mistrzu – odparł poważnie Strażnik. – Prawdziwie tajemnice dopiero przed nami.

ROZDZIAŁ 5

– I co? Ta winda musi być okrągła? – Dybcio się skrzywił. – Nie lepiej zrobić normalną? Popisują się!

Jechali dość wolno w górę, zachowując z jednym wyjątkiem względny spokój.

– Przecież siedzimy. Co ci to przeszkadza? – mruknęła Haiku.

– Przerost formy nad treścią – odparł zadowolony, że ktoś z nim podjął dyskurs, nawet jeśli to miała być Yasuko. – Widzieliście na dole? Wydawało nam się, że jesteśmy w dziwacznie oświetlonym sześcianie bez wyjścia. I nagle, jakby to była reakcja chemiczna, pojawiły się zarysy drzwi, prostokąt ich formy zapadł się, weszliśmy do czegoś bezsensownie okrągłego i teraz jedziemy do góry. Wyraźnie chcą, aby to na nas wywarło wrażenie. Nawet jeśli odbyliśmy przeskok w czasie, to nie w przód tylko – cholera, jak to nazwać... – w bok i cały czas znajdujemy się na tej samej planecie.

– Jeszcze parę minut temu jęczałeś, że brak ci futurystycznych atrakcji, a teraz mędzisz jak potłuczony, zaprzeczając sobie tylko dlatego, że nie rozumiesz, do czego służą ich konkretne techniki.

Yovita reagował zawadiackim uśmiechem, Lorent był nieco zażenowany.

– Byłbym za tym, abyśmy tego typu uwagi na razie zachowali dla siebie. Obrażamy gospodarzy – rzekł wyważonym tonem Kapłan.

– Ja tylko pytam. – Czesio podniósł niewinnie ręce do góry. –

Jako naukowiec zgłaszam wątpliwości.

– Kształt windy czy technika otwierania drzwi nie są chyba w tym momencie tego warte.

Dybcio pokręcił tylko głową i któryś już raz w ciągu dość niedługiego czasu zdjął swoje dziwaczne okulary, przypominające nieco gogle, tyle że z cienkimi uchwytyami i po raz kolejny wyczyścił je szmatką. Sprawdził także, czy jego dyktafon wciąż działa.

– Cały czas są ciepłe. – Pokręcił głową z niezadowoleniem. – I sprzęt, i okulary nie mogą ostygnąć. Coś je podgrzało w czasie tego „skoku”.

Drzwi windy się otworzyły. Teraz mogli wreszcie zobaczyć, jak na żywo prezentuje się Vilestea. Była dość niska, korpulentna, miała włosy upięte w kok, a uśmiech nie zniknął z twarzy. I tylko ubranie raczej nie przypominało tego, co znali przybysze. Na pierwszy rzut oka odzienie kobiety przypominało jednocześnie jednoczęściowy, przybrudzony styropian, w różnych miejscach dziwacznie wyrzeźbiony, jakby bardzo niezdolny dyktator tutejszej mody wygrał tą kreacją konkurs na najgorzej pasujące wdzianko dla osoby przy kości. Spodnie (nie spódnica) zbyt mocno opinały nogi, przez co całość prezentowała się jeszcze bardziej niezgrabnie.

Pierwszy wybiegł z windy Yovita i bez słowa przytulił się do matki. Vilestea ucałowała go w czubek głowy, nie spuszczać jednak wzroku z gości, którzy nieśmiało wychodzili po kolei na korytarz przypominający do złudzenia zwykłe, ziemskie biurowe przejście między gabinetami.

– Jak u nas. – Czesio wzruszył ramionami. – Matka przytula dziecko w niemal identycznym rytuale jak na Ziemi, dotyka je ustami.

– Widzę, że raczej jesteś szczery i jak do tej pory nie ukrywasz specjalnie swoich odczuć z obserwacji? – spytała Vilestea, wciąż nie rezygnując z uprzejmego uśmiechu.

– Jestem w końcu w innym świecie. – Dybcio spoważniał. – Dla naukowca to sytuacja tak wyjątkowa, że aż trudna do zwerbalizowania.

– Szybko się zorientujecie, jak niewiele się od siebie różnimy. Wszyscy jesteśmy ludźmi, pochodzimy z tego samego źródła. Różni nas tylko czas, bo nawet nie miejsce, w którym żyjemy. Witajcie. Proszę za mną. – Dość zdecydowanym krokiem ruszyła w prawo. Nie wiadomo, czy wynikało to z tutejszej obyczajowości, czy z jej charakteru, ale nie zdecydowała się na wylewniejsze powitanie. Wyglądała na osobę uprzejmą, jednak oszczędną w okazywaniu uczuć. Syna objęła z matczyną troską, ale nie przedłużała tej chwili. Ucałowała go szybko i bez egzaltacji.

Korytarz był niezbyt szeroki, za to dość długi. Najbardziej różnił się od widywanych niejednokrotnie przez maszerujących za Vilesteą gości tym, że tu – jak na razie – nie spotkali żadnego okna. Yovita rażno szedł obok matki.

– Jesteśmy pod ziemią? – spytał Dybcio.

– Tak – odparła bez oporów Vilestea. – To, jak się domyślacie, tajny ośrodek. Mimo że jesteście naszymi honorowymi gośćmi, nie mogę was po nim oprowadzić. Nie możecie także na razie poznać żadnego z pracowników, dlatego po drodze nikogo nie spotkamy. Idziemy do *sesidou*, czyli czegoś, co nazywacie u siebie... garażem. U was oczywiście trochę to w inny sposób funkcjonuje, ale sądzę, że różnice są nieznaczne.

Korytarz zakręcił kilka razy, aż wreszcie doszli do ściany, która otworzyła się samoczynnie, podobnie jak ta na dole, po

czym weszli do też wąskiego i białego jak śnieg pomieszczenia wyglądającego z kolei jak zamknięty ze wszystkich stron tor saneczkowy.

– Znowu ukryte w drzwiach wejście – mruknął do swojego dyktafonu Czesio.

– Nie są ukryte. – Vilestea uśmiechnęła się. – W zależności od tego, dokąd się udajemy, ta część ściany się otwiera. Dla nas to oczywiste. Nie wiem, jak to prościej wytłumaczyć.

– U nich drzwi są zawsze w jednym miejscu, jak u nas wewnątrz mieszkań – pomógł Yovita. – Z jednego pomieszczenia jest tylko jedno wyjście, czasem dwa.

– Czytałam o tym w raportach.

– Chcesz powiedzieć, że w tej ścianie jest wiele wyjść? – zainteresowała się Haiku.

Vilestea przez chwilę wyglądała na zakłopotaną.

– To *renderuea* - odpowiedziała tak, jakby miała kłopot ze zdecydowaniem się, od którego momentu zacząć tłumaczenie.

– Z tego miejsca można się dostać bezpośrednio do każdej części budynku. – W sukurs znów przyszedł Yovita. – Wy macie inny system. W miejscach, w których pracujecie czy mieszkacie, z korytarza wchodzicie do poszczególnych pomieszczeń. Otwieracie drzwi, macie klamki, foto... fotokomórki?

– Tak – pośpieszyła z podpowiedzią Haiku, która nadal nie chciała, aby wchodził do jej mózgu.

– My dochodzimy do *renderuea* i bezpośrednio dostajemy się do prawie każdego pomieszczenia lub korytarza na dowolnym piętrze – ciągnął chłopiec. – U was strasznie się trzeba nabiegać.

– Ciekawe technicznie – przytaknął z uznaniem głową Dybcio.

- Normalne. – Yovita wzruszył ramionami.
- Co to za gest? – zainteresowała się Vilestea.
- Unoszą do góry ramiona, kiedy coś się wydaje oczywiste lub nie chce im się dłużej tłumaczyć – wyjaśnił chłopiec.
- Tak? Nie czytałam o tym w żadnym raporcie.
- Mamo.
- Tak?
- Wy tłumacz im, jak stąd wyjedziemy, bo teraz mogą się naprawdę przestraszyć.
- Czego... przestraszyć?! – Czesio wykazał czujność.
- Tak. – Vilestea zareagowała z uśmiechem. – Czekamy na wolny *bilog*... to znaczy na wolny... transfer.
- Jak długo będziemy stać na tej dziwnej zjeżdźalni?
- Haiku, zadając to pytanie, z pewnym zdziwieniem zaobserwowała, że mimo pochyłości nikt nie traci równowagi.
- Mogę do ciebie wejść? – poprosił grzecznie Yovita. – Muszę to wyjaśnić, korzystając z waszego sposobu pojmowania.
- Właż do niego. – Wskazała zdecydowanie palcem na Czesia. – On ma w szarych komórkach znacznie więcej wiedzy technicznej. Coś sobie tam dopasujesz.
- Ma włączyć do mojej prywatności?! – Dybcio się przeraził.
- Wejdzie tylko do narzędzi, którymi się posługujesz – wyjaśnił spokojnie milczący od dłuższego czasu Krzysztof. – Języka, pojęć, sposobów łączenia przez ciebie zagadnień. To dla niego dość łatwe. Na grzebanie we wspomnieniach musiałby zużyć dużo więcej czasu i natychmiast byś to poczuł. Zresztą Yovita z pewnością by tego nie zrobił, prawda? – Spojrzał znacząco na chłopca.
- Jak bym poczuł? – Czesio rozejrzał się niepewnie,

poprawiając okulary.

– Wierz mi. – Kapłan się uśmiechnął. – Na pewno byś poczuł.

– A jak... do narzędzi... to nie poczuję?

– Zgódź się, to zobaczysz.

– Mówisz poważnie?

– Jak najbardziej. – Kiwnął głową nieco rozbawiony Lorent.

– Może szybciej – ponaglił chłopiec.

– Okej – zgodził się bohatersko Czesio.

– To jest. – Yovicie szukanie pojęć zajęło zaledwie kilka sekund. – ...rodzaj uporządkowanego, ale zróżnicowanego i wyspecjalizowanego pola magnetycznego działającego na każdy... fragment każdego z naszych ciał. Dlatego nawet gdyby *renderuea* było bardziej pochyłe, nie odczujemy tego. Jesteśmy utrzymywani w równowadze. Ale kiedy zwolni się miejsce i nasz *res* będzie gotowy, odczujecie, że coś was zabiera i szybko transportuje w jego stronę. Ponieważ wszystkie siły tego pola docierają do nas w zrównoważony sposób, fizycznie tego nie odczujemy. Zobaczycie tylko, że bardzo szybko mijacie różne zakręty i korytarze, aż wylądujemy w resie.

– W resie? – spytał z zaciekawieniem Dybcio.

– Samochód, no może nie samochód, raczej pojazd. Szybki pojazd. Ale służy do tego samego, co samochód.

– Trochę zaswędziało. – Czesio podrapał się w głowę.

– To złudzenie. – Yovita znowu wzruszył ramionami. – I nasze, i wasze mózgi nie mają zakończeń nerwów czuciowych.

– Wiem, mądrało – burknął Dybcio. – Ale poczułem coś...

Nie zdążył dokończyć, gdy nagle poczuł, jak coś niewidzialnego unosi go, nadaje przyśpieszenie i po torze, na którym przed chwilą jeszcze stali nieruchomo, bardzo szybko

przenosi w inne, wyższe miejsce. Nie widział w tym czasie swoich towarzyszy. Po kilku sekundach wszyscy znaleźli się na czymś w rodzaju platformy obok dość dużego baloniastego żelastwa. To coś ku uciesze Dybcia przypominało futurystyczny w formie, blaszany, ale jaskrawo pomalowany spodek.

Goście przez chwilę byli zdezorientowani do tego stopnia, że Haiku po wylądowaniu odruchowo chwyciła za rękojeść umieszczonego na plecach miecza, z którym ani na chwilę się nie rozstawała.

– Spokojnie. – Yovita się roześmiał. – Ani tu, ani w czasie transportu z pewnością nic nam nie grozi.

Jednak tym razem nawet Krzysztof bardzo uważnie rozejrzał się dookoła. Z wyjątkiem dobrze oświetlonej platformy, na której stali, wszystko tonęło w całkowitej ciemności, choć Lorent miał dziwne przeczucie, że miejsce, w którym się znajdowali, było bardzo obszerne. Platforma z kolei miała tylko taką powierzchnię, by pomieścić jeden pojazd i jego pasażerów.

Vilestea być może zauważyła wzmożoną czujność Kapłana, przywołała więc na twarz ten sam uśmiech, który jej towarzyszył, odkąd tylko przywitała gości. Uprzejmie wskazała pojazd.

– Zapraszam do środka. Przeniesiemy się do naszego domu. Serdecznie zapraszamy.

– A jak to się otwiera? – zainteresował się Dybcio.

– Normalnie. – Yovita wzruszył ramionami już któryś raz. – Do góry jak każdy *res*.

– Jasne, normalnie. U nas niektóre samochody też tak się otwierają.

– Nie rób tak! – Matka lekko klepnęła chłopca po plecach. – Dziwny zwyczaj.

Z dyktafonu Czesia

Okrągły pojazd, bez przodu ani tyłu, otwierany ze wszystkich stron do góry. Siedzimy na czymś miękkim, dość wygodnym, dookoła okrągłego stolika przytwierdzonego do podłogi. Nie jesteśmy zapięci żadnymi pasami, ale czuć, jakby coś nas przyciągało do siedzenia podczas większych przyśpieszeń. W środku – wrażenie niczym w kapsule z obitej gąbki, bez dodatkowego sprzętu na zaokrąglonych oczywiście ścianach pojazdu. Najłatwiej porównać to do kabiny załogowej batyskafu. Na wykonanym chyba z twardego plastiku lub podobnego materiału stoliku nie ma niczego. Mój plecak ze sprzętem leży pod nogami. Miecze oraz sprzęt Yasuko i Krzysiek mają przy sobie. Trochę obciach, że współcześni ludzie noszą takie rzeczy, ale cóż, tradycja. Zresztą nigdy ich broni nie widać, ukryta jest na plecach w czymś, co się nazywa *umuri*, taka pochwa, za przeproszeniem. Oboje ubrani są w ciemnozielono– czarne stroje. Yasuko, gdyby nie płaszcz do kostek, wyglądałaby jak pieprzony ninja, a tak przypomina nieco Kate Beckinsale z *Underworld*. Uwielbiam ten film i wszystkie kontynuacje. Krzysiek olewa modę. Jeszcze w Tajlandii nosił czarne spodnie i białą koszulę oraz coś na wierzch. Czasem był ubrany cały na białą. Teraz postawił chyba na tajemniczość. Przestał być księdzem już sześć lat temu, ale teraz wybrał rodzaj cywilnej sutanny, pod którą właśnie kryje miecz. Nawet ładnie. Trochę śmiesznie, ale ładnie. Czarne i rozpinane z przodu. Nie wiem, czy bardziej przypomina Zorro czy D'Artagnana. Więcej nam się nie zmieściło. Nie mamy nawet gaci na zmianę. Przecież mieliśmy tylko wskoczyć na godzinę na tę wyspę i wrócić, a zalecieliśmy do innego wymiaru. P... K... P... No po prostu pięknie.

Nie wiem, czy jedziemy, czy raczej lecimy na ziemią. Dźwięk, jakbyśmy jechali tramwajem. Dominuje kolor zielony, jasny. Z okien – przy założeniu, że te małe, okrągłe to okna – nic nie widać.

Czesio wiercił się niemiłosiernie i próbował coś dostrzec na zewnątrz. Liczył, że kobieta zlituje się i prawidłowo

zinterpretuje jego niepokój. Vilestea go nie zawiodła.

– Między miastami nie ma u nas dróg takich jak u was – wyjaśniła spokojnie. – Posługujemy się korytarzami transportowymi. W dziwnym języku mówisz do dyktafonu.

– Nie przeszkadza ci, że nagrywam?

– Oczywiście, że nie. Rozumiem. Przecież jesteś naukowcem.

– To język kraju, w którym urodził się mój ojciec. Niewielu ludzi nim się posługuje.

Haiku spodobała się czujność Dybcia. Podobnie jak ona, mimo pozorów, jakoś nie ufał dopiero co poznanej osobie w obcym świecie, choć była to przecież matka Yovity. Czesio mówił do dyktafonu po flamandzku. Jak sądziła, celowo. Sprytnie wybrnął z konieczności wyjaśnienia tego Vilestei i natychmiast przeskoczył na inny temat.

– Nie boisz się, że na coś zaraz wpadniemy? Tym nikt nie kieruje! – Wydawał się wyraźnie zaniepokojony.

– To rodzaj komputera, wie, dokąd ma jechać. Korytarze są bardzo szerokie, nawet do dwóch mil, czyli ponad trzech kilometrów, tak? Wasze odległości raczej obliczam w milach. Ryzyko wypadku jest bardzo znikome. Można powiedzieć, że kolizje resów zdarzają się rzadziej niż wypadki waszych samolotów.

– Słyszę dziwny dźwięk, te resy to też magnetyka?

– Tak.

– Na czym polega?

– Nie wiem dokładnie. – Vilestea uśmiechnęła się rozbrajająco. – A u was każdy człowiek na Ziemi wie, jak działa silnik samochodowy albo telewizor? Jestem naukowcem, lecz zupełnie innej specjalności. Yovita również. Umówiłam za to spotkanie z inżynierem, który wytłumaczy co trzeba. Wszystkie

tego typu wydarzenia, jak na przykład wasza wizyta, zawsze służyły wymianie informacji. Liczymy także bardzo na twoją wiedzę.

– Spoko. Mogę gadać całymi dniami. – Dybcio się rozchmurzył. – Dlaczego nic nie widać z okien?

– To transport.

– Wiem, tylko dlaczego nic nie widać z okien?

– Bo to transport – włączył się Yovita. – Poruszamy się szybko, zobaczylibyśmy tylko nudną żółtawą smugę. Bez sensu.

– Widziałeś u nas samochody. Mają okna.

– Ale one poruszają się jak. – Chłopiec uśmiechnął się, po raz kolejny włamując się do umysłu Dybcia.

– Jak... muchy w smole. – Roześmiał się głośno.

– Miałeś pytać – mruknęła ostrzegawczo Haiku.

– Za każdym razem?

Res zaczął gwałtownie zwalniać, aż wreszcie zupełnie się zatrzymał. Drzwi ze wszystkich stron otworzyły się, wędrując ku górze pojazdu. Znajdowali się w bardzo podobnym pomieszczeniu jak to, z którego wystartowali.

– *Sesidou?* – spytał Kapłan.

– Tak, tylko dużo mniejszy – potwierdziła Vilestea. – Przenieścimy się do waszej kwatery.

– Naszej „kwatery”? – zaciekała się, unosząc zabawnie do góry brwi Haiku.

– Znam dwa języki, którymi wszyscy się posługujecie. Nieźle angielski i nieco słabiej polski. Jeśli chodzi o ten drugi, dopiero niedawno rozpoczęłam naukę, ale robię postępy. Nie zawsze dobieram dobrze wyrazy.

– Znasz polski? – zdziwił się Lorent.

– To język Kapłana – odpowiedziała z szacunkiem.

– To język niewielkiego kraju – poprawił uprzejmie Krzysztof. – Mówi nim zaledwie sześćdziesiąt milionów ludzi na świecie, z czego czterdzieści milionów w samej Polsce.

– W mojej pracy znajomość tych dwóch dialektów to obowiązek. Uwaga! – Dotknęła w kilku miejscach czegoś, co miała przyklejonego do przedramienia. – Za chwilę będzie wolne *renderuea*.

– I znowu na zjeżdżalni – westchnął Dybcio, gdy wylądowali w miejscu, w którym tym razem niemal natychmiast otworzyły się „drzwi” i mogli wejść do.

– Podążamy do miejsca odpoczynku, które przygotowaliśmy dla was – ogłosiła dumnie Vilestea. – Znajdujemy się na korytarzu prowadzącym w kierunku... apartamentów?

– Lepiej niż „kwater” – pomógł Czesio. – Całe piętro nasze?

– Piętro? A, tak! Tu są trzy apartamenty oraz salon wspólny do posiedzeń, do nich z tego korytarza wchodzi się... hm... tradycyjnymi drzwiami. – Uśmiechnęła się. – Jak widzicie, są cztery... drzwi. Dobrze powiedziałam?

– Mniejsza z tym. – Dybcio machnął ręką. – Każde z nas ma swoje mieszkanie czy to hotel?

– Instytut ma własne domy i dla gości przygotowujemy takie apartamenty. Nie korzystamy z hoteli. Jak już wspominaliśmy... wasza wizyta jest ściśle tajna. To wymogi bezpieczeństwa. Jesteśmy wdzięczni, że zgodziliście się nam pomóc, ale najważniejsze jest, aby całość akcji miała zakończenie optymalne.

Goście spojrzeli po sobie, ale szybko ponownie przenieśli wzrok na Vilesteę.

– Proponuję teraz odpoczynek w salonie posiedzeń. Wszystko tu zostało zaprojektowane tak, abyście czuli się jak u siebie. Nic nie powinno was zaskoczyć. Zapraszam.

Wskazała pierwsze drzwi, które – co prawda – otworzyły się same, ale przypominały zwykłe, ziemskie. Korytarz, w którym zatrzymali się na chwilę po wyjściu z *renderuea*, był dość surowy i bez ozdób, ale oświetlony podobnie jak wnętrza, które do tej pory widzieli. Zarówno podłoga, jak i ściany oraz sufit przypominały grube, matowe szkło, które przepuszczało do wnętrza światło.

Salon posiedzeń rzeczywiście był w pewien sposób swojski. Dominowały ściany podobne do tych na korytarzu, ale wewnątrz było sporo mebli, które nie zdziwiłyby jako wyposażenie w miarę normalnego, nowoczesnego mieszkania europejskiego. Duża, półokrągła kanapa z czerwonego materiału stała przy sporym eliptycznym stole z matowego szkła. Sporo wolnej przestrzeni, kilka wolno stojących bufiastych foteli, na ścianach kilka różnej wielkości ekranów nieznanego przeznaczenia. Nie było tu niczego w rodzaju kuchni, a drzwi (bardzo zwyczajne) prowadziły najprawdopodobniej do toalety.

– Zapraszam – powtórzyła Vilestea, gdy wejście zamknęło się za nimi. – Usiądźmy i trochę ochłońmy z wrażeń. Dla mnie to też spore przeżycie.

Lorent i Kimura po raz pierwszy od czasu opuszczenia wyspy Sentinelczyków sięgnęli do uchwytów *umuri*, aby zdjąć z pleców broń, po czym ostrożnie usiedli na kanapie. Dybcio wyglądał na ogólnie zadowolonego. Jego nerwowość nieco zmalała, ale jak podejrzewano – ciekawość jeszcze bardziej wzrosła.

– Okoliczności spowodowały, że właściwie nie macie żadnych bagaży ani innego potrzebnego w podróży sprzętu. – Vilestea zerknęła na miecze Kapłana i Haiku.

– Piękne zabytki. Tu jednak jesteście całkowicie bezpieczni.

– Żebyś wiedziała, jak skuteczne w ich rękach są te „zabytki”.

– Dybcio przybrał minę à la James Bond.

– Doceniam to. – Vilestea się skłoniła. – Ale w moim świecie, przy całym szacunku dla waszej tradycji, mieczami niewiele da się zwojować.

Czesio spodziewał się natychmiastowej riposty Kapłanów, ale ku jego zdziwieniu nic takiego się nie stało.

– Jakoś damy radę – mruknęła Haiku, nie wgłębiając się w temat.

Lorent poprzestał na uważnym rozejrzeniu się dookoła.

Yovita, który do tej pory skupił się na reakcjach gości na poszczególne nowości, teraz postanowił pełnić obowiązki gospodarza.

– Mamo, gdzie jest coś do picia? – spytał wesoło.

– Trzeci ekran – odparła spokojnie Vilestea.

Chłopiec dotknął dwudziestocalowego monitora.

Włączył się szybko i bezgłośnie. Pojawiły się dziwaczne napisy i całkowicie normalne zdjęcia potraw oraz napojów, które – w odpowiedniej kolejności dotykane przez Yovitę – wydawały piszczące dźwięki. Po chwili półmetry, kwadratowy fragment ściany obok monitora zapadł się w głąb, a następnie przesunął w prawą stronę.

– Teraz spróbujecie naszych specjałów – oświadczył rezolutnie Yovita, po czym wyjął z okienka tacę z pięcioma wysokimi szklankami wypełnionymi różową ciecżą.

– *Liczei?*- spytała dla pewności Vilestea.

– Tak – odparł chłopiec.

– Napój witaminowy bogaty w mikroelementy – wyjaśniła gościom. – Syci tak bardzo, że zbędne jest jedzenie, ale oczywiście, jeśli macie ochotę, za kilka minut może być gotowe.

– Ja na razie się tylko napiję – zdecydował Lorent, obserwując, jak Yovita kładzie tacę na stole.

Haiku i Dybcio dziwnie zgodnie przytaknęli.

– Jeśli byście zgłodnieli, natychmiast przygotuję – zaoferował chłopiec.

Krzysztof spojrział na zegarek.

– Od opuszczenia statku po tamtej stronie minęły zaledwie trzy godziny – zauważył spokojnie.

– Po tego typu podróży zegarek może być nieco zawodny – odpowiedziała Vilestea.

– Czy w mieszkaniach obok też nie ma okien jak tutaj? – spytała dość niespodziewanie Haiku.

– W naszych domach odpoczywamy – odrzekła uprzejmie Vilestea. – Nie ma zwyczaju odkrywania swojej prywatności. Miejsca takie jak te sprzyjają skupieniu i relaksacji. Impulsy z zewnątrz z pewnością by to zaburzyły.

– Nie widzieliśmy jeszcze ani fragmentu świata, do którego przybyliśmy – poskarżył się Dybcio.

– Z pewnością to niedługo naprawimy. Proszę jednak o zrozumienie. Musimy zabezpieczyć wasz pobyt bardzo dokładnie. Odpocznijcie. Za kilka... no powiedzmy... godzin przybędą tu odpowiedni ludzie, byśmy mogli odbyć naradę.

– Odpowiedni ludzie? – zainteresował się Kapłan.

– Ja jestem tylko naukowcem. A do planowanej akcji,

w której – jak mam nadzieję – weźmiecie udział, potrzebujemy agentów terenowych. Tutaj takie służby się oczywiście inaczej nazywają, ale staram się tłumaczyć na bieżąco.

– Ja też jestem tylko naukowcem. – Dybcio uniósł rękę. – Już na wyspie dwustu Murzynów o mało mnie nie zjadło na lunch, a ten potężny facet o dziwnej twarzy.

– Tyhron – podpowiedziała Vilestea.

– Właśnie. Do teraz mam go przed oczami!

– Nie martw się tym. Z pewnością znajdziemy wspólny język, a od ciebie oczekujemy wyłącznie wymiany informacji. Jednak być może Yasuko i Kapłan zgodzą się użyć swoich zdolności, aby pomóc nam w zapewnieniu bezpieczeństwa nie tylko mojemu synowi, lecz także wielu istnieniom, którym zagrażają ludzie Tyhrona.

Haiku i Lorent właściwie nie zareagowali. Niemal równocześnie sięgnęli po szklanki z napojem i ostrożnie zaczęli pić.

– Dobrze – przyznał Krzysztof.

– Jak wspomniałam, nasze światy nie różnią się aż tak bardzo. – Vilestea wyczuła, że pora na kilka wyjaśnień – Genetycznie różnimy się w niewielkim stopniu. Chemicznie – również. Nasza krew jest nieco bardziej gęsta niż wasza, mamy trochę wyższą temperaturę, potrójny system narządowy, potrzebujemy tych samych witamin, mikroelementów i jeszcze więcej wody niż wy. Tacy jesteśmy my, Yovita i ja. Ale żyją tu też ludzie jeszcze bardziej podobni do was. Nasze miasta zbudowano niegdyś podobnie jak wasze, lecz żyjemy raczej w dużych skupiskach. Między miastami są tylko niezamieszkałe przestrzenie, na których powstały korytarze transportowe. Nie jesteśmy tak rozczłonkowanymi

społecznościami jak wy. Nie znamy pojęć wsi czy samotnych domostw na skraju lasu, choć istnieją mniejsze osady, na przykład na wybrzeżach. W naszej cywilizacji niemożliwe jest istnienie zacofanych grup, jak wasi Indianie czy Sentinelczycy. Nasz świat nie jest tak zróżnicowany, choć nie powiedziałam, że nieskonfliktowany. Wy jesteście podzieleni na ponad dwieście krajów o różnej wielkości i potencjale. Nasz sposób myślenia zupełnie to wyklucza. Historia ukształtowała równowagę. Słabsi wyginęli, mocniejsi podzielili się tym, co Ziemia oferowała. Choć historię mamy całkowicie odmienną, zdążamy do tego samego celu – rozwoju cywilizacji. Obecnie mamy siedemnaście krajów o zbliżonej sile. Mówimy bardzo podobnymi językami. Na niemal każdym z waszych kontynentów jest więcej jednostek państwowych niż u nas na całym globie. Ale również żyjemy w rodzinach, tak samo się rozmnażamy i niemal identycznie zarządzamy społecznościami jak wy. Mamy władzę wykonawczą, ustawodawczą, sądy, służby porządkowe, takie jak na przykład *tajseti*, czyli – mówiąc po polsku – policję. Jak się właśnie przekonaliście, nie jesteśmy wolni od przestępczości. I wbrew temu, co być może sądzicie po pozorach, nie górujemy nad wami techniką. Przynajmniej nie nad najbardziej rozwiniętymi waszymi społecznościami. Po prostu czym innym się zajmujemy. Badania naukowe skupiamy na sobie i na tym, co nas ściśle otacza. Wy, na przykład, zainwestowaliście finanse i potencjał umysłowy w próby zdobycia kosmosu. Żadnego z naszych krajów nie interesują na razie podróże kosmiczne. Skupiamy się na obserwacji przestrzeni, a wycieczki uważamy za nonsensowne, zwłaszcza że wiemy, iż z dostępną techniką nigdzie nie jesteśmy w stanie dotrzeć. Wizyta na pozbawionym życia i czegokolwiek

ciekawego z naukowego punktu widzenia Księżycu jest zbyt kosztowna, nie mówiąc już o dużo bardziej niegościnnych pozostałych planetach naszego układu. Inwestujemy w medycynę i jakość życia. Rozwój i industrializację miast. W ekologię i technikę użytkową. Sprawny, szybki transport. W naukę. Zresztą porozmawiamy jeszcze o tym. Teraz muszę zabrać syna do naszego domu i zrobić kilka ważnych rzeczy. Odpocznijcie, a rano zaczniemy. Przyjdą tu ludzie, którzy zaplanowali szczegółowo akcję. Liczymy na to, że się nie rozmyślicie. Potrzebna nam wiedza Czesława i wasza siła. I, co najważniejsze, będąc tu, bronicie także swojego bezpieczeństwa. Jak widzicie, mamy dostęp do waszego świata, a istotne jest, że mają tam też dostęp ludzie nieobliczalni, agresywni, chciwi oraz organizacje mające na swoich kontach naprawdę brudne interesy. Pomóżcie nam, a pomożecie sobie.

– Rano? – spytał spokojnie Kapłan.

– Jest w tej chwili druga w nocy.

Haiku, Dybcio i Lorent spojrzeli po sobie, ale nikt nic nie powiedział.

– A więc... teraz zostaniemy tu sami – upewnił się Krzysztof.

– W każdym mieszkaniu jest instrukcja na *muitua* numer jeden. Wystarczy dotknąć monitora i wszystko się wyświetli. Także waszym alfabetem, po angielsku. Wiemy, że każde z was płynnie posługuje się tym językiem. Jedzenie w dowolnej chwili zostanie przygotowane przez roboty ściennie dzięki monitorowi cztery. Również wystarczy dotknąć. Szczegóły w instrukcji. Proponuję się przespać. Zmiana czasu, i to z każdego możliwego punktu widzenia, może dać o sobie znać.

– Na którym jesteśmy piętrze? – spytała dość niespodziewanie Kimura.

– Piętrze?

– Tak. Jak wysoko? To rodzaj osiedla?

– Aha, o to chodzi. – Vilestea wreszcie zrozumiała.

– Mamy trochę inaczej zorganizowane budownictwo. Jesteśmy teraz w *muselei*. To miejsca, w których mieszkamy, odpoczywamy.

– Czyli... bloki mieszkaniowe?

– No, można tak je chyba nazwać. Ten, w którym się znajdujemy, ma około półtorej mili długości i tyle samo szerokości. Ta grupa apartamentów jest... prawie w środku tego *muselei*.

– Chcesz powiedzieć, że do najbliższego okna mamy ponad kilometr, a jedyną drogą, którą się tu można wydostać, jest to, co nazywacie *renderuea*?...

– Tak – potwierdziła dość beznamiętnie.

– Wracając do pytania; które to piętro?

– Sto trzydzieste czwarte. Nad nami jest mniej więcej drugie tyle.

– Pożar spowodowałby tu nieprawdopodobną tragedię – zaniepokoił się Krzysztof.

– Pożar? – Vilestea się zdziwiła. – To absolutnie wykluczone. My od dziesięcioleci nie posługujemy się wolnym ogniem. Mieszkańcy tej planety w układzie A nie mają nawet pojęcia, co to papieros. Zupełnie inaczej otrzymujemy energię grzewczą i każdą inną. Nawet tę stosowaną w pojazdach. Oczywiście iskrę można uzyskać z tarcia wielu ciał, ale do urządzeń regulujących obieg powietrza wprowadzany jest *sulastrofilen* - zupełnie niegroźny dla zdrowia, syntetyczny gaz uniemożliwiający gwałtowne utlenianie. Czyli, krótko mówiąc, nawet jeśli wyjmiecie teraz zapalki z waszego świata, nie macie szans

podpalić niczego. Nie pojawi się nawet iskra. Tlen wymieszany z sulastrofilenem traci swoje właściwości utleniające.

– Jak to możliwe? Przecież nawet oddychanie jest również na swój sposób procesem spalania – zauważył Dybcio.

– W swoim czasie wszystko wyjaśnimy.

– A te ekrany? Musicie mieć rodzaj elektryczności!

– W swoim czasie wszystko wyjaśnimy – powtórzyła Vilestea.

Przez chwilę panowała cisza. Wreszcie Czesio roześmiał się od ucha do ucha.

– No dobra! Sprawa wygląda na superubaw. Ja się prześpię!

Poważni do tej pory, Kapłan i Haiku nagle również poweseleli.

– Czemu nie? – zgodziła się Yasuko.

– Jutro zrobię wam anenneńską pobudkę. Pora na mały rewanż za te męki Yovity u was w Polsce.

– Anenneńską? – uniosła brwi Kimura.

– Znajdujecie się w Anenna Hiyaukau. To nazwa państwa, oboje z synem jesteśmy... jego obywatelami. Dobrze powiedziałam? Obywatelami. Mieszka tu około czterystu milionów ludzi. Sześćdziesiąt cztery procent rasy *yekai*, czyli najbardziej zbliżonej do rasy żółtej w układzie B. Poza tym trzydzieści dwa procent rasy *aukai*, czyli białej, trzy procent *rankai*, czyli czarnej.

– Układzie B? – Dybcio jak zwykle zadbał o konkret.

– Tak nazywamy wasz czas. – Vilestea się uśmiechnęła. – A właściwie... wasz świat.

– Układ B – powtórzył Krzysztof.

– Tak.

– Wy to układ A? – spytała dla pewności Haiku.

– No... tak. – Vilestea przez chwilę wyglądała na zakłopotaną.
– Ale, jak sądzę, nie chodzi o megalomanię, tylko o czas. Układ A, wraz z całą przyporządkowaną mu materią, jest pięć minut wcześniejszy. Wracamy, Yovita. – Wstała i wyciągnęła rękę do chłopca. Oboje pomachali jeszcze gościom, naśladując pożegnanie z układu B i zniknęli za drzwiami. W tym samym niemal momencie pozostali usłyszeli znajomy już pomruk otwierającego się *renderuea*.

Kapłan uważnie przeczytał instrukcję ekranu numer cztery, ale nie miał zamiaru kłaść się spać. Długo przechadzał się, oglądając dokładnie całe mieszkanie; rzeczywiście było urządzone znajomo niczym apartament warszawskiego Marriotta z Warszawy czy Nowego Jorku. Wreszcie usiadł na łóżku. Mógłby przysiąc, że wyczuł Yasuko, choć Kimura chwilę wcześniej całkowicie bezszelestnie stanęła przed drzwiami.

– *Erhi!* – powiedział cicho.

Drzwi zgodnie z tym, co przewidywała instrukcja z ekranu cztery, natychmiast się otworzyły. Mechanizm działał bezszelestnie, jakby był osadzony na poduszce powietrznej.

– Mam podobne hasło akustyczne – rzuciła cichutko, ale na tyle głośno, by Lorent mógł ją zrozumieć. – Mogę?

– Oczywiście. – Kapłan skinął głową.

Dziewczyna podeszła i usiadła bardzo blisko Krzysztofa.

– Nie możesz spać? – spytał teraz już szeptem Lorent.

– Powiedzmy – mruknęła. – A u ciebie wszystko w porządku?

Nie zareagował. Tkwił w bezruchu, jakby zastanawiał się, co powiedzieć.

Kimura rozejrzała się dookoła.

– W moim pokoju jest niemal identycznie – stwierdziła.

Krzysztof przytaknął.

– Tak ogólnie to ładnie tu, nie uważasz?

– *Nan no ki no hana to wa shirazu nioi ka na*⁷.

– No właśnie. – Kapłan jeszcze bardziej ściszył głos.

– Myślisz, że tutejsze ściany mają uszy? – spytała, przechodząc na język kaneczua.

– To niemal pewne – odpowiedział również w kaneczua. – Dobry pomysł, jest niemal niemożliwe, aby znali ten dialekt. Brakujące słowa mówmy *en française*. Może się nie zorientują.

– Oprócz kilku języków większość znam w wersji najwcześniej sprzed dwustu lat – odparła wciąż szeptem.

– *La langue française* znasz współczesny.

– Tak. Ale nawet w kaneczua znają na przykład wyraz „maszyna” – odrzekła.

– Sam kiedyś rozmawiałem z Miyapre o samochodach.

Znowu na kilka sekund zamilkli.

– Kiedy zaczęło cię coś swędzieć? – spytała po chwili Yasuko.

– Już w tym pojeździe – przyznał Lorent.

– Mnie jeszcze wcześniej – mruknęła dziewczyna. – Matka, której nieletni syn przez tygodnie był narażony na śmiertelne niebezpieczeństwo w obcym świecie, wita go, jakby właśnie wrócił ze szkoły.

– Może oni tacy są.

– Tak. Rzeczywiście bardzo oszczędni w wylewnościach – ostatnie wyrażenie powiedziała po francusku.

– Lądujemy w miejscu, z którego natychmiast jesteśmy wyprowadzeni, nie spotykamy po drodze dosłownie nikogo. Jakby nas przegoniła przez te korytarze i dziwne urządzenia,

wyraźnie się śpiesząc. W czasie podróży nie widzimy nawet fragmentu układu A. – Skrzywiła usta. – A teraz zostaliśmy niemal uwięzieni, całkowicie bezradni w miejscu, o którym nie wiemy dosłownie nic. A wyjaśnienia tej kobiety o tutejszym świecie, choć może ciekawe dla Czesia, nam w razie problemów przydadzą się jak „New York Times” w środku amazońskiej dżungli.

– Też mnie to niepokoi – przyznał Lorent. – Ale jeszcze bardziej jej wiedza o nas, której nie starała się nawet ukryć.

– O naszym świecie?

– Właśnie. Czy nie wydaje ci się dziwne, że tak dokładnie zna organizację naszej cywilizacji, kierunki rozwoju, zwyczaje, technikę. Jak wiele czasu trzeba, aby tak dobrze się w tym orientować? Niemal każde jej zdanie na temat układu A było porównaniem z naszym układem B. Mam wrażenie, że pobieżnie, oby nie fałszywie, opowiadała nam o swoim świecie, ale wystarczyło kilka słów o naszym, aby się zorientować, jak swobodnie się w tym zakresie porusza.

– Czas, ludzie, możliwości. – Haiku szybko wysnuła wniosek.

– Tylko jak?

– Szpiedzy, korytarze, o których nam niestety nie wspomniała, pełny dostęp do techniki, o której nie mamy pojęcia.

Lorent głośno wypuścił powietrze z płuc.

– Gdzie masz broń?

– U siebie. Myślisz, że aż tak?

– Nie wiem. Coś mi mówi, że ta kobieta nie tylko nie jest z nami szczerą, lecz także nie jest tym, za kogo się podaje. Obym się mylił.

Usłyszeli pukanie do drzwi. Krzysztof szybko wpuścił

Dybcia.

– Widzę, że nie tylko ja nie śpię. – Czesio się uśmiechnął.

Haiku szybko przywołała go zdecydowanym ruchem ręki.

Dybcio usiadł niepewnie obok nich na łóżku.

– Znasz kilka języków, prawda? – spytała go po francusku.

– Do was raczej nie doskoczę, ale te, w których można dostać odpowiednią literaturę naukową, raczej znam.

– Jak wiele?

– Niedużo. Siedem.

– Nie tak – włączył się Krzysztof. – Którego ze znanych ci dialektów używa najmniej ludzi na świecie.

– Dialektów? He, he. No dobra, chyba mojego flamandzkiego.

– W porządku. – Lorent od razu przeszedł płynnie na ten język.

– Przyznaję, że mówicie z trochę śmiesznym akcentem. – Dybcio sprawiał wrażenie dość wesołego.

– My nie nauczyliśmy się tego języka jak ty – burknęła Kimura.

– Znamy go, bo w naszych genach są informacje pochodzące od przodków.

– Wiem, jesteście Kapłanami Wiedzy; w tej kwestii rządzącie na całego. Żeby mieć dostęp do tylu informacji przekazanych przez przodków jak wy, musiałbym mieć cztery głowy. A wy macie po jednej. I to jest cool. Lubię ludzi z jedną głową. Ja do pamięci moich przodków nie mam dostępu w ogóle. Nie wiem, jak to robicie, ale cholernie wam zazdroszczę.

– Nie zawsze jest czego – rzucił Lorent. – Dużo bym dał, aby wiele zapomnieć.

– Ale najważniejszą częścią pamięci są... umiejętności. – Dybcio pokiwał palcem. – A tych chyba nie tak łatwo byście się

pozbyli, prawda? Dziesiątki rycerzy, mistrzów walki, polityków, wojowników, poszukiwaczy, tropicielei, filozofów.

– Sam jesteś filozof – przerwała mu Haiku.

– I wszystkiego tego możecie używać. Wszystko to macie pod czaszką między uszami! Każde z was! W każdym z waszych ciał! Do dzisiaj nie mogę tego tak do końca rozkminić. – Czesio zaczął się rozgrzewać.

– Podoba ci się tu? – uciął krótko Krzysztof.

– Jasne! – Dybcio uśmiechnął się reprezentacyjnie, poprawiając okulary. – Jest git. Mieszkamy w klocku większym niż wszystkie piramidy egipskie i indiańskie razem wzięte. Ciężko nie docenić takiego wyróżnienia.

– A bez metafor? – zaproponowała Haiku.

Z twarzy Czesia powoli zniknął wymuszony uśmiech.

– Jestem przerażony... – jęknął cicho.

– My też nie mamy zamiaru kłaść się spać. Wiemy, że coś tu nie gra. Ale być może nie umieliśmy zauważyć czegoś, na co ty zwróciłeś uwagę. Nasza szeroka, jak uprzejmie przypomniałeś, wiedza obejmuje lata dawne, a czasem bardzo dawne. Od współczesności jesteś ty. Wobec tego oświeć nas w kilku kwestiach i daj nam odczuć, że jesteś tak mądry, jak nam się wydaje.

– Okej. – Czesio pochylił głowę i rozłożył ręce. – Jeśli ta kobieta jest naukowcem, to ja jestem Johnny Depp.

– Skąd to wiesz? – spytał od razu Kapłan.

– To słyhać. Naukowiec nigdy nie definiuje w ten sposób jak ona zjawisk, procesów, ani prawd odkrytych. Badacz zawsze odnosi się do tez, praw lub uznanych teorii. Szuka układu odniesienia i proponuje rozwiązanie lub podaje udowodnioną informację. Co to za stwierdzenie, że „układ A jest pięć minut

wcześniejszy od układu B”? Kiedy pierwszy raz to usłyszałem, byłem tak zaaferowany samym faktem, że nie zwróciłem uwagi, iż to właściwie podstawowy błąd. W kosmosie nie ma góry ani dołu. Wszystko jest względne. Nie ma też czasu obiektywnego, bo niby skąd go wziąć? Trzeba by polecieć do środka wszechświata, nastawić zegarek według tego, co powie sam Pan Bóg i dopiero wtedy obliczać. Wszystko, co ona nazwała czasem obiektywnym, jest po prostu j e j czasem! Czasem z układu A! Ale ona tego nawet nie zauważyła. Naukowiec szuka dyskusji, jest ciekawy, a kiedy znajduje partnera wyposażonego w wiedzę, nie odpuszcza. Ta laska w życiu nie siedziała nad żadnymi badaniami. Jest wykształcona i bystra, ale to nie naukowiec. Tak ja myślę.

– W porządku. Kim w takim razie jest? – spytała Haiku.

– Nie mam pojęcia. Ale nie tym, za kogo się podaje. Ktoś ją przygotował, powiedział, co ma nam mówić i na ile może zagrać przewodnika wycieczkowego po tej przemilej planecie, ale to wszystko.

– Dlatego, jak powiedziałaś, jesteś przerażony?

– Nie. Dlatego że kłamie. Nie wiem, w jak dużym zakresie, ale kłamie na pewno. To podstawiona przez kogoś kobieta.

– Matko Boska... – jęknął Lorent. – Nie mamy pojęcia nawet o tutejszej topografii, nie mówiąc już o tym, że nie tylko nie wiemy, na ile skutecznie będziemy umieli się tu bronić, lecz nawet, kto jest naszym wrogiem!

– Ani po co nas tu ściągnięto – dopowiedział Dybcio. – Teoria o obronie tych „dobrych”, stojących za Yovitą, przed tymi „złymi” Tyhrona raczej upada. Słuchajcie, wymiękam na całego. Zróbcie coś, bo od ich wyjścia już trzy razy odwiedziłem tutejszy kibel. Jest ciekawy w formie i poniekąd inspirujący, ale nawet

w tak pięknych okolicznościach przyrody technicznej jakoś powoli tracę poczucie humoru

– Dzieciak o niczym nie wie. – Haiku pokręciła głową. – Wykorzystują go.

– To możliwe? – spytał Czesio, który darował już sobie rolę zadowolonego z wycieczki wesołka.

– Odkąd do nas przybył, wielokrotnie zaglądałem do jego umysłu – potwierdził Lorent. – On nie kłamał. Niektóre rzeczy próbował ukryć, ale z pewnością nie miał zamiaru nas skrzywdzić. Posiadał za to sporo umieszczonych w swoim mózgu, spakowanych jak pliki komputerowe wiadomości, sugestii czy wręcz poleceń. Jakby ktoś zrobił z niego półrobot. Najpierw myślałem, że to dla jego bezpieczeństwa, teraz już nie jestem pewien, czy tylko dlatego.

– Co robimy? – Dybcio znowu zadrżał.

– Po raz pierwszy w życiu nie wiem – jęknęła Haiku.

– Ja też – przyznał cicho Lorent – Nawet jeśli uda nam się wydostać z tej budowli, to co dalej? Jak wrócić? Komu zaufać? Pomijając to, że coś mi mówi, iż dzieciak nadal potrzebuje naszej pomocy.

– Przecież odebrała go własna matka! – przypomniał z naciskiem Dybcio.

– Tak sądzisz? – Kapłan przeniósł wzrok na drzwi.

– Co się dzieje?!

– Haiku... – mruknął cicho Kapłan. – Czujesz to, co ja?

– Tak, mój miecz leży w apartamencie naprzeciwko, przy łóżku.

– Obawiam się, że już nie zdążysz.

ROZDZIAŁ 6

– Po lewej stronie ekranu widzimy właśnie skan komputerowy z *Błękitnej Księgi* – wyjaśnił Giovanni DiPoleni. – Po prawej zaś włoskie tłumaczenie.

– Niezwykłe znaki... – szepnął jakby do siebie Luigi Balea.

– To prawda. – Strażnik mimo wieku miał doskonały słuch.

– Ponad dziewięćdziesiąt procent języków, które do tej pory pojawiły się na Ziemi, wymarły na zawsze – zauważył naukowo Andrea Villon. – O wielu nie wiemy absolutnie nic. Może to jeden z nich. Dlaczego nam powiedziałeś, że te znaki nie są... ludzkie?

– Nie mówiłem, że znaki nie są „ludzkie”. Tylko że nie są stąd. Jak spróbuję wykazać, to nie to samo. Błękitny język jest zbyt stary. I właściwie nie pochodzi od żadnych korzeni naszej mowy. Możemy nie znać języka, nie mieć pojęcia o jego istnieniu, ale sposób porozumiewania się *Homo sapiens* ma wspólne korzenie. Jak mówiłem, borealny zawiera pewne małe podobieństwa, ale jest ich znacznie mniej niż na przykład elementów łaciny w angielskim.

– Może jednak już to wystarczy, by mówić o wspólnych podstawach – upierał się Villon.

– McCendrick miał inną teorię. Był przekonany, że skoro z tak wysokim prawdopodobieństwem można powiedzieć, że błękitny jest starszy niż nasze najstarsze kultury zapisywania komunikatów nawet ideograficznych, to może został nam w jakimś sensie zesłany, darowany przez starszą niż my

kulturę.

– *Błękitna Księga*, błękitny język, bardzo to wszystko błękitne – mruknął Balea, nie odwracając się od ekranu. – Ale skoro brat McCendrick powiedział to, co nam właśnie przekazałeś, to mnie najbardziej by interesowali ci błękitni... ludzie, którzy zostawili tę spuściznę. Ale jak sądzę, o nich nie wiemy nic?

Strażnik uśmiechnął się tajemniczo.

– Wiemy – odparł krótko. – To znaczy, kto wie, ten wie.

Tym razem Luigi odwrócił wzrok i skupił się na Di-Polenim.

– Kto... wie? – spytał spokojnie.

– Z żyjących? Chyba już tylko ja i być może Kapłan, którego wiedzy nie możemy sobie nawet wyobrazić.

– Nie jest aż takim nadczłowiekiem jak myślisz – uspokoił go Balea, który niezbyt lubił charakterystyczne dla mitomańskich aurelitów przesadnie wzniosłe peany na temat Lorenta. – W wieku dwudziestu ośmiu lat ciężko zachorował, co zdiagnozowano jako poważne zapalenie mózgu. W ciągu następnych kilku tygodni, zamiast powoli umierać, zaczął nie tylko zdrowieć, ale jego wiedza stała się nadspodziewanie szeroka. Zinterpretował to jako „przypominanie” sobie umiejętności, przeżyć, a nawet zdolności, o których uprzednio nie miał pojęcia.

– Umiał dotrzeć, choć jak słyszałem wbrew własnej woli, do nieużywanych przez większość *Homo sapiens* tych partii mózgu, w których ukryta była właściwie całość tajemnicy pochodzenia naszego gatunku! – Strażnik nie schodził z wysokich tonów.

– Niezupełnie. – Mistrz pokręcił głową. – Uśpione wspomnienia przodków Krzysztofa, ich umiejętności, uczucia stały się w tym momencie jakby... jego własnymi. Mógł i nadal może z nich korzystać, dzięki czemu przewyższa nas

wszystkich, ale nie w takim stopniu jak sądzimy. Mimo wszystko ogranicza go... jego własny mózg. Kora, substancja szara półkul mózgowych, mimo że posiada znacznie więcej połączeń, niż ponoć jest atomów we wszechświecie, ma swoje ograniczenia. Lorent, a także Haiku, nie są bogami. To tylko ludzie, którzy, posiadając takie same mózgi jak my wszyscy, umieją korzystać z zawartych w nich danych w znacznie większym stopniu. Nikt z nas nie pamięta życia żadnego z naszych przodków. A oni pamiętają rzeczywiście sporo. Jednak nie wszystko.

– Ale to, co oboje pamiętają... – nie odpuszczał DiPoleni. – Wystarczy, by Kapłan wiedzą historyczną i właściwie każdą inną zdobytą na przestrzeni dziejów mógł bawić się jak zabawką, posługiwać ogromną liczbą języków, które znali jego najdalsi nawet antenaci. A przy okazji w razie zagrożenia jest niepokonany.

– W bezpośredniej walce tak. – Villon uśmiechnął się dobrotliwie. – Ale Kapłani to także zwykli ludzie. Tak samo delikatni jak my. Wystarczy jedna precyzyjnie wystrzelona kula i... po Kapłanie.

– Z tego, co wiemy, kilku Kapłanów Wiedzy z przeszłości zginęło z rąk wrogów – dopowiedział Luigi. – W wyniku podstępu, zdrady, ogromnej przewagi liczebnej przeciwników. W porządku, wróćmy do pytania; kto oprócz ciebie wie o błękitnych ludziach?

– Wiedział Aureil – odparł DiPoleni. – Nie wiem, czy komuś zdradził tę wiedzę, ale pewnie żadnemu z członków Rady. Oczywiście nasza trójka; ja, McCendrick i Siri.

– Członkowie Rady bywali przecież w Alteriale – zauważył Villon.

– Są jak katolicy, którzy modlą się do Biblii, a nigdy sami z siebie nie przeczytali jednej jej strony. Znają wyłącznie czytania księży na mszy. A cała wiedza naszych religijnych arystokratów jest zaczerpnięta z tego, co przekazywał im ich wierny sługa, czyli kolejny przedstawiciel rodziny DiPolenich.

– Nie mogę uwierzyć. – Mistrz pokręcił głową.

– Bardzo ludzki paradoks – odrzekł beznamiętnie Strażnik. – Spodziewałem się pytania o błękitnych ludzi, więc przygotowałem *Solissolidy*, czyli księgę *AM – A.D. 350*.

– Aureliusz Marcellin? – spytał Andrea.

– Tak. Dzienniki, roczniki, które on sam nazywał *Solissolidami* od rzymskiej nazwy niedzieli – *dies Solis*. Księga zawiera notatki pisane raz na tydzień, choć z przerwami. Czasy wcześniejsze potraktował pobieżnie, z wyjątkiem soboru w Nikai, na którym – jak wiemy – był. Ale od 326 roku do swojej śmierci pisał już regularnie. Naciśnij drogi Andreo na klawiaturze Alt plus Tab, a później F12.

Na ekranie pojawiła się brązowa ramka.

– Wpisz tam to, co dyktuję: 1856adr63rwn.

– Gotowe.

– I Enter.

Wyświetlił się kolejny skan, tym razem bez tłumaczenia.

– To właśnie są *Solissolidy* Marcellina. Napisane dobrze znaną nam greką – koine⁸. Tylko niektóre fragmenty starą, dobrą łaciną i kilka... właśnie językiem błękitnym, który znał! W tej chwili widzicie kamień z Rosetty⁹ dla naszych rozważań.

– Znał ten obcy język... – powtórzył Balea, jakby notował sobie coś w głowie.

– Tak. Nauczyli go władać nim niebiescy ludzie. I, jak sam

pisze, wymieniali się wiedzą na temat naszego i ich świata!

– Słucham?! – nie wytrzymał Villon.

– Spójrzcie na fragment, który zaraz pokażę wskaźnikiem. Napisany jest w koine. Bezpośrednio tłumacząc: *Przybysze znikąd przewyższają moich uczniów wiedzą i zmysłami. Znają nasz język i uczą mnie swojej mowy. Doświadczeniem są mi równi i mają w umysłach tysiące istnień...*

– Skąd ja to znam... – mruknął Luigi

– Posłuchajcie dalej: *Umieją mówić bez słów, są szybcy jak jaguar, przez całe miesiące roku komety (tak nazwał 352 rok) zjawiali się i znikali. Dali mi potęgę i odeszli. A potem nikt już ich nie widział prócz mnie jedyne.*

– To więcej niż nasi Kapłani – odezwał się nieco strapiiony Andrea Villon.

– Niekoniecznie. – DiPoleni wyprostował się na fotelu. – Po prostu inni. Dla nas wszystko, co obce, czego nie znamy, będzie lepsze, wyższe w rozwoju. Dla przybyszów to, co prezentował sobą Aureliusz Marcellin, mogło być równie fascynujące.

– Przypomnij sobie, Andreo, swój pojedynek z Xavrilem Gantim – wtrącił Balea. – Z twojego punktu widzenia rycerz o przeciętnych umiejętnościach okazał się tak szybki, że nie pomogła nawet twoja technika. Ale to nie on był szybki. To Tyhron był nieuczciwy.

– Oczywiście, że pamiętam. I dalej uważam, że ich Kapłani mogli i mogą mieć jeszcze większe możliwości niż nasi.

Strażnik skupił teraz szczególną uwagę na gościach z Chatillon. Villon odwrócił się w jego stronę.

– I chłopiec, i jego prześladowca Tyhron w pewien sposób umieją wpływać na czas – wyjaśnił Andrea. – W niewielkim stopniu i zakresie, ale jednak tworzą różnicę wystarczającą, by

niemający o tym pojęcia człowiek z naszej starożytności mógł powiedzieć, że są szybcy jak jaguar.

DiPoleni roześmiał się głośno. Villon mimo wszystko skrzywił się nieco zgorszony.

– Przepraszam was najmocniej. – Strażnik skłonił głowę. – To nie wyraz niewiary czy braku szacunku. To ironia losu. Przez całe miesiące naśmiewaliśmy się z McCendrickiem z Siriego, kiedy zaproponował taką właśnie teorię. Zastanawialiśmy się wówczas właśnie nad tymi słowami naszego pierwszego Wielkiego Mistrza. Zresztą o zadziwiającej szybkości przybyszów Marcellin wspominał w swoich pismach kilkakrotnie. A tu nagle zdobywamy dowód, że to prawda! O mój drogi Sergio! – *Marchese* spojrział ze smutkiem ku górze. – Tak głęboko żałuję, że odszedłeś, zanim twoje słowa stały się ciałem! – przerwał nagle i znowu spojrział przenikliwie na swoich gości. – Siri wierzył także w ich umiejętności telepatyczne! – dopowiedział szeptem, jakby ktoś postronny mógł ich usłyszeć.

Luigi od pewnego czasu się nie odzywał. Zamarł, skupiony w sobie na kilka sekund, starając się najpewniej uporządkować myśli.

– Wszystko zaczyna się łączyć w całość – mruknął po chwili cicho. – Oni odwiedzają nas od pradawnych czasów. A przybywali nie tylko do Aureliusza Marcellina, lecz także do wielu innych naszych przodków. Stąd się wzięły, jak sędzę, niektóre elementy ich języka w starych dialektach, takich jak borealny.

– Właśnie! – Strażnik znowu się ożywił. – Jak wspomniałeś, drogi Andreo, wielu zaginionych i zapomnianych dialektów nie znamy i możliwe, że już nigdy nie poznamy. Ale do nich

również mogły przedostać się elementy błękitnego języka. Sergio Siri był tylko świetnym konserwatorem i pokornym historykiem. Fizyką zajmował się amatorsko. Po przyjacielsku, ale jednak podśmiewaliśmy się z jego teorii, a to on okazał się prawdziwym wizjonerem. Ja w tamtych czasach uważałem to tylko za serię symboli filozoficznych i...

– Spojrzał nieśmiało na Luigiego, zanim dokończył. – Religijnych.

– Czy możesz pokazać fragment z książki, którą wskazał Kapłan? – Balea nie zamierzał upominać Strażnika, który być może uznał, że odkrył przed gośćmi zbytnią nieprawomyślność.

– Oczywiście. – Tym razem DiPoleni sam przełączył zbiory komputerowe na ekranie. – Od którego fragmentu zaczniemy?

– Nie wyjadę stąd, dopóki nie przeczytam całej, ale na razie pójdźmy ścieżką, którą zasugerował Kapłan.

– R.0000576YOLIQUI. *Septem Montes Silvae 379* – wyrecytował Villon. – To całość przekazu Krzysztofa Lorenta, a więc chyba strona 379.

– To zwój, nie ma stron – wyjaśnił *marchese*. – Ale być może chodzi o numer listu.

– Listu?! – upewnił się Andrea.

– Tak. *Błękitna Księga* w formie przypomina nieco Biblię. Jest podzielona na rozdziały, które moglibyśmy nazwać księgami, sygnowanymi znakami przybyszów, nierozszyfrowanymi nawet przez McCendricka. Akapity są ponumerowane. Liczebniki oczywiście rozszyfrować było najłatwiej. Są także i listy. A przynajmniej my tak to nazwaliśmy. Nigdzie nie pada słowo „list”, nie ma adresata, nie ma także autora. Ale w formie przypomina naszą sztukę epistolograficzną. Zobaczmy. Trzysta siedemdziesiąt dziewięć to w tym języku będzie. *hitra mabhana*

ughabhana. już chwilę... jest! Tak, to numer listu. Pokazuję strzałką: Nie szukaj zemsty, a wtedy to twoje będzie królestwo. Znajdź największy cień i ukryj w nim siebie i braci swoich. Znikną z Ziemi wszelkie potęgi, upadną cesarstwa i najwięksi władcy, a Ty i bracia twoi przetrwacie aż do Czasu Czarnych Luster.

– O Matko Boska... – jęknął Villon.

Strażnik spojrział z niemałym niepokojem na Baleę. Mistrz milczał.

– Luigi... – odezwał się przerażony Andrea. – Przecież to jest.

– Spokojnie – uciał twardo Mistrz. – Nie macie odwagi o tym mówić, ale doskonale wiecie, zwłaszcza ty Andrea, że nigdy nie wierzyłem w żadne Noce Kapłanów, obrzędy przejścia mocy i wiedzy czy Boga uwięzionego w piekle. I wy też nie. – Spojrzął na obu surowo.

– Wielki Mistrzu. – DiPoleni spróbował zaprzeczyć, powracając do oficjalnego tonu, ale w końcu zamilkł.

– Nie jesteśmy na obradach Rady ani na pasowaniu rycerzy aurelickich – ciągnął twardo Balea. – Jest nas tu tylko trzech. Choć nigdy o tym nie mówiłem wprost, Andreo, doskonale znasz moje poglądy, a i ja świetnie wiem, że nigdy nie byłeś wyznawcą religii aurelickiej. Nie jesteś nawet gnostykiem, a już na pewno nie chrześcijaninem. Ciebie też przejrzałem, Giovanni – stwierdził hardo Luigi. – Odkąd tu jestem, próbujesz mi to powiedzieć. Twoją religią jest i zawsze była wiedza, a nie zlepek wierzeń, które, narzucone naszemu bractwu, od półtora tysiąca lat wyróżniało nas ponad zwykły, szary, nieświadomy tłum. Nasze wielkie cele; strącenie z tronu Szatana, uwolnienie Boga, oczekiwanie na Kapłana, nagroda w postaci misterium i tajemna księga Nocy Kapłanów, której nikomu nie wolno było nawet tknąć, aż do pojawienia się Wielkiego Księcia Wiedzy. To

wszystko bzdury! Mające sens tylko jako siła stanowiąca więź scalającą bractwo, tworzywo naszej potęgi.

Nastąpiła cisza. Ani Strażnik, ani nawet swobodny zwykle w obecności Balei Villon nie byli w stanie wydusić z siebie słowa.

– Dziś dla ludzi świadomych tego, co najważniejsze w dwudziestym pierwszym wieku, takich jak my. -ciągnął z naciskiem Mistrz. – Cele są jasne: wiedza i biznes! Na wiedzy opiera się władza, a na biznesie – lojalność naszych ludzi na całym świecie. Koniec! Dalej już tylko jest bezmiar hipokryzji.

Kiedy tylko drzwi się zaczęły rozsuwać, Haiku wybiegła z pokoju Lorenta. Wejście do jej apartamentu było jednak już otwarte. Błyskawicznie rzuciła się w głąb korytarza i, jak kazał instynkt, przygłębła do podłogi. Strzały padły niemal natychmiast, zabrzmiały jak syknięcie rozgrzanego do czerwoności miecza włożonego nagle do zimnej wody. To, co miało zabić, przecięło powietrze, minęło ją co najmniej o pół metra ponad głową i uderzyło w kończącą korytarz ścianę. Przez ułamek sekundy, podczas którego była względnie bezpieczna, zdążyła na tyle ocenić sytuację, by móc szybko zaatakować. Dwie postacie mierzyły do niej z odległości zaledwie trzech metrów. Zanim zdążyli jednak ocenić, gdzie w tym momencie znalazła się przeciwniczka, Yasuko poderwała się z podłogi i odbiwszy w prawo, zatrzymała się przy ścianie. To wystarczyło, aby zdezorientowani napastnicy spóźnili się z powtórным znalezieniem bronią celu. Była nadspodziewanie szybka. Teraz ponownie padła na posadzkę, by zaatakować nogi zabójców. Dopiero w tym momencie do jej świadomości doszło, że byli ubrani w pokrywające nawet głowy, różowawe kombinezony z jednym sześcioramienne otworem na oczy.

Przemknęło jej przez myśl, że właściwie niczym się nie różnią od przeciwników, których eliminowała do tej pory, tyle że w swoim świecie. To też byli ludzie i - jak się okazało - zgładzić ich było równie łatwo. Miała przy sobie ledwie jeden krótki nóż, który teraz wykorzystała, by precyzyjnie wbić go w skroń pierwszego napastnika, podczas gdy drugi próbował, upadając, mimo wszystko powtórnie strzelić w jej stronę. Japonka błyskawicznie chwyciła nadgarstek dłoni, w której trzymał broń, drugą zaś ręką objęła szyję zabójcy, by łatwiej znaleźć się po stronie jego pleców. Dopiero teraz uderzyła go w krtani, a gdy wypuścił zagadkowy, śmiertelny przyrząd, którym strzelał - obiema rękami objęła głowę napastnika, krótko szarpnęła ją w bok i znów przyłgnęła do ziemi, aby ponownie ocenić sytuację. Obaj przeciwnicy nie dawali znaku życia. Na korytarzu nie było już nikogo, ale w swoim apartamencie usłyszała ruch. Nikogo na razie nie dostrzegła, jednak wiedzona ostrożnością szybko doskoczyła do ściany, nie ryzykując pojawienia się w drzwiach. Dobrze, że Krzysztof nie wybiegł za nią

- Lorent z pewnością przygotowywał obronę Dybcia. Nie było sensu w tym momencie ryzykować i wbiegać do apartamentu po miecz. Zbyt słabo znała topografię miejsca, nie miała pojęcia o taktyce przeciwnika, nie mówiąc już o tym, że nie wiedziała, ilu jeszcze chętnych do pozbawienia jej życia jest w środku. Pokój Kapłana był na końcu korytarza, jeśli więc ktokolwiek chciałby się tam dostać, musiałby najpierw zgładzić ją. Chyba że jakieś nieznanne jej, techniczne cuda tego świata mogły teleportować intruzów. Zapewne podobnie myślał Lorent, czekając w środku - nie ryzykował pozostawienia naukowca bez opieki. Haiku przyznała sama przed sobą, że nie

ma pomysłu, co robić dalej. Dopiero gdy znowu usłyszała szum *renderuea*, zdecydowała, że musi jednak wrócić do apartamentu Krzysztofa. Z tej dziwacznej zjeżdżalni transportowej mógł zaraz wypaść na korytarz tuzin kolejnych zabójców. W tej sytuacji dużo więcej szans mieli, walcząc razem w zorganizowany, skoordynowany sposób. Wpadła do pokoju Lorenta szybciej, niż na korytarzu zjawili się kolejni goście. Kapłan, ukryty za zaokrągleniem ściany prowadzącym do drzwi toalety, krótkim gestem przywołał dziewczynę do siebie. Gdy tylko znalazła się przy nim, usłyszeli kolejne strzały.

– Strzelają na wiwat? – Haiku spojrzała zdezorientowana na Krzysztofa.

Kapłan nie miał pojęcia, o co chodzi. Za chwilę rozległy się następne strzały i bieganina osób, które z pewnością już nie ukrywały swojej obecności.

– Chyba walczą... ze sobą – Lorent był równie zaskoczony jak Kimura.

– Gdzie chłopak? – spytała Yasuko.

– W toalecie.

– Jak oryginalnie.

– Cały apartament ma kształt pofałdowanej elipsy. Miejsce, w którym stoimy, to jedyny punkt, z którego nie mogą nas od razu dostrzec!

– Oprócz kibla.

– Przecież nie mogłem go ukryć pod łóżkiem!

Strzały nagle umilkły. Kapłan i Haiku spojrzeli po sobie.

– Albo mamy przechłapanie na amen, albo ktoś jednak jest po naszej stronie.

W drzwiach ostrożnie pojawił się niezamaskowany

mężczyzna. Wychylił na chwilę głowę zza futryny, po czym szybko się schował.

– Jesteście tam? – spytał po angielsku.

Yasuko i Krzysztof ponownie spojrzeli po sobie jeszcze bardziej zdziwieni.

– Debil jakiś? – szepnęła Haiku, wytężając słuch.

– Jestem z Popral... z tutejszej tajnej policji. Znam wasz język. Przyszedłem pomóc. Musicie mi uwierzyć. Ilu was jest?

– Nie wie, ilu nas jest? – Lorent, coraz bardziej zdezorientowany, uniósł brwi.

Ich szepty zostały zagłuszone przez hałas lataniny i kolejne strzały dochodzące od strony pokoju Kimury.

Kapłan i Haiku porozumieli się wzrokiem.

– Nie ma tu nikogo z napastników! – odpowiedział głośno Krzysztof, kładąc dłoń na swoim mieczu leżącym na podłodze.

– Okej. Tak mówicie? „Okej”, prawda? – zaczął niepewnie mężczyzna. – Teraz wejdę do was z uniesionymi rękami, broń rzucę na środek pokoju. Będziecie mogli mnie obszukać. Uwaga, wchodzę! Okej?

Haiku pokręciła z zażenowaniem głową.

– Okej – odpowiedział powoli Lorent.

Facet wychylił się już odważniej. Na podłogę rzucił czarny przedmiot, bardziej przypominający krótki kij narciarski z dziwną cienką lufą, niż pistolet. Ubrany był w dość jednorodnie szary uniform; spodnie z wieloma kieszeniami oraz coś w rodzaju bluzy podobnej w formie do wojskowej marynarki, ale zakończonej golfem. Powoli szedł w ich stronę, przewidziewając, oczywiście, gdzie się ukryli.

– Wygląda jak ci, którzy do ciebie strzelali? – rzucił szybko

Kapłan w stronę Yasuko.

– Nie, tamci mieli jakieś pedalskie, obcisłe kombinezoniki w kominiarkami na łbie. To znaczy czymś w tym stylu. Mieli sześcioramienne otwory na oczy. Nie przyglądałam im się za bardzo, ale w sumie – wyglądali idiotycznie.

Mężczyzna zdążył już prawie dojść do zaokrąglenia ściany, za którym klęczeli, gotowi do ewentualnej obrony Krzysztof i Haiku.

– To co? Skoro już to ja dzisiaj biegam, to może skończę sprawę, a ty mnie osłonisz? – spytała Kimura.

Lorent skinął głową, zdejmując dłoń z rękojęści *taroku*.

Dziewczyna podniosła miecz Krzysztofa z podłogi i błyskawicznie znalazła się przy policjancie, po czym przystawiła mu ostrze do szyi. Patrzyła jednak przede wszystkim na drzwi, za którymi panowała podejrzana cisza.

– Nazywam się Frotrua – jęknął mężczyzna.

– Froter... co?

– Frotrua. Policjant, oficer. Jest ze mną czwórka moich ludzi. Możesz mnie obszukać.

– Co ty z tym obszukiwaniem? Tak to was tu podnieca?

Lorent po chwili również wyszedł zza ściany i szybko sprawdził, czy mężczyzna ma przy sobie inną broń.

– Chyba czysty – mruknął do Yasuko.

– Co teraz? – spytała dziewczyna

– Musimy was stąd szybko zabrać, dopóki Laval się nie zorientuje, że żyjecie – wyrecytował Frotrua.

– Zabrać... – westchnęła boleśnie Kimura.

– Tak. Nie macie swoich *vi*, abym udowodnił wam, że jestem policjantem, ale musicie mi zaufać.

– Ciągłe ktoś nas dokądś zabiera. A mieliśmy tylko pomóc w jednej drobnej sprawie. Z niewinnej wycieczki zrobiła się zadyma.

– Żartujecie, prawda? – Policjant spojrzał niepewnie na Krzysztofa i Haiku.

– Czasem żartujemy. Ale akurat nie tym razem.

– Nie rozumiecie. Laval to bardzo potężny człowiek i, naszym zdaniem, bardzo groźny przestępca. Jak długo tu jesteście?

– Gdzie? Na tej planecie? W tym mieszkaniu? – Haiku powoli odsunęła ostrze od szyi Frotruy.

– Wiem, dlaczego tu jesteście. Wiem, jak was sprowadzono. Wiem, dlaczego chcą was zabić. I wiem – w przeciwieństwie do większości mieszkańców mojego i waszego świata – czym się różni tak zwany układ A od układu B. Ale za późno się zorientowaliśmy, że już tu jesteście, więc ponawiam pytanie: jak długo?

– Wiesz, co to jest godzina?

– Około 0,42 zasuicytu.

– Tak mierzycie czas? – spytał Lorent.

– Obowiązuje tu układ dziesiętny. Właściwie w całym układzie A. Doba to dziesięć zasuicytów. U was z niewiadomych przyczyn to 24 godziny. Trochę dziwnie.

W drzwiach pojawiła się kobieta ubrana podobnie jak Frotrua. Haiku chwyciła mocniej rękojeść broni.

– Spokojnie. To moja... partnerka. Też oficer. Anithsanu – uspokoił policjant.

Kobieta wyglądała na jakieś trzydzieści lat, czyli nieco młodziej od swojego partnera. Krzysztofowi wydała się

wyjątkowo atrakcyjna; szczupła, średniego wzrostu. Piękne, duże, błękitne oczy, usta jak u Meg Ryan, blond włosy do ramion. Skinęła tylko głową i zniknęła.

– Co to oznacza? – spytała Haiku.

– Że, jak to mówi wasza policja, teren czysty. Gdzie ten trzeci?

– Ciężko nam będzie komukolwiek z was znowu zaufać – przyznał Krzysztof.

– Obawiam się, że nie macie wyjścia. Jak widać, Laval starał się to załatwić dyskretnie. Wysłał czwórkę profesjonalistów. Swoją drogą, musi was bardzo cenić, skoro pojawiło się tu aż czterech *aju*. Zwykle do likwidacji trojga ludzi wystarcza jeden. To bardzo sprawni zawodowcy. A wam udało się zgładzić dwóch z nich. Musicie więc być naprawdę wyjątkowi. Ale teraz, jeśli wasz wróg się dowie, że nawet to nie dało rezultatu, wyśle tu całą armię swoich ludzi, by załatwili wszystko jak trzeba.

– Nawet przeciwko wam? Tajnej policji?

– To dość skomplikowane. Laval jest bogatym i niezwykle wpływowym politykiem. Trudno jest prowadzić przeciwko niemu śledztwo.

– Rzeczywiście, tak jak mówiła Vilestea, jesteście bardzo podobni do nas. – Yasuko wypuściła głośno powietrze z ust.

– Wiem, że to ona was tu zwabiła. – Frotrua westchnął.

– Znasz ją? Wiesz, kim jest?

– Oczywiście. To, jak byście powiedzieli: szara eminencja Laval.

Siedzieli w resie będącym, jak się dowiedzieli, własnością tajnej policji – Popraltin Tire Tioue. Wyciągnięty z ubikacji,

przerażony Czesio siedzący teraz między Kapłanem a Haiku, wciąż nie mógł dojść do siebie i milczał. Ręce mu cały czas drżały, ale oddychał już wolniej i chyba spokojniej. Wnętrze resa niewiele różniło się od tego, którym podróżowali dwie godziny temu z Vilesteą i Yovitą. Był tak samo okrągły i tak samo konsekwentnie zielony. Naprzeciwko siedzieli tylko Anithsanu i Frotrua. Pozostała trójka policjantów, których poznali, opuszczając *muselei*, zniknęła im z oczu podczas transportu do *sesidou*.

– Gdzie reszta z was? – spytała zaintrygowana Yasuko.

– W drugim resie – odparł Frotrua.

– Dokąd jedziemy czy... lecimy?

– Do... może nie będę podawać zbyt wiele nazw w lamiarhadi, czyli naszym języku. Spróbuję dostosować nasze mechanizmy, sprzęt, taktykę i organizację do warunków panujących w waszym kraju o nazwie USA, i od razu tłumaczyć.

– Dlaczego akurat do Stanów Zjednoczonych?

– Bo to medialnie najbardziej rozpowszechniony u was kraj. Zresztą tam mamy najwięcej źródeł informacji.

– Co macie?! – wtrącił Dybcio, który najwidoczniej poczuł gwałtowną gotowość, aby włączyć się do dyskusji.

– To oczywiste, Czesławie – wtrącił spokojnie Kapłan. – Skąd mieliby czerpać tak rozległą wiedzę o naszym świecie? I Vilestea, i - jak widzę – pan policjant orientują się doskonale. Mają u nas sieć agentów.

– A wy to niby kim jesteście?

– Durniami, którzy uwierzyli w bajkę Vilestei – odpowiedziała uprzejmie Kimura. – Ale nie szpiegami czy agentami.

– A my nie jesteśmy *tajseti*, czyli miejską policją – wyjaśnił

szybko Frotrua. – Przepraszam, nie będę już używał naszych nazw. Jesteśmy tajną komórką rządową upoważnioną do posiadania wiedzy na temat miejsca, z którego przybyliście. Bardzo niewiele osób na całym świecie w ogóle ma świadomość istnienia tak zwanego układu czasowego B. To ściśle tajne.

– A czy ktoś... po naszej stronie jest świadom tego, że nas zwyczajnie inwigilujecie – spytał dość chłodno Krzysztof.

Policjant nie od razu odpowiedział.

– W zasadzie nie powinniśmy o tym mówić – odparł oficjalnie. – I tak nielegalność waszego przyjazdu spowodowała, że zachowanie pełnej dyskrecji nie jest już możliwe. Nasz rząd wie, że tu jesteście. *Hlibr*.

przepraszam, minister. hm... nie macie takiego. W każdym razie odpowiedzialny za tak zwaną klasyfikację informacji właśnie został ściągnięty z łóżka. Jest 0,34. czyli wasza, powiedzmy, piąta rano.

– Co z nami zrobicie? – zainteresował się żywo Dybcio.

Frotrua znowu westchnął.

– Nie mam pojęcia. Taka dekonspiracja jest precedensowa. Szczerze mówiąc, nie do końca jesteśmy pewni, jakie macie zamiary. Nasz wywiad potwierdza – co prawda – że zostaliście tu sprowadzeni nielegalnie, choć być może też nieświadomie. Będziemy jednak musieli to sprawdzić.

– Macie ludzi w organizacji Lavalá – stwierdziła spokojnie Haiku.

– O tym również nie mogę rozmawiać.

– Oczywiście. – Yasuko uśmiechnęła się smutno samymi kącikami ust.

Frotrua, jak domyśliła się Kimura, raczej nie był chętny do kontynuowania dyskusji i możliwości dekonspiracji swoich

agentów, ostrożnie więc usiłował zmienić temat na taki, który umożliwiłby mu zebranie odpowiedniego materiału do śledztwa. Wiedział jednak, że wcześniej musi udzielić gościom informacji, a nie tylko ograniczać się do ich czerpania.

– Organizacja... można i tak ją nazwać – podjął agent. – Laval to polityk opozycyjny. Były minister. Bogaty przemysławiec, właściciel jednej z największych firm w kraju. Nigdy nie został oskarżony, nawet przez nasze media. Nie jesteśmy na razie w stanie niczego mu udowodnić. Dlatego, choć wasz przyjazd jest dość niefortunny, może bardzo pomóc w śledztwie, które prowadzimy od... – zaczął obliczać w głowie. – Od dobrych kilku lat.

– Kilka lat?! – nie wytrzymał Dybcio.

– Tak. Sposób postępowania Lavalą najbardziej przypomina działanie waszych organizacji mafijnych. Podejrzewany jest o szereg morderstw politycznych, nadużyć władzy w przeszłości, a przede wszystkim – nielegalne korzystanie z tajnych transportowych badań naukowych, co u nas jest jednym z najpoważniejszych przestępstw. To wszystko, co mogę powiedzieć. Do udzielania innych informacji nie zostałem upoważniony.

Haiku i Kapłan wiedzieli, na co czeka policjant.

– Nie mamy pojęcia, kim naprawdę jesteście – zaczął Lorent. – Podajecie się za policję, a nawet nie wiemy, jak zorganizowane jest państwo i układ, w którym się znaleźliśmy. Dwie godziny temu siedzieliśmy w identycznym pojeździe, na twoim miejscu tkwiła zaś kobieta podająca się za naukowca skłonnego do współpracy i prosząca o pomoc w ochronie syna, z którym zresztą spędziliśmy kilka tygodni w naszym systemie czasowym. Był naszym gościem. Ufaliśmy mu. Pomogliśmy

w ucieczce przed człowiekiem, który chciał chłopaka zabić.

– Tyhron – odezwała się pierwszy raz w trakcie tej podróży Anithsanu.

– Tak. Wiecie, jaką gra tu rolę?

– Wiemy – odpowiedziała policjantka.

– Moglibyście nam to wyjawić? – spytał spokojnie Kapłan.

– Obawiam się, że nie. – Anithsanu była uprzejma, ale raczej stanowcza.

– Twierdzicie, że wiecie, kim jesteśmy, ale w rzeczywistości nie macie pojęcia, prawda? – Haiku przejęła pałeczkę.

– Ludźmi z układu czasowego B, którzy nawiązali kontakt z kimś, kogo znacie pod imieniem Yovita. Stąd kłopoty – odparł, udając pewność w głosie Frotrua.

– Ten ktoś o imieniu Yovita to syn Vilestei. Chłopiec, który z niewiadomych przyczyn został wysłany do naszego układu. Dzieciak, który powinien chodzić do szkoły, a nie samotnie błąkać się po nieznanym mu świecie!

Anithsanu i Frotrua porozumieli się spojrzeniami.

– Zgadza się tylko imię – rzekła ostrożnie policjantka. – Reszta niestety nie.

– Kłamiecie jak wszyscy tutaj! – niemal krzyknęła Haiku, ale Lorent zbyt dobrze ją znał; domyślił się, że zagrała większe emocje, niżby wynikało to z tego, co naprawdę myślała.

– Yovita nie jest synem Vilestei – włączył się Frotrua. – Ale on o tym nie wie. Bez upoważnienia nie możemy więcej ujawnić.

Dybcio milczał od dłuższego czasu, powoli tracił odwagę, by wychylać się z czymkolwiek.

– Te wasze pojazdy niczym się nie różnią? – spytał nagle, kompletnie zaskakując wszystkich.

– Ciągłe są ulepszone – odpowiedział, wolno cedząc słowa Frotrua.

– Chodzi mi o różnice marek pojazdów.

Policjant jeszcze przez chwilę był zmieszany.

– To po prostu transport. Różnice wprowadzałyby niepotrzebny bałagan. Prywatne *ka* są zróżnicowane. Służą do transportu w obrębie miasta na krótkich odległościach. Są odpowiednikiem waszych samochodów. To dozwolone informacje. Mogę wam je przekazać.

– Jedziemy poza miasto?

– Nie. Ale tak było szybciej. PTT, czyli jak już mówiłem Popraltin Tire Tioue, tajna policja do spraw specjalnych Anenna Hiyaukau, czyli naszego kraju, ma Nielimitowany dostęp do wszelkiego potrzebnego transportu. Dla prywatnych osób *ka* są rzecz jasna tańsze. Przepraszam, że znowu używam nieznanym wam tutejszych nazw.

– Ale każdy ma resa? – upewnił się Czesio.

– Nie. To drogi transport.

– Jak więc poruszacie się na co dzień?

– Hm. – Frotrua znowu się zastanowił. – Tutejsze ulice naprawdę niewiele różnią się od waszego Nowego Jorku czy Chicago. Mamy, co prawda, inaczej zorganizowane mieszkalnictwo i w ogóle budownictwo wraz z wewnętrznym transportem, takim jak *renderuea*, ale... to już wiecie.

– Kłamiecie jak kobieta, która wpakowała nas w ten kanał – włączyła się Haiku. – Nie jesteście żadną policją ani służbą rządową. Cały czas chodzi o wyciągnięcie z nas jak najwięcej informacji oraz wiedzy Kapłana, prawda? A Vilestea tylko czeka na wasz meldunek. Nie widziałam w apartamencie pozostałych ciał, oprócz tych zabójców, których sama zlikwidowałam, a mój

miecz przyniósł mi twój człowiek.

Frotrua zareagował wyjątkowo spokojnie. Odwinął rękaw swojego „munduru”.

– Obserwuj moje przedramię. Widzisz ten prostokątny, płaski, jakby gumowy przedmiot przyklejony do skóry? To komputer osobisty. *Vi*. Ma go każdy obywatel kraju. Materiał, z którego jest zrobiony, bezboleśnie przylega do skóry. Tak jest skonstruowany. Można go zdjąć przy użyciu odpowiedniego przyrządu w naszym języku popularnie nazywanego *fikusektya*. Robimy to rzadko bo *vi* ma grubość około czterdziestu milów, czyli jednego milimetra, i nie sprawia najmniejszego dyskomfortu. Otrzymuje go każda pełnoletnia osoba, dzieci korzystają z komputerów rodziców. Gdybyście wy takie mieli, bez problemu zidentyfikowalibyście mnie i moją partnerkę, jeśli byśmy wam na to zezwolili, podając nasze kody. My tu nie mamy pieniędzy jak w USA czy innych waszych krajach. Wszelkie pobory i wydatki automatycznie regulowane są dzięki temu komputerowi połączonemu z całym systemem komunikacyjnym, bankowym, mieszkaniowym i tak dalej. To takie rozbudowane I.D., czyli dowód osobisty. Dlatego *res* zawsze wie, dokąd i którądy jechać. Odpowiednie drzwi się otwierają, a do innych pomieszczeń czy instytucji nie ma się wstępu. Połączenie siecią umożliwia szybkie upoważnienia, dzięki czemu twój dom otwiera się przed gościem, którego zaprosiłeś, a przed innym nie. My ten system mamy we krwi. Dla nas to nic dziwnego. Do tego stopnia, że nawet nie wiem, jak najprościej ci wytłumaczyć jego działanie. Gdy idziesz ulicą, możesz w każdej chwili naprawić ewentualną usterkę, bo co pół mili jest punkt obsługi, który – rozpoznawszy siatkówkę twojego oka oraz SGTR, czyli po waszemu DNA – porządkuje

natychmiast, co trzeba. I nie dopatruj się w tym żadnego dyktatorskiego, futurystycznego systemu z waszych filmów *science fiction*. Dane są tak samo poufne jak u was. Jesteśmy demokracją w stylu amerykańskim czy zachodnioeuropejskim. Danych z komputerów osobistych praktycznie nie można sfalszować. A nawet jeśli najwyższej klasy przestępca przebrnie przez 256-bitowy klucz oraz inne zabezpieczenia i na chwilę się włamie, dane odnowią się po upływie zaledwie waszej półtorej minuty i cała misterna robota na nic. Czerwony kwadrat, który widzisz, oznacza zatrudnienie. Dotknę go teraz palcem, a ty przeczytaj napis.

Haiku wciąż obserwowała komputer Frotruy.

– Nie znam tych symboli – odparła. – To nie są litery podobne do jakichkolwiek naszych. Ja pochodzę z kraju, który nazywa się Nippon, inaczej Japonia, a oni obaj są Polakami.

– Wiem, że nie znacie tych liter. – Spojrzał znacząco na Anithsanu. Policjantka wyjęła z kieszeni urządzenie do złudzenia przypominające iPod. – Proszę. Tu jest słownik lamiarhadi-angielski. Myślisz, że po to wykorzystano ogromną pracę wielu agentów i lingwistów, aby teraz, z okazji tego spotkania cię oszukać? Za chwilę przetłumaczysz sama, że jest tu napisane *Popraltin Tire Tioue, Ghi, setrmabhana* i kilka innych wyrazów łatwych do rozszyfrowania dzięki słownikowi. Oprócz nazwy wydziału policji jest moje stanowisko, numer identyfikacyjny, stopień. Tak jak u was. Trudno to porównywać, ale powiedzmy, że jestem kimś takim jak szef wydziału w stopniu... kapitana. Czy Vilestea była w stanie pokazać wam swój osobisty komputer identyfikacyjny?

– Widzieliśmy go na jej ręce – odpowiedziała uprzejmie Kimura.

– Czy coś wspominała na jego temat?

– Nie.

– Nawet nie zapytaliście?

– Nie.

– Już za chwilę zacznie się dzień, zobaczycie ulice miasta, ludzi, ekrany medialne, czyli rodzaj telewizji, wszystko, do czego ma dostęp zwyczajny obywatel kraju. A dane, które teraz ujawniłem, łatwo zweryfikujecie. Zwłaszcza że właśnie jedziemy na spotkanie z kimś naprawdę ważnym, kto jest bardzo was ciekaw.

– Poczekamy na spotkanie, a potem zweryfikujemy wszystko i dowiemy się, czy słownik jest autentyczny – gładko skłamała, bo symbole odczytała natychmiast. Znała je równie dobrze jak Kapłan.

Nie szukaj zemsty, a wtedy to twoje będzie królestwo. Znajdź największy cień i ukryj w nim siebie i braci swoich. Znikną z Ziemi wszelkie potęgi, upadną cesarstwa i najwięksi władcy, a Ty i bracia twoi przetrwacie aż do Czasu Czarnych Luster - powtórzył Luigi Balea. Zamilkł na kilkadziesiąt sekund, po czym wstał i przeszedł kilka kroków w pobliżu stołu, przy którym siedzieli.

– Do złudzenia przypomina styl biblijny – rzekł po namyśle. – Być może ktoś, kto to pisał, opierał się na ewangeljach lub apokryfach, aby wskazać Marcellinowi drogę.

– Chyba że było odwrotnie – mruknął Villon.

– Raczej nie, Andrea. – Luigi pokręcił głową. – Ten fragment, a może i całą *Błękitną Księgę* napisano za czasów Aureliusza, choć na materiale być może o wiele starszym. Kto wie, czy

goście ze świata Tyhrona i tego dziecka nie stworzyli jej specjalnie dla niego i po to... by powstało nasze bractwo. Posłuchajcie: *Nie szukaj zemsty, a wtedy to twoje będzie królestwo. Znajdź największy cień i ukryj w nim siebie i braci swoich. Znikną z Ziemi wszelkie potęgi, upadną cesarstwa i najwięksi władcy, a Ty i bracia twoi przetrwacie...* Ktoś, kto to pisał, musiał wiedzieć, że Aureliusz Marcellin poniósł klęskę na soborze nicejskim i wpadł w konflikt z dotychczasowym przyjacielem cesarzem Konstantynem.

– Wielki Mistrzu! – DiPoleni nie wytrzymał. – Nie wiem, czy powinniśmy wyciągać aż tak daleko idące wnioski!

– Wyciągnąłeś je już sam, i to dawno temu, Giovanni – skontrolował szorstko Balea. – Nie udawaj więc teraz przed nami praworządnego i zejdz z tego urzędowego tonu, bo trąci on protekcjonalizmem. To ja jestem w tej chwili najwyższym aurelitą, może daruj sobie udawanie nierozgarniętego i zagubionego. Przyznaję, że twoje pozowanie na safandulę z początku zmyliło nawet mnie, ale teraz obrażając moją inteligencję, stajesz się nieskromny.

– No cóż, jestem już stary. – Strażnik wzruszył niewinnie ramionami. – Powinieneś mi wybaczyć, Luigi.

– Wybaczę, jak trochę wniesiesz do dyskusji swojego doświadczenia!

– Spróbuję – obiecał, przywołując na twarz szeroki, choć zabarwiony jeszcze niepewnością uśmiech.

– Ktoś o wiedzy Kapłana, ale nie pochodzący z naszego świata – kontynuował Balea. – Kto miał dostęp do niemal niezniszczalnego materiału, na jakim napisana jest księga, i od dawna kontaktował się z Marcellinem. Wiedział, że nasz praojciec też jest Kapłanem Wiedzy. Wymieniali się

doświadczeniami, stawali się jeszcze potężniejsi. Ten człowiek, a może i cała grupa wspomagająca go, był gotowy zrobić bardzo wiele, aby powstało bractwo aurelitów.

– Pozostaje pytanie, po co? – wtrącił nieśmiało DiPoleni.

– Doskonale znasz powód. Aby zachować najważniejszą tajemnicę. Tajemnicę istnienia innego świata... wymiaru... czasu. Tylko tak konsekwentna organizacja, jaką zresztą kierowaliśmy się od niemal tysiąca ośmiuset lat, dawała tę szansę. I to zdało egzamin. Nawet my do końca nie wiemy, co jest prawdą; kim byli przybysze i dlaczego tak wiele wiedzieli, a przede wszystkim, od kogo? Ta cała księga jest pewnie rodzajem instrukcji napisanej w stylu, który Rzymianin z czwartego wieku mógł uznać za jeszcze jedną ewangelię, i to z namacalnymi prorokami na wyciągnięcie ręki, prawda, Giovanni? Aureliusz był Kapłanem. Miał ogromną wiedzę. A nawet na nim przybysze zrobili ogromne wrażenie, i postąpił dokładnie tak, jak radzili.

Strażnik z rozmysłem przytaknął.

– Przecież chcesz przeczytać całość. Prędzej czy później sam się dowiesz – rzekł.

– Tajna księga Nocy Kapłanów z Chatillon, której nikomu nie wolno tknąć do czasu misterium przejęcia wiedzy od Kapłana, kiedy się objawi, to po prostu *Błękitna Księga*? – dociekał Luigi.

– Nie wiem – odparł szczerze DiPoleni.

Balea zmarszczył brwi.

– Naprawdę nie wiem. – Strażnik rozłożył ręce. – Mogę tylko podejrzewać, że są tam fragmenty *Błękitnej* w oryginalnym języku przybyszów.

– Całą spisano w owym języku! – Mistrz skrzywił się ze zniecierpliwieniem.

– Otwierałeś ją?!

– Oczywiście. Nigdy nie wierzyłem w ten idiotyczny rytuał. Te całe czary-mary z Kapłanem nie mają najmniejszego logicznego sensu. A dawanie im wiary przez całe pokolenia służy temu, co reszta tej religii – jedności bractwa. Jest przecież tym samym, co wiara Żydów w przyjście Mesjasza czy przekonanie chrześcijan o boskości Jezusa z Nazaretu.

– Aureil też wiedział, co jest w księdze?!

– Nie mam pojęcia. Za jego życia nie miałem do niej dostępu. Tylko skąd się wzięło twoje podejrzenie? Jeśli stary Mistrz nic mi na temat nie powiedział, to tym bardziej tobie. Na jakiej podstawie sądzisz, że *Księga Nocy Kapłanów* to fragment *Błękitnej*?...!

Strażnik milczał przez chwilę.

– Nie mogę powiedzieć.

– Nie wykorzystam twojego źródła ani go nie zdradzę. – Balea wolał zacząć od prośby niż groźby.

– Mam twoje słowo, że zostawisz źródło w spokoju, kiedy ci je zdradzę?

– Tak.

– Jeden z moich przodków podczas transportu księgi z Rzymu do Chatillon w 1578 roku... miał sposobność zajrzeć do środka.

– I po niemal pięciuset latach ty o tym wiesz?!

DiPoleni znowu zwlekał z odpowiedzią.

– Wiem to. Nasza rodzina od czasu przejęcia opieki nad biblioteką prowadzi... dzienniki wzorem Marcellina. Nie udostępniamy ich nikomu. Nie ma ich zresztą w Alteriale. Nigdy ich nie ujawnię.

– Masz moje słowo, że nie będę próbował ich znaleźć. To wasza rodzinna sprawa – zgodził się łaskawie Luigi. – Ale to, co w nich jest na temat przybyszów, powinienieś jednak ujawnić.

– Paolo DiPoleni napisał w dzienniku, że w *Księdze Nocy Kapłanów* są te same symbole, co w *Błękitnej*, ale nie miał odpowiednio dużo czasu ani sposobności, by cokolwiek przetłumaczyć. Znał *Solisolidy* Marcellina, czynił pierwsze próby odszyfrowania języka obcych, ale gdyby się zdradził z tym, że choćby na sekundę tam zajrzał – zapłaciliby głową, a nasza rodzina byłaby skończona. Odważył się na to tylko dlatego, że właśnie jemu powierzono zapieczętowanie księgi przed wyjazdem i to była ponoć jedyna okazja. Nie opisuje, jak zdołał pozbyć się przynajmniej na chwilę świadków. Trzymaliśmy to przez setki lat w tajemnicy. A nawet gdyby którykolwiek z Wielkich Mistrzów odważyłby się otworzyć *Księgę Nocy Kapłanów*, nie zdradziłby tego nikomu, także naszej rodzinie. Cały paradoks polegał na tym, że nie tylko żaden z dotychczasowych znanych nam Kapłanów nie zgodził się na misterium, ale przy tym praktycznie nikt – łącznie z ogromną większością przywódców aurelickich – nie wiedział i nie wie, co naprawdę kryje *Zdradzony Księgozbiór*. W wiekach średnich i późniejszych Mistrzowie mieli poważniejsze, ich zdaniem, sprawy na głowie; wojny religijne, ochrona tajemnic aurelickich, poszerzanie naszej potęgi. A odczytanie chociażby linijki z *Błękitnej* wymagałoby wówczas nie tylko doskonałej znajomości całego księgozbioru i świadomości, że w pamiętnikach Marcellina istnieje klucz do rozszyfrowania tego języka, lecz także w ogóle wiedzy, że owe pamiętniki istnieją. Już w niecałe sto lat po śmierci Aureliusza pamięć o jego zapiskach zaczęła rozpyływać się we mgle nadciągającego

średniowiecza. Inne księgi z dzisiejszych zbiorów Alteriale na wieki pogrzały się w niepamięci, większość z nich uznano za dawno zaginione lub nieodwracalnie zniszczone. Mogę z dumą powiedzieć, że zasługą mojej rodziny są wielowiekowe poszukiwania na całym świecie kolejnych skarbów tej biblioteki, znajdujących w dalekiej Afryce, Azji, Jerozolimie, Rzymie, wykradanych z Istanbuhu,

Aleksandrii, a nawet dalekiej Japonii. Ostatnie woluminy sprowadzał tu jeszcze mój ojciec. Ale skoro te zdradzone, zapomniane skarby literatury spotkał taki los i tułaczka po całej kuli ziemskiej, DiPoleni postanowili, że ich tajemnice pozostaną w rodzinie do czasu, aż rada rodziny podejmie decyzję o ujawnieniu skarbu. Opieka nad księgozbiorem jest wyłącznie naszą zasługą, bo my go stworzyliśmy, choć nigdy nie stałoby się to możliwe bez potęgi bractwa w Europie, a w pewnym momencie już na całym świecie. Gdyby nie nasi związani tajemnicą szpiedzy na najpotężniejszych dworach świata, gdyby nie całe życiorysy, poświęcone poszukiwaniom, nic by z tego nie wyszło. My naprawdę każdego z tych białych, a właściwie złotych, kruków szukaliśmy często po kilkaset lat. A zaczęło się właśnie od księgi, którą teraz czytamy, odkrytej cudem w jaskini pustynnej, którą po setkach lat niebytu odsłoniła wielka burza piaskowa. Tam właśnie trafił niezwykłym wręcz przypadkiem wędrowiec Jan DiPoleni, poseł cesarza Fryderyka III, wierny poddany, ale przede wszystkim zaprzysiężony aurelita i rycerz bractwa. To na niego spłynęły być może łaska boska i oświecenie, by założyć bibliotekę zaginionych ksiąg, w których istnienie – jak w istnienie Graala – nikt już wtedy nie wierzył. A on wierzył. I stał się ojcem *Zdradzonego Księgozbioru*.

Z dyktafonu Czesia

Nareszcie!!! Wydostaliśmy się z za wszystkich murów i po raz pierwszy ujrzeliśmy prawdziwe okno. Dzięki dużej, szklanej ścianie wychodzącej na ulicę miasta widzimy pierwsze promienie słońca w układzie A. W przestronnym pokoju, do którego doprowadzili nas przez *renderuea* policjant o imieniu Frotrua i laska, która robi za jego partnerkę, podbiegamy szybko, nie pytając o zgodę, do wielkiej szyby, za którą znajdujemy tak długo oczekiwane przez nas odpowiedzi. Jesteśmy wysoko, w czymś w rodzaju biurowca z nowojorskiego Manhattanu. Mamy dobry widok. Miasto zaskakuje podobieństwem do naszych nowoczesnych, dobrze zaplanowanych metropolii. Jest ogromne, ale ulicami rządzą właściwie takie same kształty. Czuję się, jakbym był za granicą, może nawet mniej egzotyczną, niż na przykład Bangkok. W dole nieco szersze niż we wspomnianym przez tubylców Nowym Jorku nitki komunikacyjne, znacznie też szersze są chodniki. Wszystko w kolorach niezwykle żywych, uderzających w oczy, wzmagających – jak sądzę – koncentrację. Zamiast szarego asfaltu mieniące się, uderzająco jaskrawe zielenie i wyraziste brązy. Żółte chodniki, gdzieniegdzie wyraźne akcenty czerwieni. Jest już duży ruch. Nie okłamano nas. Ulicami jeżdżą pojazdy, takie jak samochody. Stoję za wysoko, aby można je było lepiej opisać. Nie ma świateł drogowych, a ruch jest regulowany na tyle inaczej, że nie umiem na razie odgadnąć, dlaczego na skrzyżowaniach nikt na siebie nie wpada. W oddali kolosalnej wielkości gmachy mieszkaniowe. Przypominają monstrualne klocki Lego, bez okien nawet w zewnętrznych ścianach. W czymś takim spędziliśmy pierwsze godziny pobytu w tym dziwnie przypominającym nasz świecie. Gdyby nie żywe kolory tych bloczyk: niebieskie, pomarańczowe, jasnobrązowe – wyglądałyby jak groźne i mimo rozmiarów klaustrofobiczne

bunkry, całkowicie obce człowiekowi z mojego świata. Całość tego, co widzę, jednak trzyma się kupy. Choć u nas pewnie uznano by je za nieco szalone twory odważnych potomków myśli Gaudiego. W moim świecie są miasta absolutnie nieuporządkowane architektonicznie, jak na przykład Kraków czy Rzym; pełne krętych, nielogicznie wijących się i przecinających w nieoczekiwanych miejscach uliczek oraz te zbudowane systemem narzucającym porządek i konsekwencję, jak właśnie Nowy Jork, Waszyngton czy nawet Paryż, w którym z lotu ptaka można zauważyć, jak osiem wielkich arterii rozpoczyna swój bieg od placu Charles'a de Gaulle'a z wzbudającą zachwyt architektoniczną precyzją tworzącą pajęczą sieć VIII Dzielnicy.

Z miejsca, w którym teraz stoję, można ocenić, że plan pierwszego poznanego miasta tego świata jest logiczny do bólu. Nie dostrzegam żadnego zakrętu którejkolwiek z wielkich arterii. Wszystkie z mojego punktu widzenia aleje komunikacyjne przecinają się pod kątem prostym.

Mimo że w oddali widać budzące strach swoim architektonicznym i duchowym ciężarem gmachy mieszkalne, na tej ulicy, przy której się znaleźliśmy, budynki są wysokie, ale niezbyt szerokie czy długie. Podobnie jak w biurowych dzielnicach wielkich miast naszego świata, pełne są okien, choć tu częściej okrągłych niż prostokątnych (co oni z tymi krągłościami?!), za to robią wrażenie sterylnych, czystych, a w swej przemyślanej formie – przyjaźnie nowoczesnych.

Zaskakujące – żadnych ulicznych reklam ani neonów. Nie ma też napisów czy symboli, przynajmniej widocznych z tego miejsca. Nie widziałem jeszcze tutejszych roślin ani zwierząt. Może przyjdzie na to czas. W pokoju, w którym stoimy (oczywiście okrągłym, choć z podobnym jak w naszych biurach stołem konferencyjnym w środku), panuje cisza. Anithsanu i Frotrua pozwalają nam obserwować w milczeniu. Krzysztof i Yasuko przyglądają się temu światu spokojnie i nie okazując emocji. Znany już mi dobrze szum *renderuea* wyrywa nas z zamyślenia. Ściana się rozsuwa i do pokoju wchodzi czwórka mężczyzn. Pierwszy z nich jest ubrany w ciemnoczerwone,

wyprasowane aż do widocznej z daleka sztywności spodnie oraz rodzaj swetra koloru brudnego wapna z nieśmiertelnym golfikiem (nie wiem, o co chodzi z tymi golfami). Ten białawy sweter oczywiście nie jest swetrem, tylko przypominającym styropianową rzeźbę wdziankiem – nie mam pojęcia, jak je na siebie włożył. Facet ma twarz czterdziestoletniego Japończyka, a może raczej. Koreańczyka. Nie wiem. Pozostała trójka to chyba ochrona. Wszyscy ubrani jednolicie na czarno w coś ściśle przylegającego do ciała oraz... jeśli się nie mylę, zwykłe czarne płaszcze. Wreszcie coś w miarę gustownego. Główny koleś, choć pozwolił komuś włożyć na siebie to kretyńskie wdzianko, wygląda na bystrego. Chyba nie ma oporów rasowych. Ochroniarze to dwóch Murzynów i jeden biały. Frotrua otrzymuje od niego jakiś znak i policjant podchodzi do mnie.

– Nie może pan nagrywać tego spotkania. – Frotrua wyciągnął rękę po dyktafon.

– Do tej pory mi na to pozwalałeś – bronił się Dybcio.

– Spotkanie ma charakter tajny. Suar876 jest przedstawicielem naszego rządu. Dopóki tylko twój głos jest na nagraniu, ten sprzęt nie ma dla nas znaczenia. I tak zapamiętujesz to, co widzisz, a dyktafon nie rejestruje obrazu. Do odwołania nie wolno ci jednak nagrywać głosu nikogo z układu czasowego A. Poproszę o sprzęt. Zwrócę po spotkaniu.

Czesio niechętnie, ale wyłączył urządzenie i podał policjantowi. Chwilę później Frotrua i Anithsanu podeszli do Kapłana i Haiku, prosząc o ich broń. Oddali bez wahania. Dybcio wywnioskował, że przemyśleli to wcześniej. W przeciwnym razie tak łatwo by nie poszło. Suar876 usiadł w jednym z foteli. Ochroniarze upewniwszy się, że wszystko w porządku, opuścili pokój. Tuż za nimi wyszli policjanci. Trójka przybyszów oraz zagadkowy człowiek z tutejszego świata zostali sami.

– Proszę, usiądźcie – wskazał miejsca. Mówił, podobnie jak Vilestea czy policjanci Frotruy, płynnie po angielsku, ale w odróżnieniu od nich z wyraźnie eleganckim, oksfordzkim akcentem. – Jak pewnie się zorientowaliście, w naszym kraju, a i w większości pozostałych, nie używa się tego, co wy nazywacie nazwiskami. Każdy przy urodzeniu otrzymuje wyłącznie imię wymyślane przez rodzinę i zatwierdzone przez system ministerstwa, jak by to najprościej powiedzieć... do spraw społecznych. Każde imię identyfikuje obywatela, nie może więc się powtarzać. Pewnym wyjątkiem są funkcjonariusze rządowi. Z chwilą objęcia stanowiska otrzymują imię służbowe oraz numer. Moje to Suar876. Kiedy złożę urząd, powrócę do oryginalnego, można by rzec – prywatnego. Jestem specjalnym doradcą ministra komunikacji odpowiedzialnego w Anenna Hiyaukau między innymi za tajne projekty dotyczące kontaktów z układem czasowym B. Uprzedzę pytania: nasz system rządowy opiera się na wyborach, wybrani urzędnicy państwowi traktują każde ze swoich stanowisk jako zaszczytny obowiązek wobec społeczeństwa, traktując obywateli jako suwerena. Mam zaszczyt to oznajmić nie tylko jako Anenneńczyk, lecz także funkcjonariusz rządowy. W naszym języku nie ma słów „pan” i „pani”. Nie ma zwyczaju stosowania takich oficjalnych zwrotów. Tutejsi mieszkańcy nie znają rytuałów zwykłych dla waszego świata. Historie naszych społeczeństw i podziałów klasowych przebiegały nieco inaczej niż wasze, stąd wynikają pewnie różnice, ale nie jestem historykiem, pozwolę sobie więc nie rozwijać tematu. Jestem tu, aby pomóc. Sytuacja jest kłopotliwa i mam nadzieję, że dojdziemy do odpowiedniego konsensu.

– Zostaną nam zwrócone nasze rzeczy? – spytała bez wstępów Haiku.

– Mówisz o tych niebezpiecznych, ostrych narzędziach, których posiadanie osobom prywatnym jest surowo wzbronione na terenie całego kraju? – spytał uprzejmie, ale dość chłodno Suar876. – Obawiam się, że zostaną przekazane do depozytu. Zwłaszcza że obywatele naszego kraju ponieśli śmierć w apartamencie, w którym spędzaliście noc.

– To byli mordercy! – zauważył z naciskiem Krzysztof. – Próbowali pozbawić nas życia! I posiadali broń! Znacznie groźniejszą niż zabytkowe miecze.

– Śledztwo jest w toku. Policja ustali przebieg wypadków.

– I co, nie boisz się tak siedzieć w pokoju sam z nami? – spytała złośliwie Yasuko, nie rezygnując przy okazji z kpiarskiego uśmiechu.

– Zakładam optymistycznie, że będąc tu zaledwie piątą czy szóstą godzinę, nie zdecydujecie się nagle na zamordowanie doradcy ministra w miejscu, z którego nie jesteście w stanie się wydostać. Zresztą, skąd wiesz, że jestem taki bezbronny?

– Co chcesz nam powiedzieć, szanowny doradco ministra do spraw czegoś tam? – Kimura zaczęła tracić cierpliwość. – Że za chwilę zamkniecie nas w waszym więzieniu?

– Rozważamy to – odparł szorstko Suar876. – Jesteście tu całkowicie nielegalnie, zginęli ludzie. A w Anennie podlegacie naszemu prawu.

– Ci ludzie byli zawodowymi mordercami! – powtórzył z naciskiem Lorent.

– I tu zaczyna się protokół rozbieżności – westchnął, udając troskę Anenneńczyk. – Stwierdzono już, że dwaj martwi mężczyźni znaleźni w waszym apartamencie pracowali

niegdyś jako agenci rządowi. Mieli pozwolenie na broń. Nie jesteśmy pewni, czy zaatakowali. Być może po prostu się bronili.

– A pozostali „broniący się”? Było ich co najmniej czterech. Potwierdził to wasz policjant.

– Obawiam się, że mijacie się z prawdą. – Suar876 zmarszczył brwi. – Znaleziono tylko dwa ciała, oficer nie mógł twierdzić, że byli tam inni świadkowie. Obie ofiary zginęły z waszych rąk. Policja przybyła niestety za późno.

– Co to za brednie! – wybuchnęła Haiku. – Najpierw ten Frotrua, czy jak mu tam, opowiada o Lavalu, zabójcach i szpiegach, dzięki którym dotarli za nami do tamtego apartamentu, a teraz ty zaprzeczasz wszystkiemu i próbujesz nas zrobić w podwójne morderstwo!

– Chyba jeszcze nie poznałem waszych imion.

– Możesz mi mówić Haiku. Ale jeśli zamierzasz nas dalej dymać, tak jak do tej pory, lepiej zawołaj swoich ochroniarzy, aby nas zastrzelili, i zjeżdżaj stąd. Bo nie wiesz, czy nawet pozbawieni mieczy *taroku* jesteśmy... tacy bezbronni.

Krzysztof znacząco nacisnął pod stołem na stopę Kimury.

Suar876 rozłożył ręce.

– Próbuję pomóc, ale nie wiem, czy się dogadamy. Oficer Frotrua, który niedługo ponownie się pojawi, z pewnością potwierdzi przedstawiony przeze mnie przebieg wypadków. To sumienny, dyskretny policjant. Co do ciebie, Haiku, obawiam się że właśnie dyskrecja i rozsądek nie są chyba twoimi najsilniejszymi cechami?

– To pytanie? – warknęła Yasuko.

– Może nie zapędzajmy się za daleko. – Lorent położył dłoń na ramieniu Kimury i zdobył się na dyplomatyczny uśmiech. –

Rozumiem, że tak będzie interpretowany przebieg wypadków, jeśli nie wykazemy. „rozsądku”?

– Może po prostu taki był przebieg wypadków – z naciskiem rzekł Anenneńczyk.

Kapłan zareagował idealnym spokojem.

– Fenomenalnie mówisz po angielsku. – Uśmiechnął się, jakby rozmawiali o pogodzie – Znacznie lepiej ode mnie. Nic dziwnego, ja jestem Polakiem, w dodatku byłym księdzem, jeśli wiesz, o czym mówię. Ale poznałem w swoim życiu wielu Anglików, choć nawet oni... nie mówili z tak idealnym oksfordzkim akcentem. Powiedziałbym: tak charakterystycznym akcentem. Bo, choć mogę się mylić, ponoć tylko osoby starannie wykształcone na tej prestiżowej uczelni umieją pielęgnować elegancję języka, zachowując jego tradycyjną barwę. Szczególnie te wywodzące się z wiekowego tajnego bractwa uczelnianego Upsilon Vega stawiającego to sobie od wieków za jeden z najważniejszych celów. Nawet zwykły, wychowany w wielkomijskich dziś wyjątkowo etnicznie niejednorodnych warunkach Anglik może tego w tobie nie rozpoznać. Ale widzisz... historia i języki to mój konik. Drogi Suarze876, ty nie tylko odwiedziłeś nasz układ czasowy zwany u was B, prawdopodobnie jako agent. Ty tam spędziłeś wiele lat. Zostałeś u nas wykształcony i uformowany jako człowiek. Przeniknąłeś do tajnych bractw. Byłeś najprawdopodobniej wolnomularzem. Nawet nie wiesz, jak mnie to zdumiewa. Wyobrażam sobie, że musisz teraz być ważnym i wartościowym doradcą rządowym. Nie mogę sobie tylko wyobrazić, w jaki sposób Anenneńczyk przetrwał u nas tak długo nierozpoznany.

Suar876 zacisnął usta, zaskoczony tak mocno, jakby ktoś

nagle ścisnął go za gardło. Był jednak w głębi duszy szczerze zdziwiony, że Kapłan odkrył się przed nim tak bezceremonialnie, rezygnując z być może ważnej w przyszłości broni. Lorent jednak wiedział, że on, Yasuko i Dybcio już nie mają wyjścia. Muszą grać *va banque*, potwornie ryzykując, ale być może w ten sposób ratując nie tylko wolność, lecz także i życie. Jeśli ten przebiegły człowiek zorientuje się, kogo ma w rękę, pewnie ważniejsza stanie się ich wartość jako źródła unikatowych informacji niż problem wynikający z dekonspiracji Anenneńczyków infiltrujących, jak się okazało, od lat ich świat.

– Nieostrożne słowa – mruknął po dłuższej chwili zastanowienia Suar876.

– Zastanów się, po co tu jesteście i dlaczego Lavalowi tak zależało, aby nas tu zwabić? Dlaczego później tak ryzykował, aby nas zabić? W czym mu przeszkadzaliśmy po tamtej stronie?

Anenneńczyk znów długo nie odpowiadał.

– Słucham dalej – zgodził się po chwili.

– Kilka tygodni temu Laval, jak podejrzewamy, przysłał nam przynętę w postaci niezwykle chłopca. W jego mózgu zaprogramowany był system teoretycznie pozwalający mu przetrwać, ale tak naprawdę w prostej linii zwabiający nas tutaj. Mniejsza o szczegóły. Yovita być może bezwiednie doprowadził nas na miejsce egzekucji. Czego tak bał się Laval? Musicie to wiedzieć. Od dawna macie agentów wśród jego ludzi. W przeciwnym razie wasza tajna policja z pewnością nie byłaby w stanie tak szybko do nas dotrzeć i udaremnić likwidację. A może właśnie wciąż jeszcze tego nie wiecie i dlatego zależało wam, by utrzymać nas przy życiu?

– W porządku – odparł ostrożnie Suar876. – Może jednak

znajdziemy wspólny mianownik. Z naszych informacji wynika, że macie ze sobą coś bardzo wartościowego. Laval najpewniej chciał, abyście to przywieźli, a później zniknęli na zawsze. Nie wiemy, co to jest. Jeśli nam wyjawicie tę tajemnicę, otoczmy was ochroną i podejmiemy dalsze rozmowy.

– Zdążyliśmy ze sobą zabrać tylko trochę białej broni, w tym dwa wspomniane miecze. Nasz przyjaciel – wskazał na Dybcia – ma przy sobie jedynie plecak, w którym ukryty jest cały nasz dobytek. Nie ukrywamy niczego. Leży tam pod ścianą.

– Wiem, prześwietlono go w *renderuea*. Są w nim cztery noże, sakiewka rozgwiazd i inne przedmioty, które mogą nieść śmierć. Wyglądacie na nieco konserwatywnych, ale jednak... zabójców. Laval z jakiegoś powodu pozwolił wam przemycić tę broń. Może więc jednak pracujecie dla niego?

– Nie mieliśmy pojęcia o jego istnieniu, dopóki Frotrua nam o nim nie powiedział – upierał się Krzysztof.

– Mam w to uwierzyć?

– Sprowadziła nas tu Vilestea.

– Vilestea to tylko sprawny prawnik. Jest co prawda od lat bliskim współpracownikiem Lavalą, prowadziła jego biuro jeszcze za czasów, gdy był w rządzie, ale nie sądzę, aby zajmowała się takimi sprawami jak podróże między układami czasowymi. To nie jej działka.

– Być może – wtrącił nagle milczący do tej pory Czesio. – Ale ma Yovitę.

– Co przez to rozumiesz? – spytał Suar876.

– Yovita sądzi, że jest jej dzieckiem.

– Nonsens. Vilestea nie ma dzieci ani nawet partnera. Wiedziałbym o tym.

– Ale chłopiec myśli, że jest jej synem – powtórzyła

z naciskiem Yasuko.

– Skąd możecie wiedzieć, co ten chłopak naprawdę myśli?

– Uwierz nam – podjął spokojnie Kapłan. – Jestem w stanie ci to udowodnić.

Anenneńczyk ponownie zmrużył oczy.

– Być może nie doceniłem was. – Suar876 zdecydował się na ostrożne odkrycie kart. – Ale przekonajcie mnie, że warto na was postawić.

– Powinno nam się to udać. – Yasuko posłała mu krzywy uśmiech.

– Jakim cudem przetrwałś tak długo w naszym świecie? – spytał, niespodziewanie wracając do poprzedniego wątku, Lorent.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparł twardo Anenneńczyk. – Ale nawet gdybym znalazł się w sytuacji, którą opisałeś, jaki bym mógł mieć z tym problem? Ludzie z układu B nie mają pojęcia o naszym istnieniu.

– Chociażby pierwsze badanie lekarskie!

– I co? Myślisz, że gdyby mnie tam wysłano, wszczepiono by mi wcześniej chip identyfikacyjny?

– Nie. Ale przecież macie potrójny system narządowy – włączył się Czesio. – Inaczej zbudowane serce, wątrobę, a nawet płat czołowy mózgu!

Suar876 przez chwilę był ponownie kompletnie zaskoczony, aż wreszcie wybuchnął śmiechem.

– Co za bajki?! Vilestea wam naopowiadała bzdur, a wy je kupiliście?

– Yovita. – Dybcio szeroko otworzył oczy.

– Nie wiem, o czym mówicie. Jesteśmy dokładnie tym samym

gatunkiem, co wy. *Homo sapiens*. W naszych światach rozwój przebiegał, co prawda, z drobnymi różnicami, ale anatomicznie jesteśmy identyczni. Potrójny system narządowy?! To znaczy co? Że mamy trzy nerki czy płuca?

– Tak jak Yovita – potwierdziła słowa Czesia Yasuko. – Zdolności porozumiewania się niewerbalnego, manipulacja terenowa czasem.

Anenneńczyk ponownie wybuchnął śmiechem.

– Przyznam, że nazwanie was ekscentrykami to zdecydowanie za mało dokładne określenie. Jeśli mówicie o telepatii, to sam chętnie posiadałbym tę umiejętność, bardzo by się przydała na posiedzeniach rządu. Niestety nie znam nikogo, kto by znał takie sztuczki. A już na pewno nie znam nikogo z dodatkowymi narządami. Przyznam, że to by również się przydało, chyba nie tylko w chirurgii. A co do manipulacji czasem – nawet trudno mi się domyślić, o czym mówicie. Znamy technikę podróżowania między układami, ale nic mi nie wiadomo o innym sposobie ingerencji w przepływ czasu.

– Skąd znacie tę technikę? – dociekał Dybcio. – Skoro nasz i wasz rozwój przebiegał podobnie, jest właściwie niemożliwe, abyście aż tak przeskoczyli nasz poziom. Poza tym musielibyście skądś się dowiedzieć, że w ogóle istnieje inny system czasowy!

– Dzisiaj musimy już kończyć, ale wrócimy do rozmowy.

– Nie odpowiesz na pytanie? – spytał spokojnie Kapłan.

– To ściśle tajne.

– Nasza obecność tu też jest ściśle tajna?

– A jak myślisz?

– Co z nami zrobisz?

– Mała rada. Jeśli zachowacie dyskrecję, może jakoś z tego

wybrniemy. Ale jeśli zaczniecie znowu zachowywać się jak słonie w składzie porcelany, nie wiem, czy zdołam was ochronić.

– Czy tu żyją słonie? – zapytał, korzystając z okazji, Dybcio.

Anenneńczyk odsłonił przedramię i nacisnął coś na swoim naręcznym komputerze personalnym. Ściana się rozsunęła i do pomieszczenia weszli znani już gościom policjanci.

– Proszę pójść z oficerem Anithsanu – rzekł pożegnalnym tonem Suar876. Dybcio wyraźnie chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Yasuko mocno chwyciła go za ramię i pociągnęła za sobą. Kapłan lekko się uklonił i również podążył w stronę wyjścia. Ściana zasunęła się za nimi.

– Jaka decyzja? – spytał Frotrua.

– Realizujemy plan. Bez zmian – odparł Suar876.

– A minister?

– Ty skup się na tym, co ustaliliśmy dzisiaj w nocy, a mojego ojca pozostaw mnie.

– A co z trupami z apartamentu Vilestei?

– Już ci mówiłem; polityką zajmę się ja. W swoim czasie być może powrócimy do tego, na razie całe zajście jest utajnione. Nikt nie może się dowiedzieć.

– Laval już pewnie wie.

– To nieistotne. Nie pójdzie przecież z tym do mediów.

– Oddać im broń?

– Nie. Trzeba zachować pozory. Zresztą, te śmieszne miecze są tylko przykrywką. Mówiłeś, że do eliminacji tych bydlaków Laval nie użyto żadnych narzędzi.

– Niezupełnie. Jednego zlikwidowano prawdopodobnie nożem. Precyzyjny cios w skroń. Drugiego zabito gołymi

rękami.

Suar876 pokręcił z zakłopotaniem głową.

– Kim oni są?! Nie tylko nie dali się zaskoczyć uzbrojonym zawodowcom w kompletnie nieznanym im terenie, lecz także z łatwością ich zabili.

– Nie powinieneś zostawać z nimi sam na sam.

– Który raz ci powtarzam Frotrua, żebyś politykę zostawił mnie. Ty miej broń w pogotowiu i realizuj plan. Nasi goście nie są idiotami. Będą się teraz trzymać nas kurczowo jak mamy i taty. Nie mają dokąd pójść ani gdzie uciec. Oddaj dyktafon temu w tych nielogicznych okularach. Jak słusznie oceniłeś po wypadkach w apartamencie Vilestei, to nie on jest od mokrej roboty. A jego nagranie być może kiedyś nam się przyda.

– Posługuje się tam niezrozumiałym językiem.

– Jak przyjdzie czas, rozszyfrujemy go.

– Za dużo wiedzą o Yovicie. Nie wiem, co z tym robić. Cały czas zadają pytania.

– Rób to, co do tej pory. Opowiadaj im oficjalne rzeczy o naszych zwyczajach, środkach transportu, jedzeniu i tak dalej, czyli o tym, co wie każdy dziesięciolatek z którejkolwiek z naszych szkół. Nic poza tym. Przecież i tak wiadomo, że pozostaną tu na zawsze. I tylko od nich zależy, czy wylądują w więzieniu, czy będą tylko pod obserwacją.

Z dyktafonu Czesia

Oddali mi dyktafon. Yasuko i Krzyškowi nie oddali broni. Vilestea, ten gruby zakłamany babsztyl, pozwolił, aby przez cały czas mieli przy sobie miecze, ale teraz szlaban. Trzeba się było tego spodziewać. Przyjeżdżają obcy ze średniowiecznymi kosami i uśmiechają się w stylu: *We came in peace*. To nie mogło trwać zbyt długo.

Jestem zdruzgotany wieścią, że anatomia Yovity nie ma nic wspólnego z tym, jak w rzeczywistości są tu zbudowani ludzie. To niepotwierdzona wiadomość, ale jednak chyba prawdziwa. Są identyczni jak my. I o co cała afera? Z dodatkowych badań nici, ale pozostała zagadka: kim jest Yovita i ten cały Tyhron?

Po spotkaniu z facetem z numerkiem przy imieniu pozwolili nam się umyć, zaproponowali pranie. Prysznic jak prysznic – nic ciekawego, ale pralnia – odjazd. Wyczyścili nam ciuchy w kilka sekund w dziwacznej maszynie, a są idealnie czyste i wyprasowane. *Cool*.

W tej chwili jedziemy samochodem. To znaczy czymś, co przypomina nasze vany. Wyjechaliśmy z garażu innego niż *sesidou* i tym razem mamy kierowcę. To jeden z facetów, którego pamiętam z apartamentu, w którym była zadyma z kolesiami Lavalá. Pomagał Anithsanu i Frotrui. Pozostali dwaj policjanci, których jeszcze tam widziałem, chyba po drodze się wymiksowali, bo nie dostrzegłem ich nawet po spotkaniu z gościem od ministra.

W samochodzie siedzenie kierowcy jest normalne, ale nasze z tyłu to oczywiście kopia tego, co widzieliśmy w resie. Znowu okrągły stolik, wokół siedzenia, wiecie, już mówiłem.

Jestem zapatrzony w ulicę. Ogromna ponaddziesięciopasmowa arteria z masą pojazdów takich, w jakim siedzimy. Różnią się kolorami i wyglądem, ale nie tak jak u nas. Można by powiedzieć, że produkują tu tylko vany i osiągnęli w tym perfekcję. Dziesiątki różniących się trochę od siebie vanów. Śmieszne. Śpieszący się, czasem spacerujący ludzie w zabawnych strojach, poruszają się po chodnikach, które najczęściej mają barwę ognistej czerwieni. Samochody nazywane tutaj *ka* jeżdżą wolno. Trudno mi ocenić, ale najwyżej pięćdziesiątką. Miasto robi wrażenie przeogromnego. Już wiemy, że to, w którym się znajdujemy, ma średnicę około dwustu kilometrów. Nie jest to ich główne miasto ani stolica. Nie mają stolicy. Tego zwyczaju, mimo że tak często u nas ponoć bywają, od nas nie zaczerpnęli. Podejrzewam, że ich transport i komunikacja są tak sprawne i szybkie, że nie trzeba pracowników rządowych grupować w jednej metropolii.

Miasto nazywa się Tire. Niby nieważne, ale notuję. Jest gorąco. Klimat jak w Tajlandii. Jedziemy w kolejne bezpieczne miejsce.

Jeszcze kilka takich „bezpiecznych” miejsc, a przed zachodem słońca dostanę zawału albo mnie w końcu ustrzelą. Trafiliśmy w środek jakieś afery, której nawet nie rozumiemy. Wpakowaliśmy się w nią z własnej woli. I ja dałem się na to nabrać. Krzysiek, który ponoć ma łeb jak sklep, też. Nawet Yasuko. Piękna i najgroźniejsza chyba z nas wszystkich. To znaczy, że mnie żaden groźny facet, ale nawet Lorent nie potrafi być tak szalony jak ona.

Staram się mówić spokojnie, ale umieram ze strachu. Jeśli nie stanie się cud, utkniemy tu na zawsze. Przecież nigdy nas stąd nie wypuszczą, po tym, co zobaczyliśmy. Szkoda, Bzdeciu, że tego nie widzisz, ale dobrze, że cię tu nie ma. To nie jest świat dla ciebie. Jest tylko teoretycznie bardziej kolorowy. A ty podobnie jak ja, oceniasz książki raczej po zawartości niż okładce. A tu zawartość... stawia włosy na głowie.

– Musisz tak cały czas gadać do tego dyktafonu? -burknęła Yasuko.

– Prowadzę badania – odparł dumnie Dybcio.

– Po co? Dla kogo? Przecież nigdy się stąd nie wydostaniemy.

– Masz totalnie fatalne podejście. – Czesio udał optymizm. – Powinniśmy wyrobić w sobie wielopunktową, a przede wszystkim wielopoziomową perspektywę.

– Jaki to język? – spytał z nieukrywanym zaciekawieniem Frotrua. – Ten, w którym teraz rozmawialiście? To ten sam, co z dyktafonu?

– Chciałbyś wiedzieć. – Kimura uśmiechnęła się nieprzyjaźnie. – A może najpierw ty byś się zwierzył? Gdzie są nasze miecze?

Nieco zmieszany policjant odwrócił głowę w kierunku szyby. Dybcio ponownie włączył dyktafon.

Z dyktafonu Czesia

Skręciliśmy z dużej arterii w mniejszą. Teraz jedziemy taką naszą warszawską Marszałkowską. Po raz pierwszy widzę z bliska jeden z bloków mieszkalnych. Robi wrażenie. Kolos po niebo, długi na co najmniej kilometr. Dojeżdżamy do jego końca, skręcamy. Teraz jesteśmy na zaledwie dwupasmowej jezdni. Niewielki ruch, pieszych prawie w ogóle. Trudno uwierzyć, ale podłoże, po którym jedziemy, jest jaskrawozielone. Co ciekawe, to nie męczy wzroku. Wręcz przeciwnie. Do tej pory byłem przekonany, że tylko przy głębokiej zieleni oko ludzkie wypoczywa. Teraz muszę zmienić zdanie.

– Matko Boska! Co to było?!

– Na ziemię!!!

– Upadł mi dyktafon!

– Nieważne! Pod stolik! Na ziemię!!!

– Strzelają do nas?!

– *Fuck!* Ra dostał!!!

– Kierowca?! Czy to kierowca dostał?!

– Cholera, wyrzniemy w ten mur! Trzymajcie się czegoś!

– *Uania wire trsfyueaw uya, uya!*

– *Ise. Gyasniue sir! Waha, uya whrta!*

– *Seye se...*

– Wszyscy cali?!

– Mam dyktafon!

– Chrzanię twój dyktafon, schowaj łeb!

– Co oni robią?! Dlaczego wyskakują?!!!

– Zamknij się i schowaj łeb!

– Powybijają nas tu.

– *lifikua! ligraduwa!*

– *Ise.*

– *Uya! Uya!!!*

– *Se, ise.*

– Dlaczego miałam nieodparte wrażenie, że to tylko kwestia minut – warknęła wściekła Yasuko.

Przylgnęli we trójkę do podłogi samochodu. Za chwilę dołączyła do nich Anithsanu. Strzały nie milkły. Z tylnej szyby

zostały już tylko odłamki, przednią zbiło uderzenie o mur domu. Samochód stał. Silnik pracował zbyt cicho, by było go słyszeć poprzez krzyki policjantów.

– Oddaj nam broń! – zażądała szybko Haiku.

– Jest w tyle samochodu, zdeponowana w skrzyni i zapieczętowana. Nie dostaniemy się teraz do niej. Zresztą miecze nie na wiele się tu teraz zdadzą – odpowiedziała wyjątkowo spokojnie policjantka.

– Ona ma rację – przyznał Lorent. – Gdzie jest Frotrua?

– Na zewnątrz. Osłania nas i wzywa pomoc, będą za kilka sekund! Kazał mi wsiąść teraz za kierownicę i uciekać z wami.

– A kierowca?

– Wypadł na ulicę po uderzeniu. Nie wiem, czy żyje.

– Jeśli odjedziemy, Frotrua zostanie bez osłony.

– Nie. Jest w tej chwili za blokiem. Już słyszę pomoc.

Anithsanu wychyliła się ostrożnie.

– Dał mi znak. Nasi już są. I drugi oddział. Osłaniają nas ogniem. Idę na przednie siedzenie. Nie ruszajcie się na razie.

Policjantka prześlizgnęła się do przodu i, nie wychylając głowy, wycofała o metr samochód, a następnie ruszyła ostro do przodu. Kapłan, wciąż trzymając głowę Dybcia przyciśniętą do podłogi, ostrożnie wychylił się, by ocenić sytuację. Zanim skręcili w kolejną ulicę, zdążył zauważyć trwającą walkę.

Gdy Frotrua zobaczył, że pojazd zniknął za zakrętem, podniósł rękę do góry i wyszedł zza rogu domu. Strzały natychmiast umilkły. Zbliżył usta do przedramienia:

– Suar876?

– Tak – odezwał się głos w komputerze personalnym.

– Załatwione. Chyba to kupili. Anithsanu jedzie z nimi tam,

dokąd rozkazałeś.

– Zatrzyj ślady. Jak dużo świadków?

– Niewielu. Zajmę się tym.

– Postępuj dalej zgodnie z planem. Muszę kończyć.

Rozłączył się.

Frotrua podszedł do kierowcy, który właśnie podnosił się z jezdni.

– O mało mnie nie rozjechała! – burknął rozżalony policjant.

– Przeżyjesz. – Frotrua poklepał go po ramieniu. – Zbieraj się i robimy tu porządek. Nie zapomnij o wstecznym skanie ulicy.

– *Ise!* Wykonuję.

ROZDZIAŁ 8

Luigi Balea swoim zwyczajem przez dłuższą chwilę chodził z założonymi do tyłu rękami po bibliotecznej pracowni. Czas biegł, a poszukiwania rozwiązania zagadki stały w miejscu. Kapłan musiał mieć jakiś cel, przysyłając go tutaj. W lakonicznej wiadomości musiało być ukrytego jeszcze coś, czego na razie nie był w stanie odgadnąć.

– Kiedy Aureil dowiedział się o istnieniu *Zdradzonego Księgozbioru*, a właściwie mówmy szczerze – Biblioteki DiPolenich? – spytał groźnie.

– Proszę? – Strażnik odegrał zdziwienie.

– Możesz przestać udawać Giovanni – zachnął się Balea. – Ludwik Gossard de Rochefort; Wielki Mistrz Zakonu Aurelitów – Aureil, nie żyje! Rządził czterdzieści pięć lat, ale od prawie sześciu leży w grobie. Kiedy zaprosiłeś mnie tuż po obiedzie na pogawędkę, zrobiłeś to, co z Aureilem ustaliliście już wiele lat temu. Przedstawiłeś was jako rywali skłóconych na tle ambicjonalnym, zwaśnionych zadawnionym konfliktem o miejsce w Radzie. Znałem dobrze Aureila. Naprawdę dobrze. Zamiast się go bać, jak wszyscy dookoła, uczyłem się od niego. Wszystkiego. Cierpliwości, przebiegłości, mistrzostwa w sztuce polityki, polemiki, wywierania wpływu na ludzi, kształtowania charakterów i przekonań młodych adeptów, wszystkiego.

– Wiem, ale...

– Wy nie byliście wrogami! – Luigi zbliżył się do DiPoleniego.
– Byliście najbliższymi współpracownikami. Podejrzewam, że to

ty poprosiłeś go, aby jakoś cię wyciągnął z Rady, którą gardziłeś jak on i uważałeś za zbędną uludę czegoś na kształt demokracji w tysiącsześćsetletnim zakonie!

– Bractwie... – wtrącił nieśmiało Strażnik.

– Jestem Wielkim Mistrzem Zakonu Aurelitów! Powtarzam, Zakonu Aurelitów, choć na co dzień nazywamy się bractwem. A Radę – zamiast grupą niepotrzebnych darmożjadów – nazywamy z kolei Wielką Radą Zakonu Aurelitów! Chyba poznałeś mnie na tyle, aby wiedzieć, jak bardzo mierzi mnie hipokryzja. Jesteś ostrożny, cenię to. Ty również czerpałeś i czerpiesz z przebiegłości Aureila. Gdy nawet przez chwilę nie zastanowiłeś się nad moją propozycją powrotu do Rady, zacząłem się domyślać, że chodziło ci tylko o pretekst. Musiałeś się stamtąd wydostać i przy pomocy Aureila umieścić w zamian zaufanego człowieka, aby robić to, co najważniejsze – zdobywać ogromne pieniądze na zabezpieczenie biblioteki i stworzenie jej w obecnej postaci. Przyznaję, że zmyliłeś mnie. Nawet fortel z kiczowatą rzeźbą Marcellina był niezły. „Prezent z Chatillon!”.

– Luigi roześmiał się z uznaniem. – Prawda jednak jest taka, że dzięki przyjaźni z Mistrzem mogłeś wyjawić mu tajemnicę, którą rodzina skrywała tak długo, bo *Zdradzony Księgozbiór* właściwie nie istniał. Od dawna miały swoje miejsce *Matruh* i *Hazi* – księgozbiory ważne i wartościowe, ale nawet w jednej setnej nie tak istotne jak ten. Wszyscy o nich wiedzieli, a o rozrzuconym po całej Europie skarbie, który ukrywaliście przez setki lat – nikt. Po otrzymaniu wiadomości od Kapłana zdziwiłem się, że najważniejszy nauczyciel rycerzy aurelickich, mój wierny przyjaciel Andrea Villon ledwie kojarzył, o co chodzi z sygnaturą i nie miał pojęcia, co za księga się za nią kryje! Nie wspomnę już o sobie samym. Byłem najbardziej

zaufanym synem Wielkiego Mistrza, a nie miałem zielonego pojęcia o istnieniu biblioteki! Na początku myślałem, że chodzi o brak zaufania i słynną już ostrożność Aureila, ale gdy zorientowałem się, jaka beczka prochu znajduje się w tych podziemiach, olśniło mnie. W głębokiej tajemnicy zbudowaliście ten bunkier pod twoim pałacem, a Mistrz zorganizował na to pieniądze. Ściągnęliście Siriego i McCendricka... skąd?

– Siri był Włochem rezydującym w Stanach Zjednoczonych – westchnął z zakłopotaniem DiPoleni. – McCendrick to Australijczyk.

– No właśnie. Ściągnęliście dwóch najlepszych ludzi. Inni najbardziej zaufani przyjaciele twojej rodziny sprowadzali ukryte przez was w wielu miejscach księgi. Mogły być już bezpieczne. Znalazły swoje miejsce. Wiedziałeś, że Aureil dochowa tajemnicy i zamydli oczy Radzie, która była przekonana, że to kolejne *Matruh* i *Hazi*. Stary sposób Aureila – jeśli jakakolwiek organizacja czy instytucja stanowi zagrożenie, stwórz system, który zablokuje ją samą w sobie pod pozorem prestiżowych obostrzeń. I tak się stało. Ja, a nawet i Andrea mieliśmy wrażenie, że te przepisy pochodzą sprzed dziesiątek, a może i setek lat, ale to nie tak. Stary Aureil jeszcze raz okazał się mistrzem nad mistrzami. Nawet członkowie Rady muszą przejść morderczą drogę, by zdobyć pozwolenie na zajrzenie do biblioteki. Jeśli nawet kilku z nich, wiedzionych ciekawością, jakoś się tu dostało, byli raczeni oryginałami Saxo Grammaticusa czy *La Divina Commedia*, by wyszli zachwyceni, jak wspaniale chronimy białe kruki. Bo tylko ty, Aureil i wasi ludzie wiedzieliście, co tu naprawdę się znajduje, a rzekome trudności w systemie komputerowym stworzyłeś sam, na

potrzeby ciekawskich leśnych dziadków z Rady. *Księga Nocy Kapłanów* z Chatillon okazała się całkowicie bezpieczna. Każdy, kto do niej zajrzy, znajdzie tylko setki niezrozumiałych symboli. Tak było ze mną. Długo szukałem sposobu na jej przetłumaczenie, ale ze zrozumiałych względów nie miałem do kogo zwrócić się o pomoc. Zostałem z niczym. Do dzisiaj. Cały czas jednak, siedząc tutaj, nie mogłem rozgryźć, skąd o *Błękitnej Księdze* mógł wiedzieć Kapłan? Jeśli nawet w jego pamięci genetycznej treść księgi istnieje, a język przybyszów jest mu znany, jakim cudem mógł wiedzieć o zebranych ledwie czterdzieści lat temu księgozbiorze z Alteriale? I tu trzeba pamiętać o najstarszym chyba paradoksie wszelkich zasad logicznych; jeśli coś wydaje się skomplikowane, to odpowiedź zapewne jest niesłychanie prosta i przez to właśnie najtrudniej na nią wpaść.

Domyśliłem się tego dopiero przez chwilą. Tylko ty mogłeś powiedzieć o wszystkim Kapłanowi. A ja nawet nie miałem pojęcia, że się znacie. Po śmierci Aureila wpadłeś w panikę, że tajemnica może ujrzeć światło dzienne. Wiedziałeś, że jego następca chce wprowadzić reformy. Wielkie reformy. Ale nie byłeś pewien, czego się po mnie spodziewać. Jediną osobą, której mogłeś zaufać, był Kapłan. Znał mnie, znał jak mało kto historię i był. Kapłanem Wiedzy. Mogę się tylko domyślać, jak do niego dotarłeś. Pewnie dzięki Eberhardowi Linkowi, o którym wiedziałeś dzięki Aureilowi. To z Linkiem dzieliłeś się informacjami od szpiega. Odkąd darowaliśmy życie profesorowi, już nieraz nasz niezastąpiony Pielgrzym grał rolę zbawienego łącznika w ważnych sprawach. On skontaktował cię z Lorentem. Kiedy mi zdradziłeś, że wiesz o Tyhronie i Yovicie, zorientowałem się, że jak go określiłeś – „twój

człowiek” nie może pracować wyłącznie dla ciebie. Ty i Link to też zbyt mało. Szpiega u Trantignana musiał pozyskać ktoś potężniejszy, o większej władzy i rozleglejszych wpływach. I znów proste rozwiązanie: tym kimś jestem po prostu ja. Wasz człowiek to mój człowiek. Mój najcenniejszy agent, bo działający blisko najpotężniejszego wroga – Luca Trantignana. Alec Roscard ocalał z rzezi w Slazerhoffie i pracował dla nas nadal, gdy po śmierci Trantignana niebezpieczny stał się Xavril Ganti. Ta zagadka była najprostsza. Rozwiązanie podałeś mi na tacy, wykorzystując sprzyjającą sytuację, teraz, tu w podziemiach, w bibliotece, gdy zaczęłeś już mi ufać. Ciężko ci ukrywanie przed Mistrzem, że pożytkowałeś wiedzę jego agenta. Zacząłeś się jednak bać mojego gniewu, kiedy to odkryję, choć staliśmy i dalej stoimy po tej samej stronie. Nie obawiaj się. Ani ty, ani Link nie poniesiecie za to konsekwencji. Rozumiem pobudki i szanuję je. Pewnie na waszym miejscu postąpiłbym tak samo. Nie poniesie także konsekwencji Alec Roscard, to człowiek interesu i jego też rozumiem, pomóżcie więc mi go znaleźć, bo jak z pewnością wiecie, zniknął dwa tygodnie temu.

Balea odwrócił się od Strażnika i znowu zaczął spacerować.

– Ty, jak podejrzewam – kontynuował. – Zawarłeś pakt z Kapłanem. Zdradziłeś mu całą swoją wiedzę w zamian za przynajmniej część jego wiedzy, czyli tego, co nie tak łatwo od niego wyciągnąć, o czym przekonał się sam Eberhard Link. Później umówiliście się, że jeśli kiedykolwiek znajdzie się w prawdziwym niebezpieczeństwie, wyśle ci wiadomość. Musiałeś rzeczywiście wpaść w zakłopotanie, kiedy „wiadomością” okazałem się ja. Człowiek, który obalił twojego największego przyjaciela – Wielkiego Mistrza Aureila. Ale

podporządkowałeś się Lorentowi. Powoli, ostrożnie badałeś, na ile jestem skłonny do współpracy. I mamy efekt. Robisz to, by znaleźć Kapłana i pomóc mu. Dziadki z Rady są przekonani, że księgozbiór w całości istniał niemal od zawsze i tylko kilkadziesiąt lat temu odpowiednio go zmodernizowano. Nikt oprócz ciebie, twoich najbardziej zaufanych ludzi i być może rodziny oraz Kapłana nie wie o *Błękitnej Księdze*, a co najważniejsze, o *Solisolidach* Marcellina. A ty mimo wszystko cały czas sprawdzasz mnie, czy stanę się dla ciebie nowym Aureilem i czy pomogę ci znaleźć Lorenta.

Giovanni DiPoleni z uśmiechem pełnym satysfakcji spojrział na Wielkiego Mistrza.

– Zawsze mnie nurtowało – rzekł nadzwyczaj spokojnie. – Jak to możliwe, że tak wielki umysł jak Ludwik Rochefort dał się zaskoczyć młodzikowi. Teraz już wiem. Nie chciałbym mieć ciebie za przeciwnika.

– Kochałem ojca Aureila. Nie było w tym nic osobistego.

– Wiem, Luigi.

– Nie chowaj urazy, Giovanni, a nie zawiodę cię. Nic się nie zmieni. Wiem, czym by groziło odkrycie tajemnic *Zdradzonego Księgozbioru*.

– Ufam, że tak jest w istocie.

– Co wie Link?

– O wiedzy Kapłana? Jeszcze niewiele. Zwlekam.

– A ty, co wiesz?

– Jest mi jeszcze winien trochę faktów.

– I mamy rozwiązanie, dlaczego tak ryzykowałeś, odkrywając się przede mną. Zrobisz wszystko, żeby go znaleźć. A Linkowi pewnie powiedziałaś, że sprawy idą wolno?

DiPoleni odpowiedział dobrze znanym już uśmiechem.

– Uwierzył? – spytał Balea.

– Już kilkakrotnie Kapłan mu się wymykał. Teraz kiedy zniknął, profesor sam sobie dopowiedział dalszy ciąg.

– Jak przyjdzie pora, spróbujmy znaleźć Aleca Ros-carda – zaproponował Luigi.

– Dobrze się ukrył, ale wiem, gdzie jest. Liczy na twoje zrozumienie. Tak jak przewidziałeś.

– To dobrze. Niech czeka. Tak będzie bezpieczniej, dopóki nie zyskamy pewności, co stało się z Gantim. A teraz spróbujmy razem znaleźć Kapłana.

DiPoleni uśmiechnął się szeroko.

– Zróbmy to!

– Zacznijmy od tego, co oznacza koniec cytatu, który właśnie omawialiśmy.

– Czas Czarnych Luster?

– Właśnie. Czym jest i kiedy nastąpi Czas Czarnych Luster.

– Taak... – westchnął Strażnik. – W tym całe sedno.

Profesor Bogdan Wilecki obserwował, jak jego szwajcarski przyjaciel, profesor Eberhard Link, wybiera odpowiednią butelkę wina, które miało okrasić ich dyskusję. Po krótkim zastanowieniu wybrał bordeaux sauternes rocznik 1989.

– Jak lot? – spytał kurtuazyjnie.

– Jak zwykle nudny. Nie gniewasz się, że wpadłem tak nagle?

– Nie. – Link postawił wino na stole. – Zapytać cię jeszcze o jakieś nieistotne idiotyzmy, abyśmy mieli z głowy uprzejmości czy porozmawiamy od razu?

– Krzysztof zniknął – odparł prosto z mostu Wilecki.

– Zawsze znika. – Szwajcar wzruszył ramionami. – Już kilka razy znikał nam z oczu, zwłaszcza gdy pytaliśmy o cokolwiek istotnego.

– Wciąż jesteś na niego zły za tamto.

– Za tamto i inne tamto.

– Eberhardzie. – Wilecki uśmiechnął się dobrotliwie. – On już taki jest. Nie lubi rozgłosu, nie lubi wywiadów także z przyjaciółmi, nie lubi nawet swojego daru. A ty wciąż chciałeś od niego zeznań na temat historii, wielogodzinnych rozmów na temat jego wiedzy i tego, co mu się jako Kapłanowi Ścieżki Wiedzy „przypomniało”. Został nim w dwudziestym ósmym roku życia. Wcześniej był normalnym człowiekiem. Żył zwyczajnie, a w dodatku był księdzem.

– Od tego czasu minęło sześć lat. Mógłby już się przyzwycząć.

– Ty też nie jesteś taki wyrywny ze zdradzaniem swoich źródeł.

– A kto mówi o źródłach? Prosiłem go o wiedzę, fakty, nie o źródła. Wskutek tego, że chronilem swoje źródła, do dziś mają mnie w Lozannie za szalonego. Wciąż mieszkam tutaj w Danii i nie zanoszę się, abym kiedykolwiek wrócił na uczelnię. Rozumiem tajemnicę źródeł jak nikt inny. Ale obaj wiemy, co jest najważniejsze – wiedza. A Lorent, mimo że posiadał ją w tak niesprawiedliwie łatwy sposób, nie chce się nią dzielić. Mam go, drogi przyjacielu, w głębokim poważaniu. Jeśli znowu zniknął, widocznie tak chciał. Jak zwykle.

– Nie tak jak zwykle – zaprzeczył dość pośpiesznie Wilecki. – Moja żona i małżeństwo tych punków. pamiętasz ich?

– Pamiętam.

– Oni wiedzieli doskonale, dokąd jedzie, po co oraz kiedy

wróci. A jednak nie wrócił, a to się zdarza pierwszy raz.

– Bogdanie. – Link się skrzywił. – Z wielką chęcią porozmawiam z tobą o archeologii, antropologii, nawet o aurelitach, ale nie o Lorencie. Nie lubię go i chyba już nie polubię. Nie obchodzi mnie, dokąd jeździ i co robi. Marnuje swój talent i szczerze mówiąc, mam go za darmozjada. Nie zmuszaj mnie. Kieliszeczek?

– Tak, poproszę. Co cię przekupi?

– Nic. Nawet nie próbuj.

– Zwykle korzystam z twojej rady, ale tym razem jednak postąpię inaczej. Krzysztof niedawno wrócił z Brazylii, by spotkać się z pewnym chłopcem. Bardzo niezwykłym chłopcem.

Link wciąż wyglądał na znudzonego.

– Dzieciak posługiwał się kompletnie nieznanym nam językiem – ciągnął Wilecki. – Jego anatomia była zdumiewająca, a do tego wykazywał nieprawdopodobne zdolności w pewnym sensie graniczące z czymś, co my rozumiemy jako telepatię.

– Może jednak nie przesadzaj z winem – zasugerował kwaśno Szwajcar.

– Mówię prawdę.

– Nie znam się na tego typu anomaliach. W dodatku to brzmi trochę mało wiarygodnie i niepoważnie.

– Obaj od pewnego czasu zajmujemy się dość dziwnymi historiami i zjawiskami. Gdybyśmy komuś z naszych kolegów po fachu poopowiadali o tym, co wiemy o aurelitach i Kapłanach, wylądowalibyśmy w wariatkowie.

– Prędeż w kostnicy – doprecyzował Link. – Ale tu nie widzę związku. Aurelici i Kapłani są jak najbardziej realni. A chłopiec z anomaliami anatomicznymi, czytający w myślach... sam słyszysz, jak to brzmi. Zresztą to nie nasza działka.

– Nasza. Jeśli ten dzieciak był w stanie sprowadzić z Ameryki Południowej Kapłana, to zdecydowanie nasza.

– Sprowadził Kapłana? Co przez to rozumiesz?

– O tym za chwilę. Teraz fakt, który być może przekona cię do dyskusji. Chłopak ponad wszelką wątpliwość nie pochodził stąd.

– Stąd? Czyli skąd?

– Nie był *Homo sapiens*. Przybył w niewiadomy sposób jakieś trzy tygodnie temu. Potrzebował pomocy. Moja żona, Krzysztof, punki i jeszcze jeden nieznany mi naukowiec wzięli udział w pewnym przedsięwzięciu, które zaproponował.

– Bogdan... co ci się do cholery stało?! – przerwał niecierpliwie Link. – Masz kłopoty? Żona ci znowu szaleje?

– Eberhardzie, na Boga! – podniósł głos zniecierpliwiony już Wilecki. – Tak samo reagowałem, gdy mi o tym opowiadali, ale wiem, że to prawda! Większość naszych kolegów po fachu uważa twoje teorie za wymysły szaleńca! Nie bądź jak oni, tylko wysłuchaj do końca! Jesteś historykiem kultury, etnografem, antropologiem kultury, badaczem zjawisk niezwykłych! Niegdyś byłeś otwarty na wszelką, nawet z pozoru najbardziej niewiarygodną wiedzę. A teraz przelatuję prawie dwa tysiące kilometrów i kogo zastaję? Znudzonego malkontenta bez krztyny werwy i iskry bożej, którą obaj dostaliśmy od Najwyższego i - do cholery – powinniśmy z niej korzystać dla dobra nauki!

– Bogdanie. – Szwajcar uniósł spokojnie rękę.

– Tak?

– Chcesz porozmawiać jak przyjaciel czy naukowiec?

– To chyba logiczne, że jedno nie wyklucza drugiego!

– Nie zawsze, Bogdanie, nie zawsze. Ale... no, dobrze. Żyjemy

sobie wszyscy w miarę spokojnie w naszym Układzie Słonecznym, prawda?

– Czy już zaczynamy rozmawiać, czy zaraz usłyszę szwajcarsko-duński dowcip, którego nie zrozumiem?

– Zaczynamy rozmawiać. Wiesz mniej więcej, jaka jest odległość od Ziemi do granic Układu Słonecznego?

– Nie jestem astrofizykiem, ale o ile pamiętam, do Plutona mamy jakieś 40 AU¹⁰, do obłoku Öpika-Oorta¹¹ jakieś 50 000 AU.

– Otóż to! – Link klasnął w dłonie. – Kilka razy z różnych powodów tłumaczyłem studentom, dlaczego nie jest możliwe przedstawienie na kartce papieru nawet najbardziej pomniejszonego Układu Słonecznego z prawdziwymi proporcjami.

– To oczywiste. Gdyby Ziemię przedstawić jako ziarenko piasku o średnicy 1,3 mm, to Jowisz musiałby wylądować ponad 60 m od niej, Pluton zaś byłby odległy od Ziemi o 580 m i miałby 0,3 mm, czyli mniej niż pół ziarenka maku.

– Właśnie. Panie w szkole pokazują dzieciom na obrazkach Słońce i grupę podobnych do siebie, krążących wokół niego planet, nazywając to Układem Słonecznym, podczas gdy nie jest to nawet jego ułamkowa część! Aby dotrzeć do prawdziwej granicy, czyli kawałek za obłokiem Öpika-Oorta na naszej kartce, musielibyśmy rozciągnąć ją mniej więcej do Włoch. Jeśli Słońce narysowalibyśmy tu, pod Kopenhagą.

– Wiem. Eberhardzie, mówiłem ci o pewnym chłopcu.

– Tak, mówiłeś mi o pewnym chłopcu. – Link pokiwał głową z czymś na kształt rozbawienia na twarzy.

– Ale jeśli pozwolisz, skończę myśl. Tak więc do granic naszego układu planetarnego mamy tak z grubsza 50 tysięcy

AU, a wiemy ponad wszelką wątpliwość, że nikt w tych okolicach oprócz nas nie mieszka. Do Alfa Centauri, czyli najbliższego sąsiedniego układu, w którym mogłyby być planety podobne do Ziemi, musielibyśmy lecieć z powiedzmy w miarę sensowną prędkością jakiegś. 25 tysięcy lat. Ale tam też raczej nikt nie mieszka, bo to tylko trzy gwiazdy. Lot do następnego układu, powiedzmy do Syriuszów w gwiazdozbiornie Wielkiego Psa następne 30 tysięcy lat. A i tam byłoby kiepsko ze znalezieniem jakiegś życia, bo na przykład jeden centymetr sześcienny Syriusza B ważyłby na Ziemi mniej więcej... tonę, tak jest gęsty. Jakielkolwiek więc planety, nawet jeśli tam istnieją, chyba nie są gościnne.

– Obawiam się, że nie rozumiesz, Eberhardzie.

– Nie rozumiem? No to porozmawiajmy o wierze. Mogę uwierzyć, że w dalekich układach, do których pewnie z naszymi możliwościami musielibyśmy lecieć więcej czasu, niż istnieje człowiek na Ziemi, ktoś tam żyje i to znacznie dłużej od nas, bo w przeciwnym razie nie byłby w stanie dolecieć nawet do swojego najbliższego księżyca. A więc muszę założyć, że ci nasi „sąsiedzi” umieją znacznie więcej od nas. Jakie musi być następne założenie? Że lecieli tu miliardy kilometrów, i to znacznie szybciej od światła, choć nie wiem, jakim sposobem, po to tylko, aby na przykład narysować na znanym wszystkim płaskowyzu Nazca¹² w Peru kilka ptaszków, małpek i piesków albo wysłać nastolatka po to, by telepatycznie pogadał z Kapłanem na tematy... dowolne. Wiesz co, Bogdanie? Tu moja wiara się kończy. To nie trzyma się kupy, bo śladów żadnych innych sensownych dokonań UFO na przestrzeni, powiedzmy ostatniego miliona lat naszego istnienia, nikt poważny nie znalazł. Chyba że poważnie traktujesz tego hotelarza, mojego

zresztą rodaka¹³, który opowiada o kierujących raketami Inkach czy piramidach egipskich jako dziele grupy facetów ze środkowej części Drogi Mlecznej. Tak więc, przyjacielu... ktoś twoją żonę i jej przyjaciół zwyczajnie wprowadził w błąd, wykorzystując być może ich ostatnie przeżycia. Lepiej porozmawiajmy o tym, jak ci poszło w Londynie i skosztuj mojego wina.

Wilecki zareagował spokojnie. Uniósł kieliszek i nie śpiesząc się, spróbował bordeaux.

– Widzę, że energia cię jednak rozpira – podjął po chwili z przyjacielskim uśmiechem.

– Przyznaję, ostatnio trochę się nudzę, ale poradzono mi, żebym się stąd nie ruszał. Świat jest mimo wszystko dość ciekawy, a życie bywa znośne. Po co je kończyć zbyt wcześnie?

– Trantignan i jego ludzie nie żyją – zauważył Wilecki.

– Nie wszyscy, Bogdanie. Na razie nie wszyscy.

– To bardziej kwestia czasu niż przestrzeni, Eberhardzie.

– Proszę?

– Po chwili oddechu, którego wymagał twój miniwykład, postanowiłem wrócić do tematu wiodącego. Mówiąc, że chłopiec nie jest stąd, nie miałem na myśli przestrzeni tylko... czas.

Link z namaszczeniem i odpowiednim szacunkiem, jakim darzył swoje wino, postawił kieliszek na stole.

– Bogdanie... – zaczął znowu, uzbrajając się przy okazji w odpowiednią cierpliwość.

– Północny Sentinel, przyjacielu. – Wilecki nie dał mu dokończyć. – Andamany. Czy coś ci to mówi?

– Wyspa Sentinelczyków? – spytał, nagle poważniejąc Link.

– Tak. Tam zniknęli.

– Tam zaprowadził ich ten.

– Tak. Ten chłopiec. Dwa dni temu wpadła do nas dwójka ludzi Balei, którzy powiedzieli, że nawet zdjęcia satelitarne niczego nie pokazują. Jakby zapadli się pod ziemię. Wszyscy. Są tylko tubylcy. Nic się nie zmieniło.

Szwajcar wciągnął wolno powietrze do płuc.

– No dobrze. Na razie pomińmy te rewelacje o dzieciaku. Kto tam pojechał oprócz Lorenta?

– Yasuko Kimura i Czesław Dybcio, młody naukowiec z Polski. A, że tak powiem, z drużyny przeciwnej: jeden z ludzi Trantignana, niejaki Xavril Ganti i człowiek, który... podobno pochodzi stamtąd, skąd i chłopiec. Aurelici nazywają go Tyhron.

– Haiku?!

– Tak. Przyjechała razem z Kapłanem.

– I jeszcze jeden gość z innego... wymiaru?

– Spróbuj choć trochę pomyśleć hipotetycznie. Byłoby miło, gdybyś jednak przestał kpić.

– Niech się zastanowię. – Link potarł dłońmi skronie, jak to często miał w zwyczaju. – Jedna czy dwie osoby mogłyby ukryć się przed satelitami, ale...

– Ale po co? Przede wszystkim Eberhardzie – po co? Zostawili wiadomość, że wrócą za godzinę, góra dwie. A nie ma ich już dobrych kilka dni!

– Co sugerujesz? Że ktoś ich stamtąd jakimś cudem zabrał do... właściwie nie wiadomo dokąd?

– Nie wiem. – Wilecki wzruszył ramionami. – Nie wiem już, w co wierzyć. Dlatego przyjechałem do ciebie.

– Czemu do mnie?

– Bo to ty jesteś najlepszym specjalistą na świecie od aurelitów. Z pewnością zgromadziłeś o nich najwięcej informacji.

– Ale nie od kosmitów!

– Zostaw ten kosmos! I bez ciebie wiem, jak mało prawdopodobne są odwiedziny przedstawicieli obcej cywilizacji na Ziemi. Jednak nie wykluczam tego. Jeszcze sto lat temu mogliśmy pukać się w czoło, czytając Wellsa. Ale teraz wiemy, że czas to wymiar. W dodatku w określony sposób związany z materią, prędkością, energią. My na naszej planecie nie umiemy jeszcze z tego skorzystać, ale istnienie mostu Einsteina-Rosena czy tuneli lorenzowskich wykorzystujących zagięcia czasoprzestrzenne teoretycznie jest możliwe. Może ktoś inny, cholernie daleko stąd, już wie, jak to ugryźć.

– Jak wspomniałeś parę minut temu, nie jesteś fizykiem teoretycznym. Ja też nie. O tym możemy porozmawiać mniej więcej tak profesjonalnie jak o polityce.

– Nie musimy być fizykami czy astronomami. Każdy w miarę łebski student dowolnego kierunku wie, że teoria już teraz pozwala nam snuć przypuszczenia o podróżach „zakrzywionych” czy jak wolisz „falowych”. Dzięki temu teoretycznie mogę włączyć do dyskusji założenie, że podczas takiej podróży można znaleźć się w kilka sekund po drugiej stronie galaktyki. Jak w *Gwiazdnych wrotach*.

– Jak w *Gwiazdnych wrotach*?! Nie wierzę, że to powiedziałaś.

– Nieważne, to tylko przykład!

– Bogdanie, nie jestem przygotowany na tę dyskusję. I nie wierzę w to, że chłopiec przybył tu z innej cywilizacji sam czy nawet w towarzystwie kolegi.

– To jego wróg, nie kolega.

– Tym bardziej.

– Zostawmy to. Zwłaszcza że, jak powiedziałem, nie o podróż przestrzenną chodzi. Dla mnie, dla Oli i naszych przyjaciół najważniejsze jest bezpieczeństwo Krzysztofa i reszty, a w tym możesz pomóc, chociaż nie jest twoim ulubieńcem.

Link rozłożył bezradnie ręce.

– Pamiętasz naszą dyskusję sprzed kilkunastu lat na temat ksiąg wschodnich masoretów, *Halem*, *Abugal*, *Abticum Nostrem*?
– spytał Wilecki.

– Oczywiście.

– I o najbardziej tajemniczej z nich, księdze napisanej niezwykłym, nieznanym językiem, która – jak odkryłeś – była najprawdopodobniej podstawą religii aurelitów, mówiącej o fałszywym bogu rządzącym obecnie światem, czyli Szatanie i o prawdziwym Stworzycielu, który poprzez zdradę został strącony do piekieł przez Gabriela i właśnie Szatana?

– Bogdanie, na Boga... przecież przez to się ukrywam!

– Przez ponad półtora tysiąca lat aurelitów wiązała wiara w to, że na tronie niebieskim rządzi chybiony bóg, który szepcze do naszych uszu największe oszustwo w historii stworzenia. Zsyła na nas wieczne nieszczęścia; wojny, choroby, śmierć i tłumaczy to wolą boską.

– Wiem. Ale dzięki temu, że od dwudziestu lat nie staram się uszczęśliwić tym świata, na razie doczekałem pięćdziesiątki!

– Żyjesz, bo umiałeś zwabić sześć lat temu do Roskilde Kapłana i pomogłeś Balei w wiadomej sprawie.

I chociaż wciąż tu siedzisz, obaj wiemy, że po śmierci Aureila jesteś bezpieczny.

– Ty tak myślisz.

– Znałem rodzinę żydowską, która jeszcze dziesięć lat po wojnie nie mogła uwierzyć, że jest bezpieczna. Wreszcie wyciągnięto ich siłą z ziemianki i poddano leczeniu psychiatrycznemu, a tych, którzy brali od nieszczęśników pieniądze za żywność, skazano.

– Nie rób ze mnie wariata. Sam pamiętasz, jak ci miecze fruwały nad głową i jaki wtedy byłeś bohaterki.

– Tak, ale powtarzam jeszcze raz: Aureil i Trantignan nie żyją. A ja chcę z tobą porozmawiać o tamtej księdze.

Link sięgnął po wino i dopił do końca.

– W czym to może pomóc? – spytał wyraźnie zaniepokojonym głosem.

– Mam pewną teorię.

– Dzięki teoriom stworzonym na podstawie treści tej księgi jestem tu, gdzie jestem, a nie odbieram Nagrody Nobla.

– Chodzi o życie ludzi.

– Chodzi o śmierć ludzi. Wiesz, ilu zapłaciło taką cenę za wiedzę, o którą prosisz?

– Nie mam zamiaru lecieć z tym do „New York Timesa”.

– A dokąd?

– Donikąd. Zacznę się zastanawiać, czy tam znajdę odpowiedź na pytanie, gdzie w tej chwili znajdują się Kapłan i Haiku?

Link machnął nerwowo ręką, jakby odganiał muchę.

– Skąd ten pomysł?

– Usiadłem na parę godzin i skojarzyłem fakty. A potem sobie przypomniałem, co mówiłeś kilkanaście lat temu, kiedy jeszcze byłeś bardziej otwarty.

Link westchnął i wreszcie wstał od stołu, by podejść do

barku.

– Może jednak dzisiaj whisky – mruknął cicho, jakby do siebie.

– Eberhardzie, chciałbym na trzeźwo porozmawiać, a być może czasu jest mało.

– Zastanów się, ile ryzykujesz. – Link nie otworzył w końcu barku i ponownie odwrócił się do rozmówcy. – Luigi Balea mnie chroni, ale z pewnością liczy na moją dyskrecję. Nawet on nie zawaha się mnie zlikwidować, jeśli tylko się dowie, że stanowią zagrożenie dla jego trzódki. Ciebie zresztą potraktuje tak samo.

– Już ci mówiłem – podjął Wilecki zdecydowanie. – Nie mam zamiaru nigdzie tego publikować. A jeśli znajdę sposób na znalezienie Kapłana, Balea tylko mi przykłaśnie. On też go szuka. I nie żałuje środków. Pokażesz mi tę księgę?

– Nie mam jej! – wybuchnął Link, jakby go ktoś czymś oparzył. – I nigdy jej nie widziałem.

– Jak to?! Przecież mówiłeś.

– Widziałem kopie, próbki tłumaczenia. Spore fragmenty.

– Kto ci je dał?

– Człowiek, dzięki któremu zajmuję się tym, czym się zajmuję. Był moim profesorem w Cambridge, wykładał później w Lozannie tak jak ja parę lat później. Mój mentor, mistrz. – Link nalał sobie jeszcze wina. – Nie podam jego nazwiska. Do niczego ci nie jest potrzebne. Zresztą on nie żyje.

– Wykładał w Cambridge. Anglik?

– Australijczyk urodzony w irlandzkiej rodzinie. W wieku dwudziestu ośmiu lat przybył do Europy. Pracował dla aurelitów. Tyle tylko, że ja o tym nie wiedziałem. Nie miałem nawet pojęcia, że istnieją.

– Kiedy ci o nich powiedział?

– Nigdy nie zrobił tego wprost. Sam na to wpadłem kilka lat później. Kiedy już zniknął z mojego życia.

– Dlaczego ty? Dlaczego się zgodziłeś?

– Żartujesz?! Byłem młody. A on uważał mnie za najzdolniejszego swojego studenta. Wiesz, co poczułem, gdy przyszedł do mnie, zamiast poprosić o konsultację kogoś ze swojego pokolenia?! Czegoś takiego się nie zapomina.

– Nie pomyślałeś, że zrobił to, bo pracując z tobą, mniej ryzykował, niż gdyby zgłosił się do którejkolwiek z ówczesnych sław?

– Teraz to wiem, ale wtedy. Nieważne. To był porządny człowiek. Skusił się na pracę dla aurelitów, ale jestem pewien, że robił to wyłącznie dla nauki.

– Trochę jak ty? – Wilecki uśmiechnął się nieco demaskatorsko.

– Bardzo śmieszne. Jaka jest ta twoja teoria?

– O ile pamiętam, z naszej ówczesnej korespondencji dowiedziałem się o tajemniczych kapłanach przybyszach, którzy podarowali wiedzę pewnemu dostojnikowi rzymskiemu. A to zaowocowało później powstaniem potężnej gnostyckiej sekty, która istniała aż do dziesiątego wieku. Tak wtedy mówiłeś.

– Nie mogłem ci wtedy powiedzieć wszystkiego – przyznał Link.

– Wiem. Chociaż kilka lat później pisałeś do mnie o aurelitach już bardziej otwarcie, bo uznałeś, że twoje życie jest zagrożone i ktoś musi tę wiedzę od ciebie przejąć.

– I dobrze wybrałem. Nikt nie umiał być tak dyskretny jak ty. Potrafiłeś prowadzić badania bez naruszania dzisiejszych

tajemnic aurelitów.

– Jeszcze sześć lat temu miałem ich za półlegendarne bractwo, a ich ewentualną działalność traktowałem jako artefakt antropogeniczno-historyczny. Interesowali mnie tylko jako zjawisko, które wywarło pewien wpływ na niektóre poglądy określonych grup religijnych z wieków średnich.

– I o to chodziło. Dla twojego bezpieczeństwa. A w swoim czasie miałeś dowiedzieć się prawdy.

– I się dowiedziałem. Ale wróćmy do sprawy. Dziś wiemy, że aurelici nie tylko wciąż istnieją, lecz mają także ogromny wpływ na politykę globalną, nie tylko zresztą mocarstw. Nowy Wielki Mistrz odsunął religię na dalszy plan, a priorytetem stały się biznes i wpływy. Ale mnie w tej chwili ciekawią przede wszystkim owi kapłani przybysze.

– I to jest ta twoja teoria? – Link westchnął.

– Po prostu powiedz mi o nich wszystko, co wiesz.

– To półlegendy.

– Dlaczego jesteś temu tak niechętny? – Wilecki skrzywił się z lekkim zniecierpliwieniem.

Szwajcar przez chwilę nie odpowiadał, poprawiał się nerwowo w fotelu, jakby walczył z własnymi myślami.

– Bo nie wiem, co chcesz z tym zrobić – wypalił wreszcie. – Nawet jeśli byś cudem znalazł jakieś rozwiązanie, to co zrobisz? Zorganizujesz misję ratunkową?! Myślisz, że jesteś w stanie sobie lepiej poradzić w takiej sytuacji niż Lorent, w dodatku w towarzystwie Haiku?

– Nie wiem. Ale nie możemy czekać bezczynnie. Zróbmy to, co umiemy najlepiej, a więc użyjmy naszych umysłów, a w razie czego do realizacji przedsięwzięć, o których przed chwilą wspomniałeś, znajdą się chętni z Baleą na czele. I ty mu w razie

czego podsuniesz kierunek działania.

Link spuścił bezradnie głowę.

– Przyjacielu... chyba to wino jednak zbyt gwałtownie na ciebie podziało.

– Idź po te kopie, proszę! – rzekł z naciskiem Wilecki.

– Jak chcesz – odparł zmęczonym głosem Link. Wstał z fotela i wyszedł do pracowni.

Chwilę nieobecności profesora Wilecki wykorzystał na rozejrzenie się po salonie, który od ostatniej jego wizyty raczej niewiele się zmienił. Eberhard Link żył jak dawniej – samotnie, wyłącznie wśród zaufanej ochrony, otaczając się antycznymi meblami nie zawsze pasującymi do siebie. Duży, dębowy stół, przy którym właśnie siedział Bogdan, był ciężki, a nawet toporny. Zupełnie odmienne w stylu były zaś rokokowe szafki i stoliczki, które – na zmianę ze zdecydowanie już dwudziestowiecznymi barkami – ustawiono pod ścianami. Sprawę ratowały dość obszerne okna wychodzące na południowy ogród. Czyniły salon w miarę jasnym i mniej dusznym niż podobnie zagracone pomieszczenia, którym pożałowano nawet naturalnego światła.

Profesor Link znalazł potrzebne dokumenty w kilka zaledwie minut, pojawił się ponownie i położył na stole trzy dość obszerne teczki.

– Tu są kopie tej książki? – spytał Wilecki.

– Mój profesor był ostrożny. Skopiowane są tylko niewielkie fragmenty potrzebne do analizy symboli. Reszta to notatki, które sporządzałem w tajemnicy już po naszych spotkaniach. Wbrew jego woli.

– Na szczęście.

– Jak już ci mówiłem, nigdy nie zdradził mi całej tajemnicy.

Wiem tylko, że pracował przez dość długi czas dla pewnego włoskiego arystokraty posiadającego wyjątkową kolekcję niezwyklej białych kruków. Nigdy nie wyjawiał mi jego nazwiska. Nie mam nawet pojęcia, gdzie ów zbiór się mieści. Ale trochę wiem o jego zawartości.

– Kiedy się domyśliłeś, że to byli aurelici?

– Znacznie później. A, jak podejrzewam, profesor pracował nie na zlecenie włoskiego arystokraty, tylko na prośbę Aureila. Ale to tylko przypuszczenie. Z Baleą nigdy na ten temat nie rozmawiałem.

Wilecki skinął głową.

– Próbuję przypomnieć sobie nasze rozmowy sprzed lat. Nazywałeś to chyba *Błękitną Księgą*?

– Nie widziałem nigdy oryginału, ale ta umowna nazwa pochodziła podobno od dziwnego koloru papieru, na którym została napisana.

– Pokażesz mi fragmenty, które mówią o przybyszach?

– Bogdanie, w tej księdze nie ma mowy o żadnych przybyszach – odparł spokojnie Link. – Mylisz ją z *Rocznikami Aureliusza Marcellina*, które on nazywał *Solisolidami*.

– Aj... – Wilecki otworzył szerzej oczy.

– Ich obszerne fragmenty profesor musiał mi pokazać, bo tylko dzięki nim można było próbować rozszyfrować pismo. – Link przez chwilę się zastanawiał, a potem dokończył: – Pismo przybyszów.

– I nie zastanowiło cię to już wtedy?

– Nazwisko Marcellina nic mi wówczas nie mówiło, a profesor przedstawił mi go jako dostojnika rzymskiego z czwartego wieku. Nic o nim nie wiedziałem, nigdy mi oczywiście nie wspomniano, że był założycielem potężnego

bractwa. Historia o Marcellinie właściwie milczy, co jest zasługą najprawdopodobniej Konstantyna. No i w tamtych czasach ówczesne księgi pełne były przybyszów, proroków i Bóg wie kogo jeszcze, pod warunkiem że słowa brzmiały tajemniczo. Nawet nad kołyską rodzącego się Chrystusa masz przybyszów pod dostatkiem, i to nie tylko tych z ksiąg kanonicznych, lecz także z apokryfów. Na przykład trzech czy według innych wersji trzydziestu trzech króli, a tak naprawdę mędrców. Pamiętasz ten błąd w tłumaczeniu z greki? A wracając do *Błękitnej Księgi*. Dla mnie fascynujące były wtedy przede wszystkim wiek dzieła i płynąca z tego wiedza historyczna. – Postukał palcem w jedną z teczek. – No i oczywiście ten język.

– Rozszyfrowaliście go?

– Po to do mnie przyszedł. Sam pracowałby nad tym dwa razy dłużej. A ja już wtedy specjalizowałem się w analizach śladów najstarszych języków świata. Ten... był zdumiewający. Odkryliśmy w nim zasady podobne nawet do łaciny, ale co najdziwniejsze, poza tym nie posiadał absolutnie żadnych podobieństw frazeologicznych, w ogóle leksykalnych do niczego innego.

– To aż tak dziwne?

– Oczywiście! – Eberhard Link zaczął mówić z pasją.

– Łacinę z tego punktu widzenia dużo więcej różniło od japońskiego niż od tego z *Błękitnej Księgi*! Nie mówiąc już o takich językach jak bo czy szyisun. Ale wtedy zaczęło się najlepsze! Po tygodniach badań właściwie przypadkiem natrafiłem wreszcie na semantyczne, brzmieniowe, a przede wszystkim znaczeniowe podobieństwa do co najmniej trzech innych języków. Właśnie kultury Bo, plemienia Dogonów i - co już najdziwniejsze – do borealnego, czyli najstarszego

wymarłego języka, który jako tako znamy.

– A cały wic tkwi w tym, że...

– Bo, to kultura preazjatycka z okolic wspomnianego przez ciebie Sentinelu powstała pięćdziesiąt tysięcy lat przed starożytnym Rzymem, Dogonowie to ludy saharyjskie, a borealny to jeszcze inna strona świata. Kompletnie różne miejsca, a niektóre sformułowania brzmiały łudzaco podobnie. *Sol-solidy* Marcellina za pomocą greki i łaciny tłumaczą, jak wymawiano symbole przybyszów. To właśnie był największy skarb. I teraz pomyśl: po pierwsze, wiele wyrazów cechuje zadziwiające podobieństwo, po drugie, znaczenia również są zbliżone, po trzecie, oprócz tego, co łączy te trzy języki z błękitnym, w pozostałych elementach systemu leksykologicznego są kompletnie inne.

– Czyli języki bo, Dogonów i borealny łączy tylko to, co łączy je z językiem z *Błękitnej Księgi*?...!

– Właśnie!

Wilecki wziął kilka głębszych oddechów.

– To niesamowite!

– Właściwie niemożliwe – zauważył Link. – Nic logicznie tego nie tłumaczy prócz niezwykłego przypadku. Zwłaszcza że błękitnego nie mogłem zakorzenić w niczym innym. Jakby rzeczywiście spadł nam kosmosu. Nie mogłem znaleźć żadnego pochodzenia. Niczego, co by można było posądzić o jego „przodka”. Język znikąd, który „pożyczył” kilkadziesiąt sformułowań trzem kompletnie różniącym się od siebie historycznie i - uprośmy - gramatycznie, językom.

– Zupełnie jakby ktoś odwiedzał przedstawicieli tych ludów – podjął natychmiast Wilecki. – I uczył tak skutecznie, że byli skłonni przejąć część znaczeń mowy przybyszów.

– Bogdanie, ale jak?! Najpierw pięćdziesiąt tysięcy lat temu ktoś przybywa do ludu Bo, dwadzieścia tysięcy lat później do Dogonów, a w międzyczasie jakoś, nie mam nawet odwagi postawić teorii jak, wpływa na język borealny. Nie ma na to wytłumaczenia.

– Oprócz tego, które sugeruję od początku naszej dyskusji – upierał się Wilecki.

– Właśnie dlatego niechętnie zgodziłem się na rozmowę o tym. Jak wiesz, uwielbiam prowadzić z tobą dysputy naukowe, ale teraz jestem przekonany, że targają tobą emocje i natychmiast zaczniesz wyciągać nielogiczne, wybacz – nawet szalone w swej wymowie wnioski. Masz świadomość, że emocje źle wpływają na naukę. Jeszcze chwila, a zaczniemy mówić jak Däniken, a wtedy ja... jak to wy Polacy mówicie – wymiękam.

– A ty jak to wtedy tłumaczyłeś i jak to tłumaczysz sobie teraz?

– I wtedy, i teraz tak samo. Lepiej przyczynę uznać za jeszcze nieodkrytą, niż na siłę wymyślać dyrdymały. Jest sporo tajemnic nie gorszych niż ta. Kule z Ottosdal – metalowe, z wyraźnymi liniami wyrzeźbionymi... ponad dwa miliony lat temu, jeszcze starsze narzędzia z Tuolumne Table, kubek z Wilburton z epoki... dinozaurów. W ogóle tajemniczy jest sam fakt istnienia na przykład piramid w wielu kulturach starożytnych, które nie miały ze sobą żadnego kontaktu; Egipcjanie, Mezoameryka, piramidy kultury Moche i tak dalej. Możemy tłumaczyć to kosmitami, załamaniem czasu, boskimi cudami albo nawet błędami pomiarowymi lub... pokornie przyznać, że... jeszcze nie wiemy. I ja się tego nie wstydzę. Po prostu jeszcze nie wiem. I ty też, zanim komuś namieszasz w głowie, powtarzaj za mną: n i e wiem. Możesz w swoim języku.

Naprawdę zdrowo jest czasem przyznać, że czegoś się po prostu nie wie.

– Jak Marcellin opisał przybyszów? – spytał spokojnie Wilecki, doczekawszy końca wykładu na temat naukowej pokory. – Mówię o tych pamiętnikach, czyli *Rocznikach*.

Link otworzył jedną z teczek i przewertował kilka kartek.

– Aureliusz Marcellin mimo genialnego umysłu był dość mitomański i przy tym nieco pretensjonalny. Każdemu wydarzeniu, o którym pisze, nadaje znaczenie wiekopomne i ponadczasowe. O zwykłym drzewie rosnącym niedaleko domu potrafił pisać jako o *szponach wczepiających swe ostrza w niebo*. i tak dalej, na wszystko więc brałbym poprawkę.

– Biorę poprawkę. Co mówił o przybyszach?

– Jak wiesz, sam nie był zbyt skromny, ale ich opisywał czasem jako równych sobie, a bywa że nawet jako „przewyższających go zmysłami”. Posłuchaj: *Umieli być szybcy jak jaguar. Umieli mówić bez słów. Dawali mi wiedzę i ja im ją dawałem. Byli potężni, jak i ja jestem potężny i takie tam*.

– I takie tam? – Wilecki zmrużył oczy, nieco zgorszony postawą Linka. – To dokładne tłumaczenie?

– Jaguary to raczej zwierzęta amerykańskie, choć pewne wymarłe już formy żyły w Afryce, Azji, a nawet Europie i Rzymianie je znali. On użył słowa *panthera*.

– Nie o to mi chodzi. Napisał, że byli wyjątkowo szybcy i umieli „mówić bez słów”?

– Potem dam ci to do przeczytania. Oczywiście większość *Roczników* dotyczy codziennego życia, współczesnej mu polityki, obyczajowości cesarstwa wschodniego czy ówczesnej sztuki i nad tymi fragmentami również sporo pracowałem. Ale te najbardziej, tajemnicze o przybyszach, choć stanowią raczej

mniejszość, są trzeba przyznać – niezwykle.

– Jak wyglądali?

– Pisze, że tak jak my, choć *ich czoła dumniejsze były, a oczy pełne cnoty...* Cały Marcellin. Powinien żyć w baroku, nie w starożytności. Opisuje poza tym dziwne stroje tak: *sztynno skrojone, pełniejsze i z tkanin nieznanymi ani mnie – Aureliuszowi – ani umysłowi mojemu.*

– Był Kapłanem Wiedzy, jednak nawet jego pamięć nie zanotowała tworzyw, z których były uszyte, a może skonstruowane – zauważył czujnie Wilecki.

Link westchnął ciężko.

– Bogdanie, Kapłani wiele wiedzieli i wiele pamiętali, ale na Boga, nie wszystko!

– Skoro miał ich za równych sobie, czasem nawet za hojniej wyposażonych w wiedzę, ci przybysze musieli również być Kapłanami.

– Raczej tak. To przyjąłem niemal za pewnik, rzecz jasna od momentu, w którym w ogóle dowiedziałem się o Kapłanach Ścieżki Wiedzy. Aureliusz jednak nigdzie nie pisze, ilu było przybyszów. To jest właśnie dla mnie najbardziej podejrzane. Kiedy relacjonuje spotkania patrycjuszy, dysputy filozoficzne czy wizyty na dworze, jest niezwykle dokładny. A tu notuje po prostu: *Dziś znowu do mnie przybyli* albo: *Nawiedzili mnie w nocy, a nad ranem odeszli.* Jakby opisywał sny. Taka niedokładność jest u niego nienaturalna. Dlatego, jak sądzę, te fragmenty są najmniej wiarygodne.

– Wymyślił sobie owych przybyszów?

– Może... Ale może jednak kogoś spotkał, tyle że po prostu wyolbrzymił jego znaczenie, w celu zaś nadania sobie mesjanistycznej roli odpowiednio ukierunkował opowieści, aby

jego uczniowie traktowali go tak, jak trzysta lat wcześniej traktowano Chrystusa.

– Twoja teoria?

– Zupełnie prywatna i nieoficjalna. Myślę, że spotkał na swojej drodze Kapłana z innej linii. Sprytnego manipulanta mającego swoje polityczne cele i wykorzystującego swój dar dość przyziemnie i egoistycznie. Temu komuś zależało na powstaniu sekty. Ten ktoś nienawidził chrześcijaństwa. Temu komuś wiedza i potęga umysłu umożliwiła napisanie *Błękitnej Księgi*, wciśnięcie jej Marcellinowi i jednocześnie przekonanie go o biblijnym znaczeniu przekazu.

– A więc był tylko jeden?

– Moim zdaniem tak. Aureliusz rozmnożył ich, by wywrzeć większe wrażenie na uczniach. A przyziemna prawda była taka, że podzielił się wiedzą z innym Kapłanem. Miał przy tym dużo szczęścia. Żył w tym samym czasie, co ten inny Kapłan, a już to jest niezwykle i jeszcze natknął się na niego pod Rzymem, gdzie wówczas mieszkał.

– A ten język?

– Tu mam sporo teorii. Błękitny język mógł pochodzić z dalekiej pamięci Kapłana przybysza. Posługiwał się nim, aby oczywiście zadziwić erudycją. Odrzucam pomysł, że sam taki dialekt opracował. Wiedzy i potencjału z pewnością by mu do tego starczyło, ale co wtedy sądzić o elementach tego języka w bo czy w borealnym? Chyba że zrobił to na tyle sprytnie, że – znając wspomniane już języki – umiał odpowiednio połączyć ich wspólne cechy, a resztę oparł na podstawach lingwistycznych, które znał jak każdy Kapłan doskonale. Ale to raczej mało możliwe. Mam jeszcze kilka teorii, jednak widzę twoje nastawienie i wiem, że raczej byś je odrzucił. Dla ciebie

Kapłan przybysz lub Kapłani przybysze sfrunęli z gwiazd. Ja nie mam na to dowodów.

– Mówiłeś, że *Roczniki* są pisane w kilku językach?

– Tak. Pisał łaciną, greką i właśnie błękitnym. Domyślam się, jaki mógł mieć charakter, więc jest niewykluczone, że naśladował trochę Biblię, której różne fragmenty pierwotnie też były pisane trzema różnymi językami; po aramejsku, grecku i hebrajsku. Ale to tylko takie może złośliwe myśli.

– Przez swoją megalomanię stworzył dla nas nowy kamień z Rosetty. – Wilecki uśmiechnął się półgębkiem.

– Niemal tak. Nie dosłownie, dlatego pracy było przy tym dużo, ale jednego jestem pewien; znał język błękitny bardzo dobrze, niektórzy jego uczniowie również.

– Opisuje, jak wszedł w posiadanie *Błękitnej Księgi*?

– Nie wprost. Dokładnie więc nic na ten temat nie wiem, ale *Solissolidy* wskazują, że traktował ją jak świętą księgę. Nie tylko uwierzył w wyłożoną tam religię, lecz także dał się przekonać, że on sam jest jednym z proroków, odpowiednikiem powiedzmy. Mojżesza. A *Błękitna* kusila, jak choćby w najbardziej bezpośrednim, że tak powiem sztandarowym, fragmencie: *Nie szukaj zemsty, a wtedy to twoje będzie królestwo. Znajdź największy cień i ukryj w nim siebie i braci swoich. Znikną z Ziemi wszelkie potęgi, upadną cesarstwa i najwięksi władcy, a Ty i bracia twoi przetrwacie aż do Czasu Czarnych Luster.* To ewidentna wskazówka i sugestia, że on – Marcellin – jest tym, który ma to uczynić!

– Oczywiście. Nie szukaj zemsty na cesarzu Konstantynie za porażkę na soborze nicejskim, zbierz swoich uczniów, ukryj się, a to ty zostaniesz prawdziwym zwycięzcą, a twoje dzieło będzie trwało po wieki.

– Tak. Po lekturze tego, do czego miałem dostęp, mogę śmiało ci powiedzieć, że autor zastosował te same psychotechniki, co ewangeliści w Biblii. Z pewnością doskonale znał ich pisma, które później stały się Nowym Testamentem, a przede wszystkim wiedział, jak interes przekuć w coś, co wtedy było bronią najpotężniejszą – w religię.

– A te czarne lustra?

– Nie wiem. Kolejne symbole lub celowy zabieg, aby było tajemniczo. Czas Czarnych Luster rozumiem jako tak nazwany koniec świata, odpowiednik apokalipsy, do której opisu mój profesor mnie nie wprowadził. Niestety. Mogłoby być jeszcze ciekawiej. Zresztą oprócz jasnych jak słońce symboli jest sporo metafor trudnych do odgadnięcia – jak fragment o wielkich siostrach. Poświęcił temu cały rozdział. Posłuchaj. – Link znowu sięgnął do notatek, ale już z innej teczki. – *Dwie Wielkie Siostry o sercu jednakim krwawić będą, póki otchłań między nimi. Te same słońca nad ich duchami panować będą, te same noce dawać odpoczynek im będą. Ale nie ujrzą się już nigdy, aż połączy ich koniec żywota – Czas Czarnych Luster.*

– Znowu ten Czas Czarnych Luster. – Wilecki się zastanowił.

– Jak mówiłem, to ewidentna metafora apokalipsy. A dwie rozdzielone siostry o wspólnym sercu, bo tak to rozumiem, nasuwają sporo skojarzeń, lecz o żadnym księga nie przesądziła. Może miał na myśli cesarstwo wschodnie i zachodnie? Może podział chrześcijaństwa? Ale to raczej odrzucam. Autor czy autorzy zbyt dużą niechęcią traktowali tę religię. Nawet kiedy jeszcze nie połączył jej kanon. Możliwe też, że to komentarz polityczny, ale do czego... trudno mi się domyślać. Chcesz to wszystko przejrzeć?

– Jeśli pozwolisz. Wezmę się za to od razu. Jutro niestety

muszę lecieć do Polski.

– Szkoda. Mam świetne nowe materiały z badań na stanowiskach z S104.

– Obiło mi się o uszy w Londynie. Prowadzi Langdon?

– Tak, i przekazuje mi od razu wszystko, co odkopią i wyczyszczą. Pokazałbym ci ciekawe rzeczy. Naprawdę szkoda.

– Też żałuję. Celtowie?

– Głównie, ale nie tylko. – Szwajcar uśmiechnął się tajemniczo.

– Następnym razem.

Link pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Nie poznaję cię. Jeszcze niedawno rzuciłbyś się na to jak dzieciak na cukierki.

– Stałem się cierpliwy – skłamał gładko Wilecki. – Poczekam na pełniejsze opracowania. A jak już ci mówiłem, w Londynie trochę o tym słyszałem.

– Udam, że wierzę w to, iż zyskałeś pokorę w stosunku do nauki. A co z twoimi teoriami? Coś z tego, co ci powiedziałem, pomoże w waszej sprawie? – spytał niewinnie Link, zręcznie ukrywając niepokój.

– Przejrzę to rzecz jasna, aby mieć poczucie, że zrobiłem wszystko, co trzeba, ale rzeczywiście chyba miałeś rację. – Wilecki westchnął. – Niewiele tego i raczej trzeba będzie sprawę włożyć między artefakty.

Profesor Bogdan Wilecki oczywiście kłamał także i tym razem. Rozmowa jednak była sprawiedliwa. Eberhard Link również nie był do końca szczerzy wobec przyjaciela. Nie tylko ukrył przed nim nazwisko Stevena McCendricka, lecz przede wszystkim mijał się z prawdą, twierdząc, że nie

wiedział, z kim dokładnie pracował Australijczyk. Siriego nie znał, jednak Giovanniemu DiPoleniemu ufał najbardziej ze wszystkich aurelitów.

Dwie Wielkie Siostry o sercu jednakim krwawić będą, póki otchłań między nimi. Te same słońca nad ich duchami panować będą, te same noce dawać odpoczynek im będą. Ale nie ujrzą się już nigdy, aż połączy ich koniec żywota – Czas Czarnych Luster – przeczytał Luigi Balea.

– I jeszcze w jakichś fragmentach ten Czas Czarnych Luster się pojawia?

– Tak. Kilkakrotnie – potwierdził Giovanni DiPoleni. – Ale zawsze dość jednoznacznie, niezależnie od tego, jak głęboka jest metafora. Moim zdaniem to ponad wszelką wątpliwość przewidywana katastrofa kosmiczna bądź religijna lub jedno i drugie jednocześnie. W każdym razie – koniec rzeczy, jakkolwiek byśmy to rozumieli.

– Albo wręcz przeciwnie – wtrącił Andrea Villon. – Siostry, o których mowa, ma połączyć Czas Czarnych Luster. Może to czas wiecznej szczęśliwości? Nirwana, koniec udręk?

DiPoleni pokręcił głową z powątpiewaniem.

– Jeśli ktoś pisze „koniec żywota”, to raczej bym tego nie uznawał za wyjątkowo szczęśliwe wydarzenie. Zresztą samo określenie symbolu jako „czarne lustra”. To nie brzmi sielankowo.

– Niekoniecznie – nie rezygnował Villon. – W niektórych kulturach Wschodu to kolor biały był i jest symbolem żałoby, a czarny – barwą uroczystą. A to nie to samo. W większości religii koniec życia na tym naszym łożu padole jest momentem szczęśliwym. Przenosimy się do lepszego świata, spotykamy się

z Bogiem. Czarne lustro może tu więc oznaczać najwyższą powagę, podniosłość. Patrzymy w nie, bo jest w nim zawarte podsumowanie naszego życia, istnienia tutaj.

– To szerszy symbol – włączył się Luigi Balea. – Dotyczy albo całej ludzkości, albo nawet całego życia na Ziemi. Dwie siostry mogą uosabiać dwoistość natury ludzkiej. Dobro i Zło. Być może opisywany tu koniec jest momentem, w którym odwieczny konflikt zakończy pojednanie i doskonałość; nie będzie już dobra i zła, a dylematy moralne stracą rację bytu. Bóg nie jest dobry ani zły. Bóg jest wszystkim. Jest doskonałością; zarówno światłem, jak i cieniem. Jest prawidłowością. Bóg nie dokonuje wyborów, bo sam w sobie jest każdym możliwym rozwiązaniem, inaczej natura boskości traciłaby sens. Stworzył nawet Szatana, który go zdradził i który zesłał na ludzkość tyle cierpień. Nasze życie to ułuda dobra i egzamin wprowadzający do przyszłości. Szatan na tronie paradoksalnie uczy nas pokory wobec daru życia. Choć wydaje mu się, że triumfuje, jest jak wszystko – tylko narzędziem. Istnienie jako takie również nie jest ani dobre, ani złe. Jest jedynym najdoskonalszym rozwiązaniem. Jest jedyną prawidłowością. Alternatywa nie istnieje, a etyka, moralność, pragnienie dobra są właściwościami czysto ludzkimi, nie boskimi. Potrzebnymi do tego, co dla nas najważniejsze – do myślenia. Bo intelekt jest tym, co nadaje naszemu życiu bieg i ogólny sens.

Nastała dłuższa cisza.

– Nikt w tamtych czasach nie odważyłby się na żeńską metaforę wobec Boga czy nawet Szatana – odezwał się wreszcie Villon. Poza tym znak równości między nimi – dwie siostry o sercu jednakim – jest nie do pomyślenia w żadnej religii. Nie chodzi tu więc być może o osoby i dlatego zgadzam się z twoim

założeniem, Luigi.

– Sądźcie więc, że Czas Czarnych Luster to nie koniec, oznaczający zwycięstwo jednej ze stron, dobra lub zła, tylko stan równowagi. Powrót do odwiecznej jedności? – spytał dla porządku DiPoleni.

– Tak – odparł, wciąż mocno skupiony Balea. – Jak się zaczęło, tak też się skończy. Na początku nie było materii, antymaterii, światła, cienia, nie płynął nawet czas. Bóg stworzył życie, istnienie, a na końcu sprowadzi wszystko znowu do bezkresnej równowagi.

– Lubię, jak płynie czas. – Villon się skrzywił.

– Dlatego nie wierzysz w religię naszych braci sprzed lat – skwitował Luigi z uśmiechem. – A ty nie rób takiej zgorszonej miny – rzucił do Strażnika. – Nie bój się, nie spalimy cię na stosie, mimo że prawdopodobnie ty też jesteś niedowiarkiem jak i my. Nie spotkaliśmy się tu, aby osądzać, tylko by spróbować znaleźć klucz do rozwiązania zagadki, gdzie teraz jest Krzysztof Lorent. To on skierował nas na ten ślad, szukajmy więc dalej. Nasz Wielki Kapłan Ścieżki Wiedzy jest nam winien kilka wyjaśnień, rozmów i pouczających bajek na dobranoc.

– Bajki bym sobie darował – mruknął Villon.

– Radzę ci, nie popełniaj tego błędu, mój drogi nauczycielu. – Luigi wzniosł w zamyśleniu oczy ku górze. – Nawet nie wiesz, jak bajki naszego drogiego Krzysztofa potrafią być pouczające. Ale prastary obrzęd Nocy Kapłanów, przy całym szacunku do braci aurelitów sprzed wieków, rzeczywiście sobie darujemy. Nigdy nie lubiłem zbędnych formalności.

ROZDZIAŁ 9

Anithsanu jechała szybko i pewnie. Wchodziła w zakręty z dużą prędkością i przy niewielkim poślizgu, słyszalnym nawet w środku *ka*, idealnie mieściła się między pojazdami jadącymi obok.

– Nie zatrzyma nas jakaś policja miejska, jeśli dalej będziesz tak jechała?! – spytał z trwogą w głosie Dybcio.

– Nie. To samochód PTT i każdemu gliniarzowi natychmiast wyświetli się to na komputerze ręcznym.

– Masz jakiś plan? – mruknęła Yasuko.

– Tak.

– Wiem, że jesteś trochę zajęta, ale może byś powiedziała na ten temat nieco więcej niż „tak”?! – jęknął Czesio.

– Ja się tym zajmę – rzuciła w jego stronę Kimura. – Nie musisz przypadkiem czegoś nagrać na dyktafon?

– Ciągłe nas porywają! Strzelają do nas! Nie mieliśmy tu ani jednej spokojnej chwili! Jak wy tu możecie żyć?! – biadolił wciąż Dybcio. – Co mnie podkusiło.

– Trochę w tym racji – stwierdziła kwaśno Yasuko, a spojrzawszy na Lorenta siedzącego w milczeniu z jak zwykle doskonale spokojną miną, spytała: – Czy ty zawsze musisz grać Matkę Teresę? Źle nam było w naszym świecie? Musieliśmy się tu pchać?

– Tobie też dzieciak stał się bliski – odpowiedział cicho. – Wiedziałaś, że nie kłamie i że być może tylko my możemy mu pomóc. Nic się nie zmieniło. Ale Yovita nie zna swoich

prawdziwych wrogów. Jak zawodny potrafi być nawet genialny umysł...?

– Nie jesteśmy bogami – odparła twardo Haiku. – Wszystkich nie uratujemy.

Kapłan bez trudu zauważył, że na wspomnienie chłopca Yasuko zadrżał głos. Mówiła dalej w swoim nonszalanckim stylu, ale przed Lorentem nie zdołała ukryć wzruszenia.

– Yovita jest ważniejszy, niż myśleliśmy – ciągnął wyważonym tonem. – Włożono sporo wysiłku, by nas tu ściągnąć i unieszkodliwić. W czymś niesłychanie istotnym przeszkadzaliśmy jego wrogom w naszym świecie, a teraz – jak się okazuje – jeszcze bardziej jesteśmy kłopotliwi w tym. Jednego tylko nie mogę wciąż pojąć, po co ściągnęli tu jego? – Spojrzał na Dybcia.

– Przypadek. – Kimura wzruszyła ramionami.

– Raczej nie. – Kapłan pokręcił powoli głową. – Zwróciłem uwagę, jak bardzo naciskała na to Vilestea, a wcześniej Yovita pod wpływem tego, co miał spakowanego i zaprogramowanego w swoim mózgu.

– Po co go zabijać? Przegrałby pojedynek na pięści z pasikonikiem.

– Aleś ty rozkoszna! – Czesio się skrzywił.

– Może to nie jego chcieli zabić, ale nas – kontynuował Krzysztof. – On być może był potrzebny im żywy.

– Ciekawe jest pole magnetyczne w tym samochodzie – przerwał nagle ogólne rozważania na swój temat Dybcio. – Powinno nas przecież rzucać na boki.

– To wszystko jest ukartowane – odezwała się nagle Anithsanu.

– Co ty powiesz... – mruknęła Yasuko.

– Nie rozumiesz – upierała się policjantka. – Ostatni napad był jedną, wielką ściemą.

– Rany! Jakie słownictwo! – ucieszył się Czesio, po czym natychmiast spoważniał, bo po sekundzie dotarł do niego sens słów dziewczyny. – Jaka... ściema?!

– Właśnie – przytaknęła Kimura. – Jaka?

– To rozkaz Suara876. Mieliśmy zaimprovizować kolejny zamach, aby przez nieustanny stres i naciski zmusić was do szybkiej współpracy. Frotrua miał wyskoczyć z wozu, kierowca udawać rannego, a ja odwieźć was teraz do miejsca zwanego Sui, gdzie czekali już wasi nowi ochroniarze, których zadaniem było przygotować was do akcji zaplanowanej na samej górze.

– Akcji?! – Lorent na chwilę stracił swoje słynne opanowanie i przestał ukrywać zaskoczenie. – Jakiej akcji?

– Nie znam szczegółów. Frotrua też nie zna.

– I teraz nie jedziemy do Sui?

– Nie. Jedziemy w przeciwnym kierunku.

– Nie namierzą nas systemami komputerowymi? – spytał całkiem sensownie Dybcio.

– Nie. W każdym razie nie od razu. Przygotowałam odpowiednio *ka* tuż przed wyjazdem z bazy. Za chwilę wyłączę jego identyfikację.

– Zdradzasz swoich czy pakujesz nas w jeszcze większe kłopoty? – dociekała Yasuko.

– Nikt nie jest tym, za kogo się podaje, co? – Anithsanu uśmiechnęła się.

– Nie odpowiedziałas.

– Nie odpowiedziałam.

– Dokąd jedziemy?! – naciskała Kimura. – Tym razem nie

pozwoleń nas wpakować pod kolejne celowniki karabinów!

– Ratuje wam życie! – odpowiedziała poważnie agentka. – I byłabym wdzięczna, żebyście w tym nie przeszkadzali.

– Jak mamy zaufać Anennence?

– Nie jestem Anennenką.

– Co?!!! – huknęli niemal równocześnie Haiku i Dybcio. – Nie jesteś z tego kraju?

– Nie jestem nawet z tego układu czasowego – wyjaśniła spokojnie.

– Jak to możliwe?!

– Może nie jesteśmy z tych samych krajów, ale z pewnością pochodzimy z tego samego świata. Jestem agentką brytyjską, pracującą od ponad siedmiu lat w układzie A.

– Bry... co?!!! Dla kogo dokładnie pracujesz?! -spytała ostro Haiku.

– Jezu, James Bond... – jęknął płacząco Czesio. – I to wyperfumowany, z twarzą i figurą modelki.

– Jestem też waszą jedyną nadzieją na wydostanie się stąd. – Anithsanu wciąż patrzyła uważnie na drogę, nie zwalniając tempa. – Zainteresowani?

Z dyktafonu Czesia

Będzie chyba krótko. Zamiast spokojnej relacji naukowej jest taki obciach, że trudno uwierzyć. Czuję się, jakbym zasuwał po froncie w Iraku za „najweselszych” tamtejszych czasów. W każdej chwili mogę przerwać, bo jedziemy szybko i cholera wie, dokąd. Policjantka prowadzi jak wariatka, ale mimo że to, czym jedziemy, wygląda jak samochód, podobnie jak w resach trzymają nas za tyłki jakieś pole magnetyczne, dzięki czemu na zakrętach właściwie nie czujemy siły bezwładności. Mam nadzieję, że to nie szkodzi zdrowiu. Nudno raczej nie jest i okulary mi parują co

chwilę, ale już czuję, jak mi rosną wrzody w żołądku. Laska, którą braliśmy za agentkę tutejszych służb specjalnych, zapodała przed chwilą taki tekst, że nawet gdybym nie gadał do dyktafonu, wciąż miałbym otwartą szeroką szczękę. O tym później, bo i tak nie mam pojęcia, ile w jej gadce jest prawdy. Na razie nie mamy wyjścia. Musimy uciekać. Krzysiek to jakoś na pewno obczai, bo ma łeb jak sklep, a Japonka raczej nie popuszcza. Oboje są niczym pół armii. Czyli, razem są całą armią. Na szczęście teraz mnie chyba nie słyszą, bo nachylili się do policjantki i próbują z niej coś wydusić.

Miasto, które od kilku godzin „zwiedzamy”, jak się okazuje ma nie tylko eleganckie i nowoczesne centrum, ale i coś na kształt slumsów. Od paru minut jedziemy po takiej właśnie dzielnicy. Uliczki małe, zabudowania z dziwnych materiałów, które zanalizuję później, ale widać na pierwszy rzut oka, że interesy nie idą tu najlepiej. Drogi coraz węższe, a laska nie zdejmuje nogi z gazu. Ten wóz po uderzeniu w ścianę sprzed kilkunastu minut, kiedy to te ich całe służby specjalne świrowały kolejny napad, chyba powinien być trochę uszkodzony. Trudno powiedzieć. Nie wiem, dlaczego mogliśmy się wtedy schować pod stół i to pole nas nie trzymało, a teraz trzyma. Może kierowca odpiął pasy bezpieczeństwa, które tutaj tak akurat działają. Uwaga, powoli zwalniamy. Wjeżdżamy na jakieś wewnętrzne podwórze. Brudno tu i syfiasto. Chyba jesteśmy u celu. Zwalniamy.

– Idziemy – rzuciła przez ramię Anithsanu i wysiadła szybko z wozu.

Haiku dotknęła lekko ramienia Czesia.

– Zostaw już to i skup się teraz – nakazała, rozglądając się uważnie.

– Relacja musi być szczerą – odparł Dybcio. – Niepozobawiona emocji przyporządkowanych konkretnym sytuacjom. Dziejąca się tu i teraz. Prawdziwa do bólu.

Kimura na może dwie sekundy zatrzymała na nim wzrok, jakby był szczególnie skomplikowanym i trudnym przypadkiem

psychiatrycznym, po czym podążyła za policjantką. Kapłan wyszedł ostatni, uznawszy, że najlepiej zrobi, gdy będzie szedł na końcu i ubezpieczał całą wycieczkę.

– Za mną – rozkazała krótko Anithsanu.

– Broń... – zażądała Yasuko.

Policjantka chwilę się zastanawiała, a następnie bez słowa podeszła do bagażnika, otworzyła go i rozkodowała skrzynię, w której był sprzęt Lorenta i Haiku.

Z dyktafonu Czesia

Oddała graty Japonce i Krzyśkowi. Weszliśmy do budynku przez normalne drzwi. Dopiero tu, w jakimś zapyziałym, zakurzonym, dość ciemnym wnętrzu Anithsanu podchodzi do ściany, na której dostrzegam jakąś klawiaturę wyglądającą, jakby ktoś jej używał ostatnio w latach pięćdziesiątych. Dziewczyna coś wystukuje. Otwiera się kawałek ściany, a za nią oczywiście *renderuea*, tylko też jakieś bardziej prymitywne, mniej sterylne... właściwie w ogóle niesterylne. Urządzenie zabiera nas dokądś.

Było dużo głośniejsze i wolniejsze niż te, którymi podróżowaliśmy do tej pory. Zasada podobna, ale różnica jak między windą w Marriotcie a dźwigiem zasuwanym kratką w przedwojennej kamienicy. Nie ma tu nigdzie wewnętrznego parkingu, idziemy długim korytarzem. Pod nogami coś chrzęści, jakby kawałki betonu. Okien też nie ma. Świeci co dziesiąta lampa w ścianie, oczywiście brudnej jak ruski kibel. Nagle mija nas młody mężczyzna. Wymieniają z policjantką dwa słowa i facet zaczyna biec w odwrotnym do naszego kierunku. Dziewczyna mówi, że koleś zabezpieczy samochód. Docieramy do miejsca, w którym wsiadamy do innego *renderuea* i ponownie podróżujemy. Sam bym z powrotem bez wątplenia nie trafił. Tym razem trafiamy od razu do jakiejś jakby, pracowni. Trochę ciemno, ale dużo kabli, antenek i niepracujących monitorów. Idziemy w głąb pomieszczenia. Zza ściany wychodzi ubrany niemal po ziemsku facet około czterdziestki. Łysawy, surowa

twarz, szerokie bary, raczej twardziel z wysokim poziomem testosteronu. Bez słów pokazuje, aby iść za nim. Znowu wchodzimy w kręte korytarze. Po kilku zakrętach dochodzimy do dużej sali. Panuje tu gwar i muszę mówić głośniej. Pomieszczenie ma co najmniej pięćdziesiąt na pięćdziesiąt metrów. Zaskakująco nowoczesne. Wszystkie światła działają, kilkadziesiąt komputerów dotykowych bez klawiatur. To raczej komputery. Głowy nie dam, ale część z obecnych tu siedzi i pracuje, korzystając z nich, część rozmawia w grupkach, inni chodzą, a ktoś nawet biegnie na drugi koniec sali. Dużo ludzi. Nie zwracają na nas uwagi. Mijamy ich po lewej i idziemy wąskim, ale krótkim korytarzem. Łysy otwiera normalne drzwi na klamkę i wchodzimy do środka. On zostaje na zewnątrz. Najwyraźniej to gabinet. Niewielki. Chudy gość w wieku Krzyśka siedzi przy komputerze nie tylko bez klawiatury, lecz także bez ekranu. Dwuwymiarowy, płaski, ale czytelny obraz wychodzący z biurka. Jak w hologramie. Facet dotyka obrazu i wszystko znika. Szkoda. Interesujące. Widziałem coś takiego na filmie *Zapłata* według Dicka.

– *Doia be dialeaetr*, jesteście za wcześnie – przechodzi na angielski.

Nie jest za miły. Mówi chłodno. Ani „cześć”, ani „pocałuj mnie w dupę”. Patrzy jakoś dziwnie na mnie. Muszę wyłączyć.

– Coś nagrywasz? – spytał mężczyzna.

– Tak – odparł hardo Dybcio. – Nagrywam notatki do relacji.

– Relacji z czego?

– A jak myślisz?

– Tak dobrze się bawisz?

– Czy się dobrze bawię? Imprezować potraficie jak mało kto. Może jak na mój gust trochę za szybkie tempo, ale bez wątpienia, jest... wystrzałowo.

– Nie chcę ci tego sprzętu zabierać.

– To nie zabieraj! – wtrąciła ostro Yasuko.

– Ktoś cię prosił o zdanie? – zapytał sucho facet.

– Co to za burak? – rzuciła rozdrażniona Kimura, spoglądając twardo na Anithsanu.

– Spokojnie – mruknęła policjantka. – To jest Lars. Mój agent łącznikowy. Bywa dziwny. – Wpiła w niego ostre spojrzenie. – Ale bywa też profesjonalny. Za chwilę zapomni o nie najlepszym humorze i znowu stanie się świetnym oficerem naukowym, którym jest na co dzień. A to nasi goście – Yasuko, Krzysztof, Czesław.

– Czymś cię dotknęliśmy? – spytał Larsa spokojnie Lorent, rozglądając się po pomieszczeniu, jakby chciał je za chwilę kupić.

– Czy mnie czymś dotknęliście?! – syknął przez zęby agent. – Nie rozumiecie, co się stało?! Właśnie straciliśmy najlepiej zakonspirowaną agentkę w tym kraju. Jest spalona. Przez was. Wiecie, ile czasu zajęło umieszczenie jej w tutejszej PTT?

– Nie prosiliśmy o pomoc. – Kimura zawiesiła na nim swoje niezbyt przyjazne spojrzenie.

– Mieliście posłużyć za przynętę i kolejne źródło wiedzy o B. Potem, jak sądzę, wyeliminowałiby was. Dalej uważasz, że nie potrzebna wam pomoc?

– Posłuchaj koleś – rzekła, znużona już tą przepychanką Kimura. – Nie mam zamiaru dłużej wysłuchiwać tego syfu, który na nas wylewasz. Nie wiem, gdzie jesteśmy i czego od nas chcecie. I nie obchodzi mnie wasza konspiracja. Albo szybko mów, co kombinujecie, albo spieprzamy stąd.

– Wdzięczność nie jest chyba twoją wiodącą cechą. – Lars się skrzywił, wkładając sporo wysiłku, by uspokoić głos.

– Jeśli kiedyś czegokolwiek bym od ciebie chciała, pierwszy się o tym dowiesz. A teraz czytaj z moich ust, bo masz kłopoty ze

słuchem: „O nic nie prosiliśmy”!

– Ile mamy czasu? – spytała nagle Larsa Anithsanu.

– Trochę mamy. Musimy tu ich schować do czasu, kiedy wolny będzie przerzut do Vikilli.

– Znowu nie spytacie nas o zdanie? – włączył się tym razem Czesio.

– A wiecie chociaż, o czym mówimy? – spytał ze sztucznym uśmiechem Lars.

Lorent oczywiście milczał, obserwował i słuchał. Czekał i analizował. Wbrew pozorom miejsce, w którym się znaleźli, mogło okazać się bezpieczne. A to było teraz najważniejsze.

– Jesteśmy w lokalnej jednostce SKKSP – zaczęła tłumaczyć Anithsanu.

– Czyli? – zainteresował się Dybcio.

– To terenowe centrum dowodzenia. Każdy agent SKKSP pracujący w tym mieście tutaj ma swój, jak to nazywamy, „początek smyczy”. Tacy ludzie jak Lars zbierają dane, przekazują je takim jak ja, koordynują działania z centrum i dowództwem oraz przekazują nam rozkazy.

Dybcio od dłuższego czasu drapał się w głowę.

– Nadal nie rozumiem.

– Zajmujemy się między innymi równowagą – wtrącił Lars. Spojrzał kątem oka na agentkę. Jego głos stał się już niemal całkowicie spokojny.

– Między naszymi dwoma układami? – spytał dość beztrojskim pozornie tonem Lorent.

– Właśnie.

– Anithsanu powiedziała, że pochodzi z układu czasowego B. Ty też jesteś od nas?

– Ona jest od was. Ja nie.

– Zdradzasz swój kraj?! Nie mówiąc już o przedstawicielach twojej cywilizacji? – Dybcio nie wytrzymał.

Tym razem agent nie odpowiedział atakiem. Gestem wskazał fotele, aby goście usiedli.

– Nie wszyscy w tym kraju, a także i tej cywilizacji, jak to górnolotnie ująłeś, uważają, że inwigilacja waszego systemu, zdobycie przewagi i agresywne wykorzystanie jej to najlepsze rozwiązanie polityczne. Niestety rząd i organizacje typu mafii Lavała właśnie tak rozumują.

– Przecież Anithsanu to, jak sama przyznała, Brytyjka. Jest naszym szpiegiem nie tylko w obcym kraju, ale na obcej planecie!

– To ta sama planeta – ku zdziwieniu chyba nawet Anithsanu Lars cierpliwie tłumaczył dalej. – Różnimy się tylko miejscem czasowym. Jesteśmy niemal identyczni; biologicznie, intelektualnie, mentalnie. Rozwijaliśmy się osobno, ale zaczynaliśmy razem.

– Nie rozumiem... – zaproponował Dybcio.

– Teoria Sythirga, jednego z najwybitniejszych naszych naukowców w dziejach, mówi, że rozszczepienie czasowe, dzięki któremu powstały oba układy, miało miejsce bardzo niedawno. To kwestia zaledwie pięćdziesięciu milionów lat, licząc po waszemu. Możemy to określić dość dokładnie. Możemy podać datę niemal z dokładnością kilku dni. Jeszcze tysiąc lat i moglibyśmy określić ten czas co do kilku sekund.

– Jak? – spytał Czesio. – I skąd taki wniosek?

– Wciąż się od siebie oddalamy.

– Mówiła o tym Vilestea – przypomniał Krzysztof.

– Tu akurat nie kłamała. Nasza odległość w tej chwili to

jakieś 4,58, licząc w minutach. Po raz pierwszy zanotowano u nas ten czas dość dawno jak na tempo rozwoju człowieka. Tysiąc siedemset lat temu. Od tej pory wciąż to robimy, łatwo więc teraz obliczyć, kiedy stanowiliśmy jedność. Dynamika, tempo tego oddalania są stałe.

– Co się zdarzyło? Dlaczego? – Dybcio poprawił z podniecenia okulary na nosie.

– Nie wiemy. Możemy tylko snuć teorie. Podobnie nie wiemy, jak wyglądał początek świata.

Dybcio ochoczo wszedł mu w słowo:

– Nagle, z zupełnego „nic” zawieszono w „osobliwości”, dla której nie istniała materia, przestrzeń i czas, pod wpływem jednego dość zagadkowego impulsu.

– .Osobliwość przyjęła ramy przestrzenne i zaczęła tworzyć czas – dokończył Lars. – W temperaturze dziesięciu miliardów stopni z szybkością miliona miliardów kilometrów na minutę zaczął powstawać kosmos. materia... grawitacja i cała tablica Healinga, czyli waszego Mendelejewa. Podobnie było z rozszczepieniem czasowym, tylko o wiele, wiele później. W jednej bilionowej części sekundy, trudnej do wyobrażenia cząstce czasowej Ziemia podzieliła się na dwa identyczne światy. Jak zygota.

– To niewyobrażalne.

– To kwestia czasu, nie materii. Prawa rządzące tym momentem są kompletnie dla nas niewyobrażalne. Pojęcie mechaniki kwantowej jest przy tym igraszką. Wiemy, że niektóre istoty, które wówczas żyły, jak dinozaury, zniknęły w jednym momencie na zawsze, inne, jak małe ssaki, które w końcu stały się nami, przeżyły w obu światach. Materia nieożywiona praktycznie pozostała i tu, i tu niezmienną.

– Początek świata: coś... z kompletnie niczego. Podział czasowy: z jednego... dwa.

– Tylko się nie zamieńcie za chwilę w dwa wiekopomne pomniki – mruknęła kwaśno Kimura.

– Rozmawiamy o nauce! – syknął rozentuzjasmowany Dybcio.

– Przed chwilą on warczał na nas jak buldog, a ty za moment mu się oświadczysz – ostrzegła złośliwie Yasuko.

– A teorie wielu światów? U nas rozwinął je między innymi Hugh Everett. – Czesio przestał zwracać uwagę na Haiku.

– Znam jego prace – odparł Lars. – Mam, jak się domyślacie, pełny dostęp do waszych zdobyczy naukowych. Wiem, jak się rozwijaliście, w którym miejscu jesteście teraz. A Everett? W wielu punktach zgadzam się z tym, co ogłosił. To jednak dotyczy innej względności.

– Względności? – zagadnęła Haiku.

– Wszystko w przestrzeni, a nawet czasie jest względne – wytłumaczył szybko Czesio.

– Właśnie. – Lars przejął pałeczkę. – W tym przypadku chodzi o punkt widzenia dotyczący początku. Mówiąc prościej: Everett twierdził, że każde zdarzenie w naszym życiu znajduje w kontinuum wszystkie możliwe rozwiązania. Każde z tych rozwiązań to po prostu osobny świat równoległy. Tych światów jest nieskończenie wiele. Są niezbadalne, bo gdyby jakimś cudem udało nam się „przeskoczyć” do któregośkolwiek z nich, stałyby się już w tym samym momencie naszym światem. Aby go poznać, musielibyśmy mieć możliwość obserwowania zdarzeń z niezależnego punktu widzenia, a to niemożliwe. Tyle teoria Everetta. Nasze światy, układy A i B są niezależne. I z tego, co wiemy, są na razie tylko dwa. Nie stanowimy różnych wersji

tych samych osób czy zdarzeń. Nie jesteśmy ze sobą związani jak światy równoległe w teorii Everetta. Po prostu w pewnym momencie zaczęliśmy się rozwijać osobno i natura zdecydowała, że doszliśmy do bardzo podobnych wyników. Tak więc układ B i układ A mogą mieć swoje własne światy równoległe, przyporządkowane do ich zdarzeń czy biegu wypadków. I z tego punktu widzenia nic nas nie łączy.

– Jesteśmy tacy podobni. – Dybcio zanurzył się na chwilę w myślach, aby skonstruować jak najściślej pasujące do tego, co chciał się dowiedzieć, pytanie.

Lars rozłożył ręce.

– Można to nazwać cudem, a można prawidłowością. Rozszczepienie czasowe miało miejsce zaledwie pięćdziesiąt milionów lat temu. To jak na czas galaktyczny bardzo, bardzo niedawno. Byliśmy już wtedy małymi ssakami. Ewoluwaliśmy w końcu do *Homo sapiens* zgodnie z - jak się okazuje - bardzo dokładnymi, uniwersalnymi prawami natury. Nie mamy w odróżnieniu od was trzech rąk czy dwóch głów. Jesteśmy identyczni. To fundamentalne prawo ewolucji. Życie przy całym swoim zróżnicowaniu i skomplikowaniu, mając do dyspozycji tę samą sumę warunków w punkcie startu, dojdzie zawsze do tego samego wyniku. To najważniejsze z istniejących praw przyrody. Ile razy wasi naukowcy zastanawiali się, „co by było, gdyby”? Gdybyście mogli się cofnąć do czasów dinozaurów, zmienić jakiś szczegół czy w ogóle swoją obecnością odwrócić bieg wypadków. Otóż już dzisiaj wiemy, że życie zawsze da sobie radę i zawsze dojdzie do określonego, przewidzianego przez naturę wyniku i ten wynik jest niezmienny. Nie wiem, co by było, gdyby rozszczepienie miało miejsce nie pięćdziesiąt milionów lat, a na przykład kilka miliardów lat temu, kiedy

pojawiły się pierwsze jednokomórkowce. Możliwe, że różnice byłyby w naszych światach większe, ale może właśnie nie? Ludzie w obu układach często mają wrażenie, że najmniejszy przypadek może wszystko zwrócić w zupełnie nieprzewidywalnym kierunku, a jednak... tak nie jest. Efekt motyla, wszelkie różnie opisywane tak zwane teorie przypadku i tak dalej. Natura jest bardziej deterministyczna, niż wydawało się nawet najwybitniejszym naszym i waszym przodkom. A być może... choć to też tylko teoria, nasze dzieje są zamkniętym systemem od początku do końca wiadomym komuś takiemu jak na przykład Bóg. Co ciekawe, i nasz, i wasz świat wykształcił wielość religii, co może świadczyć o niezaprzeczalnej potrzebie wiary w istoty wyższe. Bez tego nasz gatunek nie umiałby rozwijać się w charakterystyczny dla siebie sposób.

– Lub może świadczy o tym, że Bóg po prostu istnieje – wtrącił Krzysztof. – Może jest wszystkim, czym jesteśmy my, cała materia, świadomość, czas i wszelkie prawa natury.

– Wiem, że jesteś byłym księdzem katolickim – przyznał Lars. – Z niewielkiego, ale chyba z tego punktu widzenia ważnego kraju, bo wasz reprezentant był przez ponad dwadzieścia sześć lat dwieście sześćdziesiątą czwartą głową największego ugrupowania religijnego.

– Podchodzę do życia duchowego nieco mniej formalistycznie – odparł uprzejmie, ale zdecydowanie Lorent.

– Jestem naukowcem i agentem łącznikowym SKKSP. Dla mnie to tylko wierzenia i mitologia.

– Co chyba nie przeszkadza ci w wyrobieniu w sobie tolerancji i szacunku dla innych poglądów?

– Z jakiegoś powodu przestałeś być księdzem – zagadnął zaczepnie Lars.

– Nie z powodu zmiany poglądów religijnych – wyjaśnił cierpliwie Krzysztof.

– Badałem swego czasu życie Jana Pawła II dla potrzeb SKKSP. Bardzo ciekawe i - jeśli można tak rzec – momentami... magiczne.

– To wybitny papież o ogromnych zasługach, ale słowo „magiczne” raczej nie pasuje do jego życia i działalności.

– Panował w Rzymie 9666 dni. Nie ma bardziej magicznej liczby. Oznacza dziewięciu czarnych aniołów oraz liczbę Bestii 666, czyli Szatana lub... papieża.

– Papieża? – Nieco skonfundowany Dybcio uniósł brwi.

– Schodzimy niepotrzebnie z tematu – zauważyła z pewnym niepokojem Anithsanu.

– Tak, papieża – potwierdził Lars, zignorowawszy jednocześnie protest koleżanki. – Tytuł użyty przez Konstantyna Wielkiego w jego *Donacji* na określenie świętego Piotra i następców to Vicarius Filii Dei, czyli Zastępca Syna Bożego. Przyporządkowanie według waszej numerologii kolejnym literom symboli liczb łacińskich daje w sumie 666. Chodzi oczywiście o rzymskie liczby, gdzie V oznacza 5, I - 1, C - 100 i tak dalej. Sprawdźcie. Oczywiście literom, które nie są symbolami liczb łacińskich jak na przykład A, R czy S, przyporządkowujemy liczbę 0.

Krzysztof pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Rzeczywiście – stwierdził prawie rozbawiony. – Szalenie naukowe podejście.

– Czasem robi wrażenie niedojrzałego gnojka. – Anithsanu nie wytrzymała, śląc wzrokiem w jego kierunku prawdziwe gromy. – Ale jeśli starczy wam cierpliwości, zobaczycie, że bywa również przydatny.

Lars skwitował uwagę złośliwym uśmiechem niepozbanionym satysfakcji. Drzwi się otworzyły i do środka wszedł chudy mężczyzna w dziwnym, zielonkawym kubraczku z trzema kulistymi zagadkowymi przyrządami na metalowej tacy.

– To Hilhelin – przedstawił go oficjalnie Lars. – Oficer medyczny. Pobierze od was DNA.

– Zapomnij – zareagowała natychmiast Haiku.

– Inaczej nie będę w stanie wyrobić wam *vi*, naręcznych komputerów osobistych.

– Wiemy, co to są *vi*, już nam to zdążono wytłumaczyć.

– Skoro wam zdążono wytłumaczyć, to powinniście się przy okazji zorientować, że bez tego nie będziecie w stanie tu funkcjonować i po wyjściu z tej bazy zostanieie znalezieni w ciągu pół godziny, chociażby po minięciu pierwszego lepszego skrzyżowania. Czujnik przekaże głównemu komputerowi kierującemu ruchem ulicznym anonimowe, niezarejestrowane obiekty.

– Ma rację – potwierdziła Anithsanu. – Policja weźmie was dzięki temu sygnałowi za niemające jeszcze *vi* dzieci, które uciekły z domu lub oddaliły się samowolnie od rodziców. Natychmiast was zlokalizują i wpadniecie. Cała akcja pójdzie na marne.

– Mimo że dane są poufne, dzięki kodom zawartym w *vi* możecie wchodzić do dowolnych sklepów, jeździć samochodami, a nawet resami – dodał Lars. – W komputerze głównym nie wyświetla się wasza tożsamość, ale na przykład fakt posiadania prawa jazdy czy sumy dostępnych *kuo* – pieniędzy potrzebnych powiedzmy na zakupy. Na skrzyżowaniach tu nie ma świateł, jak u was. Podczas jazdy

samochodem jesteście połączeni systemem pojazdu do vi. Bez tego nawet nie ruszycie z miejsca. Komputery miejskie przesyłają odpowiednie dane do pojazdu, który mówi wam, kiedy się zatrzymać, kiedy ruszyć, kiedy ustąpić pierwszeństwa.

– Widzieliśmy, jak szanujecie przepisy ruchu drogowego – przytaknął Dybcio, poprawiając okulary. – W czasie naszej wspólnej przejażdżki agentka Anithsanu zaprezentowała to w całej okazałości.

Lars wypuścił głośno powietrze z płuc.

– Potrafiła szybko dostarczyć was tutaj i zgubić ewentualny pościg, kiedy się zorientowali, że nie jedzie już w wyznaczone przez nich miejsce. Wy nie załapałibyście tego przez lata. Ona pracuje dla nas od ośmiu. Jest wyszkolona lepiej niż agenci tutejszej służby bezpieczeństwa. Biegłość w wymachiwaniu mieczami sprzed kilkuset lat czyni was tylko relikdami historii, ale u nas nie przetrwalibyście paru godzin. Nie robi na mnie żadnego wrażenia to, że ty jesteś – wskazał Krzysztofa – tak zwanym Kapłanem, mniejsza z tym, co to oznacza, tak mam w meldunku, a ona zawodową zabójczynią z waszych filmów o ninja. W tym świecie liczą się wiedza, komputery i sprawność umysłowa. Dlatego jedynym partnerem do dyskusji dla mnie jest on. – Pokazał na Dybcia. – Wy jesteście tylko do słuchania i wykonywania, jeśli chcecie przeżyć.

Krzysztof nadepnął dyskretnie na stopę Haiku, aby powstrzymać ją przed tym, co niewątpliwie za chwilę nastąpiłoby. Yasuko, co zdziwiło szczególnie Dybcia, zachowała jednak podziwu godne opanowanie. Nie drgnęła jej nawet powieka podczas kolejnego przesympatycznego przemówienia Larsa. Spojrzała tylko porozumiewawczo na Lorenta, zapewne pytając wzrokiem, co myśli o badaniu DNA. Kapłan był chyba

jedynym człowiekiem w obu systemach czasowych, z którego zdaniem Kimura się liczyła, a co ważniejsze – często korzystała z jego sugestii.

– Nasze DNA natychmiast nas zdradzi – powiedział spokojnie Lorent.

– DNA musi być prawdziwe, aby *vi* działało. Wiercie mi, sama treść DNA nie jest tu ważna. Zwykły policjant, a nawet agent nie ma pojęcia o genetyce. Wie tylko, że coś takiego istnieje. Ważna jest tożsamość przyporządkowana do tego DNA – odparł rzeczowo Lars. – Umiemy ją bardzo dobrze sfalszować. Jedną z naszych komórek zajmuje się wyszukiwaniem odpowiednich, najlepiej niedawno zmarłych, samotnych osób bez rodzin, aby przejąć ich życiorysy i dopasować do potrzeb naszych agentów. Włamać się do komputerów tożsamościowych, aby zmienić wszystkie dane, nie damy rady nawet my. Ale potrafimy „podłączyć” się do istniejących kiedyś osób, wykorzystując podobieństwa wieku, czasem wyglądu, choć to ostatnie nie jest bezwzględnie potrzebne. Sprawę ułatwia ustawa o tajności danych. Do ujawnienia tożsamości potrzebna jest zgoda Ławy Tożsamościowej, czyli ciała w rodzaju waszego sądu. Wniosek składają służby policyjne, które muszą mieć niezbite dowody na przestępstwo lub inne ważne powody do uchylenia ustawy wobec konkretnej jednostki. Ale nasze *vi* są tak mocne, że nawet w takiej sytuacji potrzebowaliby miesiący, aby wpaść na to, że wy to nie wy. I musieliby mieć dużo szczęścia. Paradoks polega na tym, że z takim komputerem tożsamościowym ukryjecie się stokrotnie skuteczniej, niż gdybyście próbowali działać incognito.

Kapłan, Haiku, a nawet Dybcio długo nie odpowiadali.

– Musicie komuś zaufać – zachęciła wreszcie Anithsanu.

– Już kilkakrotnie zaufaliśmy – przypomniała Yasuko. – Takim miłym ludziom jak Vilestea, Frotrua. Znamy efekt.

– Frotrua to nie jest zły facet – podjęła agentka. – Po prostu ma szefa i wykonuje rozkazy. Wierzy, że walczy z organizacją Laval. Nie jest też do końca zaznajomiony z faktami i nie ma pojęcia, że prawdopodobnie Suar876 może być ze swoimi obecnymi wpływami i ambicjami bardziej niebezpieczny niż Laval.

– Zastanówcie się. – Teraz Lars próbował ich przekonać. – Anithsanu żyje tu na fałszywym *vi* od ośmiu lat. Przedostała się do tajnych służb. Do dzisiaj była całkowicie czysta, nie mieliśmy żadnych kłopotów.

– Prawdziwa Anithsanu zmarła dziesięć lat temu – uzupełniła agentka. – Pochodziła z nizin społecznych, z takiej dzielnicy jak ta. Pod koniec życia była bez rodziny, bez przyjaciół. Nie miała rodzeństwa, ojciec zmarł, gdy była w kołysce. Matka – na rok przed jej śmiercią. Zapiła się. Pić tu umięją czasem lepiej niż w Rosji w B. Najbliżsi żyjący krewni to szósta linia właśnie od strony matki. Potomkowie siostry jej dziadka. Nigdy jej nie widzieli. Nie znali nawet matki Anithsanu.

– Stwardnienie zanikowe boczne – ciągnął Lars. – Opiekowaliśmy się dziewczyną w ostatnim stadium choroby, gdy została kompletnie sama. Dla potrzeb agencji najważniejsze było to, że prawdziwa Anithsanu nigdy nie miała własnego *vi*, była tylko przyporządkowana do matki. Zmarła, mając niecałe dziewiętnaście lat. Komputer otrzymuje się po skończeniu osiemnastu, ale ona była już całkowicie sparaliżowana, a o jej istnieniu wiedzieliśmy już tylko my. Leżała tutaj, trzy piętra niżej, do samego końca. Jill weszła w jej skórę bardzo łatwo.

Przerzuciliśmy ją z B i tutaj skończyła szkołę oficerską Popraltin Tire Tioue. Do dzisiaj jej *vi* jednym z najmocniejszych, jakie mieliśmy.

– Jill? – zaciekawiał się Krzysztof.

– To teraz nieważne. – Lars machnął ręką. – Jej misja jest już skończona.

– Ryzykowne. – Czesio pokręcił głową. – Nie dacie rady w tak krótkim czasie załatwić trzech życiorysów mocnych tak jak Anithsanu.

– Nie musimy. Potrzebujecie nowych tożsamości na... nie więcej niż kilka dni. Trzy dni temu grupa biznesmenów z Levoli zginęła w wypadku jachtu na zatoce Outtalae. Nasi ludzie z tamtejszej policji dostarczyli nam już komplet danych. Mamy około dziesięciu dni, zanim śledztwo stanie się jawne.

– Pasujemy do tych ludzi? – spytała Haiku.

– Na jachcie było dziewięciu obcokrajowców. Trzy kobiety i sześciu mężczyzn. Mamy szczęście, bo aż dwie z tych kobiet to *yekai*, i to spokojnie mogące w waszym świecie uchodzić za Japonki. Wiek też się mniej więcej zgadza. Mężczyźni pasują jak ulał. Wszyscy mieli dwadzieścia pięć, trzydzieści pięć lat. Aż pięciu *aukai*. Jedynym problemem, ale i jednocześnie zaletą jest fakt, że nasze „przykrywki” pochodziły z innego kraju. Zgódźcie się. To jedyna szansa.

– Jak wielu jest u was obcokrajowców? – spytał Krzysztof.

– Sprawdziliśmy. W tej chwili legalnie w całym kraju przebywa około trzydziestu pięciu tysięcy gości. Zniknięcie w tym tłumie bez problemu.

– Co mamy zrobić? – dociekał Krzysztof.

– Wystarczy przyłożyć ten przyrząd na kilka sekund do skóry, na przykład do ramienia.

Kapłan wyciągnął rękę po swoją kulkę do stojącego cierpliwie z tacą oficera medycznego. Haiku lekko westchnęła i zrobiła to samo. Dybcio ociągał się najdłużej, ale i on w końcu dał za wygraną.

– Z Levoli? – spytał Czesio, gdy oddawał przyrząd do pobierania DNA.

– Tak, to kraj zajmujący teren całej waszej Europy i kawałek Azji. Mamy z nimi podpisaną umowę na kompatybilne *vi*. Wiecie, że mamy tutaj znacznie mniej państw niż wy? – spytał na wszelki wypadek Lars, odprowadzając wzrokiem wychodzącego z pomieszczenia Hilhelina.

– Wiemy.

– Levoli i my mówimy tym samym językiem, jak u was Anglicy i Amerykanie. To sojusznicy kraj.

– Gdzie jest ta zatoka? – spytał Lorent.

– Około stu kilometrów od granic miasta. U was to Zatoka Meksykańska.

– Zatoka Meksykańska?! – Czesio wyrwał się z chwilowego zamyślenia. – Przecież jesteśmy w Azji!

– Zapominasz o przesunięciu Maganfara – zauważył uprzejmie Lars.

– Nie zapominam, a raczej nie mam pojęcia, kim był Maganfar i co kiedy przesunął!

– Przesunięcie Maganfara ma miejsce podczas normalnej podróży między naszymi układami czasowymi bez tak zwanego twardego połączenia zwrotnego. Pamiętajmy, że czas jest funkcją prędkości, z jaką się poruszamy. Ruchy obiegowy i obrotowy Ziemi może nie miałyby aż takiego znaczenia, ale nasz cały Układ Słoneczny również porusza się i to z imponującą prędkością, podobnie jak cała galaktyka, której

prędkość jest ogromna. To daje nam przesunięcie Maganfara.

– Gdzie jesteście?

– Wylądowaliście na terenie miasta Giele, gdzie w B leży mniej więcej San Antonio w Stanach Zjednoczonych. Blgahar, z którego was odebrano, znajduje się w instytucie S.A.I. My przebywamy teraz w mieście, które niemal pokrywa się z terenem Huston w Teksasie. Jest oczywiście znacznie większe. Mamy tu duże miasta.

– S.A.I. jest własnością Lavalą? – spytał Lorent.

– Żaden blgahar nie może być własnością prywatną – włączyła się Anithsanu. – Przynajmniej według prawa. Wszystkimi zarządza Agencja do spraw Kontaktów Między Układami Czasowymi powołana przez rząd i to ponad sto lat temu, jeśli dobrze przeliczam z zasuicytów. Wcześniej było jeszcze inaczej, teraz to nieważne. Ale... tak, instytut jest własnością Lavalą.

– To trochę niejasne.

– Trudno w kilku zdaniach te sprawy wytłumaczyć. Laval jest wciąż politykiem zasiadającym w czymś na kształt parlamentu na przykład w Anglii. To, że nasza tajna policja prowadzi przeciwko niemu postępowanie, nie oznacza, że cokolwiek mu do tej pory udowodniono. Frotrua mówił prawdę – dorwanie go jeszcze potrwa, a i tak już kilka lat nad tym pracujemy. I my, i PTT, gdzie oficjalnie pełnię służbę, to znaczy... pełniłam.

– Jaki jest plan? – spytała Haiku.

– Na razie odpoczynek. Nie zdążyliście się chyba nawet przespać. Wciąż pracujemy nad przerwaniem was do Vikilli, na razie nie mogę wam powiedzieć, co to jest. Możliwe, że nie dostanę pozwolenia, aby kiedykolwiek wam to wyjaśnić.

Najważniejsze jest teraz, abyście jak najszybciej wrócili do B.

– Aż tak się troszczycie o nas?

– Jak dla mnie, moglibyście wylądować w więzieniu rządowym z fałszywymi oskarżeniami Suara876 na karku. Dziwię się, że moi dowódcy poświęcili dekonspirację Anithsanu dla ratowania trzech gapowiczów, którzy dali się omotać Lavalovi jak dzieci. Ale po pierwsze, obowiązują mnie rozkazy, po drugie, wasz powrót jest znacznie ważniejszy niż wy sami. Dlaczego? Tego nie wiem nawet ja.

Lars spojrział na sygnalizator na swoim *vi*.

– Przepraszam, muszę odebrać. – Sięgnął po leżący na biurku maleńki, czarny przedmiotik wielkości paznokcia i przykleił sobie do skroni. – Co się stało? – Najwyraźniej zaczął jakąś rozmowę. – Powtórz.

Kapłan i Haiku natychmiast wyczuli, jak agent zamiera, próbując ukryć przed nimi zaskoczenie.

– Czy to pewne?! – Lars mimo pozorów potrafił w razie potrzeby szybko się opanować. Chwilę milczał, po czym wolno przeniósł wzrok na gości. Zaledwie po kilku sekundach do pokoju wpadło dwóch strażników z bronią, którą natychmiast wymierzili w Yasuko. Dziewczyna odruchowo chwyciła za rękojeść swojego miecza, ale było za późno. Kapłan powoli położył dłoń na jej ręce. Zdawał sobie sprawę, jak była wściekła, że Lars zdołał uśpić jej czujność.

– Kolejni przyjaciele z waszego świata okazują się jednak nieprzyjaciółmi? – spytał z wrodzonym opanowaniem Krzysztof.

– Wręcz przeciwnie – rzucił przez zęby Lars. – Właśnie Hilhelin mi zameldował, co wyskoczyło na jego komputerze, kiedy wprowadzał wasze DNA.

Przeniósł wzrok bezpośrednio na Haiku.

– Koniec zabawy, dziewczynko. Dla kogo pracujesz?

– O czym ty mówisz?! – spytał już mniej przyjemnym tonem Kapłan.

– Ta kobieta jest Anennenką.

– Co?!!! – wyrwało się Dybciovi, który sprawiał wrażenie, jakby właśnie się zachłysnął.

– Z pewnością zaszła pomyłka. Znam ją i całkowicie jej ufam, a tobie jakoś nie. – Lorent wpił surowy wzrok w Larsa.

– Popęlniasz błąd! Sprawdzano trzykrotnie. Nie ma możliwości pomyłki. Ta kobieta pochodzi stąd. A skoro przybyła z wami z B, ponad wszelką wątpliwość była tam anenneńskim szpiegiem, którego właśnie wpuściliśmy na teren SKKSP. Bóg jeden wie, jeśli istnieje, jak katastrofalne skutki będzie to miało i zapewne już ma. Dekonspiracja Anithsanu to przy tym drobnostka. Tak czy owak, plany, o które pytaliście, właśnie uległy całkowitej zmianie.

– Nie dotarła – powtórzył Frotrua. Stał przed biurkiem Suara876. Doradca specjalny ministra wstał ze swojego fotela i zbliżył się do policjanta.

– Jak to możliwe?! Laval? – spytał wściekły.

– Raczej nie. Znaleźliśmy kilku przygodnych świadków, którzy widzieli *ka*. Uciekała w kompletnie innym kierunku, niż to zakładał plan.

– Po co?!

– Próbujemy to ustalić.

– Może improwizowała na skutek ataku ludzi Lavala?!

Frotrua pokręcił przecząco głową.

– Odłączyła własnoręcznie transmitter. Tylko ona to mogła zrobić. Gdyby ścigał ją ktokolwiek z naszych wrogów, zrobiłaby wszystko, abyśmy widzieli ją na komputerach w centrali.

– Pracuje dla Lavalą?

– Trudno mi w to uwierzyć. Znam ją jeszcze z czasów szkoły oficerskiej, od ośmiu lat, ściśle współpracujemy od czterech. Była szczególnie zaangażowana w śledztwo przeciwko Lavalowi i miała w tym ogromne zasługi. Na jego miejscu prędzej bym zastrzelił, niż utrzymywał agentkę, która narobiła mi tyle szkód.

– A więc pracuje dla kogoś jeszcze innego. Jak bardzo była dobra?

– Cholernie dobra. Wyjątkowo inteligentna, sprawna, bez zobowiązań, bez związków. Cicha, dyskretna, bardzo szybka. W terenie w moim wydziale najlepsza.

– Znajdź kogokolwiek z jej rodziny.

– O ile wiem, nie ma rodziny. Matka zmarła jeszcze przed jej wstąpieniem do szkoły oficerskiej, ojca nie znała. Nie ma męża, dzieci, nawet przyjaciół.

Suar876 spuścił bezradnie głowę i wrócił na swój fotel.

– Nie wydawało ci się to podejrzane?! – spytał, coraz bardziej rozdrażniony.

– Była całkowicie oddana służbie. Ceniłem to.

– Spałeś z nią?

Frotrua otworzył szerzej oczy.

– Nie! – odparł zdecydowanie.

– A inni koledzy z wydziału?

– Nic o tym nie wiem. Znajdziemy ją!

Suar876 prychnął śmiechem.

– Nie znajdziecie. Ona już nigdy nie wróci.
– Nie byłbym tego taki pewien.
– Jest kilka rzeczy, których nie wiesz, Frotrua. Ta trójka z B jest znacznie ważniejsza, niż myślisz. Przykro mi, informacje o nich mają najwyższy stopień utajnienia. Gdybym powiedział ci, kim są, a przede wszystkim, kim jest kobieta... włosy by ci stanęły na głowie.

Choć być może wyglądało to tylko na pozór, Haiku była całkowicie opanowana. Nie zdjęła dłoni z rękojeści miecza, nawet gdy Kapłan lekko chwycił ją za rękę. Wpiła wzrok w strażników i w milczeniu czekała, w każdej chwili gotowa na obronę lub... atak.

– Oddajcie waszą broń strażnikom! – syknął zimno Lars.

– Zapomnij – wycedziła przez zęby Yasuko.

– Zginiecie wszyscy! – ostrzegł agent.

Dybcio skulił się w sobie na fotelu i sprawiał wrażenie, jakby przestał oddychać.

– Ty też. – Lars wskazał na Lorenta.

– Masz złe informacje. – Kapłan chciał zyskać na czasie, szybko oceniając sytuację. Haiku nie spuszczała wzroku z ochroniarzy, on obmyślał w głowie możliwe scenariusze.

– Powtarzasz się, Krzysztofie – zauważył niemilo Lars. – A ty, Anithsanu, tracisz instynkt. Wpuściłaś ich tu uzbrojonych, a teraz...

– Nie macie szans. – Agentka powoli wyjęła swoją broń. – Wyjaśnimy rzecz na spokojnie.

– Na spokojnie to już chyba za późno... – zauważył Lorent. – To nie my was zaatakowaliśmy.

– Ale jeśli nie odpuścicie, zastrzelę was – zagroził zimno Lars.
– Trójka moich ludzi ma w tym pokoju broń, która jest odpowiednikiem waszej broni palnej. Działa na trochę innej zasadzie, ale jest szybsza niż jakikolwiek pistolet. Co chcecie zrobić z tymi muzealnymi mieczykami? Nie zdążycie nawet mrugnąć, a będziecie podziurawieni jak sito.

– Przepraszam – jęknął Czesio, podnosząc nieśmiało palec do góry, jakby się zgłaszał do odpowiedzi. – Mógłbym coś zasugerować?

– Lepiej namów koleżankę i kolegę, aby przestali chojrakować, bo kto wie, czy i na ciebie nie polecą odłamki.

– Przesympatyczny z ciebie facet – warknęła Haiku.

– Chyba wszyscy cię muszą tu kochać, i to miłością od pierwszego wejrzenia.

Wciąż nie spuszczała wzroku z ochroniarzy.

– To nie są „mieczyki”. – Dybcio zdobył się na odwagę. – A wy nie macie pojęcia, co oni potrafią z nimi zrobić i jak są szybcy. Nic o nas, zwłaszcza o nich, nie wiecie.

– Co to, do cholery, miało być?! – wściekle wykrzyknął Lars. – Tworzenie nastroju?! Usiłujesz zastraszyć agentów SKKSP?!

– A kim wy jesteście? – Haiku zdobyła się na szyderczy uśmiech. – Całe to SKKSP jest nielegalne nawet u was.

Anithsanu, tak jak szybko wyjęła przed chwilą swoją broń, tak teraz równie wolno położyła ją na podłodze. Możliwe, że ona jako jedyna poważnie potraktowała słowa Dybcia.

– Co robisz?! – ryknął Lars.

– Gest dobrej woli – odpowiedziała spokojnie. – Zamknij się na chwilę i postaraj przez kilka sekund nikogo nie wkurwiać. – Odsunęła od siebie broń i ostrożnie się wyprostowała. – Zaufajcie mi.

– Za krótko się znamy, panienko – rzuciła w jej stronę Haiku.
– Właśnie odłożyłam spluwę – ciągnęła niezrażona agentka.
– Uśmiejcie się, ale tutaj taka broń nazywa się *gun*, zupełnie jak w moim ojczystym języku.

– Co ty kombinujesz?! – Lars nie wytrzymał.

– Chyba prosiłam, abys się zamknął! – syknęła szybko, po czym znowu przeniosła wzrok na Kapłana i Haiku. – Strażnicy na mój znak zaraz opuszczą broń, wtedy ty zdejmiesz dłoń z miecza, zgoda?

Haiku ku zaskoczeniu Larsa nieznacznie skinęła głową.

– Opuśćcie broń! – rozkazała ochroniarzom.

Zdezorientowani strażnicy spojrzeli jeszcze na Larsa, ale wykonali rozkaz. Yasuko puściła rękojeść miecza.

– Teraz najtrudniejsze – mówiła dalej powoli Anithsanu. – Musimy was aresztować do wyjaśnienia sprawy.

– Mam inną propozycję. – Haiku była skupiona, ale wciąż opanowana. – Zaraz powoli wstaniemy, a ty wyprowadzisz nas z budynku. Jeśli nie będziecie próbowali nas zatrzymać, nikomu nic się nie stanie.

– Teraz już na to za późno – orzekł ponuro Lars.

Strażnicy zaczęli ponownie unosić broń, ale Anan – nenka zdecydowanym gestem ich powstrzymała.

– Zastanówcie się – mówiła łagodnym, ale dobitnym głosem.
– Za tymi drzwiami jest już w tej chwili tuzin agentów uzbrojonych po zęby. Nawet jeśli uda wam się zabić mnie i strażników, zanim otworzycie drzwi, rozpęta się tam piekło.

– A jeśli będziemy trzymali ostrze na twojej szyi albo jego? – Haiku wskazała Larsa.

– Nikt tu nie chce nikogo skrzywdzić – odpowiedziała

natychmiast Anithsanu. – Jeśli nie jesteś agentką rządową lub co gorsza Lavalą, szybko to wyjaśnimy i być może już za godzinę będziemy popijać liczei. Jeśli natomiast jesteś nią, ludzie za drzwiami bez mrugnięcia okiem poświęcą wszystkich obecnych w tym pokoju, aby tylko cię unieszkodliwić. Stawka jest zbyt wysoka. Dekonspiracja tego ośrodka byłaby katastrofą o rozmiarach trudnych do wyobrażenia.

– Nikomu nic się nie stanie – odezwał się wreszcie Lorent. Patrzył przez chwilę spokojnie na agentkę, po czym sięgnął po *umuri* i nie wyciągając z niego miecza, odpiął, a następnie ostrożnie podał jednemu ze strażników.

Haiku uważnie obserwowała każdy ruch Anithsanu i ochroniarzy. Po dłuższej chwili zrobiła, ku zaskoczeniu szczególnie Larsa, to samo.

– Wychodzimy! – krzyknęła przez drzwi agentka.

Usłyszeli wyraźny ruch po drugiej stronie.

– Ciebie, Czesławie, poproszę o pozostanie – rzucił chłodno Lars.

Kapłan wstał i położył rękę na ramieniu Dybcia.

– Wszystko będzie dobrze – szepnął mu uspokajająco do ucha.

– Co mam robić? – spytał naukowiec Czesio po flamandzku.

– Pogadaj z nim – odparł spokojnie Kapłan jakby nigdy nic. – Dobrze wam do tej pory szło. Niedługo wrócimy. Obiecuję.

Zostali sami. Anithsanu wyszła razem z Lorentem i Kimurą pod eskortą strażników.

– Dlaczego on? – spytał Czesio chłodno jak rzadko kiedy.

– Bo był uzbrojony i był z nią – odpowiedział nieprzyjemnym

tonem Lars.

– W moim kraju do koleś takich jak ty mówimy „Pierdol się, dupku”, a jak nie rozumieją metafory, to ich... pierdolimy osobiście. Z góry.

– Odważny jesteś jak na chudeusza w śmiesznych okularach, który nie jest w stanie przejść przez pokój, nie potykając się o któryś z mebli.

– Myślałem z początku, że twoja arogancja to skrywana nerwowość przed ważnym zadaniem, ciche kompleksy, lęk przed nieakceptacją twardzieli, od których roi się w tym budynku, ale jednak... nie. Ty po prostu taki jesteś – Dybcio mówił, cedząc słowa z wyraźną pogardą. Zniknęło w nim przerażenie tym, co za chwilę mogło się stać, a zastąpiło je zrezygnowanie. – Jesteś dupkiem z zacięciem socjopaty, cieszącym się przemocą jak rasowy sadysta bez krztyny refleksji.

– Znasz się trochę na fizyce, zachowaj więc siły na merytoryczną dyskusję – odparł obojętnie Lars.

– Straciłem ochotę na rozmowę.

– Jeszcze chwila, a pomyślę, że z nią współpracujesz; wtedy zacznę być naprawdę niemiły. Na poważnie. Nie na żarty, jak do tej pory.

– Jak wspomniałem parę sekund temu: pierdol się dupku! – odrzekł twardo Dybcio.

Lars spuścił wzrok, jakby zastanawiał się nad kolejnym zdaniem.

– Możesz im pomóc – powiedział wreszcie.

– Co za oryginalny tekst. I co jeszcze? „Bądź rozsądny”? „To dla ich dobra”? „Prawdziwy przyjaciel tak by postąpił”?

– Wiesz, co tu robimy, jajogłowy mądralo?

– Zdradzacie przyjaciół?

– Skoro jesteś taki bystry, na jakiego pozujesz, zdecyduj się na mały wysiłek i wydobądź trochę rozsądku z własnej dupy, w której właśnie go umieściłeś. Ja wyciągam do ciebie rękę!

Dybcio oparł się ciężko o wezglowie fotela i głośno westchnął.

– Nie masz pocięcia, kim jest Kapłan, prawda? -spytał ponuro.

– Wasz ksiądz. Klecha. W wypadku Krzysztofa – były klecha.

– Kapłan Ścieżki Wiedzy, bucu. Człowiek mający szeroką i praktyczną zdolność pamiętania wiedzy oraz umiejętności swoich przodków. Tysięcy swoich przodków. Wiedzy przekazanej genetycznie poprzez miliardy jednostek informacyjnych, do których normalny człowiek nie ma dostępu, bo *Homo sapiens* nie jest w stanie efektywnie i systemowo korzystać z większości szufladek w mózgu. Naukowcy spierają się, walcząc z mitem, że wykorzystujemy nie więcej niż kilkanaście procent umysłu. Prawda zaś jest taka, że choć umiemy większość jego partii uaktywniać, ponad dziewięćdziesiąt procent informacji zbieranych przez dwieście tysięcy lat istnienia naszego gatunku jest nieświadomionych i większości z nas niepotrzebnych.

– Człowiek istnieje od prawie dwóch milionów lat – zauważył Lars.

– Milion dziewięćset tysięcy lat temu pojawił się *Homo habilis*, potem *Homo erectus*, ale *Homo sapiens* to kwestia zaledwie stu dziewięćdziesięciu tysięcy lat.

– Co to za legendy o tym Kapłanie?

– To nie legendy. Taki człowiek rodzi się raz na trzysta, czterysta lat. I właśnie przed chwilą miałeś okazję go spotkać.

Co niezwykle, Haiku posiada podobne zdolności. To niemal cud, że urodzili się w tym samym historycznie momencie, ale ich spotkanie było tylko kwestią czasu. I się znaleźli. Teraz wespół stanowią broń o możliwościach, których zwykły człowiek nie potrafi sobie wyobrazić.

– Nie brzmi to zbyt wiarygodnie.

– Zostawmy na razie czystą teoretyczną wiedzę. Skup się na u m i e j ę t n o ś c i a c h. Wyobraź sobie sumę umiejętności tysięcy przodków, funkcjonujących w jednej osobie. A wśród tych przodków – setki rycerzy, mistrzów walki, polityków, strategów, magików, może myślicieli, filozofów, żołnierzy... po prostu doświadczenie i kształt całych pokoleń.

– To niemożliwe. Taki człowiek oszalałby w kilka sekund. Dostałby obłądu, zanim zorientowałby się, że otrzymał taki dar. Nie umiemy wykorzystać tak ogromnej wiedzy.

– A jednak u Krzysztofa i jemu podobnych było to możliwe. Kiedy proces się zaczął, w jego przypadku w dwudziestym ósmym roku życia, kosztowało go to tygodnie hospitalizacji, także psychiatrycznej, ale w końcu dodatkowa pula połączeń mózgowych zaczęła działać. I to skutecznie. Organizm zaakceptował ten niemały, ale przydatny bonus. Nauczył się na nowo dzielić energię. I co jest największym cudem – mózg uporządkował wiedzę, umiejętnie dokonując selekcji. Krzysztof nie pamięta wszystkiego, ale znacznie więcej niż każdy inny człowiek. Odnalazł w swojej pamięci genetycznej dziesiątki języków, niezwykłych doświadczeń, sposobów rozumowania. Możesz wierzyć lub nie, ale twoi ludzie mieli sporo szczęścia, że Kapłan i Haiku się poddali. Ja nie bałem się o to, co się ze mną stanie. Nie miałem na to czasu. Bałem się, że powiesz jeszcze jedno z tych swoich przemiłych pierdolonych zdaneł, a twoi

strażnicy nawet nie zorientowaliby się, że umierają, a twój łeb, zanim potoczyłby się po podłodze, jeszcze zarejestrowałby, jak ginie twoja najlepsza agentka.

– Nie wierzę ci. – Lars pokręcił głową.

– Lepiej uwierz. Doprowadzeni do ostateczności, działając wspólnie, zamieniliby to miejsce w rzeźnię. Wciąż nie rozumiesz, jak są szybcy i jak nieprawdopodobne są ich zdolności.

Rozległo się pukanie do drzwi. Lars długo nie odpowiadał, patrząc w milczeniu na Dybcia.

– Wejść! – wrzasnął w końcu.

Do gabinetu wkroczył Hilhelin.

– Coś już o niej mamy – rzucił, podchodząc szybko do biurka Larsa.

– Co ty kombinujesz? – spytała Haiku natychmiast po tym, jak zamknęły się za nimi drzwi aresztu. Miejsce, w którym się znajdowali, było niezbyt wielkie, ale wyjątkowo czyste, w kształcie dobrze oświetlonego sześcianu, bez żadnych mebli z wyjątkiem dwóch łóżek z dziwnego, przypominającego biały plastik, twardego materiału.

– Czy ja czegoś nie wiem? – odparł pytaniem na pytanie Lorent.

Yasuko podeszła do jednego z łóżek i powoli usiadła.

– Nie mam pojęcia, o co tu chodzi – powiedziała cicho. – Moim zdaniem to prowokacja. Odkąd tu jestem, nie usłyszałam jednego zdania prawdy. Co za przeklęta planeta!

– To nasza planeta – przypomniał Krzysztof. – Jesteśmy tylko po drugiej stronie lustra. A oni są tacy jak my. Rywalizują, gonią

za wygraną, za sukcesem, władzą lub przynajmniej za przewagą nad tymi, którym zazdroszczą. Grają w swoje gry i - co bardzo ludzkie - czasem nie zauważają, kiedy przekraczają granice. A my o tyle mamy pecha, że trafiliśmy w sam środek jednej z takich gier i to, jak się okazuje, na długo przedtem, zanim wylądowaliśmy w windzie wiozącej nas na spotkanie Vilestei. Myślę, że mieszkańcy tego miasta w większości żyją spokojnie, zajęci swoimi sprawami i w życiu nie widzieli strzelaniny. Nie mówiąc już o tym, że pewnie lwia część społeczeństwa nie ma zielonego pojęcia o układzie B i takich jak my.

- Nie kłamię, Krzysztofie. - Haiku podniosła na niego swój wzrok, skupiony do tej pory na jakimś punkcie przeciwległej ściany. - Nie wiem, o czym ten pajac mówił.

- Rozumiem.

- Wierzysz mi?

- Oczywiście - odrzekł Lorent pewnym głosem. - Jesteś zbyt dumna, aby być kimś, za kogo on cię ma.

- Nie znałam chyba nigdy nikogo, kto tak wdzięcznie kłamał. - Uśmiechnęła się smutno. - Wiesz dobrze, że to nie jest kwestia mojej dumy, tylko twojej nieskromności. Jesteś pewien, że już dawno byś wyczuł, iż nie jestem tym, za kogo się podaję. A już na pewno jako agentka z obcego wymiaru czasowego nie marnowałabym ponad roku na ukrywanie się w wiosce południowoamerykańskich Indian, pozwalając im mówić do siebie Ua.

Kapłan również się uśmiechnął.

- Tak, jestem nieskromny. - Puścił do niej oko. - Ale nie mów o tym nikomu.

Usiadł obok niej i objął za ramię.

– Jesteśmy Kapłanami Wiedzy, największymi mądralami, a popełniamy błąd za błędem.

– Pozwoliłeś im nas tutaj zamknąć, bo wyczuwasz, że badania mojego DNA mogą być prawdziwe.

– Mówiłem już, że ci wierzę.

– Bo mówię prawdę. Ale jedno nie wyklucza drugiego. Wiesz, że nie pamiętam ponad połowy swojego życia. Poza tym nie jestem takim Kapłanem jak ty. Nie mam twojej wiedzy, nie pamiętam moich przodków. Nie wiem, kim byli i jak żyli. Mam tylko ich umiejętności i instynkt. Dlatego jestem tak sprawna. O tym myślisz, prawda?

– Tak, o tym myślę.

– Czy to coś zmienia? Nie czuję żadnego związku z tym miejscem, nawet jeżeli jakimś cudem kiedyś tu byłam. Czuję się Japonką, mimo że dzieciństwo znam tylko z opowiadań i to w większości Trantignana, który okazał się wrogiem. Nie jestem żadną Anennenką.

– Yasuko. – Lorent spojrzał na nią ciepło. – Jakoś nie było okazji pogadać na ten temat, ale zorientowałem się, że znasz ich język. Zorientowałem się już podczas pierwszej podróży resem.

– Ty też.

– Ale ty znacznie lepiej. Ja kojarzę tylko symbole i słabo rozumiem mowę. Myślę, że mam ten język w pamięci dalekich przodków, ale znam jego wersję sprzed wieluset lat.

Kimura zwiesiła głowę i głośno westchnęła.

– Tak, znam ich język. Nie wiem, skąd. Nie pamiętam nawet skrawka życia, który wiązałby się z tym miejscem, z tą cywilizacją, z tymi ludźmi i ich sposobem życia.

Kapłan pokiwał głową.

– Dałem nas tutaj zamknąć po pierwsze, aby zebrać myśli i dać sobie trochę czasu, a po drugie, sądzę, że wreszcie trafiliśmy na osoby, które mogą nam pomóc. Bo wbrew temu, co im mówiłaś, bardzo potrzebujemy pomocy. Coś mi mówi, że trzeba wierzyć Anithsanu, może nawet temu agentowi. Kiedy zbadali twoje DNA, nie było w nich gniewu, tylko strach. Nie muszę lubić Larsa, aby mieć przekonanie, że jest po naszej stronie.

– Co będzie, jeśli badania okażą się prawdziwe?

– Nic. Nie ma to dla mnie znaczenia. I nie zmieni to mojego zdania o tym, kim jesteś i jaka jesteś. Kto wie, czy nie stało się dobrze? Może dzięki temu więcej się dowiesz o sobie i o tym, czego nie pamiętasz?

– A jak mi się to nie spodoba?

– To wrócimy do Kaneczua i usiądziemy z Miyapre, by wypalić fajkę. On porozmawia ze swoim bogiem Diosuyage, a my porozmawiamy ze swoimi. Potem położymy się spać. A gdy rano wstaniemy, zrozumiemy, że ceiba rośnie wciąż w tym samym miejscu od setek lat, a my wciąż jesteśmy silni. I przypomnimy sobie, że zmienia się tylko to, co sami zmienimy i co chcemy zmienić. Reszta jest znacznie mniej ważna.

– Mogę przy nim mówić? – spytał w języku lamiarhadi Hilhelin.

Lars zastanowił się.

– Tak, i mów po angielsku.

– Jej ojciec nazywa się Umalite i pochodzi z Rielee.

– To w tym kraju? – spytał odważnie Dybcio. – W tym układzie czasowym?

Hilhelin znowu spojrział kontrolnie na Larsa. Agent kiwnął potakująco głową.

– Tak, to. – Oficer medyczny myślał przez chwilę, przeliczając coś w głowie. – Jakies dwa tysiące kilometrów na północ.

– *Fuck...* – zaklął Lars, zamykając na dłuższy czas oczy, być może po to, aby uspokoić się lub skutecznie skupić.

– Ale nie sądzę, żeby była agentką – orzekł zaskakująco Hilhelin.

– Dlaczego to ukrywała?

– Być może nie ukrywała. Być może w ogóle nie wie, skąd naprawdę pochodzi jej rodzina. Kiedy wprowadziłem znacznik jej DNA do komputera, wyskoczył od razu jej ojciec. Ale najprawdopodobniej ona nigdy tu nie była.

– Słucham?!

– W każdym razie na pewno nie była tu legalnie, a skoro tak, to właściwie jest nieprawdopodobne, żeby była tutejszą agentką rządową. To Umalite był długoletnim agentem anneńskim w układzie B i działał tam jako biznesmen japoński Toshiro Kimura. Ożenił się z Japonką i miał dwoje dzieci. To, co udało nam się do tej pory zdobyć, wskazuje, że był *eku*.

– *Eku?* – zainteresował się Dybcio.

– Służba agenta trwa zwykle kilka lat – wyjaśnił Lars. – Potem funkcjonariusz wraca do A. Ale czasem się zdarza, że agent tak się zakorzenia, iż składa prośbę o pozostanie na zawsze. Jeśli otrzyma zgodę, wtedy staje się tak zwanym *eku*. Nadal przekazuje informacje podróżującym w obie strony agentom, ale zazwyczaj zakłada rodzinę i już nie wraca do dawnej ojczyzny.

– Całe życie donosi na kraj, w którym mieszka?

– Oni widzą to inaczej. To nie jest wroga inwigilacja. Im się wydaje, że informacje mają na celu wzajemne korzyści. Tak

sądzą *eku*.

– A ty jak to widzisz? – spytał dla pewności Czesio.

– Kontynuuj – rzucił Lars do Hilhelina, ignorując Dybcia.

– Żona Toshiro Kimury zmarła na raka żołądka w 2000 roku – relacjonował dalej oficer. – Rok później Kimura i jego dwójka dzieci podczas odwiedzin u przyjaciela i partnera w interesach Grahama Whitakera w USA zginęli w jego biurze w World Trade Center w zamachu 11 września 2001 roku, gdzie przebywali podczas ataku terrorystów.

– Czy ja dobrze rozumiem? – upewnił się Lars.

– Tak. Yasuko Kimura, która siedzi w naszym areszcie, oficjalnie nie żyje od wielu lat, podobnie jak jej brat i ojciec. Po śmierci Umalite zamknięto całkowicie u nas ten kanał, ale to wciąż ściśle tajne.

– Skąd wy zdobywacie tak szybko takie tajne informacje?! – nie wytrzymał Dybcio.

– Nie możemy o tym mówić – odparł poważnie Lars. – Tobie musi wystarczyć informacja, że mamy odpowiednich ludzi, którzy są zakonspirowani w miejscach, w których do takiej wiedzy mają dostęp. Dla twojego spokoju – na naszym poziomie wtajemniczenia nie mamy nawet pojęcia, kim jest ktokolwiek z nich. Ale to stare dane i jak sądzę z dawno już wykradzonych plików.

– Tak jest – potwierdził Hilhelin. – Wszystko, o czym do tej pory mówiłem, jest u nas lub w centrali, z której mi kilka rzeczy przesłano.

– Co radzisz? – spytał Lars.

– Ona nie jest agentką, a już z pewnością nie anneńską. Nie stanowi zagrożenia, przynajmniej nie z tego powodu. Nawet jeśli pracuje dla kogoś z B, jest dla nas tylko kimś jak Anithsanu.

– Czy cokolwiek o niej wiemy?

– To na razie wszystko. O Krzysztofie Lorencie też niewiele. Były ksiądz, zamieszany w dość tajemniczą sprawę sprzed kilku lat, dotyczącą porwania lekarki ze szpitala psychiatrycznego, w którym się leczył. Raporty twierdzą, że miało także tam miejsce morderstwo, ale skutecznie wyciszone.

– Mówiłem ci, dlaczego Krzysztof był w szpitalu psychiatrycznym – przypomniał Dybcio.

– Mówiłeś. – Lars skinął głową z lekkim zniecierpliwieniem, po czym znowu zwrócił się do Hilhelina. – Może rzeczywiście oni pracują dla kogoś z B?

Oficer medyczny rozłożył ręce.

– Brak danych na temat tej dwójki jest zadziwiający.

O niej nie wiadomo dosłownie nic od 2001 roku. Jest uznana za ofiarę zamachów w WTC. On zniknął kilka lat temu ze szpitala psychiatrycznego i od tej pory również nie ma żadnych danych ani dostępnych świadków, którzy by go widzieli.

– A nasz trzeci gość? – Lars wskazał na Dybcia.

– O nim wiadomo wszystko – odrzekł Hilhelin, nie odwracając się nawet w stronę Czesia. – Domorosły wynalazca i naukowiec. Podejrzewany o dziwaczne happeningi na granicy ich prawa. Wiadomo, gdzie mieszka, co robi, nie ma tu nic tajemniczego.

– Jak miło. – Czesio przypomniał o sobie.

Lars westchnął głęboko, wstał zza biurka i zaczął chodzić wolno po pokoju.

– Co wie o nich Laval? – spytał Hilhelina.

– Na pewno więcej niż my. Ściągnął ich tu bardzo sprawnie, wyciągając z kryjówki, która jest... nie wiadomo, gdzie jest.

W tym celu wysłał do B odpowiednio zaprogramowanego Skoblita.

– Mówisz o Yovicie?! – Dybcio znowu się ożywił.

– O tym również nie możemy rozmawiać – uciął szybko Lars.
– To ściśle tajne.

– Zbadaliśmy go, wiemy o nim więcej niż wy! – zaprotestował Czesio.

– Zbadaliście go?! – po wypowiedzeniu tego zdania usta agenta pozostały otwarte.

– Tak. On twierdził, że jego budowa anatomiczna i możliwości komunikacji pozawerbalnej są charakterystyczne dla wszystkich was. – Kłamał? – spytał zdecydowanie Dybcio.

Obaj Anenneńczycy długo zastanawiali się nad odpowiedzią. Wreszcie Lars zaczął ostrożnie.

– Na pewno Yovita wam to powiedział czy raczej Vilestea?
Czesio pomyślał.

– Może rzeczywiście Vilestea, a obserwując Yovitę, tylko wysnuliśmy sami taki wniosek – przyznał.

– Już mówiłem. Członkowie naszego społeczeństwa są identyczni anatomicznie z wami. A dzięki kontaktom utrzymywanym od setek lat, choć zachowywanym w ścisłej tajemnicy do dziś, nasze cywilizacje są tak podobne. Nasz rozwój, szczególnie przez ostatnie trzysta lat był – jak by to powiedzieć – „wzajemnie konsultowany”; jesteśmy właściwie w tym samym miejscu. Mamy podobne zwyczaje, rytuały, systemy rządzenia i zarządzania.

– Wy na coś wpadacie i podrzucacie to nam, my na coś wpadamy i wy to od nas ściągacie?

– W uproszczeniu tak.

– Nie mamy pojęcia o takich rzeczach jak *renderuea* czy resy.

– Bywają wyjątki. Z *renderuea* zrezygnowaliście sami. Już wiele lat temu prowadzono tajne rozmowy. Resy i w ogóle magnetyka transportowa to kwestia zaledwie ostatnich dwudziestu lat. Jak sądzę, pojawią się w B w jakiejś tam formie. Wprowadziliśmy u was bardzo sprawnie DVD czy CD, zamiast analogu, a z filmem trójwymiarowym próbujemy od pięćdziesięciu lat i jakoś się u was nie przyjmuje. Agenci rywalizują, ale często wymieniają też informacje i doświadczenia.

– Nie mówisz mi do końca prawdy. Macie zdecydowaną przewagę – stwierdził twardo Dybcio.

– Tego nie da się ot tak, po prostu wytłumaczyć podczas jednej rozmowy. To bardzo skomplikowane. Sieci agentów, ścisła tajemnica z obu stron, rywalizacja wewnątrz A i – jak sądzę – także wewnątrz B wśród tych, którzy o obu systemach czasowych wiedzą... to wszystko jest niezwykle złożone. Myślisz, że czemu służy SKKSP? Wspomagamy was. Nie mówię, że tylko po to istniejemy, ale to jeden z naszych priorytetów. Ja przecież narażam się na zarzut zdrady, organizując przerzuty takich agentów jak Anithsanu i kilku innych, a potem stając się ich oficerem łącznikowym. Nie zawsze po obu stronach tego lustra jest dobra wola, mimo że u nas zaledwie w czterech krajach istnieje w ogóle wiedza rządowa o systemie B, a u was tajne komórki agencyjne również są utrzymywane przez nieliczne, najpotężniejsze rządy. Reszta świata wciąż nie ma pojęcia o tunelach transportowych. Jednak to po tej stronie, w tym świecie je odkryliśmy.

– Odkryliście?!

Lars uniósł brwi.

– Podróżowałeś nimi i nic o nich nie wiesz? Ja nie mam nawet uprawnień, żeby na nie rzucić okiem!

– Mogę już iść? – spytał Hilhelin.

– Oczywiście. Cały czas próbuj zdobyć jak najwięcej danych o nich. Przekaż Anithsanu to, co mnie i każ ich przesłuchać. Potem zobaczymy... – na chwilę przeszedł na język lamiarhadi.

– Nie spuszczać ich z oka. Wciąż im nie ufam. I może... przyślij ją jeszcze na chwilę tutaj.

– Odkryliście? – powtórzył Dybcio, odprowadzając Hilhelina wzrokiem.

– Były tu, zanim w ogóle człowiek pojawił się na Ziemi. Do dziś nikt nie ma pojęcia, jak działają. Umiemy tylko je obsługiwać. I fakt – to my je pierwsi odkryliśmy, a około tysiąca siedmuset lat temu nauczyliśmy się ich używać. Wtedy też pierwszy raz was odwiedziliśmy.

– Teraz wiem, jak obliczyliście różnicę czasową między A a B. W tunelach pozostawiono przyrządy, które do tego służą.

– Oczywiście.

– I jak to wszystko praktycznie wyglądało? Dokopaliście się do ukrytego tunelu transportowo-czasowego, a w środku była instrukcja?

– Hm... no, można tak to ująć.

– Cywilizacja w dalekiej przeszłości tu przyleciała i skonstruowała te tunele, a potem odfrunęła?

– A skąd ja mam to wiedzieć? Może byli tu, zanim czas nas rozdzielił? Może to ich eksperymenty doprowadziły do tego rozszczepienia? Nie mamy pojęcia. Wiemy tylko, że tunele są nieprawdopodobnie wręcz trwałe. I oprócz zwykłego przeznaczenia dały nam ogromną wiedzę techniczną na tematy zupełnie poboczne jak energia elektryczna, którą rzeczywiście

poznaliście dużo później niż my, materiałoznawstwo i tak dalej.

– A instrukcje były w waszym języku czy po angielsku?

– Nie kpij. Oczywiście, że nie było książeczek pozostawionych na stołach. W urządzeniach pozostawiono kody, których zrozumienie zajęło dziesięciolecia, a były w języku całego świata i wszechkosmosu – w języku matematyki. Nie mogę z tobą o tym szerzej rozmawiać. Pomagamy, ale nie na oślep. Na każdą ważniejszą przekazaną informację muszę mieć pozwolenie z góry, a rozmawiam tu teraz z tobą jak na konferencji prasowej.

– Rozmawiasz, bo masz na to pozwolenie. – Dybcio uśmiechnął się chytrze. – Scenka „otwartości” rozegrana z Hilhelinem nawet była przekonująca. Ale wiem, że teraz ty zaczniesz pytać i nie popuścisz, zanim nie odpowiem wyczerpująco.

– No cóż... – odparł mu z rzadkim u niego uśmiechem Lars. – Zaczynam rozumieć, dlaczego ci Kapłani zabrali cię ze sobą.

Krzysztof objął Haiku i pocałował w czoło. Następnie odwrócił się do stojącej przy drzwiach aresztu Anithsanu i spytał:

– Czy to pewne informacje?

– Nie może być pomyłki. Źródło jest najmocniejsze ze wszystkich, które mamy.

Kimura nadal nie reagowała. Znów wybrała sobie tajemniczy, niewidzialny punkt na ścianie i nie spuszczała z niego oka.

– Wiem, że to trudne. – W głosie agentki słyhać było szczerzy ton pocieszenia. – Ale Lars nie do końca miał rację. Nie

urodziłaś się tutaj, nie jesteś więc stąd. Stąd pochodzi tylko twój ojciec.

– I jego przodkowie – dodała głucho Haiku, odzywając się po raz pierwszy, odkąd weszła do nich Anithsanu.

– To tacy sami ludzie jak my – przypomniała agentka.

– Umalite?

– Tak. Tak się naprawdę nazywał. Ty pamiętasz go jako Toshiro Kimurę.

– Ja nie pamiętam go w ogóle. Nie pamiętam większości swojego życia. Nie pamiętam dzieciństwa, brata, ojca, nawet matki. Znam ich tylko z opowiadań. Po prostu któregoś dnia obudziłam się na odludnym polu wśród zboża dwa tysiące mil na południe od Nowego Jorku. Kilka lat temu. Nie pamiętam WTC ani tego, co było bezpośrednio po zamachach. Pewne niejasne obrazy wracają do mnie czasem w snach, bywa że w momentach zagrożenia. To tylko niewiele mówiące urywki nieznanymi mi zdarzeń.

Anithsanu skinęła głową.

– Jesteście wolni, Lars przeprasza za nieporozumienie chociaż, jak sądzę, wobec was nie wydusi tego z siebie.

– Nadal nam nie ufa, prawda? – zapytał, raczej znając odpowiedź, Lorent.

– Możliwe, ale wie, że ta praca zawsze się wiąże z pewnym ryzykiem. Wie także, że to niemożliwe, aby Yasuko pracowała dla kogoś stąd. Jeśli nawet jest czyjąkolwiek agentką z B, na pewno nie zdekonspiruje SKKSP.

– Dla nikogo nie pracuję – przerwała Haiku.

– Ale pracowałaś?

– To przeszłość. Całkowicie zakończona.

– Kto to jest Luc Trantignan?

– Czy to już przesłuchanie? – Kimura wreszcie odwróciła się w kierunku agentki.

– Nie traktujcie tego w ten sposób. Spróbujcie tylko ich zrozumieć. Pomagają nam, ludziom z B. Pomogą wam.

– Zobaczymy.

– Kim jest Luc Trantignan?

– Był złym człowiekiem. Nie żyje.

– Pracowałaś dla niego.

– Jakim cudem wiesz o tym, a nie wiesz, kim był?

– Przysłano nam tylko nazwiska. Al Prinero, Luc Trantignan, ale SKKSP nie ma pojęcia, kim byli. Liczymy, że ty nam powiesz.

– Mówiłam, że to przeszłość.

– Suar876 skądś się dowiedział, że byłaś od mokrej roboty. Szefów to trochę niepokoi. Nawet jeśli są pewni, że nie pracujesz dla naszych wrogów.

– Nie zrozumiecie. Nie wasza sprawa. To już dawno skończone.

Kapłan spojrzał badawczo na Anithsanu.

– Każdy ma swoją przeszłość – rzekł wyważonym tonem. – Ty nie?

Agentka westchnęła ciężko.

– Czesław próbował nam właśnie wytłumaczyć, kim naprawdę jesteście. Chodzi o wasze nadprzyrodzone zdolności.

– Nie ma w tym nic nadprzyrodzonego – zaprzeczył szybko Lorent. – To zwykła genetyka.

– Zwykła?!

– Co wiesz o Yovicie? – zapytała Haiku.

– Nie zmieniajcie tematu. Pomóżcie nam uwierzyć w to, co

mówił wasz naukowiec.

– Ale po co? – Yasuko prychnęła wisielczym śmiechem. – Wierzcie sobie, w co chcecie.

– Czesław podzielił się z wami tą wiedzą, bo – jak sądzę – za wszelką cenę chciał pomóc – odezwał się jak zwykle opanowany i pojednawczy Lorent. – I nam, i wam. Jeśli nawet instynkt go zawiódł, nie ma teraz znaczenia, czy mu wierzycie, czy nie. Istotne jest to, dlaczego tu się znaleźliśmy. Czemu ktoś zdecydował, że macie nam pomóc? Wspominam o tym, bo powód musiał mieć niebłahy, skoro poświęcono dla tej sprawy tak wiele. Dekonspiracja brytyjskiej agentki, świetnie zakorzenionej w tutejszej tajnej policji, musiała kosztować bardzo dużo, ponownie stawiam więc tezę: może jednak instynkt Czesława nie zawiódł?

– Jeśli w jego słowach jest choć procent prawdy, nie wiem nawet, co myśleć... – niemal wyszeptala Anithsanu, jakby straciła nagle całą siłę głosu.

– Może potraktuj to jako źródło decyzji, o której przed chwilą mówiłem. Kto ją podjął?

– Nawet gdybym wiedziała, nie mogłabym o tym mówić.

– Chyba kończysz już tu karierę? – domyśliła się Haiku.

– Nie podjęto jeszcze decyzji co do mnie. Z pewnością w najbliższym czasie będę odesłana do B, ale nie wiem jeszcze kiedy.

– Kto podjął tę decyzję? – nie ustępował Kapłan. – Nie chodzi mi o jego imię, tylko o funkcję w SKKSP.

– Nie wiem i nigdy się nie dowiem. – Anannenka rozłożyła ręce. – SKKSP to hierarchiczna, oparta na tak zwanym systemie szeregowym, organizacja. Oznacza to, że znam tylko Larsa, pracowników jego pionu oraz jego przełożonego. Nie znam

i nigdy nie poznam osoby, która stoi nad naszym szefem. Nie wiem i nikt stąd na tym poziomie nie wie, gdzie jest centrala, nie wspominając już o kontaktach z jej pracownikami. Nie wiemy nawet, ile takich central istnieje. Informacje dostajemy zaszyfrowanym kodem, a źródło jest nie do wykrycia. Prośby o te informacje i wytyczne wysyłamy, używając szyfru, którego nawet nie znamy. Informacje są kodowane automatycznie w głównym komputerze. Wiem tylko, że to szyfr dynamiczny i ulega zmianie kilka razy dziennie. Gdyby któraś z agend rządowych odkryła to miejsce, dziesiątki tutejszych pracowników byłyby zgubione i straty mogły by być ogromne, ale na tym by się skończyło. Dalej tą drogą nikt by się nie przebił wyżej. Kto więc podjął decyzję? Tego nikt z nas nigdy się nie dowie.

– Jakoś nie płaczesz z powodu swojego końca tutaj – zagadnęła Haiku.

– Może jestem już zmęczona.

– Kim jest Yovita? – Krzysztof znowu zadał pytanie.

– Nie chcielibyście trochę odpocząć? Jest już późno.

Lorent patrzył dłuższą chwilę na agentkę, po czym zbliżył się do niej na odległość pół metra. Niespodziewanie zaczął mówić w języku, którego nie znała nawet Haiku.

– Twój kolega i ty wspominaliście o miejscu, do którego mamy się udać, gdy przyjdzie czas.

– Tak. Matko Boska, skąd znasz ten język?

– Nie wyjedziemy stąd, zanim nie dotrzemy do chłopca, więc w pewnym momencie musimy zboczyć z drogi. Pomożesz nam?

– Skąd wiedziałeś, że znam język connacht?!

– Nie wiedziałem. Po prostu wyczułem w twoim angielskim wyraźny irlandzki akcent. Półtora miliona Irlandczyków zna

ojczysty dialekt dawnych Celtów. Liczyłem na szczęście, szansa był spora.

– Przy okazji upewniłeś się, że istotnie jestem z B.

Kapłan uśmiechnął się jednoznacznie.

– Pomożesz nam? Nie ma chyba szans, aby ktoś tu znał connacht?

– To szaleństwo.

– Pomożesz?

– Może jutro do tego wrócimy. A teraz muszę wymyślić wersję dla, jak to ująłeś, mojego kolegi, wyjaśniającą, o czym teraz rozmawialiśmy, bo z pewnością słucha. Ale najpierw pokażę wam wasze kwatery.

ROZDZIAŁ 10

– Są w kwaterach? – spytał Lars, gdy tylko Anithsanu przekroczyła próg jego gabinetu.

– Tak.

– Ktoś ich pilnuje?

– Oczywiście. Dyskretnie.

Lars nie przerwał przeglądania meldunków na komputerze, jednak kątem oka dostrzegł, że agentka nie zamknęła za sobą drzwi.

– Możesz powiedzieć, co to za język? – spytał, jakby tego nie zauważył.

– Irlandzki, mój ojczysty. Connacht. To język Celtów. Goidelski, nie zachodniogermański, z którego wywodzi się angielski. Bardzo się różnią.

– Słyszałem. Gdyby się nie różniły, nie pytałbym. Interesuje mnie, o czym tam sobie gawędziliście?

– Pytał, czy w areszcie jest podsłuch, bo ci nie ufają i boją się, że ich zdradzisz.

– Mam w to uwierzyć?

– Nie dziwiłabym się na twoim miejscu. Kiedy czasem zaprezentujesz pełnię swojego wdzięku, ręce i nogi opadają.

– Nie o tym mówię. Najpierw Lorent niemal czyta ci w myślach i genialnie zgaduje, że znasz jakiś tam język irlandzki, a już za chwilę jest tak głupi, aby pytać o podsłuch w areszcie?

Dziewczyna otarła lekko dłonią czoło, jakby się

zastanawiała.

– Nie odprowadziłbyś mnie do kwatery? – spytała.

Lars spojrział na Anithsanu, unosząc lekko brwi. Ona zaś nic więcej nie powiedziała i wyszła z gabinetu. Lars szybko podniósł się z biurka i dogonił ją na korytarzu.

– Co jest? – spytał natychmiast.

– Nie chciałam gadać w gabinecie.

– O tej porze nikt nie słucha.

– Wolę mieć pewność. Gdzie możemy swobodnie porozmawiać?

– Na większości korytarzy, na przykład tutaj. Jest noc, zostaliśmy na tym piętrze sami.

Anithsanu zatrzymała się i skupiła spojrzenie na twarzy Larsa.

– Masz rację, Lorent nie pytał o podsłuch. Chcą się urwać w czasie wycieczki.

– W czasie transportu do Vikilli?

– Tak.

– Jak?!

– O to poprosili mnie. Liczą na to, że skoro jestem z B, pomogę im.

– To idiotyzm. Po co? Na ich miejscu zrobiłbym wszystko, aby się stąd wydostać.

– Przybyli tu w konkretnym celu i mimo że trochę się pochrzaniło, nie rezygnują.

– Nie wiem, po co tu są.

– Chodzi o tego Skoblita. Nie wyjadą stąd, dopóki go nie znajdą.

– Podobno to on ich wykiwał.

– Wymyśl coś.

– A niby co mam wymyślić?

– Nie mogą się dowiedzieć, że ich zdradziłam!

– Nie zdradziłaś ich, wciąż jesteś agentką i wykonujesz rozkazy. Ja też, i nie zaryzykuję wchrzania się w ich gierki.

– W takim razie dodaj mi armię *aju*, bo sama nie dam im rady.

– Wystarczy trzech dodatkowych agentów. Nie wierzę w te bajki o jakichś tam kapłanach, ale kobieta może być profesjonalistką, więc trzeba uważać. Ksiądz tylko pozuje na jej duchowego przewodnika. Dla mnie to żałosne. Może się na nią napalił, a może to jakiś zbok albo świr. Tylko ten ich okularnik jest cokolwiek wart. Bystry, ma dużą wiedzę. Doceniam też jego bluff o supermocach dwójki przyjaciół. Naukowo nawet trzyma się kupy.

– Przesłuchałeś go?

– Tak, według instrukcji, którą dostaliśmy rano. Ma rzeczywiście ogromną wiedzę i konsekwentnie upierał się przy tych legendach. Swoją drogą, trochę dziwne te pytania od centrali, ale nie moja sprawa. Przesłałem już, co trzeba.

– Wymyśl coś! – nie ustępowała Anithsanu.

Agent chwilę się zastanawiał.

– Idź do siebie, ale nie wyłączaj *vi*. Skontaktuję się jeszcze dziś.

Boże mój, Stwórco wszystkiego, przyjacielu zbłąkanych... Pozwoliłem, abyśmy zgubili drogę. Być może straciłem instynkt, a być może nie umiem już odróżnić nieprzyjaciół od tych, którzy zasługują na zaufanie. Znów grzeszę lękiem i przywiązaniem do tego, co uludne i być może zbyt łatwe. Panie mój, błagam, wstaw

się za Twoją córką, w której sercu czasem ogień oślepią roztropne wybory, ale nigdy nie niszczy ducha. Oświeć także Twojego syna, który – choć kroczy ścieżką potęgi ludzkiego umysłu – nie zawsze umie pokonać strach, gdy nadchodzi pora trudnych decyzji. Ja dziękuję Ci za łaskę wiary i spokój duszy, bo widzę, jak wielkie i bezkresne jest Twoje Stworzenie. Ale zapal choć niewielki płomyk na końcu mroku, który spadł na nas tak nagle i bezlitośnie, abym mógł doprowadzić moich przyjaciół do końca tej drogi pełnej niebezpieczeństw i zgubnej przemocy. Amen.

– Krzysztof? – Haiku uchyliła drzwi jego kwatery.

– Tak? – Lorent powoli wstał z kolan i wyszedł jej na spotkanie.

– Nie odpowiadałeś na pukanie.

– Przepraszam.

– Pilnują nas. Nie widzimy ich, ale wiem, że tu są.

– Nie przejmowałbym się tym. Pora na odpoczynek.

– Nie boisz się, że dziewczyna nas zdradzi?

Krzysztof głęboko odetchnął.

– Liczę na to.

– Ten Anenneńczyk to ćwok, nie pomoże.

– Dziewczyna jest bystra, umie wymyślić, zaimprovizować, zachować zimną krew. On wbrew pozorom nie jest idiotą, ale wygląda mi bardziej na służbistę niż Jamesa Bonda. Wszystkie te cechy obojga mogą się właśnie teraz przydać. Może to nie aż taki błąd, że Czesław był zbyt szczery na nasz temat. Jeśli zrobiło to na Larsie jakiegokolwiek wrażenie, zacznie się obawiać, że nie wykona zadania, gdy dowie się od agentki, co zamierzamy. Przed nią do niczego się nie przyzna, ale dla

swoich szefów będzie już wolał wymyślić cokolwiek, by nam ułatwić sprawę, niż ryzykować porażkę.

– A jeśli dziewczyna nie zdradzi?

– Wtedy będzie trudniej, wówczas jednak przydadzą nam się jej cechy charakteru. Chyba ją zaciekawiliśmy, a to już daje spore nadzieje, że nie tylko nie stanie nam na drodze, lecz także pomoże, jak przyjdzie czas.

– Nie byłabym aż taka optymistyczna – wyznała Haiku.

– A mamy inne wyjście?

Z dyktafonu Czesia

Leżę wreszcie w jakimś łóżku. Normalnym, takim jak nasze. Kwatery skromne, ale wygodne. Jesteśmy w bazie agencji SKKSP cokolwiek to oznacza. Jestem potwornie zmęczony, ale zasnąć chyba będzie trudno. Tutejszy agent zadawał sporo pytań o wiele rzeczy dotyczących naszego układu czasowego. Dziwne, skoro mają tylu szpiegów po naszej stronie. Interesowały go oczywiście nasze ostatnie dokonania naukowe i -co ciekawe - moje wynalazki. Postanowiłem podzielić się swoimi odkryciami i nie ukrywać ich wielkości. Najwięcej czasu poświęciłem oczywiście Żelaznej Mary Wnikającej w Umysł oraz fotelowi Duranda Duranda, rzecz jasna z wzmacniaczem wyobraźni. Ale, co intrygujące, tego dość wkurzającego dupka zafrapowały nawet ścianochoady, ślizgacze po betonie, a także wkładacz spodni. Pytał o konstrukcję moich okularów i powód, dlaczego nie mam jednej z małżowin usznych. Nie uwierzył, że to wrodzone. Jednak myślę, że tylko wygląda na kretyna. Wskazuje na to jego selektywna, choć raczej niemądra wiedza i chęć zdobywania nowej. Z dziedziny nauki światowej kolesia najbardziej wzięło niedawne odkrycie jednej z tak zwanych Superziemi, na której panują warunki sprzyjające życiu. Jest woda, a najważniejsze jest to, że planeta znajduje się bardzo blisko nas - zaledwie 40 lat świetlnych. Teraz spróbuję zasnąć. Po raz pierwszy, odkąd tu wylądowaliśmy.

Lars zastawiał się dłuższą chwilę. Potem włączył komputer i przesłał wiadomość dotyczącą doniesienia Anithsanu. Ku własnemu zaskoczeniu na odpowiedź czekał zaledwie kilka minut.

Dostosuj podróż do żądań gości. Oto dostępne dane na temat Skoblita Yovity...

Lars uważnie przeczytał dane.

– O, ja chrzanię... – jęknął do siebie. – To przecież musi być ściśle tajne.

Za chwilę wpisał w odpowiedzi:

Potwierdź zezwolenie na przekazanie danych.

Potwierdzam.

Potwierdź jeszcze raz, czy mam pomóc gościom w dotarciu do Skoblita Yovity?!

>Potwierdzam. Zaplanować, wykonać. Koniec połączenia.

Lars wyłączył komputer i zaskoczony przez chwilę siedział w milczeniu. Wreszcie przykleił transponder do skroni i połączył się z Anithsanu.

– Pomożemy im – powiedział natychmiast, jak tylko odebrała.

– Dobrze słyszę?

– Tak. Mam pozwolenie centrali.

Zapanowała dłuższa cisza.

– Nadałeś to do centrali?! – spytała, cedząc każde słowo agentka.

– *Vi* są gotowe. Być może już jutro wyruszyacie – odparł, ignorując pytanie Larsa.

– Transport miał być.

– Nieważne, czy będzie gotowy. Jutro wyruszacie zupełnie gdzie indziej. Dostajesz resa i lecicie.

– Dlaczego centrala tego chce? – spytała nie bez zdziwienia agentka. – To nielogiczne.

– Nie wiem, mnie też, jak to kiedyś powiedziałaś, szczęka opadła. Ale wiesz dobrze, że oni się raczej niespecjalnie zwierniają. Teraz to rozkaz.

– Jak to rozegramy?

– Jutro ci wszystko powiem. Trochę muszę jeszcze nad tym popracować. Przekazano mi sporo danych o tym Skoblicie. Ciężko uwierzyć.

– Wiemy przynajmniej, dokąd lecimy?

– Wiemy. To jest w danych o Yovicie, ale najpierw odwiedźcie Szczerbatego i popytacie o kilka rzeczy.

– Tak zasugerowała centrala?

– Nie, tak sugeruję ja. Nie powiedzieli, jak mamy to zrobić. Kazali mi to wymyślić.

– Szczerbaty mnie nie lubi.

– Ciebie wszyscy lubią. Nie jesteś mną. A to ja go wywaliłem z agencji.

– On teraz działa sam. Nie będzie chciał gadać.

– Będzie, kiedy tylko mu powiesz, że centrala zleciła tobie i obcym znalezienie Skoblita. Zainspirujesz go. To jeden z najbardziej zdumiewających rozkazów, jakie dostałem. Śpij dobrze. Zanim nas opuścisz, trochę jeszcze przygód przed tobą.

Lars rozłączył się z agentką, po czym połączył się z innym *vi*.

– Czego chcesz, gnido? – usłyszał po chwili chłodny jak góra lodowa głos.

– Wstawiłeś sobie wreszcie zęby?

– Rozłączam się.

– Za chwilę. Jutro zjawi się u ciebie Anithsanu z trójką gości z B.

– Co ty pieprzysz?! Nie pracuję już w agencji!

– To cię zainteresuje.

– Niby dlaczego?

– Powtórzyli legendę, którą kilka lat temu zatruwałeś mi głowę, gdy jeszcze byłeś oficerem naukowym w SKKSP. Przypomnieli mi ją niepokojąco dokładnie.

– Niczego takiego nie pamiętam.

– Wiem, że kiepsko u ciebie z pamięcią, odkąd zacząłeś mimo moich ostrzeżeń działać na własną rękę.

– Zwolniłeś mnie, kretynie, pamiętasz?

– To nie upoważnia do podejmowania działań na własną rękę. Ci goście twierdzą, że są Kapłanami Ścieżki Wiedzy. Może więc jednak skupisz się odrobinę?

Przez chwilę transponder milczał.

– Kłamiesz – odezwał się znowu głos. – Żaden Kapłan nie przyznałby się do tego, kim jest, zwłaszcza komuś takiemu jak ty. Poza tym trzech Kapłanów? To niemożliwe, rodzą się raz na trzysta, czasem czterysta lat. Wstawiaj taki kit swoim pupilkom jak ta dziewczynka z B.

– Nie trzech, tylko jeden. Kiedy aresztowałem tego całego Kapłana, opowiedział mi o tym naukowiec, który z nimi podróżuje.

– Bzdura! Kapłan dał się aresztować? Wiesz, co jest w stanie zrobić taki człowiek? Tracę czas.

– Odpieprzę się od ciebie i przestanę nasyłać na ciebie agentów. Przytknę oko na to, co robisz, ale przyjmij ich.

Znowu cisza. Tym razem dłuższa.

– Jesteś niedokładny, Lars. – Głos stał się mniej wrogi. – Jeszcze raz. Precyzyjniej.

– Trójka podróżników. Kapłan, naukowiec i kobieta, która jest największą zagadką. Cierpi na amnezję pourazową. Nie pamięta większości swojego życia, ale jej zdolności podobno nie odbiegają od tych, które ma kolega Kapłan.

– Znowu kręcisz.

– Nie. Tym razem mówię dokładnie, jak jest.

– Może oni cię wykiwali?

– A nie daje ci do myślenia to, że dysponują tak rozległą wiedzą o Kapłanach?

– Odpieprzysz się?

– Tak.

– Czego chcesz?

– Abyś im pomógł. Szukają pewnego Skoblita. Zawsze frapował cię ten temat.

– I ty im na to pozwalasz. Już mam się śmiać?

– Mam powód. Poważny. Myślisz, że w przeciwnym razie poniżałbym się i łączył z tobą w środku nocy?

– W twoim przypadku jakiegokolwiek, nawet najmniejsze przebłyśki niskiej samooceny są objawem rozsądku. A tak przy okazji: usiłujesz mnie właśnie wpakować w jakieś kłopoty?

– Tylko im pomóż. Nikt ci nie każe lecieć z nimi. W zamian wyślę ci materiały, które cię zainteresują.

– Co?! – Teraz głos nie potrafił nawet ukryć zdziwienia.

– Powiedziałem ci, że mam powód. Na moim biurku leżą dane o Skoblicie, o których ci się nie śniło. Do niedawna mnie też. Użyj ich. Ale jeśli oprócz tej trójki obcych ktokolwiek się

o tym dowie, wyparujesz w pomysłowym wypadku, być może nawet we własnym domu.

– Teraz zacznam ci wierzyć. Byłeś do tej pory zbyt... jakby to powiedzieć... ludzki. Dane przekaże mi twoja dziewczynka?

– Nie. Prześlę ci je teraz. Nie mów obcym, że to ode mnie. Zrobisz na nich wrażenie. – Lars uśmiechnął się nieprzyjemnie do transmitera.

– Który klucz?

– Nowy. Pierwszy impuls – klucz, drugi – zakodowane dane.

– Czekam.

Lars się rozłączył. Głęboko odetchnął. Chwilę potrwało, zanim wziął się do wysyłania danych.

Telefon wyrwał Giovanniego DiPoleniego ze snu. Uniósł głowę, zapalił lampkę i spojrzął na zegarek.

– Która godzina? – spytała cicho Elizaveta, nie otwierając oczu.

– Dochodzi druga. Śpij najdroższa, zajmę się tym.

Odebrał.

– Proszę?

– Ta ja, mój drogi Giovanni.

DiPoleni pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Jest środek nocy, Eberhardzie.

– Specjalnie czekałem do tej pory. Podejrzewam, że jest u ciebie Balea. Chyba nie chciałbyś, abym zadzwonił, gdyby był obok ciebie?

– Co się stało? – spytał już zwykłym tonem DiPoleni.

– Był u mnie profesor Wilecki. Mąż tej lekarki, przyjaciółki Kapłana.

– Wiem, kim jest. O co pytał?

- O to, o co – jak sędzę – ciebie pytał Luigi.
- Co mu powiedziałaś?
- Minimum tego, co musiałem. Na ile dało radę, udawałem obojętność.
- Mówiłem, abys był ostrożny – przypomniał DiPoleni.
- Byłem. Wciąż pracujecie nad tym?
- Tak. Mistrz odpoczywa w pokojach gościnnych. Rano znowu bierzemy się do pracy.
- Jak wam idzie?
- Stanęliśmy w miejscu.
- Trzeba jeszcze raz przyjrzeć się wiadomości od Kapłana.
- Tam jest tylko wskazanie numeru księgi.
- Tylko?
- Tak. Dodał *Septem Montes Silvae* 379. Przyjeliśmy, że to numer listu. I chyba mamy rację. Tam jest właśnie sztandarowy fragment *Nie szukaj zemsty...*

Przez kilka chwil DiPoleni słyszał w słuchawce tylko ciężki oddech Linka.

– Możliwe, że Kapłanowi chodziło o coś jeszcze – wydusił wreszcie profesor.

– Z czego wnosisz, że tak właśnie było? – spytał wolno Strażnik.

– Lorent zawsze był niezwykle ostrożny. Wiadomość musiał zakodować tak, by mieć pewność, że nie rozszyfruje jej nikt niepowołany. I tak jest teraz.

– Postaraj się mówić jaśniej, Eberhardzie – poprosił DiPoleni.

– Po co napisał *Septem Montes Silvae*?

– Aby wskazać na bibliotekę rzymską, a nie tę pod Stambułem czy egipską.

– Nie sędzę. Napisał *R.* z numerem *YOLIQUI*?

– Oczywiście.

– Widziałeś tę kartkę, Giovanni?

– Tak. Mistrz pokazał mi ją.

– Kapłan napisał numer z *R.*, czyli „rzymski” z *YOLIQUI*. Tym samym dał absolutną pewność tym, którzy mają dostęp do twojej biblioteki, na co to oznaczenie wskazuje. Dlaczego więc by jeszcze umieszczał dość prymitywną sugestię Rzymu w postaci tego *Septem Montes Silvae*?

– Trudno mi powiedzieć, Eberhardzie.

– Musiało mu chodzić o coś jeszcze.

– Nawet jeśli tak, trudno to będzie odgadnąć – odparł spokojnie DiPoleni.

– Niekoniecznie. Po wizycie Wileckiego miałem trochę czasu, aby wszystko przemyśleć. Przeglądaliście *Commentaria Aureliusza*?

– Po co? Tam nie ma nic ciekawego.

– Czyżby?

– Tam są tylko notatki Marcellina dotyczące bardzo praktycznych danych dnia codziennego, przypominające mu, kiedy, gdzie i z kim ma się spotkać, ile osób będzie na jakimś przyjęciu, spis adresów ważnych dostojników, numery, daty, liczby. Ten wolumin jest nudniejszy od książki telefonicznej. Nawet z Sirim i McCendrickiem nie poświęciliśmy mu zbyt wiele czasu. Nie było co rozszyfrowywać. Zwykle notatki, w dodatku w większości pisane prościutką łaciną.

– Tylko?

– Czasem pojawiały się symbole, jak to u Marcellina, ale tak czy owak, to tylko właściwie zbiór cyfr i dat.

– Nie zastanawiało cię nigdy, dlaczego geniusz o niezwyklej pamięci pokroju Marcellina pisał takie rzeczy?

– Był skrupulatny. I choć miał umysł Kapłana i mógł pamiętać czasy sprzed starożytnego Egiptu, ale nie musiał zaśmiecać sobie umysłu banałami dnia codziennego. Zapisywał wszelkie drobnostki z datami, odpowiednimi liczbami i określeniami w komentarzach. Taki był. To może być interesujące dla badaczy codziennego życia Imperium z czwartego wieku, ale nie dla nas.

– A inaczej – pamiętasz oryginalną nazwę tej księgi?

– Dawno do niej nie zaglądałem. *Commentarii*. – Zastanowił się chwilę

– *Commentarii Septem Montes Silvae* – dopomógł Link. – Czyli *Notatki z lasu siedmiu wzgórz*. Jak wiemy, miał dom pod Rzymem, gdzie mieszkał przez ostatnich piętnaście lat życia. Wyjechał z Konstantynopola w 330 roku. Tam rozpoczął dzieło tworzenia bractwa aurelickiego.

– Czyli uważasz. – DiPoleni zastanowił się. – Że 379 nie oznacza numeru listu z *Błękitnej*, tylko.

– Kapłan mógł pokusić się o dwuznaczność. Geniusze umieją tworzyć takie puzzle. Drugie znaczenie liczby na końcu listu to numer notatki *Commentariów*. Nie mam tej księgi i nie mogę pomóc więcej, ale wiem z moich zapisków, że tych notatek sporządził 995.

– Nie pamiętam.

– W notatce Kapłan zawarł dwie informacje. Zapisał numer *Błękitnej Księgi*, aby zwrócić waszą uwagę na gości, którzy są jej autorami, a następnie wprost wskazał na *Commentaria*. Zajrzyjcie tam z Mistrzem, Giovanni.

– Myślisz, że znajdę tam współrzędne wyspy Sentinelczyków,

co ostatecznie udowodni, że Kapłan jest teraz tam, skąd pochodzili przybysze?

– Nie. Starożytni Rzymianie nie znali tamtych stron. Aureliusz najprawdopodobniej nie miał pojęcia o Sentinelczykach. Nawet jeśli goście zdradziliby mu położenie tamtego miejsca, nie miałyby to praktycznego sensu.

Dotarcie tam starożytnemu Rzymianinowi zajęłoby kilka lat. Sądzę, że w *Commentariach* między przepisem na placek z oliwkami a spisem sąsiadów jest coś, co może okazać się dla nas teraz najważniejszą informacją ze wszystkich. Yovita, o którym mi opowiadałeś, musiał tu wylądować w zupełnie innym miejscu niż Sentinel. Z pewnością w dzisiejszej Europie. Myślę, że dość blisko domu, pod którym znaleźli go przyjaciele Lorenta.

– Wilecki wspominał o Yovicie?

– Niestety tak. Staralem się go zniechęcić, jednak chyba bezskutecznie. Ale bądź spokojny. Nie zdradziłem mu naszych spraw. To mój przyjaciel, choć my obaj przecież nie chcemy, aby w to akurat był zbyt zaangażowany.

– Jestem spokojny. Ale jeśli masz rację co do *Commentariów*, dlaczego Kapłan nie zapisał w notatce po prostu dwóch sygnatur?

– Nie wiem. Spytajcie go, jak wróci. Przede mną zawsze ucieka.

Z dyktafonu Czesia

Gnojek się nawet z nami nie pożegnał. Burak z niego taki, że aż szkoda miejsca na dysku, aby to komentować. Noc przeszła spokojnie. Zasnąłem późno, ale spałem bardzo głęboko i obudziłem się kilka minut przed dziewiątą rano, licząc po naszymu. Określiłem przybliżone różnice w czasie i nastawiłem odpowiednio zegarek. Jak wiecie, nie ma tu miłego zwyczaju posiadania okien w sypialniach, a nawet w salonach, więc nie można rano po prostu zobaczyć słońca. Można włączyć sobie jeden z ekranów, i zobaczyć, jaka jest pogoda. Powiem szczerze – obciach.

Wskutek całej tej nerwowej atmosfery podejrzliwości i afery wywoływane przez Larsa mam rozstrój żołądka. Podejrzałem, że ze spaniem będzie problem, ale paradoksalnie, chyba z powodu takiego właśnie wyczerpania organizmu było odwrotnie. Szczerze mówiąc, w którymś momencie miałem już tego wszystkiego tak dość, że mi było wszystko jedno.

Nikt mnie ani moich przyjaciół nie niepokoił w nocy. Nikt nas rano nie obudził. Kiedy wyszedłem na korytarz – Krzysztof i Yasuko już tam byli; spokojnie o czymś rozmawiali. Szybko pojawiła się Anithsanu i zaprowadziła nas na posiłek. Kolację zjadłem skromną. Oczywiście ze ściany. System monitorów taki sam jak w apartamentach Vilestei. Łatwe. Już bym tu nie umarł z głodu. Żarcie wolę jednak nasze. Nawet to dzisiejsze śniadanie napakowane było, jak sądzę, masą konserwantów i czułem się, jakbym jadł plastik. Nasze cywilizacje rzeczywiście są dość podobne, ale jedzenie mamy zupełnie inne. Oni nie znają chleba, masła, ziemniaków, pomidorów czy sera; podstawowych dla nas rzeczy. Wszystko jest w formie kwadracików, mazideł, rurek i kulek. Czuć, że wytworzone sztucznie i po prostu niesmaczne. Darowałem sobie komentarze na ten temat, bo laska, która ma

nas przeprowadzić na drugą stronę, jest w porządku.

Jak mówiłem, Larsa już nie zobaczyliśmy. Anithsanu na śniadaniu przekazała wszystko, co trzeba. Nagle wyskoczyła z tekstem, że pomoże Kapłanowi i Haiku w tym, o co prosili. Kiedy wytłumaczyli mi, o co chodzi, mało nie spadłem z krzesła. A oni jak zwykle... na wieść o tym, że panienka „pomoże”, Krzysiek odstawił mnicha buddyjskiego, którego zamrożono w lodówce, a Yasuko zaczęła jeść w taki sposób, jakby jej w ogóle z nami nie było. Nie lubię, kiedy tak się zachowują, bo to zawsze zwiastowało kłopoty. Skupiają się tak przed akcją, a ja na razie akcji mam dość. Zamknąłem oczywiście dziób na kłódkę, bo chodzi o dzieciaka. Co ma być, to będzie. Poznałem tu kilku ludzi. Wszyscy byli mili i mówili po angielsku. Przynosili jakieś materiały Anithsanu, a nam przyklepili *vi*. Śmieszne wrażenie, załaskotało, a potem nie dało się już tego zdjąć. Chyba że z połową ręki. Muszę pamiętać, aby mi to odcepili przed drogą powrotną, bo zostanie i będę wyglądał jak krety.

Dostaliśmy resa i właśnie lecimy do kogoś, kogo nazywają Szczerbaty. Jak ziomala z Targówka spod filarków lub z Kuflandii. Trochę mnie to niepokoi. Wolałbym, aby pomagali poważni ludzie, a nie goście fundujący nam nowe problemy. Agentka, Yasuko i Krzysztof cały czas gadają, jest więc trochę czasu na to nagranie.

Miałem ciekawy sen. Siedziałem w pontonie pośrodku jakiegoś bezkresnego rozlewiska, piłem pilznera z pięknego kufła, a dookoła pływały rekiny i piranie. Dziwne, nie? Szczególnie że piranie są słodkowodne, a rekiny to ryby morskie. Nie mają prawa nigdy się spotkać. Nie, żebym był za jakąś symboliką, ale lepiej nie zapeszać. Nie będę tego im opowiadał. Chyba dolatujemy, bo właśnie mi pokazują, żebym już skończył.

– Musisz to ciągle robić? – burknęła Haiku.

– Daj mu spokój. – Lorent uśmiechnął się do niej ciepło.

– Tak jest, święty Krzysztofie. – Wydęła lekko usta, usiłując ironicznie się uśmiechnąć.

– Człowiek, do którego lecimy, nie jest zbyt gościnnie, ale to

były świetny agent. Ma niesamowitą wiedzę i sporo żalu do mojego obecnego partnera. Ja umiałam znosić charakter Larsa, on nie. Nie wnikaliśmy nigdy w ich konflikt.

– Mieszka w tym mieście? – spytał Lorent.

– Tak, ale po drugiej stronie. Dość daleko od bazy, z której wylecieliśmy. Jazda samochodem zajęłaby nam ponad dwie godziny. Zła wiadomość jest taka, że tamte okolice są jeszcze gorsze od tych. To najgorsza dzielnica w mieście.

– Nie szukamy wygód – zapewnił Krzysztof.

– W jego *muselei*, czyli... no... w miejscu, w którym mieszka.

– Wiemy już, co to jest. – Przyśpieszyła sprawę Haiku.

– Nie ma *sesidou*, czyli odpowiedniego garażu dla resów. Musimy skorzystać z publicznego i dojść kilkaset metrów. Inaczej program nie pozwoli nam wylądować. Mam nadzieję, że nie będzie kłopotów.

– Czyli? – Czesio wykazał czujność.

– Mieszkańcy tej dzielnicy nie lubią obcych. A już szczególnie takich, którzy przylatują resami.

– Dwójka Kapłanów i agentka SKKSP nie dadzą sobie rady wśród koleśki z tutejszego Harlemu?

– Nie chodzi o to, żeby komuś spuścić manto, tylko aby zostać niezauważonym. – Yasuko poklepała opiekuńczo Czesia po ramieniu.

– Nie musisz być protekcyjna – obruszył się Dybcio.

Kimura westchnęła głęboko.

– Może jednak zajmij się dyktafonem?

Z dyktafonu Czesia

Wylądowaliśmy w wielkiej czarnej dziurze, która podobno była publicznym *sesidou* dla resów. *Renderuea* zabrało nas tym razem

nie do jakiegoś apartamentu czy biura, ale do pomieszczenia, z którego było wyjście na zewnątrz. Na zewnątrz, no cóż, jest chyba gorzej niż w najgorszych miejscach gett. Nie dominują tu czarni. Chyba nawet więcej spotykamy białych. Patrzą na nas wrogo zza żółtych siatek, gdzie grają w jakieś dziwne gry, mijają nas, specjalnie rozpychając się na ulicy pełnej papierów i innych śmieci. Nie ma tu nawet chodnika. Nikt z nas nie reaguje na zaczepki. Nie patrzymy im w oczy, jak zaleciła Anithsanu tuż po opuszczeniu resa. Są ubrani w poszarpane, brudne wersje eleganckich strojów ludzi w dzielnicy Vilestei czy w centrum, gdzie rozmawialiśmy z Suarem⁸⁷⁶. Może robię błąd, że teraz gadam do dyktafonu, ale oni raczej interesują się dziewczynami niż moim sprzętem. Dochodzimy do jakiejś rudery i Anithsanu mówi coś, czego się obawiałem: „Jesteśmy na miejscu” oraz „*Renderuea* nie jest tu najnowsze. Może być trochę niekomfortowe”.

To delikatnie powiedziane. Mało nie połamało mi kości. Jak ktoś może tu żyć? Chyba wychodzą z domu po długim zastanowieniu albo mieszkańcy tej rudery spacerują w ochraniaczach. Agentka chyba tu już kiedyś była. Doskonale zna drogę, bo urządzenie wywaliło nas tylko na brudny korytarz, a do drzwi musieliśmy dojść. Po co tutaj to całe *renderuea*, kiedy i tak wejścia do poszczególnych mieszkań są normalne. Chwilę trwa, zanim w drzwiach staje wysoki, gruby facet. Jezu... koleś nie ma w ogóle zębów.

– Witaj, Rei. – Anithsanu uśmiechnęła się służbowo.

– Witaj dziewczynko Larsa. – Gruby facet wycisnął z siebie uśmiech.

– Możemy wpaść na krótkie *liczei*?

– Ależ oczywiście. – Nagle spowaźniał. – Tak nie mogłem się was doczekać, że nie wytrzymałem napięcia i chyba zsikałem się w majty.

Trójka towarzyszy Anannenki spojrzała po sobie z pewnym niepokojem. To na nich Rei teraz skupił swoją uwagę.

– W waszym świecie korzystacie z majtek? Bo my już je mamy chyba od dwustu waszych lat. Niestety górujemy nad wami technicznie, pewnie więc nie wiecie, o czym mówię.

Dobrze posługiwał się angielskim, ale niewyraźnie, mocno sepleniąc.

Krzysztofowi, jak zwykle w chwilach kłopotliwych, nie drgnęła nawet powieka, Czesio przyglądał się mężczyźnie, jakby był obiektem z muzeum techniki, a Haiku spojrzała z politowaniem na agentkę, licząc na jej reakcję.

– Nie gniewajcie się. – Rei wybuchnął tym razem tubalnym, ale nadal sztucznym śmiechem. – To poczucie humoru w stylu Larsa, czyli jej smyczy.

Yasuko zajrzała Szczerbatemu w oczy.

– Spotykamy tu kretyna za kretynem – powiedziała, udając pogodny wyraz twarzy. – Na pewno macie nad nami jakąkolwiek przewagę?

Rei zmrużył przenikliwie oczy, ale widząc zaczepny wzrok Kimury, znowu się roześmiał, jednak tym razem już zdecydowanie bardziej naturalnie.

– Podoba mi się ta dziewczyna. Wchodźcie. Mam odjazdową chałupę. Będziecie pod wrażeniem.

Gdy zaprowadził ich do swojej pracowni, dość uprzejmie wskazał miejsce na czymś w rodzaju dużej, potwornie zakurzonej kanapy. Zakurzone tu zresztą było wszystko w zasięgu wzroku z wyjątkiem stanowiska Reia, nie tylko niemal sterylnie czystego, lecz także nieustępującego nowoczesnością temu, co goście z B widzieli w SKKSP. Yasuko lekko chrząknęła, jakoś nie miała ochoty siadać. Cała reszta również stała, nieco zmieszana.

– Rozumiem. – Rei rozłożył ręce. – Rzadko tu ktoś wpada.

Odsuniecie się na chwilę?

Z sufitu wysunęła się dość szeroka rura, przypominająca tę używaną w B do zwykłych odkurzaczy, ale o znacznie większych rozmiarach i zaczęła samoczynnie... odkurzać kanapę. Najbardziej zainteresowany procesem okazał się – co raczej nie było zaskakujące – Dybcio.

– Czujniki odległościowe zsynchronizowane z komputerem?
– spytał ciekawie.

– Zwykły robot. – Szczerbaty machnął niedbale ręką. – Za chwilę skończy. Zrobię *liczei*.

Grubas wyszedł kołyszącym się krokiem do innego pomieszczenia.

– Jezu... – jęknął Dybcio. – Stuknięty facet mieszka jak ćpun, w dzielnicy z jakiegoś horroru. Co my tu robimy?

– Anithsanu uważa, że ten człowiek to ekscentryczny, ale wybitny naukowiec i były agent – uspokoił Lorent.

– Krzysztof... on nie ma zębów!

– Ciszej! – syknęła Yasuko. – Jak zacznie świrować, wyjdziemy. Skup się, bo jesteś potrzebny.

Rei szybko pojawił się z powrotem z nawet dość czystą tacą oraz czterema pucharami wypełnionymi napojem *liczei*. Szedł tanecznym krokiem, jakby w głowie słyszał zafiksowany fragment *Jeziora łabędziego*, w dodatku zagłuszony pokaźną ilością alkoholu. Dla jednych – zagadkowy, dla innych – głupawy, quasi-uśmiech mógł w pewnych okolicznościach nieco przerażać i trzeba przyznać, że Dybcia niepokoił szczególnie.

– Jak pewnie wicie, zapowiedziano was, moi drodzy przyjaciele. Z ogromną chęcią wam pomogę, jak tylko umiem. Pytajcie i rozkoszujcie się wiedzą – zakończył, a po wykonaniu niepełnego piruetu wylądował ciężkim ciałem na swoim

stanowisku.

Wszyscy spojrzeli znacząco na Czesia.

– No więc... – zaczął zaniepokojony Dybcio. – Tak bardzo jesteśmy do siebie podobni.

– A nie byłoby ciekawiej, gdybyśmy jednak nieco bardziej się różnili? – podjął natychmiast Rei. – Gdybyśmy nie wchrzaniali się sobie nawzajem w paradę? Nie tworzyli wielowiekowych organizacji tajnych mnichów z brodami do kolan, a współcześnie – agencji będących pożywką dla nadambitnych polityków, przekonanych o swoim megahistorycznym znaczeniu? Po co ciągle się podglądamy? Po co ciągle się naśladujemy?

– Możliwe, że byłoby ciekawiej... – odparł nieśmiało Czesio. – Choć przyznam, że i tak zdumiewa mnie, jak profesjonalnie utrzymywano te wzajemne inwigilacje przez tyle lat przed opinią publiczną.

– Jak będziesz trochę starszy, mój przyjacielu, to być może zorientujesz się, że wbrew pozorom utrzymanie tajemnicy w zależności od stopnia jej zdesowerytalności w postępie geometrycznym bardzo wysoko uprawdopodobnia skuteczność w funkcji megasocjopercepcyjnej.

– Aż tak dobrze nie mówię po angielsku.

Rei poszerzył dziwny uśmiech.

– Im bardziej fakt jest w odbiorze społecznym nieprawdopodobny, tym łatwiej go ukryć. To oczywiste. Pewnym paradoksem jest to, że ta grupa faktów nadaje się jak ulał do wszelkich teorii spiskowych, tajemnych i tak dalej. A przez to właśnie jest jeszcze łatwiej ją ukryć w jej oryginalnej formie. Teorie spiskowe zawsze w bezpiecznym stopniu rozmydlają prawdę. Wiesz, gdzie jest legendarny skarb

templariuszy? Kto zabił Kennedy'ego? Co się stało z młodocianym Edwardem V i jego bratem? Ostatni raz widziano ich w lipcu 1483 roku bawiących się na dziedzińcu Tower i od tej pory nikt już ich nigdy nie spotkał. Mimo że dwieście lat później odnaleziono dwa dziecięce szkielety, do dzisiaj angielska rodzina królewska odmawia zgody na choćby najogólniejsze badania nad szkieletami. W tamtym przypadku jakoś od sześciuset lat nikt nie dotarł do prawdy. A co dopiero, gdy się weźmie na warsztat istnienie dwóch układów czasowych dla Ziemi. Możemy jutro rozesłać to, co wiemy do wszystkich gazet w obu układach i nic się nie zmieni. Wierz mi. Poważne pisma nawet tego nie tkną w obawie o utratę prestiżu, a tabloidów nigdy nikt poważny nie potraktuje serio. Zostaną rozmydlające wszystko teorie spiskowe. Nasz problem to taka Strefa 51¹⁴. Trzeba by było nieprawdopodobnych wysiłków, aby to unaocznic światu wraz z dowodami, nawet gdyby ktokolwiek istotny, mający dostęp do tych faktów, wyraził dobrą wolę w tej kwestii. A wszystko i tak trwałoby potwornie długo, zanim społeczność światowa dałaby wiarę. Na razie jednak czyni się ogromne wysiłki, aby robić wręcz przeciwnie i zachować tajemnicę. Profesjonalnie, jak to ująłeś. Tajemnica jest bezpieczna. – Uuu Uaaaa! – zahuczał jak sowa i nagle zamilknął.

– Są przejścia. Ktoś je kiedyś może odkryć – zauważył jakby nigdy nic Krzysztof.

– Czyżby? – Rei uniósł brwi i zaczął kołysać głową w rytm niesłyszalnej muzyki.

– Anithsanu mówiła nam, że możesz coś wiedzieć na temat pewnego chłopca. – Lorent celowo nie ciągnął poprzedniego wątku.

– Tak wam powiedziała? A na pewno ona wam to mówiła?

– Rei! – rzuciła agentka ostrzegawczym tonem w stronę grubasa.

– Ano tak... a mogę ich spytać, czy naprawdę jest wśród nich Kapłan? – spytał, udając dziecięcy ton.

– Odpowiemy na każde twoje pytanie – podjął zdecydowanie Lorent. – W zamian za informacje. Oraz za to, co obiecał ci – jak sądzę – Lars, ale na to już nie mam wpływu.

Anithsanu zwiesiła bezradnie głowę.

– Nie martw się, dziewczynko. – Rei postanowił „pocieszyć” agentkę. – Oni nie mają pretensji, że ich zakablowałaś, tylko że masz ich za idiotów.

Nagle spoważniał i wpił wzrok w Lorenta.

– Marzyłem o tym całe życie – zaczął niespodziewanie mówić z pasją. – Marzyłem, aby spotkać jednego z takich jak ty. Twoja wiedza... świadomość. Nie odpuszczę, zanim nie dotrę tam, gdzie ty! Dzięki tobie!

– Nie mamy aż tyle czasu – odparł spokojnie Kapłan.

– Szkoda. Waszą historię znam niegorzej niż wasi profesorowie. Mógłbym uczyć was waszego świata.

– Poucz nas trochę swojego – zachęcił twardo Lorent.

– Będziesz mnie namawiał do tak nudnej rzeczy?

– Obawiam się, że Yovita jest w niebezpieczeństwie.

– Nawet ty nie masz pojęcia, kim Yovita naprawdę jest!

– To mi powiedz.

– Najpierw ty. Czy macie księgę naszych kapłanów?

– *Błękitną Księgę?*

– A więc macie. Gdzie jest?

– U aurelitów.

– Jak wiele osób o niej wie?

– Nie mam pojęcia. Ale sędzę, że bardzo niewiele. Teraz ty. Kim jest Yovita?

– Skoblitem. To na wpół legendarny dla tutejszej społeczności lud zamieszkujący wysokie góry, odosobnione miejsca, do których żaden normalny człowiek nie jest w stanie dotrzeć. Jak wasi tybetańscy mnisi lub mistrzowie medytacji i sztuk walki w Shaolin. W naszym świecie mamy pełno przestrzeni, do których nikt nie zagląda. Od setek lat żyjemy w coraz większych miastach, pomiędzy którymi są tereny czasem nieodwiedzane od wieków, nie zawsze zajęte przez trasy dla resów. Niby wszyscy o Skoblitach wiedzą, ale mało kto widział ich naprawdę. Są bardziej bohaterami mitów niż kimś realnym, w kogo mogliby uwierzyć zwykli ludzie. Ale istnieją. Wyglądają jak każdy z nas, choć w rzeczywistości istotnie się różniemy. Mają inną budowę anatomiczną, nieco inną strukturę mózgu, wyższą temperaturę ciała. Posiadają wyjątkowe zdolności porozumiewania się niewerbalnego w zależności od... osobnika. Jest ich niewiele, a populacja wciąż się zmniejsza. Na całym świecie może ich być nie więcej niż kilkuset. Niegdyś żyli w potężnych rodach, tworząc rodzaje klanów. Setki lat temu rządili całymi krajami. Tak trafili do legend. Dziś ukrywają się w niedostępnych miejscach. Podobno są także wśród nas, nie ujawniają się. Nie jest im łatwo. Żyją krócej, bardzo rzadko mogą cieszyć się potomstwem, nikt nigdy nie słyszał o kimkolwiek, kto byłby dzieckiem Skoblita i zwykłego człowieka. Może nigdy tego nie praktykują, może nie mogą. A teraz chłopiec: Yovita żyje w odosobnieniu. Nie zdaje sobie sprawy, jak naprawdę wygląda nasz świat. Myśli, że wszyscy tu są tacy jak on. Jest najmłodszym Skoblitem, o którym wie agencja.

Matka utrzymuje go w tym przekonaniu od czasu jego narodzin.

– Vilestea?

– Uchodzi za osobę bezdzietną. Zwykłą prawniczkę, doradczynię i sekretarkę znanego polityka. Zatkąło mnie, kiedy dowiedziałem się, że jest jedną z nich. *Qui pro quo*, Kapłanie. Jak się ma Aureil?

– Nie żyje od sześciu lat.

Rei spuścił głowę i przez chwilę nic nie mówił.

– Szkoda. Był moim ostatnim zadaniem w agencji. Wiedziałem o nim więcej niż ktokolwiek spoza bractwa w B.

– Skąd? – spytał kontrolnie Kapłan.

– Za dużo ode mnie wymagasz. Kto jest teraz Wielkim Mistrzem?

– Luigi Balea, jego przybrany syn.

– Jak umarł Aureil?

– Spokojnie. Czy Laval to również Skoblita?

– Podobno nie. To bardzo tajemniczy człowiek. Ma wielu wrogów. Ale nie jest jednym z tych, co Vilestea, chociaż doskonale wie, kim ona jest i co potrafi poza działalnością prawniczą.

– A to skąd wiesz?

Rei znowu zaśmiał się po swojemu.

– Nie wiem, skąd to wiem.

– Tylko sprawdzam wiarygodność tego, co opowiadasz.

– Nie zaspokoję twojej ciekawości. Będziesz musiał mi uwierzyć lub odejść z niczym.

– Mów dalej o Skoblitach.

– Nie wiadomo zbyt wiele o ich pochodzeniu. To oni kilka

tysięcy lat temu byli rasą dominującą. Oni rządzą światem. Może są potomkami tych, którzy zbudowali tunele międzyczasowe? Może jednak są potomkami ich i ludzi? Może są potomkami ludzi neandertalskich, którzy kiedyś żyli równocześnie z *Homo sapiens*, a potem teoretycznie zniknęli z powierzchni ziemi? Zagadkowe. Uważa się, że w B nie ma Skoblitów i nie ma najmniejszych śladów po nich. Być może macie to z głowy. Ale kto wie.

– Skoro masz tak dużą wiedzę. – Kapłan mówił jak zwykle wyważonym tonem. – Powiedz, gdzie go znajdziemy?

– Jest u Lavalá. Ma tam wszystko, co trzeba. Stworzono mu miniświat, który wystarcza.

– Nonsens! – zaprotestował natychmiast Czesio. – Dzieciak wychowywany z dala od innych dzieci, w izolacji, nagle został przerzucony do naszego świata, byśmy go znaleźli?! Widzieliśmy, jak funkcjonuje i jak sobie daje tam radę. Z wyjątkiem oczywistych trudności zachowywał się znacznie bardziej dojrzałej, niżby na to wskazywał jego wiek.

– Mówię, co wiem – zaśpiewał Rei w takt kolejnego nieznanego gościom utworu, który pojawił się w jego umyśle.

– To bzdury!

– Ostry z ciebie chłoptaş. Ale jednak to ty raczej wciskasz kit. Ja być może mam kilka słabości, jak paradowanie zimą w sandałach czy słuchanie Lady Gagi z waszych CD, jednak nigdy nie kłamię! Mogę coś ukrywać, ale jak już mówię, to samą prawdę.

– Ja kręcę?! – Oburzonemu Czesiowi niemal zaparowały okulary.

– Skoro go znaleźcie, badaliście, to.

– Skąd wiesz, że my... – wtrąciła Haiku, ale Lorent położył

znacząco dłoń na jej ręce, dając wyraźny znak, aby nie zadawała tego pytania.

– Słucham? – zaciekawiał się grubas.

– Kontynuuj. – Yasuko niedbale machnęła ręką.

– Skoro więc mieliście z nim taki kontakt i tyle o nim wiecie, powinniście też wiedzieć, że był zapakowany po sufit.

– O czym ty mówisz?! – jęknął Dybcio.

– Dobrze wiesz. Skoblici umieją przekazywać sobie wiele informacji spakowanych niczym pliki komputerowe. Jak paczki poukładane w mózgu.

– Które rozpakowują się w odpowiednim czasie, niekoniecznie od razu – wszedł mu w słowo Kapłan.

– A więc jednak to nie ja tu kręcę. – Rei pokiwał głową prawie normalnie. – Dzieciak dostał tyle danych, że mógłby u was zostać mesjaszem!

– Od kogo?

– Nie wiem. Najprawdopodobniej od matki. A jeśli nie od niej, to od kogoś, kto świetnie się pod nią podszywał.

– Ktoś mógłby umieścić te „paczki” w jego mózgu, bez zgody zainteresowanego? – spytał Dybcio.

– Zbyt mało wiemy o Skoblitach, aby tę kwestię całkowicie wykluczyć, ale podobno to niemożliwe. Dlatego uważamy, że zrobiła to matka.

– Mimo wszystko, jak mogła go wysłać samego?! -nie wytrzymała Yasuko.

– Jednak nie macie pojęcia o Skoblitach. Poznaliście jednego i potraktowaliście go jak ciekawostkę naukową. A to istoty o kompletnie innej mentalności niż my. Ona nie tylko go wysłała, aby was sprowadził, lecz także musiała wiedzieć, że

Tyhron dość szybko wpadnie na jego trop. Mimo to nie lękała się. Wiedziała, że Yovita da mu radę. Jest od niego znacznie potężniejszy i wiek nie ma tu nic do rzeczy.

– Zagięcia czasoprzestrzeni? – wtrącił nieśmiało Dybcio.

– To najbardziej zagadkowe i rzadkie nawet wśród Skoblitów. Podobno dzieciak pod tym względem jest niesamowity. Z żyjących przedstawicieli tej społeczności w naszym kraju jest jedynym o udowodnionych zdolnościach tego typu. Tak przynajmniej twierdzi agencja. Istniały pewne podejrzenia co do Tyhrona, którego chyba spotkaliście, ale tego nigdy nie udowodniono.

– Tyhron również to potrafi – rzekł bez emocji Kapłan. – Ale, jak się wydaje, rzeczywiście ma nieco mniejsze możliwości.

– Macie na to dowód?

– Doświadczyliśmy tego.

– Ooooo. – Rei wypluł z siebie prawie całe powietrze. – To jest coś! Tylko ja o tym wiem?

– Tak.

– Może tak zostać? – spytał konspiracyjnie grubas.

– Wiesz, kim w rzeczywistości jest Tyhron? – dociekał Kapłan.

– Leahaaan. Przez trzy „a”. – Rei znowu irytująco się roześmiał. – Mnich i jednocześnie naukowiec pochodzący z klanu konkurencyjnego wobec Vilestei i Yovity. Odkrywca tak zwanych bram bezzwrotnych. Wśród Skoblitów zwanych smugami Tyhrona.

– Przejścia w jedną stronę? – upewnił się Kapłan.

– Mówiła wam o tym Vilestea?

– Wiele rzeczy nam mówiła, ale większość nieprawdziwych.

Dlatego się upewniam.

– Od ponad dwudziestu lat wiemy, że takie przejścia istnieją, ale dopiero on opracował ich charakterystykę i odkodował dane zostawione przed tych, którzy przejścia zbudowali. Smug Tyhrona ich sporo. My nie umieliśmy ich uruchomić. Budowniczo wie sprzed tysięcy, a może milionów lat odpowiednio je zabezpieczyli. Jak sądziliśmy, po to, by nie korzystał z nich nikt, kto nie zdaje sobie sprawy, że tamtędy nie można wrócić. A przejść obustronnych jest bardzo niewiele. Ja nie wiem ile, nigdy ich nie widziałem, z moim poziomem wtajemniczenia mogłem wiedzieć o dwóch. Jednym na terenie instytutu Laval, a drugim około pięciu tysięcy kilometrów stąd. Oba teoretycznie kontrolowane przez rząd, jednak o Lavalu pewnie już trochę wiecie.

– Chcielibyśmy więcej. – Lorent uśmiechnął się niewinnie.

– Nie zajmuję się polityką. Byłem oficerem naukowym. Nie zajmowałem się takimi sprawami i nie chcę się nimi zajmować.

– Tyhron pochodzi z klanu nienawidzącego klanu, z którego pochodzi Yovita i Vilestea? – Czesio próbował uporządkować informacje.

– Tak. Tajne agencje rządowe zajmujące się komunikacją między obiema strefami czasowymi zawsze umiały wykorzystywać takie – trzeba przyznać bardzo częste – konflikty między Skoblitami. Podobnie jak Laval. Tyhron skończył prace nad swoimi smugami zaledwie dwa lata temu. Na razie jako jedyny zdecydował się na sobie wypróbować swoje odkrycie i kompletnie samowolnie przeszedł do B. Rząd finansował jego prace, ale zabronił mu uruchamiać projekt bez zezwolenia. On nie przejął się zakazem i zrobił to. Już ponad rok temu. Do tej pory nikt nie chce go wpuścić z powrotem.

A nie da się wrócić bez otworzenia przejścia z tej strony, jeśli się nie zna tak zwanego klucza Saara. Saar to legendarny Kapłan, taki jak wy. – Rei zachichotał. – Jak głoszą pozostawione przez niego prace, to on ponad tysiąc siedemset lat temu po raz pierwszy uruchomił przejście, odczytując klucz pozostawiony przez budowniczych. Do każdego przejścia obowiązuje inny klucz, ale ogólnie są tak właśnie nazywane na jego cześć.

– Skąd wiadomo, że był Kapłanem? – spytała podejrzliwie Yasuko. – Gazety chyba o tym nie pisały?

– Jego prace oczywiście też o tym nie mówią. Ale są tacy, co wiedzą.

– A ty nam oczywiście nie powiesz, kto wie i skąd? Mam rację? – domyślił się Dybcio.

– Masz rację, skarbie. – Rei uśmiechnął się zalotnie.

Zmieszany Czesio zamrugnął powiekami szybciej niż zwykle i spuścił wzrok, licząc na to, że ktoś inny przejmie pałeczkę.

– Dlaczego Tyhron chciał unicestwić Yovitę? Bo jego klan mu tak kazał? – Pałeczkę przejął Krzysztof.

– Dawna nienawiść sięgająca kilkuset lat wstecz odgrywała na pewno jakąś rolę – zgodził się Rei. – To dość honorni goście. Ale było coś jeszcze. Nie chciał dopuścić, aby chłopak skontaktował się z wami, a wiedział skądś, że was szuka, zaś później za wszelką cenę starał się przeszkodzić wam w przejściu do A.

– Dlaczego?

– *Reszta jest milczeniem*, jak mawiał facet od *Hamleta*. Mówiłem, że waszą kulturę mam w małym palcu. Tego nie wie nawet ten ktoś, dzięki komu ja to wszystko, o czym rozmawiamy, wiem. Ale na pewno macie coś, na czym bardzo zależało tym, którzy was tu sprowadzili, a być może Tyhron

i cały jego klan za wszelką cenę chciał, by to coś pozostało bezpieczne w B.

– Ciągłe tu ktoś o tym nam mówi, ale my niczego takiego nie mamy! – Yasuko wzruszyła ramionami.

– Może nie wiecie, że to macie?

– Może... – zgodził się Kapłan. – Jak dotrzemy do chłopca?

– Czytałeś *Błękitną Księgę*?

– Może nie teraz.

– A kiedy? Jak wróćcie do siebie?

– Nie mamy zbyt wiele czasu.

– *Qui pro quo*, Kapłanie. I tak odpuściłem odpytywanie cię z historii. Wiem, że godzinna rozmowa na takie tematy nie miałaby najmniejszego sensu. Musiałbyś tu zostać na rok, abym mógł choć uszczknąć z tego, co tam ukrywasz między uszami, He, he. No dobrze. Jak więc jest z tą *Błękitną Księgą*?

Lorent zastanowił się chwilę.

– Czytałem.

– Kto ci ją dał?

– Nigdy tego nie zdradzę. To zagrażałoby jego bezpieczeństwu.

– Aurelita.

– To oczywiste. *Błękitna Księga* jest zbiorem.

– Wiem, czym jest – przerwał Rei. – Aurelici to był mój konik w agencji. Dlatego ich badaliśmy.

– Ze względu na księgę?

– Tak. Wiemy, że Saar i jego uczniowie dostarczyli księgę Aureliuszowi. Fascynujące, jak skrupulatnie z niej skorzystano. Coś pamiętasz, jeśli chodzi o ten temat?

– To nie moja linia. Żaden z moich przodków nigdy nie

spotkał Aureliusza Marcellina. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

– Ach tak.

Dybcio chrząknął.

– Przepraszam. Co to jest *Błękitna Księga*?

– Twój przyjaciel ci to pewnie dokładniej wytłumaczy – odrzekł Rei. – Krótko mówiąc, spis przepowiedni nieznanego pochodzenia i sporo dobrych rad. Na przykład, jakby tu założyć najpotężniejsze bractwo świata w strefie czasowej B.

– A bez metafor?

– *Nie szukaj zemsty, a wtedy to twoje będzie królestwo. Znajdź największy cień i ukryj w nim siebie i braci swoich. Znikną z Ziemi wszelkie potęgi, upadną cesarstwa i najwięksi władcy, a Ty i bracia twoi przetrwacie aż do Czasu Czarnych Luster* – wyrecytował, kiwając śmiesznie głową Rei. – Ulubiony cytat wszystkich badaczy. Twój nie? – Znacząco spojrzał na Kapłana.

Krzysztof nie zmienił wyrazu twarzy ani o jotę.

– Czas Czarnych Luster? – spytał mimowolnie Dybcio.

– Ano właśnie! – Grubas klasnął w rękę. – Dałbym głowę, że o to zapytasz. Badacze zwykle cytują to albo fragment o siostrach. Wcale nie są najważniejsze, ale fajnie wpadają w ucho. *Dwie Wielkie Siostry o sercu jednakim krwawić będą, póki otchłań między nimi. Te same słońca nad ich duchami panować będą, te same noce dawać odpoczynek im będą. Ale nie ujrzą się już nigdy, aż połączy ich koniec żywota* – *Czas Czarnych Luster*.

– Co to oznacza?

– Możemy tylko przypuszczać. Księga jest zabytkiem niezwykłym. Napisano ją na materiale pozostawionym przez budowniczych tuneli czasowych. To zadziwiające, niemal

niezniszczalne tworzywo. Przetrwało tysiące, a może miliony lat w świetnej formie. Przybysze pozostawili więcej takich prezentów. Nie sądzę jednak, aby to oni byli autorami księgi. Napisano ją dużo później. Niewykluczone, że Saar bądź któryś z jego przodków

– Kapłanów. Tego nie wiemy. Wiemy natomiast, że ten ktoś był nieźle zorientowany co do praw rządzących fizyką kosmiczną. Nasze układy czasowe wciąż się od siebie oddalają, wiecie to, prawda?

– Wiemy.

– Są jak cały kosmos. Do pewnego momentu będą się oddalać, aż nastąpi punkt krytyczny i zaczną się do siebie zbliżać. Nazywam to... prawem gumki do majtek. Podobna zasada, nie sądzicie?

– Wiele w tobie z poety. – Haiku pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Też tak sądzę – odparł z wdzięcznością Rei. – Moment, w którym dwie wielkie siostry ponownie się spotkają – bo jeśli układy czasowe zaczną się ku sobie w końcu zbliżać, musi tak się w końcu stać – nazywany jest w księdze właśnie Czasem Czarnych Luster. A w wielu religiach naszych i waszych dniem Sądu Ostatecznego, końcem świata, a może rozpoczęciem kompletnie innej rzeczywistości. Nie ma co płakać, cały wszechświat wciąż się rozprzestrzenia, aż w którymś momencie zacznie się kurczyć. Może gdy nastąpi jego Czas Czarnych Luster, znowu zapadnie się w niebyt.

– Odpowiedziałem na pytanie o księdze – przypomniał Krzysztof. – Pomóż nam teraz dotrzeć do Yovity.

– Ależ oczywiście! – wybuchnął z przesadnym niestety entuzjazmem Rei. Sięgnął po dość dziwacznie zaprojektowaną

torbę i wręczył ją agentce. – W środku jest mapa instytutu Laval'a ze wskazaniem drogi do miejsca, w którym zwykle urzęduje w określonych godzinach. Nie ma, niestety, znaczników, gdzie może przebywać Yovita, który czasem na noc jest zabierany przez Vilestę do jej *muselei*. O tę wiadomość musicie się postarać sami tam na miejscu. Lokalizacja instytutu nie jest żadną tajemnicą. Jednak to, co naprawdę znajduje się w środku, stanowi jedną z najściślej strzeżonych tajemnic. Nie mam pojęcia, jak zdobyto tę mapę, więc nie pytajcie. Są w tej torbie także trzy programatory do *vi*. Ale tylko dla ciebie, prześliczna Yasuko i ciebie, Kapłanie oraz do *resa*. Anithsanu i ty, profesorze musicie zostać podczas akcji w środku w *sesidou*. Nasza, a właściwie wasza kochana agentka będzie wiedziała, jak wprowadzić programy do *vi*. Wie też, jak zaprogramować pojazd, aby dolecieć do instytutu. W programatorach są karty oremowe, czyli krótko mówiąc, przepustki aż do miejsca urzędowania Laval'a. Od momentu wjechania do tamtejszego *sesidou* będziecie mieli tylko dwadzieścia minut na załatwienie sprawy i powrót. Potem zorientują się, że oremy do *vi* są sfałszowane i po was. *Res* automatycznie odleci z Anithsanu z waszym naukowcem na pokładzie, bo nie będzie wolno im stamtąd wychylić głów nawet na chwilę. A wy zostaniecie bez szans na ucieczkę. Wam pierwszym daję takie rzeczy. Gdy to dostałem, stanęły mi dęba wszystkie włosy nawet w miejscach, w których nie podejrzewałem, że je mam. Wynika z tego, że agencja ma szpiega u Laval'a, co za moich czasów nie było możliwe. Trudno mi uwierzyć, że tak się dzieje dzisiaj, ale to fakt. Chyba. Anithsanu, pamiętaj, włączasz im oremy osobiste, dopiero gdy wyładujecie w instytucie. Reszta w ich rękach. Mapę dokładnie

zapamiętajcie i zniszczcie. Nie mogą jej przy was znaleźć.

Agentka skinęła głową.

– Kapłanie? – Rei zatrzymał ich jeszcze na chwilę.

– Tak.

– Wiem, że jeśli dasz słowo, dotrzymasz go, więc daj mi słowo.

– Dać ci słowo?

– Tak. Być może nie jestem jeszcze całkowicie skończony. Może kiedyś uda mi się jakimś cudem uciec do was, jak na przykład udało się Tyhronowi. Daj mi słowo, że kiedy tak się stanie i odnajdę cię, odpowiesz naprawdę na wszystkie pytania. Nie tak jak dzisiaj.

Kapłan uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Nawet sam sobie nie umiem odpowiedzieć na większość pytań, Rei – przyznał z pewnym smutkiem w głosie. – Ale obiecuję, że jeśli ci się to uda... trochę pogadamy.

– Jak to jest?... To znaczy, jak to jest być tobą? Yasuko ma łatwiej, wiem, że nic nie pamięta.

– Jak to jest? Na początku było ciężko, ale dziś już chyba nie umiałbym być kimś innym.

– Zabijecie go? Zabijecie Lavalę?

– Załatwimy sprawę Yovity.

Rei spuścił głowę i głośno westchnął. Możliwe, że nieco rozczarowała go ta odpowiedź.

ROZDZIAŁ 12

– Jeszcze raz... co się stało w nocy?! – spytał Luigi Balea, wsiadając do windy.

– Olśniło go – przypomniał Andrea Villon, prezentując pogodny uśmiech.

– Po prostu sobie to uświadomiłem. Warto spróbować – tłumaczył Giovanni DiPoleni. – Kapłan przekazał wam wiadomość w jakimś celu. Być może w niezwykle ważnym celu.

– Mów dalej – zachęcił Luigi.

Winda zaczęła jechać w dół do skarbca bibliotecznego.

– Sygnaturę pierwszej książki podał wprost. Chciał, aby zwrócić uwagę na przybyszów i ich podróże do naszego świata.

– I historię naszego bractwa – uzupełnił Villon.

– Po co? – DiPoleni rozłożył ręce. – Każdy z nas zna tę historię. On wskazał na dowód, że Marcellin kontaktował się z przybyszami. Teraz role się zmieniły. To nasz Kapłan odwiedza ich. Nie ma innego wytłumaczenia.

Winda stanęła i wszyscy trzej wyszli z niej, a następnie podeszli do potężnych drzwi skarbcza. Strażnik wprowadził kod.

– Czego w takim razie twoim zdaniem Lorent od nas chce? – spytał Balea.

– Jeszcze nie wiem, ale mam pewne przypuszczenia. Otwórzmy *Commentaria* i być może znajdziemy rozwiązanie całej zagadki.

– Na stronie trzysta siedemdziesiątej dziewiątej?

– Na notatce z tym numerem. Do końca życia je prowadził.

Weszli do środka i od razu skierowali się pracowni bibliotecznej.

– Skąd wiesz, że to ta akurat księga? – indagował Villon.

– To tylko przypuszczenie – odparł ostrożnie DiPoleni. – Ale sądzę, że bardzo prawdopodobne. Jak mówiłem, pierwsza część wiadomości to po prostu numer *Błękitnej Księgi*. Druga część to wiadomość podana niemal wprost. Pełna nazwa tej księgi brzmi *Commentarii Septem Montes Silva*. Tak proste, że nawet tego nie wzięliśmy pod uwagę. Jak mówi porzekadło – najciemniej jest pod latarnią.

– My?! – obruszył się Villon. – Nie znamy tytułów twoich ksiąg!

– Dobrze, więc ja – zgodził się Strażnik. – Zmyliła mnie dwuznaczność przekazu. Nie przeglądałem *Commentariów* od prawie dwudziestu lat. Wydawały mi się dość nudnym, nieistotnym w szerszym ujęciu historycznym zbiorem notatek. Jako tak stara księga stanowi ważny zabytek sam w sobie, ale wydawało mi się, że merytorycznie jest nieprzydatna do badań ogólnych.

Zasiedli przed komputerem. Strażnik wprowadził dane, które dość szybko ukazały się na ekranie. Przez dłuższy czas Luigi, Andrea i Strażnik bez słów przyglądali się temu, co zobaczyli.

– No i co teraz? – westchnął Villon.

– Mówiłeś, że to łacińska księga – mruknął Luigi.

– Niestety, nie pamiętałem szczegółów – przyznał Strażnik. – To duży księgozbiór. Być może tę część opracowywał Siri lub McCendrick.

– To język przybyszów? – upewnił się Andrea.

– Na pierwszy rzut oka wydaje się, że tak – odparł

zakłopotany DiPoleni.

- Potrafisz przetłumaczyć? – spytał praktycznie Balea.
- *Powitanie gości* – wyrecytował szybko Strażnik.
- Znamy łacinę. Nie chodzi o pierwsze zdanie, tylko o resztę.
- Spróbuję.

DiPoleni sięgnął do jednej z szuflad biurka, wyjął duży notatnik i zaczął pracowicie przeglądać zapisane tam definicje symboli. Po kilku minutach przerwał na chwilę.

– W większości to są liczby – orzekł. – Ale i litery, a także symbole całych wyrazów i pojęć. Podobnie jak w niektórych językach azjatyckich.

- To język przybyszów? – znowu upewnił się Mistrz.
- Tak.

– Liczby, pojedyncze litery? *Powitanie gości*?... – mówił, jakby do siebie, Villon.

– Czego potrzebujesz do powitania gości? – spytał nagle przyjaciela Luigi.

– Dobrego jedzenia i kilku anegdot dla rozładowania atmosfery – odrzekł wesoło Villon. – To może być numerowana karta dań, napojów, ulubionych win.

– Wszyscy dobrze wiemy, że to nie jest karta dań. – Balea spoważniał. – Przekonuje mnie teoria, że Kapłan chciał nam przekazać coś, co będzie wykraczało poza zawartą w księgach wiedzę. A do przyjęcia gości takich, jakich on przyjmował, potrzebne było przede wszystkim odpowiednie miejsce. Gdzieś, gdzie nikt tego nie mógł zauważyć. Jakoś musieli tam docierać. I nie mogło to być tak daleko od Rzymu jak wyspa Sentinelczyków. Raczej nie używali latających talerzy, więc być może miejsce jest stałe. Kapłan o tym wiedział. Szukaj miejsca,

Giovanni.

– Jak? – Strażnik był zrezygnowany. – To tylko zbiór nieuporządkowanych liczb i liter.

– Tak jak się szuka miejsca. Być może jakoś zapisał długość i szerokość geograficzną – wtrącił Villon. – Zapisuje się je liczbami.

– Ale nie w tamtych czasach! – biadolił DiPoleni. – Pierwszych określeń pozycji geograficznej dokonywano tysiąc lat później, za czasów Amerigo Vespucciego. A dopiero w 1884 roku odbyła się konferencja, która zatwierdziła ostatecznie południk zero w Greenwich.

– Zastanówmy się – Balea starał się uspokoić atmosferę. – Goście przybywali tu ze świata znacznie bardziej rozwiniętego niż nasz. Mieli z pewnością zaawansowany sprzęt. Inaczej by tu nie dotarli. Musieli być doskonałymi kartografami i świetnie orientować się w ziemskiej geografii. Gdybym chciał porozumieć się z kimś, kto przyleciał z kompletnie innego świata, musiałbym użyć języka uniwersalnego, czyli matematyki. Współczesna siatka kartograficzna to jedyne sensowne rozwiązanie matematyczne dla określenia wybranego miejsca na globie. Każdy inny sposób, jak badanie kąta od położenia Słońca, Marsa i Księżyca, jak to robili starożytni, jest znacznie bardziej prymitywny i niepotrzebnie skomplikowany. Przybysze nauczyli Marcellina tego, na co my, Ziemianie, wpadliśmy trochę później, bo było to i tak nieuniknione. Matematyka istnieje, odkąd tylko powstała materia. My jej nie wymyśliliśmy. My ją tylko odkrywaliśmy. Przybysze znali matematykę i geometrię na znacznie wyższym poziomie niż starożytni Rzymianie i Grecy. Marcellin nie rozgłaszał tego, czego się nauczył. Tak jak mu powiedzieli,

szukał cienia dla siebie oraz swoich braci, i znalazł go. Nie gonił za sławą. Wiedzę zachował dla siebie i naszego bractwa. Nie przewidział tylko, że nie wszyscy z nas będą tak doskonali jak on, i tego, że księgi na tyle lat zaginą. Ty Giovanni, szukaj czegoś, coś wygląda na zapisaną długość i szerokość geograficzną. Jeśli to nam się nie uda, wtedy prześledzimy starożytne sposoby i spróbujemy inaczej.

– Jeśli nawet masz rację. – DiPoleni się ożywił. – Jest mały problem. Równoleżniki są stałe. Rozchodzą się od równika. Jednak południk zero można wyznaczyć wszędzie. Przybysze mogli znać świetnie matematykę, geometrię, ale jeśli nie byli jasnowidzami, z pewnością nie mieli pojęcia, że kiedyś w Anglii powstanie Greenwich.

– Rzym – wtrącił krótko Villon.

– Słucham? – DiPoleni upewnił się, czy dobrze usłyszał.

– Na miejscu Marcellina i przybyszów południk zero wyznaczyłbym w mieście, które w moim świecie jest najważniejsze lub w miejscu mojego zamieszkania – wyjaśnił Andrea. – A w jego przypadku oba te warianty wskazują na Rzym. Mieszkał tam, a w opinii ludzi mu współczesnych to było centrum świata.

DiPoleni pokiwał wolno głową.

– Nie sądzę, aby to było aż tak proste, ale tak czy owak, zajmie mi to trochę czasu. Jedźcie na górę, Elizaveta z pewnością proponuje wam spacer po okolicy.

Tutejsze krajobrazy są wyjątkowo urokliwe. Muszę do kogoś zadzwonić.

– Do kogo? – spytał nieco zaniepokojony Luigi.

– Do profesora RONALDA DAINÉ'ego z Yale. Jest jednym z najlepszych geografów i kartografów na świecie. On pomoże.

– To jeden z naszych braci? – dociekał poważnie Villon.

– Stały współpracownik. Wieloletni – odparł Strażnik. – Zaprzysięgły. Pomagaliśmy mu karierze. Jest całkowicie oddany od ponad czterdziestu lat. On pomoże.

– Z Yale wolę prawników. – Balea się skrzywił. – Stamtąd kojarzy mi się głównie Ellsworth Huntington i brednie, które wypisywał w *Cywilizacji i klimacie*.

– Od tego czasu wiele się zmieniło – zapewnił DiPoleni. – Odpocznijcie. Ja się tym zajmę.

– Nie ma od czego odpoczywać. Wstaliśmy dwie godziny temu. – Balea westchnął. – Ale może rzeczywiście przejdźmy się.

Zapadła całkowita ciemność.

– Mamy tak tu zostać? – jęknął Dybcio.

– Tak – odparł krótko Anithsanu.

– A jak ktoś nas nakryje?

– Na razie to niemożliwe. *Renderuea* nie wysadzi tu nikogo, kto nie zna kodu naszego resa.

– A jeśli się zorientują? Wtedy wyłączą zabezpieczenia i znajdą nas, prawda?

– To nie takie proste, uspokój się.

Czesio oparł głowę o miękką ścianę resa.

– Szczerbaty nie jest wolnym strzelcem. Dla kogoś pracuje – powiedział spokojniej.

– Skąd ten pomysł? A jeśli to dla niego pracują ludzie, którzy zdobyli dla nas informacje?

– Dobrze wiesz, że to nieprawda. Nie miał w tym żadnego interesu. Po co by miał nam pomagać?

– Chciał poznać Kapłana.

– Nie jestem agentem, ale nie jestem też idiotą – obruszył się Dybcio. – Jego pytania do Krzysztofa są tylko zasłoną dymną. Nie były warte tego, co nam dał. Wiedział doskonale, że podczas tak krótkiego spotkania Kapłan nie jest w stanie niczego wartościowego mu przekazać.

– Do czego dążysz? – spytała zmęczonym głosem Anithsanu.

– Szczerbatemu ktoś musiał dużo dać lub obiecać. Nie wierzę w cuda.

– Jakie to ma teraz znaczenie?

– Może spore – odpowiedział niemal grobowym tonem Dybcio. – A jeżeli właśnie wlecieliśmy wprost do pułapki, którą na nas zastawiono? Wyrwałaś nas prosto z łap Suara⁸⁷⁶, byśmy wpadli w objęcia Lavalą.

– Przestań biadolić, bo w końcu wywołasz wilka z lasu!

– Nie, Jill, tak się naprawdę nazywasz, o ile pamiętam. Staram się po prostu dokonać chłodnej analizy. Lars o wszystkim wie, prawda?

– Nawet jeżeli tak, Lars nie jest zdrajcą. Może być dupkiem, ale z pewnością nie wpakowałby nas w ręce wrogów.

– Obyś miała rację.

Po wyjściu z *renderuea* znaleźli się w pustym korytarzu, gotowi w każdej chwili do walki. Korytarz przypominał ten, którym kilkadziesiąt godzin temu kroczyli z Yovitą i Vilesteą tuż po przybyciu do A; jednak się różnił, a z mapy wynikało, że znajduje się w innej części ogromnego budynku. Szybko ruszyli do przodu.

– Zwolnij – szepnął po kilkadziesiąciu metrach Kapłan.

– Nie mamy czasu.

– Mimo to zwolnij.

– Słuchaj instynktu!

– Właśnie słucham. To jest bez sensu!

– Co jest bez sensu?! – Haiku dopiero teraz zwolniła.

– Za łatwo. Tu nikogo nie ma. Przecież w takiej instytucji muszą pracować ludzie. Dziesiątki ludzi. To potężny, bogaty człowiek. Dostanie się do niego powinno być dla zwykłego śmiertelnika niewykonalne.

– Może się rozczarujesz.

– Jeśli nawet uwierzymy, że jakimś cudem ktoś zainstalował tu agenta zdolnego podrobić przepustki, kody komputerowe i zlikwidować tyle zabezpieczeń, to jednak nie ma siły, aby zdołał oczyścić nam skutecznie drogę. To pułapka.

– Co za odkrycie! Oczywiście, że pułapka. Ale my zawsze bazujemy na tym, że przeciwnicy nie mają pojęcia, kim jesteśmy. Dzięki temu kopią dołki, w które sami wpadają. Zobacz, jaki tu jest teren. Wąskie, kręte korytarze, prosty dostęp do *renderuea*. Idealnie dla nas.

– Tym razem mogliśmy przecenić nasze siły.

– Nie sądzę. Jak tu szliśmy z Vilesteą, też były puste korytarze.

– Była trzecia rano.

– Ale w blgaharze słyszeliśmy głosy jej współpracowników.

– To mogły być roboty.

Stanęli przed przezroczystymi drzwiami blokującymi przejście. – Nie znam tych wyrazów – przyznał Krzysztof.

– Poziom trzeci, luk sześćdziesiąt cztery, warstwa pełna, orem siedem – wyrecytowała Haiku.

– Orem, czyli jak sądzę nasze przepustki. Trzeba je gdzieś

przyłożyć. – Lorent się rozejrzał.

– Nie ma tu żadnych czytników.

Kapłan zastanowił się chwilę.

– W takim razie po prostu idźmy.

– I spróbujemy przeniknąć?

– Może zadziała jak fotokomórka. Przecież mamy program z oremami przyklejony do przedramienia.

Zrobił dwa kroki. Drzwi szybko się rozsunęły.

– Jak ty Krzysztofie, możesz wytrzymać z taką swoją mądrością? – Yasuko skrzywiła się kwaśno.

Kapłan nie wyglądał jednak na zadowolonego.

– Myślę, że będziemy na miejscu za jakieś pięćdziesiąt metrów – powiedział cicho.

– Na to wygląda. Jeszcze się czymś martwisz? Dwa zakręty, pierwszy w prawo. Potem dziwne małe schody, tylko dziesięć stopni. Znowu w prawo i będzie gabinet czy apartament, nie do końca wiadomo.

Lorent nie zmienił wyrazu twarzy. Wziął głęboki oddech, po czym znowu ruszyli do przodu.

Gdy tylko wspięli się na małe schodki i skręcili w prawo, natychmiast zobaczyli szeroko otwarte drzwi. Nikt przy nich nie stał.

– Może także i jego tu nie ma. – Lorent westchnął.

– Chyba jednak jest – mruknęła Yasuko ledwo słyszalnie, stając w progu.

W oddali, pod przeciwległą ścianą, dość daleko, co najmniej dwadzieścia metrów od drzwi stał wysoki mężczyzna, spokojnie przyglądając się gościom. Ubrany był całkowicie na białą, a jego luźna szata przypominała nieco hinduskie *dhoti*. Miał krótkie,

zadbane, całkowicie siwe włosy i mocno opaloną twarz. Wielki gabinet został urządzone w kolorach purpury, granatu i drewna. Na ścianach zwracała uwagę okazała kolekcja mieczy, znacznie od siebie się różniących; zbiór ten sąsiadował ze strojami przypominających zbroje wraz z przeróżnymi nakryciami głowy. Mężczyzna stał niemal w bezruchu. Miał spokojne, lekko przymrużone oczy, ręce splótł za plecami. Wygląd wskazywał na sześćdziesiąt, najwyżej sześćdziesiąt pięć lat, ale możliwe, że był starszy.

– Laval? – spytała zimno Haiku.

Skinął głową.

– Chyba go nie zaskoczyliśmy – powiedział cicho do Haiku Krzysztof, który tuż za nią stanął w progu.

Yasuko powoli wyjęła miecz.

– Może najpierw pogadamy? – Lorent zmarszczył brwi.

– Pogadamy. Nie chcę go zabić. Ale jakoś lepiej mi się przeprowadza takie dyskusje, gdy trzymam ostrze na szyi rozmówcy. Zerknij, jeśli to nie sprawiłoby kłopotu, czy nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Szybko ruszyła do przodu. Laval natychmiast wyjął zza pleców swój miecz.

– Widzę, że tak jak my, cenisz tradycję – rzekła z kąśliwym uśmiechem Kimura, atakując precyzyjnie jego prawe ramię, w której trzymał broń. Niemal nie zmieniając wyrazu twarzy, odbił bez trudu jej cios oraz kilka następnych. Haiku ponowiła serię ataków; starała się uderzać szybko i dokładnie. Wyczuła, że Laval wyłącznie się broni. Jego ruchy były oszczędne, krótkie, doskonałe.

Odskoczyła od niego, wpijając wzrok w twarz przeciwnika.

– Kapłan! – syknęła przez zęby.

– Widzę. – Krzysztof spokojnie podszedł do niej, ale jednak nie wyjął swojego miecza. – Skoblita? – spytał Laval.

– Nie. – Po raz pierwszy usłyszeli jego głos.

Haiku konstruowała w myślach plan walki. Wreszcie miała przed sobą kogoś równego sobie. Poczowała przyjemny dreszcz. Niezauważalnie poprawiła chwyt broni.

– Zaczekaj! – poprosił niespodziewanie Anenneńczyk, unosząc lewą dłoń. – Nie jesteśmy wrogami.

– Obawiam się, że powinniśmy ci godnie odpowiedzieć za to, co przygotowałeś dla nas w apartamentach Vilestei.

– Zawsze zdążysz mnie zgładzić. – Jego głos był głęboki, niski, bardzo spokojny.

– Nie obchodzą nas wasze rozgrywki – odpowiedziała szybko Haiku. – Bawcie się między sobą. My przyszliśmy załatwić sprawę dzieciaka, a potem znikamy.

– To nie jest dzieciak. – Laval powoli opuścił miecz, po czym podszedł do niewielkiego stolika stojącego pod ścianą, by na nim ostrożnie położyć broń; cały czas przy tym uważnie obserwował gości. – To najpotężniejszy obecnie żyjący Skoblita. Możliwe, że w sprzyjających okolicznościach pokonałby każdego z nas. Tyle że nie sam. Potrzebuje do tego innych osób.

– Wiemy, widzieliśmy, co potrafi – włączył się Lorent, prosząc jednocześnie wzrokiem Haiku, aby przynajmniej na razie schowała miecz. – Nikogo oprócz nas nie ma w pobliżu?

– Nie chciałem, aby ktokolwiek ucierpiał.

– Wiesz, kim jesteśmy – Krzysztof bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Oczywiście.

– Bo to ty w jakiś sposób podrzuciłeś nam tutejsze oremy

i plan instytutu, abyśmy mogli bez trudu wejść i dotrzeć do ciebie.

Laval nie odpowiedział, ale wskazał duży stół po lewej stronie gabinetu, na którym czekały trzy puchary *liczei*.

– Zapraszam.

Kapłan i Haiku spojrzeli po sobie. Lorent nieznacznie skinął głową. Podeszli do stołu i ostrożnie usiedli na drewnianych, wielkich, wyraźnie wiekowych krzesłach. Laval zrobił to samo po przeciwnej stronie.

– Z początku myślałem, że nasze spotkanie nie będzie konieczne – przyznał. – Ale teraz wiemy już wszyscy, że sprawy zaszły zbyt daleko.

– Człowiek, który dał nam oremy i plan, pracuje dla ciebie. A więc jednak to pułapka. – Haiku uśmiechnęła się smutno.

– Nie, Yasuko – odparł Laval. Mówił wciąż wyważonym, spokojnym, cichym głosem. – Domyślam się, że materiały przekazał wam Rei. To, co wiem o Larsie, wyraźnie wskazuje na tę ewentualność. Żaden z nich nie ma pojęcia, że pracuje dla mnie. – Uniósł puchar i gestem zachęcił do czegoś w rodzaju nieco ekscentrycznego, zważywszy na sytuację, toastu. – SKKSP jest organizacją hierarchiczną, agenci poszczególnych biur terenowych nie znają swoich przełożonych z central. Funkcjonariusze central nie wiedzą zaś, kto wydaje im rozkazy z biura głównego. Wszystko jest ściśle tajne.

– Mój Boże. – Haiku otworzyła szeroko oczy. – Ty tym wszystkim sterujesz.

– Nic dziwnego – włączył się Krzysztof. – Jest głównym szefem. – Przeniósł wzrok na Lavalą. – To ty stoisz na samym szczycie tej drabiny, prawda?

– Zachęcam. – Wskazał na puchary. – To najlepsze *liczei*

w mieście.

– Na razie chyba dziękujemy – odmówił uprzejmie Kapłan.

Laval ze zrozumieniem skinął głową, ale oczywiście sam zdecydował się na degustację.

– Założyłem SKKSP ponad trzydzieści lat temu. Choć czasy są ciężkie, agencja odgrywa swoją rolę.

– Równowaga? – spytał delikatnie Lorent.

Laval uśmiechnął się smutno.

– Naszym przeciwnikom chodzi o niewyobrażalne pieniądze. Przez setki lat kontakty między oboma układami czasowymi były takie, jakie moim zdaniem być powinny. Uczyliśmy się od siebie. Wspieraliśmy się nawzajem. Niejednokrotnie udzielaliśmy sobie pomocy. Dopóki o tunelach czasowych wiedzieli tylko Tarezytowie, czyli Ludzie Pamięci, u was zwani Kapłanami Wiedzy, kontakty były rzadkie, ale ważne, czasem zmieniające bieg historii. Dopiero około trzystu lat temu, kiedy wiedza przedostała się do naszego rządu, a potem do rządów innych państw, ich tajne organizacje przejęły kontrolę nad znanymi im przejściami. Mniejsza z tym, jak to się stało. Efekt był piorunujący. Nagły skok poziomu techniki zarówno w A, jak i w B, ale jednocześnie przebudzenie najstarszych instynktów słabych jednostek – chciwości i rządzy władzy. Do tej pory sekret był własnością tylko Tarezytów. Podobnie jak u was, tacy ludzie rodzą się w jednej linii raz na trzysta, czterysta lat.

Dlatego wizyty były tak rzadkie. U was utrzymywaliśmy kontakty tylko z Kapłanami. Moi przodkowie zalecili Aureliuszowi Marcellinowi, aby założył bractwo, które pomoże w utrzymaniu porządku i tajemnicy. Szkoda, że z czasem aurelici zaczęli wykorzystywać swoją siłę przeciwko Kapłanom z innych linii. Nie podzielam też filozofii religijnej z *Błękitnej*

Księgi, ale główna idea kontaktów między naszymi układami czasowymi zdawała egzamin. Panował ład. Nikt nie myślał nawet o konfliktach. Wystarczała liczba wojen w każdym ze światów. Teraz wszystko się zmieniło. Jestem pierwszym Tarezytą, który przyszedł na świat, kiedy to – zamiast Ludzi Pamięci – tunele czasowe zaczęły kontrolować tajne agencje rządowe naszego świata. Nasze oba układy pełne są agentów z obu stron pracujących dla zmieniających się rządów. Panuje chaos. Niebezpieczny chaos.

– Mówiłeś o wielkich pieniądzach – przypomniał Krzysztof.

– Tak. Nasza Ziemia podzieliła się na dwa układy czasowe. Wiele lat temu, nikt z nas nie wie, kiedy dokładnie, ktoś tu przybył i zbudował tunele, dzięki którym możemy dziś odwiedzać się nawzajem. Ludzie tacy jak Suar876 widzą swój polityczny sukces w uzyskaniu przewagi. Uważają, że skoro to my pierwsi odkryliśmy tunele i my odkodowaliśmy technikę ich zastosowania, to nam się należy pozycja dominująca. Odkryte i wyczerpane już u nas bogactwa naturalne u was niejednokrotnie pozostały jeszcze nieznalesione. Wiemy, gdzie są. Jesteśmy bliźniaczą planetą. W wielu umysłach zrodziła się pokusa sięgnięcia po to, co bezcenne po waszej stronie, ale nigdy jeszcze tego nie praktykowano. Nie wiadomo, czy to technicznie w ogóle możliwe. Nie wiadomo też, jak w tym wypadku działa prawo zachowania masy i energii i czy w ogóle ma zastosowanie. Nikt nie wie, jak – zachowując anonimowość – wykraść wam coś, o czym nawet nie wiecie, że istnieje. Taki sposób myślenia w tej chwili dominuje i przenosi się także na inne dziedziny życia. Przynajmniej tu. A nawet nie wiemy, co rodzi się w głowach tych, którzy są po waszej stronie i mają świadomość istnienia drugiego układu czasowego i przejść.

– Dlatego zdecydowałeś się na współpracę z tymi po naszej stronie, którzy myślą jak ty i sprowadziłeś takie osoby jak Anithsanu. – Krzysztof zdecydował się jednak sięgnąć po puchar.

– Tak. Była dobra. Naprawdę dobra. Ale wykorzystano moją miesięczną wizytę w Reaouletu Jeanou, kraju na terenie odpowiednika waszej Azji, aby was zwabić, a potem zlikwidować. Byłem zmuszony poświęcić jej karierę, żeby wyprostować sprawy. Jesteście Kapłanami. Cały czas wierzę, że my mamy największe szanse stać na straży *status quo*.

– Dlatego Suar876 kazał nas zabić? – spytał wprost Lorent.

– Miał ważniejszy powód. – Laval przeniósł wzrok na Yasuko. – Ponad dwadzieścia lat temu powstał tu, w tym kraju tak zwany projekt AVA; najniebezpieczniejszy, jak oceniam, do tej pory plan ekspansji na układ czasowy B. Obejmował też projekt eksploatacji waszych bogactw i niemal wszystkiego, co – jak uznano – stanie się priorytetem dla realizacji wyższych celów w układzie A. Plan był ściśle tajny, jak wszystkie na szczęście do tej pory, bardzo niedoskonały, ale stanowił fatalny precedens. Takie zamysły zazwyczaj powstawały w kręgach nietraktowanych poważnie radykalnych organizacji lub w głowach szaleńców. Ale AVA był pierwszym tego typu projektem, który uznano za rządowy! Okazał się dziurawy jak wasz ser szwajcarski; powodem był po prostu rażący brak danych na temat atakowanych celów w kontekście możliwości dekonspiracji przez systemy obronne krajów, na terenie których znajdowały się te cele. Zaproponowany dokument opisywał wyłącznie ogólną strategię, jak to u nas nazywano, „cichego ataku” i system, którym zamierzano się posłużyć. Nie szczegóły były najważniejsze, ale sama idea, która groziła czymś

do tej pory niewyobrażalnym – konfliktem, kto wie, czy nie zbrojnym między naszymi światami. Takiej wojny nikt do tej pory nie znał. Nie wiadomo, jak by przebiegała i jak fatalne miałyby skutki. Mogłoby się jednak okazać, obym nie był złym prorokiem, że Czas Czarnych Luster nastąpiłby znacznie wcześniej. Armagedon sprowadzilibyśmy na siebie miliony lat przed ponownym połączeniem obu Wielkich Sióstr w jedno.

– To nie może być projekt Suara876. – Yasuko na chwilę przeniosła wzrok na kolekcję mieczy. – Jest za młody. Poza tym to tylko doradca waszego ministra.

– Istotnie – przyznał Laval. – Nie on jest autorem planu, ale popełniacie błąd, myśląc, że ma niewielkie możliwości. Obecnym ministrem komunikacji i także do spraw kontaktów między układami czasowymi jest jego ojciec – Suar800. To oczywiście imiona rządowe, naprawdę nazywają się inaczej.

– Wiemy. – Yasuko kiwnęła głową.

– Koncepcja jest autorstwa grupy najbliższych współpracowników Suara800. Powstała, kiedy nikomu się nawet nie śniło, że wejdzie on do rządu. Ale kilka lat później został ligiem, czyli w języku waszej polityki – członkiem parlamentu, i musiano jego propozycje traktować poważnie. Mógł je forsować bezkarnie, bowiem opinia publiczna nie miała pojęcia o tunelach czasowych, przecież do dzisiaj jest to najściślej strzeżona tajemnica. Na szczęście ówczesne władze były projektowi całkowicie przeciwne, a Suar800 nie miał większości w parlamencie. Największym i najpotężniejszym oponentem jego ugrupowania był lig o imieniu Lergoen. Skromny, ale niezwykle odważny człowiek. Jako zdecydowany zwolennik polityki całkowicie pokojowej, a w pewnym okresie orędownik całkowitego zamknięcia w naszym kraju wszystkich

tuneli czasowych, miał masę wrogów. Był obiektem kilku nieudanych zamachów. Mimo to żył zwyczajnie w niezbyt bogatym *muselei*.

I właśnie w jego domu miał miejsce ostatni i niestety tragiczny w skutkach zamach, w którym zginął wraz z żoną. Tej nocy był w mieszkaniu Lergoena także jego syn, jedyny ocalały z rzezi, którą tam urządzono. Przybyłem – niestety za późno, aby uratować liga – ochroniarzom udało się wyprowadzić z *muselei* tylko jego dziecko. Ja również wtedy byłem ligiem i najbliższym przyjacielem Lergoena. Zaopiekowałem się oczywiście jego synem. Mieszkał tutaj przez ponad rok. Tylko tak mogłem zapewnić mu bezpieczeństwo. Zamach utajniono ze względu na to, czym zajmował się Lergoen. Do publicznej wiadomości podano, że zginął wraz z żoną w nieszczęśliwym wypadku. Przez długie lata nikt nie wiedział, gdzie zniknął jego syn.

- Był świadkiem – westchnął cicho Krzysztof.

- Był bardzo niebezpiecznym świadkiem. Widział twarz przywódcy zabójców. Opisał ją dokładnie, ze znakami szczególnymi, takimi jak charakterystyczna blizna po prawej stronie nad ustami. Ale wyznał to tylko mnie i moim ludziom, bo tylko mi ufał. Przez prawie dwadzieścia cztery lata nikt nie wiedział, kim była opisana przez niego osoba. Do bazy danych SKKSP wprowadziliśmy najdokładniejszy możliwy rysopis; był porównywany z każdym skanem, to znaczy... zdjęciem, które robili agenci. Bez rezultatu. Każde przestępstwo, każdy podejrzany, każdy polityk. Nic. Od początku istnienia SKKSP skanujemy z ukrycia wszystko. Nawet zamknięte dla mediów imprezy polityczne, bale, przyjęcia, pogrzeby. Oczywiście, że podejrzewałem Suarów, ale jeszcze wtedy trudno mi było

uwierzyć, że rodzina nawet skrajnie radykalnych polityków sięga w dzisiejszych czasach po takie metody. Poza tym nie było cienia dowodu, a Lergoen miał masę wrogów. Dopiero kilkanaście miesięcy temu, tyle lat po morderstwie komputer się odezwał. Na pogrzebie żony Suara800, urządzonym tylko dla rodziny, jedna z twarzy, należąca do kogoś stojącego za plecami żałobników, zyskała osiemdziesiąt trzy procent podobieństwa. To bardzo dużo. Twarz starsza o dwadzieścia cztery lata, ale komputer oczywiście umiał w programie to uwzględnić. Niemal wszystko pasowało idealnie. Wiedzieliśmy już, gdzie szukać i prawda zaczęła zaskakująco szybko wychodzić na jaw. Zaren... tak się nazywał człowiek ze skanu. Jest starszym bratem Suara876, synem Suara800, tajną bronią ojca. Niczym swego czasu Cezar Borgia krwawo załatwiał interesy rodziny. Kompletnie nieznany opinii publicznej, żyje całkowicie w cieniu. Bardzo umiejętnie jest ukrywany przed mediami.

– Dlatego tak cię atakują? – spytała szybko Haiku.

– Nie sądzę. Na razie nie zdają sobie sprawy z tego, że prowadzę przeciwko nim zaawansowane śledztwo. Nie mają nawet pojęcia o istnieniu SKKSP. Wiedzą, że mam wpływy i atakują to, sugerując, że kieruję czymś w rodzaju mafii. Zawsze ze mną walczyli. Teraz tylko po prostu mogą więcej.

– Jesteś nadal potężnym człowiekiem, ligiem, dawnym członkiem rządu – podjął żywo Lorent. – Dlaczego nie walczysz?

– Oczywiście, że walczę. Ale nie mogę tego robić w ich stylu, choć pewnie byłoby to skuteczniejsze. Siły mam na tyle, aby być bezpiecznym w moim domu i wygrywać sprawy sądowe. Dam sobie z nimi radę. Bardziej martwiłbym się o innych ich wrogów, którym zagrażają dzień i noc. Dzisiejszy instytut, a w przeszłości majątek mojej rodziny należy do nas od ponad

sześciuset lat. Nie odważono się mi go odebrać. Byłby to skandal bez precedensu, mimo że właśnie tu znajduje się jeden z głównych tuneli do układu czasowego A, którym – jak sądzę – przybyłście. Muszę od czasu do czasu wpuszczać tu inspektorów rządowych, ale panuję nad sytuacją. Nawet w dzisiejszym rządzie ludzie pokroju Suara800 stanowią mniejszość. Reszta szanuje tradycje mojej rodziny i wie, że to moi przodkowie odkryli pierwsze tunele i przez setki lat nimi zarządzali. Nikt zresztą nie chce ryzykować ujawnienia istnienia przejść czasowych, a polityczny konflikt skoncentrowany na instytucie natychmiast przyciągnąłby tu media. To zaś mogłoby się zakończyć ogromnym nieszczęściem. Wyobraźcie sobie, jaką pożywkę stanowiłyby tunele dla żądnych zysku przestępców czy fanatyków religijnych lub politycznych. Podsumowując, na razie nie ma dla nas bezpieczniejszego miejsca.

– Co się stało z synem Lergoena? – spytała Haiku.

Laval przez chwilę się zastanawiał, patrząc na nią łagodnym wzrokiem, w którym jednak czaiła się przez chwilę pewna wątpliwość.

– Nie zaryzykowałem narażania życia mojego podopiecznego. Walkę z nieznanym wówczas przeciwnikiem postanowiłem podjąć sam. Mnie nie tak łatwo zabić. – Uśmiechnął się smutno. – Zrobiłem więc to, co tylko mogłem, by go dobrze ukryć. Układ czasowy B był idealnym do tego miejscem, tam praktycznie byłby nie do znalezienia. Jako członek rządu wiedziałem o każdej osobie, każdym agencie podróżującym tunelami. Potwornie trudno jest przekroczyć tę granicę bez wiedzy rządu. Nawet znana sprawa Tyhrona była z pewnością kontrolowana, jak sądzimy, przez Suara800.

Laval na chwilę przerwał. Przyjrzał się jeszcze raz uważnie Yasuko i wolno kontynuował.

– Syn Lergoena musiał być bezpieczny. Zainstalowałem go w Japonii, gdzie jako Toshiro Kimura założył rodzinę i gdzie długie lata szczęśliwie żył.

Yasuko zdrętwiała. Zacisnęła mocno usta i przez długi czas wyglądała, jakby przestała oddychać.

– Zrozum Yasuko – Anenneńczyk mówił wyjątkowo kojąco, opiekuńczym tonem. – Kochałem twojego ojca jak młodszego brata. On naprawdę znalazł w Japonii szczęście. Jego śmierć w World Trade Center była tragicznym zbiegiem okoliczności. Tam zginęły 2973 osoby z całego świata. W tym na przykład sześciu rodaków Krzysztofa. Przed tym akurat nikt nie był w stanie go ochronić.

– Wiem – odparła głucho Kimura. – Niektórzy współwinni tych zamachów ponieśli już zasłużoną karę.

Laval spoważniał.

– Słyszałem o tym – rzekł spokojnie. – Przygotowałem materiały o twojej rodzinie, które chcę ci dziś przekazać. Zdjęcia i wspomnienia twojego ojca, które mi dostarczono z Japonii, a nawet starą korespondencję między twoim dziadkiem a mną.

– Zawsze będę twoją dłużniczką. – Yasuko skłoniła się rytualnie.

– Ale sprawy nie są jeszcze skończone. – Laval też się skłonił. – Nigdy nie spocznę, dopóki Suarowie nie zostaną ukarani. Ale muszę to zrobić według reguł, których uczył mnie Lergoen. Zgodnie z prawem.

– *Fuyu no hiya bajō ni kōru kagebōshi*¹⁵.

– Mogę sobie tylko wyobrazić, co myślisz i czujesz. Ale proszę, nie rób tego w sposób, jaki z pewnością najbardziej kusi,

gdy tylko wpada do głowy.

– Oczywiście, Lavalu – odpowiedziała Japonka suchym głosem.

– Krzysztofie – poprosił jeszcze raz Anenneńczyk. – Przekonaj ją. Obaj wiemy, że nie zawsze krótsza droga jest najwłaściwsza.

– Yasuko. – Lorent przeniósł wzrok na Kimurę. – On ma rację. Jesteśmy Kapłanami. Nie tak załatwiamy sprawy. Pamiętasz, co było po Slazerhoffie?

– Tak. Ma rację. Powiedział, że sprawy są niedokończone. I nie będę. Nawet, jeśli ja się wycofam. Oni nie chcieli zabić ciebie, Krzysztofie ani Czesia. Chodziło im o mnie. Ale teraz będą chcieli zemścić się na wszystkich naszych bliskich. Jesteś w stanie ich powstrzymać, Lavalu?

– Nie chodzi o zemstę, Yasuko – rzekł spokojnie Anenneńczyk. – Nigdy nie znaleźli twojego ojca. Dzięki moim wpływom zatarto po nim wszelkie ślady. Dopiero po jego śmierci moi agenci z wiadomych przyczyn wprowadzili do głównego komputera wersję jego życia, sugerującą, że był anneńskim agentem. Wszyscy byli przekonani, że zginął w WTC wraz z całą rodziną. Nikomu już to nie zagrażało.

– Ale kiedy po latach okazało się, że jego córka jednak żyje... – dopowiedziała ponuro Kimura. – Zaczęło się polowanie.

– Dowiedzieli się o tym bardzo niedawno, tak jak ja. Wiadomość przekazał – jak się okazuje – aurelita Luca Trantignana, Xavril Ganti. Wpadli w panikę, bo dowiedzieli się, że masz zdolności Tarezytów, a więc pamięć twojego ojca była twoją pamięcią. Twarz mordercy Lergoena miałaś według nich w swoich wspomnieniach, tak jak miał ją on. Gdybyś tu dotarła, stanowiłabyś znacznie groźniejszą broń przeciwko nim niż ja.

Nie byłem przecież bezpośrednim świadkiem. Zresztą do dzisiaj Suarowie nie wiedzą, że ukrywałem twojego ojca. Mogą się tylko domyślać. Ktoś przecież musiał mu pomóc uciec do B. Nie wiedzą jednak, że jesteś chyba jedyną osobą z rodu Kapłanów dotkniętą amnezją.

– Co teraz zamierzasz? – spytała Haiku.

– Dokończę te sprawy. Wierz mi, nie marnowałem czasu. Specjalna, wyznaczona przeze mnie, komórka SKKSP pracuje nad tym nieprzerwanie. Najważniejsze teraz jest zapewnienie wam bezpieczeństwa. Zostańcie tutaj, a kiedy tunel będzie gotowy, wyślę was do domu.

Haiku, ku pewnemu zaskoczeniu Krzysztofa i Laval, sięgnęła po puchar i uniosła go ku górze.

– Chyba po raz pierwszy w historii spotyka się trójka Kapłanów. Za to warto wznieść toast!

Obaj bez słowa uczynili to samo, a gdy tylko wypili, Krzysztof natychmiast postanowił skierować rozmowę na inne tory. Zbyt dobrze znał Haiku, żeby nie wiedzieć, iż nikt – nawet on – jej nie odwiedzie od pomszczenia rodziny. Nie potrafił, co prawda, odnaleźć w sobie troski o Suarów, ale wiedział, jak niebezpieczne może się to okazać dla Yasuko. Jednak chyba istniał jakiś promyczek nadziei, że sprawy potoczą się inaczej. Ta nadzieja miała na imię Yovita.

– Możemy się spotkać z chłopcem? – spytał, odstawivszy puchar z powrotem.

– Tak. – Laval wyraźnie spochmurniał. – Jest tutaj. Ale to się wiąże ze smutnymi wieściami.

– Zdrada Vilestei?

– Od pewnego czasu wiedziałem, że zaczęła pracować na dwa fronty, niestety nie zdawałem sobie sprawy, że tym drugim

jest Suar876 – przyznał Anenneńczyk.

– Do tej pory ufałem jej. Ukrywałem to, że pochodziła z rodu Skoblitów, nad którym od wielu lat roztaczałem opiekę. Starałem się łagodzić właśnie między ich klanami, a to nie było proste. Skoblicy w większości żyją poza miastami, w górach, w niewielkich osadach niedostępnych dla zwykłych ludzi, jak twój Indianie. – Uśmiechnął się do Krzysztofa. – Ale wielu z nich jest tutaj. Pracują jako prawnicy, naukowcy, czasem nawet artyści. Umieją doskonale ukrywać swoje pochodzenie. Z powodu swoich niezwykłych zdolności stanowią jednak łakomy kąsek dla wpływowych ludzi. Sam nie jestem bez winy. Finansowałem studia Vilestei, zaopiekowałem się rodziną, później namówiłem ją do pracy dla mnie. Ale większość członków jej klanu nie umiała tu żyć. Wrócili do swojej osady rodowej. Nawet ojciec Yovity. Od kilku lat byli tu już tylko oni dwoje. Czasem trudno ich zrozumieć. Wychowują dzieci w odosobnieniu, aby miały szansę pozostać – gdy będą tego w przyszłości chciały – tylko wśród swoich. Jeśli wybiorą inną drogę, wykorzystują pomoc takich jak ja, by móc na przykład studiować, co wymaga stworzenia im fikcyjnej przeszłości. Naginałem prawo, bo zdawałem sobie sprawę, czym grozi zdemaskowanie Skoblita. Wiedziałem również, jak bardzo Vilestea była ambitna. Kiedy jeszcze byłem w rządzie, czuła się jak ryba w wodzie. Nie umiała już wrócić do swoich. Wychowywała dziecko w tradycji, prosiła, abym pomógł jej ukryć Yovitę, zwłaszcza przed mediami. Ale wiem, że przygotowywała go do życia takiego, jakie wiodła sama. Ich umysły z niezwykłą łatwością przyswajają wiedzę. Yovita już teraz ma umiejętności wyrastające poza poziom zwykłego absolwenta uczelni. Nigdy się z tym nie zdradzają. Kończą

uczelnię w zwykłym trybie, by otrzymać dokumenty prawnika czy lekarza.

– Od pewnego czasu odsunąłem się od rządu – ciągnął po krótkiej przerwie Laval. – Jestem nadal ligiem, ale Vilestei już to nie wystarczało. Wyczuwałem coś, ale kiedy się dowiedziałem, że uległa pokusie i zdradziła... złamała mi serce. Na szczęście nigdy nie wprowadziłem jej w sprawy SKKSP. Nie znała także tajemnic związanych z Toshiro Kimurą, nie wiedziała również nic o was, dopóki Suar800 nie uknuł planu sprowadzenia was tutaj. Nie chciał powtórzyć błędu, jak ten sprzed lat w sprawie twojego ojca. Za dużo kosztowało go życie w strachu. Czas okazał się sprzyjać realizacji planu. Na miesiąc opuściłem kraj. Wyjazd był bardzo ważny, a ja nie doceniłem nielojalności Vilestei. Nie przewidziałem, że ta nielojalność może być niebezpieczna dla życia ludzi. Zaleciłem wyłącznie dyskretną obserwację mojej asystentki. Bałem się o przyszłość Yovity i nie szukałem zemsty na jego matce. Postanowiłem, że po powrocie zmuszę Vilesteę do wyjazdu w góry, do jej klanu. Jednak pokusa bycia w centrum wydarzeń zwyciężyła i Vilestea przekroczyła wszelkie granice. Zgodziła się na plan Suarów, choć – o ile wiem – nie miała pojęcia, że chcą was zlikwidować. Była przekonana, że chodzi o przejęcie od was wiedzy. W rzeczywistości Suarowie wiedzieli, że nie dadzą wam rady na waszym terenie, a priorytetem była likwidacja Haiku i twoja, Krzysztofie, jako potężnego Kapłana. Jak już mówiłem, niestety dużo w tym wszystkim mojej winy. Powinienem być ostrożniejszy i bardziej przewidujący. Wróciłem dopiero wczoraj. Na szczęście moi agenci z SKKSP posiadali już komplet informacji.

I to nie tylko dzięki Anithsanu. Mam sporo ludzi wśród tajnej policji, a nawet w otoczeniu Suara876 i Suara800. Bardzo

pośpiesznie realizowali plan. Vilestea zaryzykowała życie własnego dziecka, spakowała w jego mózgu pliki futuroaktywne i obronne, a następnie wysłała Yovitę oddalonym o mniej więcej cztery tysiące kilometrów tunelem, korzystając z aktywnego cyklu Connolena. później wam wytłumaczę, na czym polega.

Anenneńczyk na chwilę zamilkł, po czym kontynuował opowieść.

– Zrobiło się nerwowo, gdy Yovita się spóźniał. Sprowadził was zaledwie kilka godzin przed moim powrotem. Na styk. Ale on o tym oczywiście nie wiedział. Zaprosił was w jak najlepszej wierze. Oszukano go, choć to nie łatwe. Mogła tego dokonać tylko jego matka. Suarowie dopuścili się rzeczy szczególnie perfidnej. Tuż za Yovitą wysłali swojego człowieka, by doniósł przebywającemu na wygnaniu Tyhronowi, przywódcy rodziny skonfliktowanej z klanem Vilestei, że najmłodszy z wrogów pojawił się w B. Tyhron jest u was już od roku. Żadny zemsty Skoblita ruszył wraz z resztkami zbuntowanych aurelitów Trantignana za Yovitą. Suarowie wiedzieli, że nie da chłopcu rady, zwłaszcza gdy ten znajdzie was. Ale zrobili to, by Yovitę w ten sposób pośpieszyć. I udało im się.

Gdy tylko Vilestea zgodnie z planem sprowadziła gości do swoich gościnnych apartamentów, Zaren, starszy syn Suara800, o którym już mówiłem, wysłał czterech *ayu*, aby was zlikwidować. Zaraz po nich podesłał grupę tajnej policji Frotruy i Anithsanu, by posprzątała i nieświadomie zatarła ślady. Czasem żałuję, że Zaren osobiście się tam nie wybrał, jak niegdyś do mojego przyjaciela. Zginąłby z waszej ręki już wówczas. Ale i tak plan zaczął się sypać. Mordercy – *ayu* – zawiedli, a niemający pojęcia o tym, w co został wplątany, Frotrua i doskonale ze wszystkiego zdająca sobie sprawę Anithsanu

przybyli zbyt wcześnie i pomogli w zlikwidowaniu napastników. Nie wszystko jednak było stracone. Frotrua, zgodnie z otrzymanym z ministerstwa rozkazem, przywiózł was do Suara⁸⁷⁶. Byliście tam względnie bezpieczni. On nie zna się na mokrej robocie i nigdy nie brudzi swoich białych rękawiczek krwią. Ma od tego brata. Zresztą w biały dzień, w budynku rządowym to było kompletnie niemożliwe. Ale wysłał was zaraz po spotkaniu do Zarena; stamtąd mieliście już nigdy nie powrócić. Do wszystkiego, jak zwykle, wykorzystał zręcznie tajną policję. Wtedy przejęła was Anithsanu. Vilestea po zawieszeniu was do apartamentów wróciła z Yovitą tutaj. On mieszka tu na stałe. Następnego dnia, gdy opuściła instytut, ślad po niej zaginął. Znalaziono ją siedem godzin temu w biednej dzielnicy, upozorowano napad. Nie mam jeszcze na to dowodów, jednak to niemal oczywiste, że zlikwidowali ją Suarowie w swoim stylu. Stała się niebezpiecznym świadkiem. Yovita jest rzecz jasna bardzo przygnębiony. Skoblici trochę inaczej przeżywają śmierć bliskich, ale nie mówcie mu o tym, co naprawdę się stało. Okłamałem go, że matka zginęła w wypadku. Nie wiem, czy mi uwierzył. Okoliczności jej śmierci nigdy nie pojawią się w mediach. Upewniłem też chłopca, że jest już bezpieczny i że to wy pomogliście w unieszkodliwieniu jego wrogów z konkurencyjnego klanu. W rzeczywistości jutro przybędzie tu jego rodzina. Yovita wróci do swoich, a później, gdy osiągnie pełnoletność, sam zdecyduje o własnej przyszłości. Będę z nim w stałym kontakcie.

Laval przerwał, bo usłyszał cichy sygnalizator w swoim vi.

– Przepraszam na chwilę.

Wstał od stołu, by chwilę porozmawiać przez transmitter. Po minucie wrócił.

– On już tu idzie. Wasz widok z pewnością go ucieszy, lecz nie pozwólcie mu chodzić po waszych umysłach. Wiecie, czym to grozi. Nauczycieście go mówić. Do tej pory najczęściej porozumiewał się niewerbalnie. Efekt jest taki, że lepiej teraz mówi po polsku niż w lamiarhadi.

– Laval uśmiechnął się, ale raczej niezbyt radośnie.

Yovita pojawił się w drzwiach rzeczywiście szybko. Radość z widoku Kapłana i Haiku przeplatała się z wyraźnym przygnębieniem po stracie matki. Stał przez chwilę dumnie wyprostowany, jakby przez tych kilkadziesiąt godzin, w trakcie których się nie widzieli, wydorósł o kilka lat.

– *Nie wyczuwam Czesia. Gdzie jest?* - usłyszeli w głowach Krzysztof i Yasuko.

– Pomówmy na głos – rzekł Lorent z uśmiechem. – Wspaniale znowu cię widzieć.

Haiku wstała i bez słowa podeszła do chłopca, by go przytulić.

– Czesio jest w pobliżu, bezpieczny – szepnęła mu do ucha.

– Mogę ich zabrać do siebie, wujku? – spytał Yovita Laval, chociaż nie umiał jeszcze przywołać na twarz dawnej pogody.

– Oczywiście, jeśli tylko się zgodzą.

– Jestem od nich silniejszy, więc chyba nie mają nic do gadania. – Wreszcie się uśmiechnął.

– Sprowadźmy tu najpierw Anithsanu i waszego naukowca. Mogą się już bardzo niepokoić – zaproponował Laval. – Potem porozmawiajcie spokojnie z Yovitą. Za jakieś pół zasuicytu... hm... trochę ponad godzinę, zapraszam na posiłek. Obejrzyście kolekcję zbroi i mieczy moich przodków, a potem porozmawiamy o waszym powrocie.

Lorent wstał.

– Jak mamy dziękować? – spytał cicho.

– Prawdziwie kłopoty jeszcze przed nami. Twój dziadek, Yasuko, pomógł mi tyle razy w życiu, że nie sędzę, aby udało mi się to odrobić. Ale cieszę się, że was poznałem. Niezły ten cios na prawą rękę. – Uśmiechnął się do Kimury. – Jaka szkoda, że nie znałem nikogo z twojej linii. Pamięci przodków nie odziedziczyłaś po ojcu. Z rodziny Kapłanów była twoja matka.

Kiedy Laval wstał, dziękując za wspólny posiłek, wszyscy towarzyszący mu współpracownicy również wstali i wykonali uroczysty ukłon. Przy stole siedziało co najmniej dwadzieścia osób, tym większe wrażenie wywarła na gościach idealna cisza, w którą w ciągu zaledwie sekundy zamienił się gwar różnorodnych rozmów. Laval przeprosił, że musi się oddalić, ale wzywają go obowiązki. Następnie przeniósł wzrok na Lorenta.

– Krzysztofie, zechciałbyś mnie odprowadzić?

– Oczywiście – odpowiedział w swoim stylu Kapłan, który również wstał i obaj wyszli z salonu jadalnego.

– Taki tutaj zwyczaj? – szepnęła cicho Yasuko do siedzącej obok Anithsanu, gdy szum znów stał się głośniejszy.

– W tym kraju? Skąd! Ale o tym miejscu krążą legendy. Zwykli obywatele uważają Lavalą za tajemniczą postać żyjącą tu jak kapitan Nemo ze swoją załogą. Przeciwnikom politycznym trudno z nim walczyć, bo jest przez wyborców lubiany i bardzo poważany. Tajna policja na polecenie obecnego rządu prowadzi przeciwko niemu szereg dochodzeń, o czym wiesz. Sama miałam go za największego hipokrytę w Anennie Hiyaukau. A teraz okazuje się, że dla niego pracowałam. Chyba rzeczywiście powinnam już wyjechać. Ale ty jesteś z Japonii, powinnaś być przyzwyczajona do takiej

estymy otaczającej notabli.

Kimura uśmiechnęła się tylko kącikiem ust, rozejrzała się dyskretnie, czy nikt im się nie przysłuchuje i delikatnie przysunęła swoje krzesło do agentki.

– Nie wyskoczyłabyś ze mną na miasto na parę godzin? – spytała, nie zmieniając zwodniczego uśmiechu.

Anithsanu zdrętwiała.

– Jesteś przy zdrowych zmysłach?! – wyszeptała zdenerwowana. – Bez przygotowania? Bez osłony? Bez planu?!

– Laval to uroczy facet. Szanuję jego szlachetność i to, co zrobił dla mojej rodziny, ale jest jak Krzysztof... będzie się z nimi cackał tak długo, że nawet sędziowie w salach rozpraw poumierają z nudów. Ja załatwiam swoje sprawy po swojemu. A tobie przed przedwczesną emeryturą też by się przydało trochę skondensowanych emocji.

– Jak chcesz to zrobić?! To szaleństwo!

– Normalnie. Tak jak dyktuje mi instynkt. – Yasuko pozostała nieugięta. – Kiedyś to był mój chleb powszedni. Ostatnio może jestem trochę mniej aktywna, ale wiesz jak jest, niektóre interesy trzeba załatwić tak, jak tylko kobiety potrafią.

– Gdyby to było takie proste, Laval już dawno być może załatwiłby sprawę przynajmniej Zarena.

– Ale Laval wówczas nie wiedział, gdzie miałas nas zawieźć po wizycie u Suara876. A ty akurat to wiesz.

– To mogło być tylko przypadkowe miejsce!

– Miano tam nas przesłuchać, być może torturować, a na końcu zabić. Tego nie robi się pod budką z piwem. Myślę, że z tamtego miejsca miałas nie wrócić nawet ty.

– Nonsens! – Tym razem Anithsanu rozejrzała się uważnie

po twarzach świeżo poznanych przyjaciół i pracowników Lavalą siedzących przy ogromnym stole. Wciąż byli zajęci rozmowami. Nawet Dybcio włączył się do ogólnej dysputy.

– Czyżby? – Yasuko chwyciła ją znacząco za rękę. – Posłuchaj mnie uważnie. Ja i tak to zrobię. Tyle że bez ciebie będę wolniejsza. Nie znam terenu i nie byłam osiem lat w tutejszej tajnej policji jak ty.

– I nie wiesz, jak zaprogramować resa. – Agentka chytrze zmrużyła oczy.

– Wiem, że też cię aż swędzi, by nie zostawiać spraw w takim stanie. I w głębi duszy ciągnie cię, żeby wybrać się na jeszcze jedną ostrą przejażdżkę, zanim wskoczysz w kaptcie i przykleisz sobie do ręki pilota do telewizora na resztę życia.

– Mam swoje plany. Ciekawsze, niż myślisz.

– Ale na tę jedną akcję ze mną pójdziesz. – Kimura uśmiechnęła się zwycięsko.

– Umiesz kusić – mruknęła agentka, również poszerzając uśmiech.

– Ani słowa nikomu, bo jeśli Krzysztof się dowie, przykuje mnie do kaloryfera, a potem na śmierć zanudzi kazaniami.

– Te puste jeszcze niedawno, jak mówiliście, korytarze zapełniły się ludźmi. Trudno będzie wyjść niezauważonym.

– O to się nie martw. Bycie niezauważalną to moja specjalność. Bądź gotowa wczesnym wieczorem.

– A chciałam się wreszcie wyspać.

– *Meigetsuya tatami no ue ni matsu kage*¹⁶.

– Nie znam japońskiego.

– To taki wierszyk o przyrodzie. Jak kilka jemu podobnych, bywa inspirujący.

Krzysztof i Laval szli wolno korytarzem. Co pewien czas mijali kogoś, kto się zatrzymywał, z szacunkiem wykonywał ukłon, by pójść dalej.

– Twoi ludzie rzeczywiście są ci oddani – rzekł z uznaniem Lorent.

– W większości to osoby, którymi zajmowałem się od dzieciństwa i kierowałem ich karierami. Czasem skrzywdzone przez system, nasze rządy lub wprost przez Suarów, ale nie o tym chciałbym mówić. Pamiętasz, jak wspominałem podczas naszej rozmowy przed trzema godzinami o waszym powrocie?

– Oczywiście.

– Mówiłem o tak zwanym cyklu Connolena.

– Pamiętam.

– Chodzi tu o to, że nasze tunele to nie resy ani metro. Nie można z nich korzystać w dowolny sposób. To skok międzyczasowy i podlega bardzo konkretnym prawom fizyki. Szybkość, z jaką porusza się nasza planeta wokół centrum galaktyki, jest duża. To powoduje coś, co nazywamy przesunięciem Maganfara. Chodzi o to, że na przykład wystartowawszy z Azji, wylądowaliście tutaj, co odpowiada waszemu stanowi Teksas w USA, a nie, jak się można było spodziewać, na naszym odpowiedniku wyspy Sentinelczyków. Nie przejmujemy się tym, bo konstruktorzy tuneli dostosowali stacje po jednej i po drugiej stronie, ale dzisiaj dla was stanowi to poważny problem.

– Mów otwarcie.

– Aby po prostu stąd wystartować, nie przejmując się niczym, po drugiej stronie trzeba to zrobić w czasie rotewacji czasoprzestrzennej trwającej około tygodnia, a krótko mówiąc – w czasie odpowiednich warunków panujących w kosmosie.

Umiemy to obliczać. Problem w tym, że w kraju mamy trzy tunele, z czego najbliższą rotewację osiągnie tunel Reolese odległy dwa tysiące kilometrów stąd za... jedenaście miesięcy. Pomijam, że będziecie musieli tu zostać na prawie rok, czując oddech wiadomych wrogów, to jeszcze będziemy musieli wymyślić, jak was bez komplikacji wysłać stąd stacją całkowicie kontrolowaną przez rząd. Na dzień dzisiejszy kiepsko to widzę, ale może za jedenaście miesięcy sytuacja ulegnie zmianie. Oczywiście dom znajdziecie tutaj, niezależnie od tego, jak długo potrwać kłopoty.

Krzysztof przyjął wiadomość dość spokojnie.

– Ile potrzeba czasu, aby rotewacja osiągnęła przejście, nad którym się właśnie znajdujemy?

– Miesiąc później, ale właśnie wtedy przyjeżdża tu grupa inspektorów rządowych i kontrolę nad tunelem przejmują na ten czas oni. Ja uczestniczę w decyzjach tylko jako lig, wśród stu pozostałych parlamentarzystów.

– A innego typu przejścia?

– Smugi Tyhrona? Odpadają. Jeszcze odpowiednio ich nie zbadano, a sam Tyhron stwierdził, że mogą nimi podróżować wyłącznie Skoblici. U ludzi taka podróż mogłaby spowodować poważne uszkodzenia mózgu. Nie chcę teraz sprawdzać, czy się mylił lub kłamał.

– Na pewno nie ma innego sposobu?

– Przesyłu jednostronnego? Nie ma. Chyba że ktoś was z tamtej strony odbierze, a to niemożliwe. Plany takich podróży są opracowywane czasem na całe lata przed startem. Jesteście absolutnym wyjątkiem. Nie mamy jak zawiadomić kogokolwiek z naszych agentów, aby wprowadził kod po tamtej stronie.

Lorent pomyślał przez chwilę.

– Powiedziałaś, że ktoś nas musi po tamtej stronie odebrać... to znaczy wprowadzić kod?

– Tak. Wtedy następuje sztywne połączenie i można podróżować kiedykolwiek niezależnie od przesunięcia Maganfara i cyklu Connolena. Korzystamy z tego, ale też planujemy podróż na długo wcześniej. Gdyby ktoś się z nami połączył z dowolnej stacji w B, moglibyśmy was w ten sposób wysłać nawet stąd.

– Jak można wprowadzić kod z tamtej strony?

– Musi być pełna synchronizacja. Najpierw my nastrajamy stację na konkretną, do której chcemy podróżować. To powoduje zwolnienie blokad po tamtej stronie, czyli w uproszczeniu w ten sposób otwieramy tam... hm... drzwi. Wówczas odbiorcy wprowadzają konkretny kod startowy w urządzeniu, które nazwaliśmy *reserua*. To dobrze widoczna tablica, będąca czymś w rodzaju komputera, tyle że o takim zaawansowaniu technicznym, o jakim my będziemy mogli myśleć może za kilkaset lat.

– Nie próbowaliście tego zbadać? – spytał Krzysztof.

– My nie. Wiedzieliśmy, czym to grozi. Ale nasi wspaniali przyjaciele z Levoli, czyli z waszej Europy, oczywiście próbowali rozebrać to na czynniki pierwsze i zbadać. Nie dość, że przez kilka lat nie umieli rozebrać urządzeń o niewyobrażalnej wręcz dla nas wytrzymałości, to w końcu dostali, co chcieli. Popsuli i wyłączyli stację na zawsze. Do dzisiaj jest nieczynna.

Krzysztof roześmiał się szczerze, ale chwilę później przybrał poważniejszy, choć raczej zadowolony wyraz twarzy.

– W takim razie chyba nie będzie tak źle – rzekł optymistycznie.

– Nie rozumiem. – Laval rozłożył ręce.

– Swego czasu miałem dostęp do ksiąg Aureliusza Marcellina. Przeczytałem wszystkie bardzo uważnie. Jak pewnie wiesz, twoi przodkowie przekazali mu sporo istotnych informacji. Notował je. Kiedy poznałem Yovitę i już wiedziałem, że pochodzi z innego świata niż my, przypomniałem sobie kilka z tych notatek. Jedna z nich w księdze pod tytułem *Commentarii Septem Montes Silvae* została przez niego nazwana *Przywitanie gości*. Składa się z nieuporządkowanych znaków, których nie rozumiałem. Wywnioskowałem, że tego być może będziemy potrzebowali do naszego powrotu, skoro twój przodek przekazał to Marcellinowi. Ja przed podróżą również wysłałem wiadomość zawierająca ten trop do potomków Marcellina, z nadzieją że w razie niebezpieczeństwa dowiedzą się, co z tym zrobić.

– Wiem, że Saar, Tarezyta z mojej linii i jego uczniowie odwiedzali Aureliusza. Przekazali mu taki kod, aby mógł otwierać im przejście. Logiczne jest więc, że musiał go zapisać.

– Z której stacji był ten kod?

– Najbliższej Rzymu. Karpaty, pasmo Tatr.

– Polska?

– Północna Słowacja.

– Tamtędy przybył Yovita?

– Tak.

– Ludzie, którym wysłałem wiadomość, będą wiedzieli, gdzie szukać przejścia?

– Jeśli Aureliusz dokładnie zapisał całą wiadomość, a nie tylko kod startowy, to rozszyfrują miejsce. To nie takie trudne. Zapisano go tak zwaną siatką biegunową, w pewnym sensie podobną do siatki kartograficznej. Jeśli dysponują minimalną

wiedzą geograficzną i oczekiwaną w takich sytuacjach inteligencją... powinno się udać.

Krzysztof głęboko odetchnął.

– Co teraz my możemy zrobić?

– Zaraz wydam rozkaz, aby co pół zasuicytu wysyłano sygnał synchronizacyjny. Za każdym razem będzie otwierał na kilka minut wejście. Może odpowiedzą. Jeśli złapiemy sztywne połączenie, będziemy mieli około dziesięciu godzin na wysłanie was.

– Jak dokładnie wygląda na zewnątrz ten tunel?

– Jest w środku wąskiej jaskini, kompletnie nieprzydatnej dla turystów. Nie do wykrycia, dopóki go nie otworzymy. Znajduje się po prostu wewnątrz góry. Wejście jest zamaskowane skałami.

– Oby się udało. W przeciwnym razie Czesio zamęczy cię przez te jedenaście miesięcy dysputami naukowymi oraz pomysłami swoich wynalazków.

Laval udał zaniepokojenie.

– W takim razie dzisiejsze modły do Najwyższego poświęć głównie tej intencji. – Po chwili jednak spoważniał. – Uważajcie na ulicach, jak będziecie stąd wyjeżdżać. Szczególnie do Tire. Cały czas was szukają. Wiem, że umiecie o sobie zadbać, ale lepiej nie wychodźcie na dłużej z resa. Uda ci się przekonać o tym Yasuko?

– Wątpię.

– Tak myślałem. – Laval uśmiechnął się. – Jej ojciec był człowiekiem rozważnym i rozsądnym, ale słyszałem, że matka miała znacznie bardziej gorący temperament.

– Po kimś musiała odziedziczyć charakter. – Krzysztof westchnął.

– Podobno często dzieci są zupełnie inne niż rodzice. Nigdy się o tym nie przekonam. Nie założyłem własnej rodziny. Ty dokonałeś już wyboru?

– Kiedyś wydawało mi się, że tak. Teraz sam już nie wiem. Byłem księdzem, a dziś... lepiej, jak pozostaję w cieniu. Podoba mi się u moich Indian.

Laval położył opiekuńczo dłoń na ramieniu Lorenta.

– Do jutra, Krzysztofie. Oby szczęście nam sprzyjało.

Yasuko i Yovita leżeli na podłodze, stykając się głowami.

– Ile tu masz pokoi? – spytała cicho.

– Dwadzieścia trzy. Z czego tylko w dziesięciu mogę przyjmować gości. Chodzi o bezpieczeństwo.

– Tutaj? Przecież to twierdza.

– Wujek jest ostrożny, a większość życia spędziłem właśnie tu. Wiem, że nie był zadowolony z tego, że mama puściła mnie do was.

– Mówił ci o tym?

– Nie. Ale wiem.

– Dobrze ci tu?

Yovita milczał przez chwilę.

– Świat na zewnątrz nie jest zbyt bezpieczny. Zawsze mi mówiono, że tylko dorośli powinni tam wychodzić.

– Ale u nas byłeś.

– U was to co innego. Tak mówiła mama. A i tak nawet tam ciągle ktoś mnie gonił. Ciągle do nas strzelano. Zresztą mamy tu trzy sale z symulatorami. Po wizycie u was stały się nudne.

Yasuko wyczuła, że się uśmiechnął.

– Nie do końca tak jest, dzieciaku. My mieliśmy po prostu pecha. Świat umie być inny.

– Bardzo rzadko wychodziłem stąd na zewnątrz. Często podróżowaliśmy resem, ale *ka.* rzadko.

– Trochę ci już lepiej?

– Jeszcze nie. Mój ojciec przyjeżdża z naszego *ueam.*

I jeszcze kilka osób.

– *Ueam* to twój dom?

– *Ueam* to miejsce, skąd pochodzi moja rodzina. Podobno tam się urodziłem, ale niczego nie pamiętam.

– I nie masz tego na symulatorze?

Yovita znowu się uśmiechnął.

– Nie.

– Gardło cię czasem jeszcze boli?

– Już nie.

Przez kilka minut leżeli w milczeniu.

– Smutek nie odchodzi. – Yovita odezwał się jeszcze ciszej niż dotychczas. – Ona odeszła, ale jeszcze gorsze jest to, że nie zawsze mówiła mi prawdę. Mówiła, że tata zginął w walce. A on po prostu wyjechał.

– Tak bywa, dzieciaku, rodzice podobno rzadko są prawdomówni. Ale nie mnie o tym mówić. Swoich nie pamiętam, choć podobno byli w porządku.

– Dlaczego rodzice rzadko są prawdomówni?

– Uważają, że to dla dobra dzieci. Mój ojciec nigdy nie zdradził matce i mnie, kim naprawdę był i skąd pochodził. Po prostu nie mógł. Być może Vilestea też nie mogła powiedzieć ci wszystkiego.

– Dobrze, że jesteś. Obiecuj, że zostaniesz w tym *muselei*, dopóki mnie stąd nie zabiorą.

– Nie mogę obiecać. Nie wszystko teraz zależy ode mnie. Ale

bardzo się postaram.

– Kiedy już odjadę. Spotkamy się jeszcze?

Yasuko odetchnęła głęboko.

– Na pewno. Może w istocie trochę daleko od siebie mieszkamy, ale... czy rzeczywiście?

– Nasze światy... to tylko niecałe pięć minut.

Haiku poczuła wibracje *vi*. Odkleiła z niego transponder i przykleiła sobie do skroni.

– Tak? – powiedziała nieco głośniej.

– Gotowe. Bądź przy wejściu do publicznego *renderuea*.

– Za chwilę będę. – Kimura ponownie przykleiła transponder na miejsce. – Co za dziwaczne urządzenie. Dźwięk się czuje w kościach czaszkowych. Pewnie to rakotwórcze.

Yovita roześmiał się teraz głośniej.

– Musisz iść?

– Teraz tak. Muszę załatwić pewne babskie sprawy z koleżanką. Jutro znowu wpadnę.

Res wyleciał z *sesidou* nieniekajony przez nikogo.

– Jak zgubiłaś Krzysztofa? – spytała Anithsanu, sprawdzając jeszcze raz wprowadzone dane.

– Czesio go ściągnął do działu historycznego na trzecim piętrze. Trochę im to zajmie.

– Nie możemy tym lecieć do końca. Przynajmniej trzy, cztery kilometry wcześniej musimy zaparkować i przesiąść się do *ka*.

– A skąd weźmiemy samochód?

– Ukradniemy – odparła spokojnie agentka, wciąż dłubiąc przy komputerze pokładowym.

– Ukradniemy?!

– A co? Jakiś problem? – Agentka spojrziała na Kimurę

z rozbawieniem.

– Nie, w porządku. – Haiku szybko się zreflektowała. – Co robisz?

Agentka znowu przeniosła wzrok na ekran komputera.

– Szukam odpowiedniego parkingu, nigdy tam nie byłam. To w tej samej dzielnicy, w której mieszka Rei, ale spokojnie... dwadzieścia kilometrów dalej.

– Dwadzieścia?

– To miasto ma ponad dwieście kilometrów średnicy. Mieszka tu sześćdziesiąt milionów ludzi. Tokio przy nim jest wiochą. Tak tu już jest. Słyszałaś, oni właściwie mieszkają tylko w miastach. W porządku... chyba mam... tam będzie stosunkowo najbliżej i chyba najbezpieczniej.

– Wylądujemy na tak samo obciachowym parkingu jak u Reia?

– Albo na gorszym. Przygotuj się, będziemy na miejscu za parę minut.

Sesidou okazał się tak wyraźnie nadgryziony zębem czasu, że *Yasuko* była szczerze zdziwiona, iż ktokolwiek, kogo stać na resa, mógłby zdecydować się zostawić pojazd w takim miejscu.

– Co teraz? – spytała już na ulicy.

– Musimy znaleźć jakiś parking z samochodami. Tu, nawet w takim getcie, nie zostawia się aut na ulicy. Chyba widzę. – Wskazała głową zabłocony plac otoczony czymś w rodzaju siatki.

– Jak uruchomimy silnik? Mają przecież jakieś wymyślne komputery.

– To pozostaw mnie. Ty raczej przypilnuj, aby nikt mi nie przeszkadzał. Widzę coś, co się nada.

Przyśpieszyła kroku. Parking nie był zabezpieczony. Być może kiedyś był tu wjazdem z bramą, teraz został tylko wjazd. Anithsanu zniknęła między autami. W pobliżu było niewiele osób, ale Yasuko dostrzegła dwóch młodych mężczyzn w poszarpanych strojach, którzy z daleka dostrzegli, że ktoś wchodzi na ich teren. Przez chwilę przyglądali się nieprzyjaźnie, aż wreszcie zaczęli iść w ich stronę, a po pewnym czasie już biegli. Kimura zerknęła spokojnie, gdzie jest Anithsanu, po czym skupiła się na tubylcach. Gdy byli kilkanaście metrów od niej, zauważyła, że są znacznie młodsi, niż wyglądało to z perspektywy kilkudziesięciu metrów. Oni również spojrzeli w stronę, w którą odeszła Anithsanu, ale skupili się na Yasuko.

– Co tu robicie, kobiety?! – spytał groźnie pierwszy z nich, wyższy od niej o pół głowy, czarnoskóry, dobrze zbudowany. Nawet dla Haiku jego lamiarhadi miał dziwaczny akcent.

– Pożyczamy *ka* - odparła uprzejmie i z dużym jak na nią wdziękiem.

Mężczyźni spojrzeli po sobie zaskoczeni tupetem wystrojonej dziwacznie dziewczyny.

– Szukacie śmierci? – spytał drugi, biały, niższy, z paskudną szramą na szyi.

Haiku westchnęła, nieco strapiona zbliżającymi się kłopotami. Spróbowała jednak po dobroci.

– Masz kłopoty ze słuchem, kretynie? – Uśmiech błyskawicznie zniknął z jej twarzy. – Gdybym szukała śmierci, na przykład twojej, już byś nie żył. Szukamy za to samochodu. Wiem, że z takimi mózdkami jak wasze trudno to zrozumieć, ale macie jeszcze szansę przeżyć. – Zajrzała im groźnie w oczy. – Wypieprzać!

Wysoki nie był raczej cierpliwym słuchaczem. Wyjął nóż i uniósł na wysokość twarzy Yasuko. Kimura błyskawicznie chwyciła go za nadgarstek i krótkim, niezauważalnym ruchem wtrąciła mu broń. Drugi z przeciwników ruszył natychmiast z pomocą, ale Haiku uderzyła go silnie i precyzyjnie nogą w skroń, tak że natychmiast stracił przytomność. Złapała w powietrzu upadający nóż i przystawiła go do oka czarnoskórego. Mężczyzna z niemalym zdziwieniem poczuł, że kobieta trzyma jego nadgarstek tak niefortunnie, że każdy nawet najmniejszy ruch powoduje potworny ból grożący wywichnięciem stawu lub zerwaniem ścięgien.

– Masz dobry wzrok? – spytała spokojnie Yasuko, zbliżając ostrze do jego źrenicy.

– Już mnie tu nie ma, szefowo, zapomniałem w domu wyłączyć światło i w ogóle nie powinno mnie tu być. Ciągle się gubię w tej dzielnicy, to ze stresu. Rozumiesz, prawda?

– Ważne, czy ty rozumiesz. Nie widziałeś nas tu. Udowodnij, że to dla ciebie jasne.

– Mam fatalną pamięć. Mnie tu nigdy nie było. Raczej więc sobie tego nie przypomnę, bo jak można sobie przypomnieć coś, czego nie było? Prawda?

Haiku puściła nadgarstek, a złapała od tyłu szyję mężczyzny, uciskając precyzyjnie dwa punkty. Facet niemal natychmiast osunął się nieprzytomny na ziemię obok kolegi. Dziewczyna odwróciła się w stronę parkingu. Za kierownicą *ka*, który właśnie wyjeżdżał, dostrzegła Anithsanu. Rzuciła nóż, podbiegła do samochodu i szybko wsiadła.

– Co to za goście? – zainteresowała się agentka.

– Pijacy chyba. Śpią tak na dworze... fatalna dzielnica.

Budynek był dość duży i ogrodzony wysokim, siatkopodobnym płotem, znacznie solidniejszym niż ten, który otaczał parking, skąd zabrały samochód. Brama była chyba z jakiegoś metalu. Solidna, również wysoka.

– Co teraz? – spytała Anithsanu. – To wygląda na jakąś dawną fabrykę. Tu raczej nikogo nie ma.

– Czy ten płot i brama mogą być pod prądem czy czymś takim?

– Tutaj? – prychnęła rozbawiona agentka. – Nie sędzę. Kiedy miałam was tu przywieźć, pewnie czekała armia ludzi Zarena. Teraz zostały tylko pustki. To chyba by było na tyle, Yasuko. Wracamy?

– Zostaniesz na chwilę w wozie? Nie ma czasu szukać parkingu.

Anithsanu opuściła z niedowierzaniem głowę.

– Rób jak uważasz.

Haiku szybko wyszła z samochodu i rozejrzała się dookoła. Zapadał zmierzch. W tej okolicy rzeczywiście nie było żywej duszy. Nic dziwnego, że Zaren najpewniej właśnie tu przesłuchiwał swoje ofiary. Kimura na wszelki wypadek dotknęła ogrodzenia, sprawdzając, czy jest bezpieczne, po czym wspięła się na bramę tak szybko, że zadziwiła tym nawet swoją towarzyszkę, i zniknęła po drugiej stronie.

ROZDZIAŁ 13

Kiedy zadzwonił telefon Luigiego Balei, Mistrz stał na zewnątrz zamku wraz w Alainem Forteilem i Andreą Villonem; podziwiali zachód słońca. Kilka chwil później jechał już windą na dół, ale podobnie jak wcześniej, w towarzystwie tylko Villona.

Giovanni DiPoleni przywitał ich triumfalną miną.

– Chyba mam dobre wieści! – Rozłożył ręce, oczekując pochwał.

Balea podszedł do stołu.

– Wiesz już, co oznaczają te symbole? – spytał, nie zdradzając jeszcze specjalnego entuzjazmu.

– Nie. Są w języku... jeśli to język... nam zupełnie nieznanym. Ale reszta to znaki przybyszów, które kojarzę i gdzieś – co trudno było na początku dostrzec – łacina!

– Powiedziałaś, że masz dobre wieści – przypomniał Villon.

– Bo to chyba jakiś kod!

– Do czego? – spytał Luigi.

– Wiemy, a przynajmniej przypuszczamy, że Kapłan wszedł do czegoś, do czego wprowadził go chłopiec, który przybył z innego świata. To musiał być rodzaj gwiazdnych wrót z tego dziwnego serialu... wybaczcie, nie oglądam telewizji... lub coś podobnego. Takie urządzenie czy taka brama raczej nie stoi w publicznym miejscu jak stragan. Musi być dobrze zabezpieczona, w przeciwnym razie dawno byśmy o niej usłyszeli.

– Oczywiście. Ale co odkryłeś?

– Wiem, gdzie ta brama jest.

– My też wiemy. – Villon wzruszył ramionami. – Na wyspie Sentinelczyków.

– Nie tylko. – DiPoleni pokiwał palcem. – Kapłan... przepraszam, nie wiem, jak to określić, odleciał stąd bramą, która jest na wyspie. Ale chłopiec przecież po raz pierwszy pojawił się tu: w Europie, w Polsce. Mam rację?

– Tak – potwierdził Balea.

– Raczej niemożliwe, żeby wylądował na wyspie Sentinelczyków w dalekiej Azji i niezauważony przez nikogo przebył kilkanaście tysięcy kilometrów, by pojawić się w środkowej Europie.

– Zgoda.

DiPoleni skinął uprzejmie głową.

– Chłopiec przybył najprawdopodobniej w to miejsce. – Pokazał na mapie rozłożonej na biurku. – 49° 11' 21" północ, 19° 50' 35" wschód.

– Jak to wydedukowałeś?

– Obliczyliśmy w profesorem Daine'em. Wszystko jest tutaj – wskazał na monitor komputera, na którym wyświetlone były *Commentaria Aureliusza Marcellina*.

– Zaraz po tytule *Powitanie gości* jest zbiór cyfr. Zapisanych w języku przybyszów, ale Marcellin, jak wiemy, władał nim biegle. To nie jest czysty zapis siatki kartograficznej, ale bardzo podobny system. Coś w tym stylu zaproponował niegdyś Amerigo Vespucci. Swoją drogą, ciekawe, skąd mu to wpadło do głowy? Zagadkowe, nie sądzicie? Gdy rozszyfrowałem liczby, Daine natychmiast się zorientował, w czym rzecz. Pozostało znalezienie odnośnika zero. I. mieliśmy rację! To Rzym,

a dokładnie świątynia Saturna na Forum Romanum!

– Też to jest tam napisane? – Balea uniósł brwi.

– Zobaczcie. Tu. – Wskazał na ekran. – *Linea zerum domus Saturni*. Prościej nie można. Jest jeszcze kilka innych króciutkich fragmentów łacińskich. O tu: „święte lato”, tutaj: „ścieżka Słońca”, kilka linijek dalej: „wielkie światło” czy może raczej „wielka pochodnia”. Te fragmenty nie rzucają się w oczy, bo znaki, które – jak sądzę – są jakimś kodem, zajmują czterdzieści siedem linijek. W sumie to wszystko jest dość proste. Gdybyśmy od razu domyślili się, że chodzi o *Commentaria*, doszlibyśmy do rozwiązania zagadki w pięć, może sześć godzin.

Balea dłuższy czas wpatrywał się w ekran.

– Jesteś pewien tej teorii?

– Nie. Bo to tylko teoria – odparł szczerze DiPoleni. – Ale Kapłan musiał dojść do tego samego, skoro wysłał do nas tę wiadomość. I być może teraz potrzebuje naszej pomocy. Warto spróbować, nie chciałbym go zawieść.

Luigi skinął głową.

– Gdzie to dokładnie jest?

– Pół kilometra od tak zwanej grani głównej Tatr. Niedaleko granicy polsko-słowackiej. Dość wysoko, ponad dwa tysiące metrów nad poziomem morza, poza szlakami. Ale skoro dzieciak był w stanie stamtąd zejść, nie powinno być problemów.

– To nie był zwykły dzieciak. – Balea odwrócił się w kierunku Villona. – Idź na górę i powiedz Alainowi, żeby znalazł kogoś z Polski albo ze Słowacji, kto zna się na górach. Kogoś... bardzo zaufanego. Ekipa nie większa niż trójka ludzi. I niech tam będą jak najszybciej. Czeka ich przygoda życia.

Trzech mężczyzn siedziało przy zdezelowanym stoliku i grało w jakąś grę. Parny wieczór opadł na miasto gęstą duchotą, dlatego siedzieli na zewnątrz przed otwartym wejściem. Rozmawiali cicho, czasem się śmiali, ale nie robili zbyt głośnego hałasu. Haiku obserwowała ich od kilku minut. Chciała się upewnić, czy oprócz nich ktoś jeszcze tu jest. Dzieliło ją od nich trzydzieści metrów pustego placu. Dużo. Nie zdążyła zaskoczyć facetów. Z drugiej strony trudniej było podejść. Ale miała niewiele czasu. Bezszelestnie zaczęła biec w ich stronę, jednak niestety szybko się zorientowali. Człowiek po prawej pierwszy wyjął broń. Zanim go dopadła, zdążył oddać strzał – niecelny, pudło. Yasuko uniknęła zranienia, padłszy na ziemię zwinnym rzutem przez bark. Wstając, wyjęła miecz i zadała szybką śmierć człowiekowi z bronią. Drugi mężczyzna rzucił się do ucieczki, ale dogoniła go metalowa *shuriken*¹⁷ Haiku, która trafiła nieszczęśnika w tył głowy. Zanim trzeci, najgrubszy i najmniej sprawny ochroniarz zdążył się zorientować, już miał ostrze na gardle.

– Ilu jeszcze?! – rzuciła szybko Kimura.

– Tylko nas trzech, przysięgam!!! – jęknął płaczliwie grubas.

– My tylko pilnujemy... błagam... nic nie zrobiliśmy!

Rozejrzała się, nasłuchując uważnie, ale nie wyczuła nikogo w pobliżu.

– Zaren. – Zbliżyła usta do jego ucha. – Gdzie jest?

– Jaki Zaren?!!!

– Jeśli go nie znasz... to nie żyjesz. Przyjrzyj się kolegom.

– Zaraz! Poczekaj!!! Nie ma go tu od wczoraj... nie wiem, kiedy będzie! Przysięgam, nie zabijaj!

– Gdzie jest?

– 123, 354, 543, 897.

– Co?

– No podaję ci przecież. Do jutra tam będzie. Odbiera *gityu*.

– Pracujesz do niego?

– Wykonuję rozkazy.

– Pracujesz dla niego?!

– Tak.

– To źle. – Yasuko odsunęła ostrze od jego gardła, obróciła się dynamicznie wokół własnej osi i z impetem precyzyjnie uderzyła w środek szyi. Głowa grubasa potoczyła się po stoliku i spadła na ziemię.

– Nie martw się. – Haiku wytarła miecz z krwi o jego korpus, który osunął się na piasek pod stolikiem. – Ja też pójdę do piekła. Kiedyś także źle wybrałam szefa.

Yasuko zbyt niespodziewanie otworzyła drzwi samochodu, więc natrafiła na wymierzony w nią *gun* Anithsanu.

– 123, 354, 543, 897 – rzuciła Kimura, odsuwając lufę agentki na bok. – To jakieś współrzędne?

– Tak tu się podaje adres. Nie ma nazw ulic, dane wprowadzasz do komputera w resie lub w samochodzie i dostajesz wynik. Znalazłaś kogoś?

– Ochroniarz był uprzejmy. Ale nikogo oprócz niego nie było.

Anithsanu głośno wypuściła powietrze z ust i tylko bezradnie pokręciła głową.

– Po spotkaniu ciebie i tak bym musiała stąd wyjechać. Podaj jeszcze raz te liczby.

– 123, 354, 543, 897.

Agentka wprowadziła dane.

– Musimy wrócić do resa. To ponad sto kilometrów stąd, nad oceanem.

– Za ile będziemy? – spytała Haiku, gdy wystartowały.

– *Res* poza miastem leci do ośmiuset kilometrów na godzinę. Ale musimy to zrobić wolniej, nie chcę zwracać na nas uwagi gliniarzy.

– Będą nas widzieli?

– U nich *resy* to tylko punkty na monitorach. Ruchem kieruje komputer. Jeśli polecimy normalnie 400, 450 kilometrów na godzinę, nikt się nie zorientuje. Będziemy za jakieś piętnaście minut.

– Co to znaczy „odbierać *gityu*”?

– To slang, mniej więcej to, co u nas „odbierać towar”, w domyśle nielegalny.

– Chryste, ten Zaren to zwykły bandyta. Przecież jego ojciec ma kupę kasy! Po co mu to?

– Może ta forsa pochodzi właśnie z takich interesów.

– I takie zero... zamordowało moją rodzinę. – Yasuko zacisnęła mocno usta.

– Czasem sprawiasz wrażenie dzieciaka i trochę mnie to niepokoi – mruknęła twardo Anithsanu. – Nie mówię, że jestem inna, ale ja nie mam aż tak ostrych zabawek.

Wybrały dobrą kryjówkę. Gęste krzewy po drugiej stronie ulicy, za nimi coś w rodzaju śmietnika. Dom wyglądał jak zwykła nadmorska willa, a cała okolica prezentowała się zupełnie inaczej niż miasto. Drobne domki wzdłuż wybrzeża, niewielkie uliczki, dopiero w oddali ogromne, zwaliste sześciany, przypominające miejskie *muselei*, najpewniej hotele dla turystów. Panowała całkowita ciemność, a uliczka była słabo oświetlona. Dom, który obserwowały, nie miał okien od tej strony, co go jakoś specjalnie nie wyróżniało.

– Siedzimy tu już od prawie godziny – burknęła Anithsanu. –

Czy to ma sens? Nawet nie mamy pewności, czy on tu naprawdę jest. A jeśli nawet, to jak zaatakujesz dom?

– Właśnie to analizuję.

– Tyle czasu?

– Obserwuję okolicę. Uczę się rytmu tego miejsca – odrzekła cicho Haiku. – Nie może nas nic zaskoczyć.

– Weź broń. – Agentka podała jej guna. – Mam jeszcze dwa.

– Dziękuję. Nie umiem strzelać.

– Nie umiesz strzelać?! To zginiemy! Sama nie dam im rady!

– Ciszej! – syknęła Haiku. – Wiem, co robić, posłuchaj uważnie. Podejdę cicho do tamtego miejsca.

– Coś się dzieje! – przerwała jej nagle Anithsanu i przyłgnęła bardziej do ziemi, cały czas obserwując dom.

– Jacyś ludzie – szepnęła, mrużąc oczy Yasuko.

Agentka wydobyła z kieszeni małe, płaskie pudełko i wyjęła z niego coś, co szybko zainstalowała sobie w oczach.

– Szkła kontaktowe? – szepnęła Haiku.

– Lornetka. Idą w kierunku parkingu, który mijaliśmy. Oni tu nie mają garaży w małych domach. To jakiś ważniak i chyba czwórka ochroniarzy.

– Zaren?

– A skąd ja mogę wiedzieć? Jest ciemno, poza tym Laval nie pokazał mi jego zdjęcia. A tobie?

Yasuko zaprzeczyła.

– Jak to robimy? Za minutę tam dojdą.

– Wychodzimy, jakby nigdy nic.

– To idiotyzm.

– To zostań.

Haiku cicho wstała i bezszelestnie, jednym ruchem znalazła

się na ulicy. Kiedy jednak uniosła się Anithsanu, jeden z ochroniarzy zatrzymał się i powoli odwrócił. Dotknął ręką drugiego, po czym spokojnie zawrócili i zaczęli iść w stronę dwóch kobiet, które niespodziewanie pojawiły się za ich plecami. Ważniak i pozostała dwójka szli dalej, nie odwracając się.

– Proszę się na chwilę zatrzymać – powiedział spokojnie jeden z ochroniarzy. – Za chwilę pójdziecie dalej.

Haiku uśmiechnęła się do nich i podeszła bliżej. Agentka nawet nie zauważyła, kiedy Japonka wyciągnęła miecz. Płynnymi dwoma ruchami w ułamku sekundy zadała dwie śmiertelne rany, po czym przyklękła na ziemi. Była zbyt daleko od tamtej trójki, aby wystawiać się na łatwy strzał. Odwróciła się tylko, aby ostrzec Anithsanu, ale ta już miała broń wycelowaną w ochroniarzy. Nie zdążyli zareagować, wystrzeliła czterokrotnie, zanim zdążyli sięgnąć po guny. Ważniak również usiłował sięgnąć po broń, ale agentka wciąż trzymała go na muszce.

– Ani drgnij! – ostrzegła.

Haiku błyskawicznie dopadłszy mężczyzny, sięgnęła do miejsca, skąd chciał wyciągnąć broń. Guna podała Anithsanu. Facet był łyсы, ubrany całkowicie na czarno i miał około pięćdziesięciu lat. Na twarzy widniało kilka blizn, w tym jedna głęboka po prawej stronie nad ustami. Kimura zajrzała mu w oczy, nie wypowiadając na razie ani słowa.

– Już jesteście martwe – powiedział, umiejętnie skrywając strach. – Nie macie pojęcia, kim jestem.

– Jeśli byśmy nie miały, to co byśmy tu robiły, kretynie? – syknęła Haiku.

– Zaren? – spytała groźnie agentka.

– *Heyot uasi yeoy!*

Yasuko odwróciła się do Anithsanu, która wciąż trzymała cel na muszce.

– Mówi, żebyśmy się pierdoliły – przetłumaczyła na wszelki wypadek Kimurze. – Coś mniej więcej w tym stylu.

– Rzeczywiście niewiele się różnią te nasze światy – mruknęła smutno Yasuko.

– Kim wy jesteście, dziwki? – spytał, krzywiąc się obleśnie Zaren.

– Ona jest policjantką, nie musisz się jej bać – odrzekła spokojnie Haiku. – Ze mną jest trochę gorzej, bo ja... jestem dobrą wnuczką. Dwadzieścia trzy lata temu odwiedziłeś moją rodzinę.

Zaren wpił pełen nienawiści wzrok w Japonkę.

– Yasuko Kimura... – wycedził wolno. – Wysłał cię tu świętoszek Laval? Chyba jednak nie. To nieudacznik i tchórz. Nie umie walczyć jak mężczyzna; zasłania się sądami i gryzpiórkami. A mało co i bym odwiedził także ciebie. Twój dziadziuś umierał dość szybko. Zrobiłem to osobiście. Tobie poświęciłbym więcej czasu.

– Nagrałaś to? – spytała szybko Kimura.

– Tak. Nagrywam, odkąd tu jesteśmy. Muszę go teraz aresztować.

– Ona doskonale wie, Japoneczko. – Zaren wyszczerzył zęby. – Takiego nagrania nie uzna żaden tutejszy sąd. Tak, zabiłem Lergoena, jego zaślinioną żonusię i nie tylko ich. Co teraz? Gównno możecie.

Yasuko uniosła nagle miecz i wbiła go w lewą stronę nadbrzusza Zarena.

– Co ty robisz?! – wrzasnęła agentka.

– Już ci mówiłam Anithsanu. Ja załatwiam sprawy rodzinne po swojemu. Proszę, idź teraz w stronę resa, muszę zostać z nim chwilę sama. Tego wymaga rytuał.

Agentka bezradnie opuściła broń. Cofnęła się o dwa kroki, wreszcie ruszyła szybko w górę nadal pustej ulicy.

Zaren jęczał z bólu.

– Wiesz, co się teraz stało? – spytała spokojnie Haiku. – Wbiłam ci *taroku* w trzustkę. Za chwilę będzie bardzo bolało. Chciałbyś coś jeszcze powiedzieć?

– Obyś zdechła. – Nagle zawył z bólu tak głośno, że Haiku zrozumiała, iż musi szybko skończyć sprawę. Narażała niepotrzebnie na niebezpieczeństwo Anithsanu.

Wyjęła miecz i zadała ponowny cios, który przebił serce Zarena.

Agentka nie zareagowała, gdy Haiku ją dogoniła. Szła pospiesznie, rozglądając się uważnie dookoła z zaciśniętymi mocno ustami.

– Zaczęłyśmy zabijać tych ludzi, nie mając nawet pewności, kim są! – krzyknęła nagle wściekła.

– Wiedziałam, kim są – odpowiedziała spokojnie Haiku. – Kiedy zaczęłam, już wiedziałam.

– Jasne! Wy w Japonii wszystko wyczuwacie! A jeżeli byś się jednak pomyliła?!

– Gdybyśmy nie zaczęły, zabiliby nas. To zawodowcy. Tych dwóch chciało nas zatrzymać, a Zaren by uciekł.

– Zamknij się! – warknęła Anithsanu. – Zamknij się i nie mów ani słowa, zanim sobie wszystkiego nie poukładam

w głowie!

Haiku posłuchała agentki. Nie odezwała się nawet w resie.

Kapłan szybko szedł korytarzem. Gdy wspiał się na niewielkie schodki, zatrzymał się na chwilę. Salon Laval'a jak zwykle był otwarty. Lorent wziął głęboki oddech i stanął w progu. Laval podniósł wzrok znad dokumentów, które właśnie czytał, spacerując po gabinecie.

– Dzień dobry, mam nadzieję, że w nocy dobrze wypocząłeś – rzekł, wykonując lekki ukłon.

– Spałem spokojnie – podziękował Kapłan i wszedł do środka.

– Cały czas wysyłamy sygnał. Na razie bez rezultatu.

– Wiem. Mam niepokojącą wiadomość; Yasuko znalazła Zarena. Przestępca nie żyje. Wiem, że chciałeś załatwić to inaczej. Nie mam słów usprawiedliwienia dla niej i dla siebie. Nie zdołałem jej powstrzymać.

Laval opuścił wolno głowę. Podeszedł do stołu i położył na nim plik dokumentów.

– Kiedy cię o tym powiadomiła?

– Przed godziną.

– Jak jej się udało tak szybko go znaleźć?

– Miała dużo szczęścia, Zaren zostawił świeży ślad. Anithsanu znała miejsce, do którego kazano jej nas przedwczoraj przywieźć. Podążyła tym śladem; jak się okazało, z powodzeniem.

Laval rozłożył ręce.

– Moje metody zawiodły. Jej czujność przyniosła natychmiastowy efekt. Być może to ja się myliłem.

Lorent ciężko nabrał powietrza do płuc.

- Zaren przyznał się do winy, Anithsanu ma nagranie.
- Zeznania złożone w takiej sytuacji nie obciążą Suara800.
- Ale możemy je przekazać mediom, a to zdyskredytuje łotra!
- Usłyszeli głos Yasuko, która właśnie weszła do pokoju.
 - Prosiłem, abyś została u siebie – rzucił w jej stronę Lorent.
 - W porządku, Krzysztofie. – Laval podniósł dłoń do góry, aby zapobiec sprzeczce. – Rozumiem ją. To jej rodzina, a sprawca przez długi czas unikał kary.
 - Ściągnęliśmy na ciebie dodatkowe kłopoty – rzekł z zakłopotaniem Kapłan.
 - Teraz sprawy zaszły już za daleko – powiedział spokojnie Laval. – Musimy działać szybko. Dzisiaj jest zebranie parlamentu. Spotkajmy się z Suarem800. Parlament znajduje się siedemset kilometrów stąd, podróż zajmie niecałe dwie godziny.
 - Załatwmy drania. Teraz jest najlepsza okazja! -naciskała Haiku.
 - Co o tym sądzisz? – spytał Lorenta Laval.
- Kapłan zastanowił się chwilę.
 - Może rzeczywiście warto spróbować.
 - W parlamencie będziemy bezpieczni. Mam prawo wprowadzać prywatnych gości. Moi agenci zebrali przez tych kilka miesięcy dość dużo dowodów obciążających Suarów winą za wiele nadużyć i przestępstw. Mam też zeznanie ojca Yasuko, złożone przed jego wyjazdem w obecności zaprzysięgłego tregreara. To u nas rodzaj dowodu, który musi zostać przyjęty przez sąd, choć niekoniecznie rozpatrzony pomyślnie. Kilka spraw jeszcze kończyliśmy w SKKSP i dlatego czekałem, ale wygląda na to, że musimy to zrobić dziś. Możliwe, że Suar800 wie już o śmierci syna. Będzie chciał przygotować zemstę, a do tego nie mogę dopuścić. Mogliby zginąć niewinni ludzie.

Wylatujemy za trzy godziny. Zdążymy wtedy przed obradami.

Vi Laval zgłosiło połączenie.

– Przepraszam. – Anenneńczyk odszedł kilka kroków, aby odebrać. Chwilę rozmawiał, po czym wrócił do gości.

– Złe wiadomości. – Krzysztof wyczuł to natychmiast.

– Tak. – Laval skinął głową. – Suar800 już wie. Nieoficjalnymi kanałami dano nam do zrozumienia, iż ojciec Yovity oraz towarzyszące mu w drodze do nas jego dwie siostry zostali przewencyjnie aresztowani. Zasugerowano pomoc w wykryciu zabójców obywatela Zarena.

– A tak bardziej po ludzku? – poprosiła Yasuko.

Anenneńczyk głęboko westchnął.

– To porwanie, oni jechali publicznym transportem. Suar800 chce zemsty. Szantażuje mnie rodziną Yovity, bo wie, jak jest mi bliski. Żąda wydania ciebie. Każę sprowadzić tu Anithsanu i zbiorę raporty. Mamy trzy godziny, potem więźniowie „zginą podczas ucieczki”.

W pokoju narad, nad stołem, na którym leżała mapa, zgromadziły się tylko cztery osoby; Laval, Haiku, Krzysztof i Anithsanu.

– Musimy to zachować w jak największej dyskrecji – przypomniał Anenneńczyk. – Nie możemy nikogo innego narażać.

– Sami z tą sprawą nie damy rady. – Agentka pokręciła głową. – Pozwólcie mi skontaktować się z Frotruą. Potrzebni nam jego ludzie.

– Pracuje przecież dla Suara876 – przypomniała Yasuko.

– On nie ma pojęcia, kim naprawdę jest Suar876 – naciskała

uparcie Anithsanu.

– Uświadomienie mu tego zajmie zbyt dużo czasu.

– Mamy nagrania i sporo dowodów. Obowiązują go tajemnica zawodowa i wierność wobec kraju oraz prawa.

– Yasuko ma rację – wtrącił Laval. – Mamy mało czasu.

– Znam go bardzo długo – nalegała agentka. – Wiem, jaki jest. Podobnie jak ja, przez dłuższy czas był wprowadzany w błąd. To świetny agent i jest *popraghitre*, czyli szefem wydziału – wyjaśniła gościom. – Prawo mówi wyraźnie, że w sytuacjach nagłych i wyjątkowych *popraghitre* może zdecydować o takiej akcji.

– A jeśli nas zdradzi? – spytał Krzysztof.

– Nie będzie miał szansy, ściągnę go bezpośrednio tutaj.

– Jak? Przez sam fakt, że się z nim skontaktujesz, może zawiadomić wszystkich.

– Użyjmy do tego podwójnego agenta.

– Kogo?! – Yasuko postanowiła się upewnić, czy dobrze usłyszała.

– Tajna policja Popraltin Tire Tioue ma w strasznej mafii Lavalą kilku agentów. Wśród jego ludzi. – Zerknęła z niepokojem na Tarezytę, ale ciągnęła dalej. – Dziś już wiem, ile warte były przekazywane przez nich informacje. Genialnie wprowadzały nas w błąd. Każdy z nich zawsze był wierny naszemu obecnemu gospodarzowi.

Udawali podwójnych agentów, a informacje były profesjonalnie preparowane.

Wszyscy spojrzeli na Lavalą.

– To prawda – przyznał z zakłopotaniem. – Nie ma z czego być dumnym, ale nie było innego wyjścia. Tajną policją

zarządzają teraz Suarowie, którzy – jak wiemy – karygodnie łamią prawo.

– A ty, co sądzisz o pomysle? – zainteresował się Lorent. – Swoich ludzi do tej akcji z wiadomych względów nie możesz użyć.

– Najważniejsze jest uratowanie zakładników. Od pewnego czasu śledzę poczynania wydziału Frotruy i cenię go jako zawodowca. Nie ponosi winy za fałszerstwa, którymi go raczyli wysocy przełożeni. Ma obowiązek wykonywać rozkazy... chyba że wydający je sami okażą się przestępcami.

– Dziękuję. Nie pożałujesz tej decyzji. – Anithsanu ukloniła mu się niczym jeden z jego ludzi.

– Wymiana ma nastąpić w tym miejscu. – Laval wskazał na mapie.

– Dość perfidnie – mruknęła Yasuko. – To jest to samo miejsce, w którym wczoraj byliśmy i do którego miała nas swego czasu dostarczyć Anithsanu.

– Moi ludzie bardzo intensywnie pracują już nad przygotowaniem. Na razie wiemy, że to od dawna nieczynna fabryka trogelu, jednego z materiałów, z którego budowane są nawierzchnie dróg dla *ka*. Kilka lat temu teren kupiła firma G.S.B.Y. Służyła za przykrywkę Zarenowi. Próbujemy zdobyć plany wnętrza. Może go nie przebudowali. Pytanie brzmi: jak to rozegramy?

– Oddajesz mnie – rzekła spokojnie Yasuko do Lawała. – Ludzie Frotruy trzymają się z daleka, dopóki Krzysztof nie da im znać.

– Oszalałaś?! – Agentka nie wytrzymała. – Zginiesz. Myślisz, że oddadzą potem zakładników?! Oni tak czy owak zabiją świadków!

– Uspokój się, nie mam zamiaru ginąć. Wiem, kogo będę miała za plecami. Suarowie z pewnością nie zabiją mnie od razu. Są im potrzebne informacje, które według nich mam. Może nie będą za delikatni podczas przesłuchania, ale zyskacie trochę czasu. Kilka klapsów jeszcze nikomu nie zaszkodziło. Nie jestem panienką ze szkoły wdzięku.

– Ryzykowne – mruknął Laval.

– To szaleństwo. – Agentka pokręciła głową. – A my i tak musimy zabrać ze sobą Yovitę.

– Nie ma mowy! – ucięła szybko Haiku.

– Nic mu nie grozi. Będzie w jednym z resów Laval, który o ile wiem, jak w przypadku każdego urzędnika państwowego ma rejestr „S”, czyli nie podlega kontrolom zwykłej policji i może latać dość długo w pobliżu fabryki bez parkowania w *sesidou*. Dzieciak nigdy z niego nie wysiądzie i będzie tam równie bezpieczny jak tu. Chodzi o to, że musi nam powiedzieć, gdzie przetrzymują jego rodzinę. Wyczuje to z kilometra. Jeśli okaże się, że nas oszukali i zakładników tam nie będzie, odlecimy.

– Wszyscy jesteśmy profesjonalistami, a tam będą sterroryzowani cywile – orzekł Laval. – To Skoblici, ale nie tacy jak Yovita. Jednak z pewnością wyczują chłopca, a dzięki temu będą gotowi.

– Zostaniesz z chłopcem? – upewniła się Haiku.

– Tak. Nie opuszczę go nawet na chwilę.

– Nie możesz się w ogóle pokazywać – przypomniał Krzysztof. – Musimy wykluczyć każdą okazję do zdyskredytowania ciebie.

– Damy sobie radę – zapewniła Kimura.

Laval nie wyglądał na zadowolonego.

– Nie ma innego wyjścia – rzucił do niego twardo Krzysztof. – W środku nie będzie potrzeba armii Kapłanów, tylko szybkość i dobry plan.

Anenneńczyk ledwie zauważalnie skinął głową.

– A więc ustalone – podsumował Lorent. – Gdy będziemy wiedzieli, co z Frotruą, ruszamy.

– Za chwilę mój agent połączy się z nim, udając, że ma istotne informacje na mój temat – zdecydował Laval. – Odbierze go z miasta Tire i przywiezie do nas, do Giele. Anithsanu pomoże w szybkim zorientowaniu go w sprawie.

– Oczywiście – potwierdziła agentka.

– Spotykamy się za dwadzieścia minut.

Kapłan i Laval wyszli, w pokoju zostały tylko obie kobiety.

– Wiem, co potrafisz, Yasuko – warknęła ostrzegawczo agentka. – Ale tym razem ci goście będą wiedzieli, że do nich idziesz!

– Mylisz się, sądząc, że ich nie zaskoczymy. Suarowie mają Lavalą za dupowatego liga, siedzącego w książkach, mimo że na pokaz robią z niego mafiosa. Nie mają pojęcia, że jest Tarezytą, nie wiedzą o istnieniu SKKSP, a już pewnością nie wpadnie im do głowy, że zaatakuje ich Popraltin Tire Tioue z Frotruą na czele. Wiedzą, że Laval żyje jak w pałacu i ma swoich ludzi, ale według nich nie zaryzykuje kompromitacji i skandalu, uczestnicząc w jakiejś strzelaninie. Są zadufani w sobie, bezwzględni, ale głupi. Mają pewność, że stary Laval zaleje się łzami i w imię wyższej konieczności odda morderczynię w ręce sprawiedliwości.

– To nie zmienia faktu, że straszliwie ryzykujesz.

– A ty masz pojęcie, kim jest Krzysztof?

– Słyszałam, że to ktoś taki jak ty.

– Wiesz, jak go poznałam?

– Oczywiście, że nie wiem.

– Rzuciłam się na niego z mieczem, a on spuścił mi manto. I wiesz, co myślę? Gdybym dzisiaj spróbowała tego samego, pewnie zrobiłby podobnie.

– Tobie?! – Anithsanu spojrzała na Kimurę z lekkim niedowierzaniem.

– Tak, mnie. I nawet mu powieka przy tym nie drgnęła. Na co dzień wygląda jak młody papież, ale nie chciałabym być w skórze jego wrogów. Jeśli ci ludzie spróbują mnie tknąć, ten miły, przystojny świętoszek zamieni się w kogoś, komu nie chciałby stanąć na drodze nawet Laval. Kogoś, przy kim ja jestem niewinną pensjonarką. Teraz wiesz, dlaczego pójdę tam bez strachu? Bo Krzysztof będzie tuż za mną. I to mi wystarczy.

Frotrua wszedł do pomieszczenia, w którym czekała Anithsanu. Agent Lavalą zostawił ich samych.

– Witaj, jak samopoczucie? – spytała dziewczyna.

– A jak myślisz? Wykonywałem tajne akcje dla morderców, a ty okazałaś się wieloletnią agentką człowieka, przeciwko któremu prowadziłem kilka dochodzeń. Jak widzę, w większości lub pewnie w całości sfabrykowanych.

– Nie ma teraz czasu na lamentey. Weź się w garść. Ile ci zajmie zorganizowanie ekipy?

– Jest już plan obiektu?

– Tak, ale jak się okazuje, to tylko stara fabryka pełna pustych hal z gęsto rozsianymi kolumnami.

– Za pół godziny będziemy na pozycjach wyjściowych.

– To dobrze.

– Wrócisz do nas?
– Wszystko się kiedyś kończy.
– Przecież Suarowie upadną.
– Nie o to chodzi. Nie wiesz jeszcze o mnie kilku rzeczy, których nie mogę ci wyjawiać.

– Dla kogo naprawdę pracujesz?
– Już dla nikogo. Dlatego nie naciskaj.
– Dokąd wyjedziesz?
– Do domu, o nic więcej nie pytaj. Teraz wracam do Lavalu, przechodzimy na kodowany kanał. Do zobaczenia na miejscu.
– Ta Japonka... rzeczywiście własnoręcznie zlikwidowała faceta, który unikał wymiaru sprawiedliwości przez dwadzieścia lat?

Anithsanu westchnęła.

– Lepiej, żebyś się nie przekonał na własne oczy, co ona potrafi. Jak to powiedział niedawno pewien mój znajomy: stanęłyby ci dęba wszystkie włosy na ciele, nawet tam, gdzie nigdy się spodziewałeś, że je masz.

– Załatwiłyście wczoraj te babskie sprawy? – zaciekawiał się Yovita.

– Tak. Wpadłyśmy tu i tam – odpowiedziała z ciepłym uśmiechem Yasuko.

Chłopiec uprzejmie się uśmiechnął, ale szybko spoważniał.

– Czy nasi wrogowie zabiją moją rodzinę? – spytał spokojnie.
– Wejdę do tej fabryki i ich stamtąd zabiorę. Ty musisz tylko powiedzieć, w którym miejscu mam ich szukać.

– Nie zrobią ci krzywdy?

– Ależ skąd! Jesteśmy umówieni na pewną wymianę.

Wszystko będzie dobrze.

– Mam wejść ci do głowy i sprawdzić, czy mówisz prawdę?
Nie wiesz nawet, jak żałuję, że nie robiłem tego matce.

Jego twarz była smutna i pełna żalu. Patrzył na Yasuko surowym wzrokiem, pozbawionym dawnej dziecięcej bez troski.

– Nie przejmuj się. – Kimura podjęła próbę uspokojenia chłopca. – Wiesz, że umiem o siebie zadbać.

– Będzie niebezpiecznie, jak wtedy w Bangkoku, prawda?
Tylko nie kłam!

– Możliwe. Tobie nic nie grozi.

– Nie o siebie pytam, kłamczucho!

– Tak. Być może będzie niebezpiecznie.

– Mam ci pomóc jak wtedy?

– Tym razem nie możemy być tak blisko. Będziesz latał w resie.

– Nie szkodzi. Mogę spróbować cię znaleźć w czasie akcji.

– Dzisiaj to nie zagra. Przez chwilę byłabym szybsza, ale zaraz później zdezorientowana i rozkojarzona. Wrócę cała i zdrowa. Zobaczysz.

Uśmiechnął się delikatnie.

– Jestem gotowy.

Yasuko skinęła głową.

ROZDZIAŁ 14

– Są w środku, ale jeszcze przez chwilę jej nie wpuszczajcie – rozkazał Laval, po czym przeniósł wzrok na Yovitę. – Gdzie dokładnie jest tata?

Chłopiec patrzył nieobecny wzrokiem na zaokrągloną ścianę resa.

– Trzecia kondygnacja. Duże pomieszczenie z kolumnami. Jakby opustoszały parking dla *ka*.

– Czy wszyscy są razem?

– Tak. Tata, ciotki; Duaya i Serpadi.

– Słyszeliście?

– Odebrałam – odpowiedziała Anithsanu – Wysyłam Yasuko. Nas nie widać i czekamy.

– Gdzie jest Krzysztof?

– Jego nawet my nie widzimy.

Laval uśmiechnął się do siebie.

– Dużo bym dał, żeby ci teraz móc towarzyszyć, Kapłanie – mruknął do siebie.

Nikt nie zatrzymywał Yasuko. Minęła otwartą tym razem bramę i dość szybko doszła do wejścia, gdzie wczoraj spotkała ochroniarzy. Zastała pustkę. Nie było nawet śladów krwi. Bez zastanowienia weszła do środka. Dopiero tutaj czekało na nią dwóch mężczyzn; zadbanych, czystych, na swój sposób eleganckich niczym ochroniarze ważnej osobistości.

– Nie mam broni – powiedziała szybko Kimura.

– Stań w rozkroku, ręce w bok – rozkazał beznamiętnie

pierwszy z mężczyzn. Drugi szybko i fachowo ją przeszukał – Idź na górę. Sama. Trzecia kondygnacja.

Wnętrze fabryki niemal niczym nie różniło się od tych, które znała z nowojorskich przedmieść; opuszczonych, zaniedbanych, zapomnianych. Gruzy, zniszczone schody, żadnych śladów po *renderuea* czy czymkolwiek innym. Trzecia kondygnacja była jak i dwie poprzednie bardzo rozległa. W przeciwieństwie do *muselei* charakterystycznych dla A ze wszystkich stron były tu okna, w większości powybijane, brudne. Strop podtrzymywały dziesiątki kolumn robiących wrażenie betonowych; oprócz nich nie było tu praktycznie niczego. Doskonałe miejsce do tego typu wymiany. Świetny widok, przestrzeń. Niemal dokładnie pośrodku stało kilkunastu mężczyzn czekających na Yasuko. Nieco z boku trójka wystraszonych, ale spokojnych Skoblitów. Siedzieli na podłodze, nie byli związani; pilnowało ich dwóch uzbrojonych drabów. Dziewczyna zbliżyła się do nich, aby szybko ocenić, czy nie są ranni. Jeden z goryli podniósł broń na wysokość jej głowy i drugą ręką wskazał na grupę mężczyzn. Tym razem znacznie wolniej, ale wykonała także i to polecenie. Czekali, aż podejdzie. Nie było wśród nich Suara⁸⁷⁶. Brodaty, bardzo szczupły i elegancki, jak wszyscy tutaj, wysoki facet wyszedł przed resztę.

– Połącz się z Lavalem – powiedział chłodno, cicho, bez emocji.

– Skąd wiesz, że mogę?

– Wiem. Połącz się i powiadom go, że widziałas aresztowanych. Ani słowa więcej, bo zginiesz. Potem oddaj mi transponder.

Yasuko poświęciła kilka sekund, by przyjrzeć się jego twarzy, po czym wykonała polecenie.

– Widzę całą trójkę – rzekła cicho i oddała transponder.

– Zrozumiałeś? – spytał brodaty, używając transpondera Kimury. – To czekaj na kontakt.

Facet odwrócił się do Yasuko.

– Gdzie dwóch kolegów, którzy z tobą przybyli z B?

– Nie uczestniczą w tym. Chodzi wam o mnie.

– Chodzi nam o was wszystkich. Mają być tu w ciągu pięciu funów.

– Nie wiem, co to jest *fun*.

– Mniejsza z tym. Mają być tu natychmiast, inaczej zginiesz.

Krzysztof już wiedział, że fabryka jest otoczona przez ludzi Suarów ze wszystkich stron z wyjątkiem południa, gdzie znajdowało się wejście główne. Zdecydował się na zachodnią ścianę, w tym momencie najmniej oświetloną i przez to chyba najbezpieczniejszą. Dwóch najbliższych stojących strażników unieszkodliwił szybko i cicho, bez najmniejszych problemów. Nie zdążyli wydać żadnego dźwięku. Zostali kompletnie zaskoczeni, być może nie zdali sobie nawet sprawy, że tracą przytomność. Zniszczona ściana zachodnia miała pełno dziur, wyrw i oczywiście wybitych, dużych okien na całej swej powierzchni. Wszystko to ułatwiało sprawną wspinaczkę. Najpierw jednak Kapłan chciał się zabezpieczyć także od północy, jednak obaj strażnicy chodzili wzdłuż ściany, niestety bardziej pośrodku niż od strony, po której czekał na nich niespodziewany przeciwnik. Lorent zdecydował się więc delikatnie i bezszelestnie wejść na pierwsze, niewysokie piętro, aby szybko zniknąć wewnątrz. Zorientował się, że bez problemu wejdzie i na drugie, poświęcił więc jeszcze chwilę

północnym strażnikom. Spadł na nich z góry, równie skutecznie ich zaskakując, co poprzedników, następnie błyskawicznie wspiął się po ścianie, aby znowu znaleźć się w środku. Po schodach wbiegł, niesłyszany przez nikogo, na drugie piętro, a potem znowu wyszedł na zewnętrzną ścianę.

Haiku dostrzegła cień Lorenta tylko przez chwilę, kątem oka. Wiedziała, że już jest w środku, za plecami przesłuchujących ją drabów, za jedną z kolumn. Zbliżał się powoli, ostrożnie, całkowicie bezszelestnie.

– Nie było mowy o tamtych. – Zaczęła grać na zwłokę.

– Kto ci pomagał? – burknął brodaty, tylko pozornie odpuszczając temat kolegów. – Sama przecież tego nie zrobiłaś. Skąd wzięłaś ludzi?

– Macie mnie. Wypuście zakładników.

– To nie są zakładnicy, tylko więźniowie. Popelnili poważne przestępstwa.

– Sprowadzę resztę. – Kimura wiedziała, że Krzysztof jest już bardzo blisko.

– Chętnie pomogę ci w podjęciu decyzji – powiedział spokojnie brodaty. – Tylko ta z lewej. – Dał znak jednemu z pilnujących. W jego rękach błysnęło coś metalowego

– Zabiją ich – rzekł głucho Yovita. – Teraz.

– Wchodźcie! – krzyknął do Anithsanu Laval. Niemal natychmiast rozległy się charakterystyczne dla gunów strzały, słyszalne także na trzeciej kondygnacji. Haiku rzuciła się błyskawicznie w stronę więźniów. Tak szybko znalazła się przy facecie z metalową pętlą, że nie zdążył się zorientować, jak traci równowagę, a cios w szyję łamie mu krtań. Drugi ze strażników spróbował sięgać po broń, a wtedy poczuł na szyi pętlę, którą jeszcze przed chwilą miał w rękach jego kolega. Od strony

schodów padły pierwsze strzały, które dosięgły porywaczy. Za chwilę agenci rozsypali się po kondygnacji, kryjąc się za kolumnami.

– Skoblic! – wrzasnął brodaty.

Część towarzyszących mu ochroniarzy skierowało broń w kierunku więźniów. Zanim padły strzały, Yasuko zdążyła Skoblitów zasłonić ciałem trzymanego za szyję strażnika.

– Nie!!! – wrzasnął Krzysztof, wybiegając zza kolumny.

Wśród kilku pocisków, które trafiły w martwego osiłka, jeden targnął ciałem Haiku tak silnie, że jej plecy uderzyły o ziemię niemal natychmiast.

– Głowy na dół! – zdążyła krzyknąć do zakładników, i zapadła ciemność; szybko i chyba mniej boleśnie, niż zawsze to sobie wyobrażała podczas wielokrotnych rozmów ze śmiercią.

Kapłan dopadł ludzi Suarów.

– Jezu... – jęknęła Anithsanu do Frotruy. – Czy... ty... to... widzisz?!

Agent wstrzymał oddech, nie mogąc oderwać wzroku od straszliwego widoku. Ruchy Lorenta były niewyobrażalnie szybkie, precyzyjne i zabójcze. Ludzie Suarów ginęli, nie widząc, skąd nadchodzi śmierć. Wrzeszczeli w panice i strzelali na oślep, nie zdając sobie sprawy z tego, kto ich zabija.

– Krzysztof wyjął miecz – szepnął Yovita. – Już po nich. Po nich wszystkich.

Laval zamknął oczy.

– Niech Bóg im wybaczy, że cię do tego zmusili, Kapłanie.

Krzysztof upuścił miecz na podłogę i rzuciwszy się w stronę Haiku, chwycił ją za ramiona.

– Yasuko!!! Obudź się! Proszę, nie teraz! Nie tu! Spojrzał przerażony na agentów, którzy wychylali się zza kolumn, jakby błagał ich o pomoc.

Porwał szybko dziewczynę na ręce i zaczął biec w stronę schodów.

ROZDZIAŁ 15

Alain Forteil podszedł do Wielkiego Mistrza, który siedział w dużym fotelu w komnacie gościnnej. Oglądał kolejne portrety przodków DiPolenięgo i ciężko oddychał, nie ukrywając poirytowania.

– Ekipa już jest na miejscu – zameldował Alain.

– Która godzina? – spytał Balea.

– Piętnasta trzydzieści dwie.

– Zajęło im to ponad dwadzieścia godzin. Czy to aż takie trudne?

– To góry. Musieli się przygotować.

– Po takich górach chadzają babcie w trzewikach, poza tym jest lato!

– Może myśleli, że będzie trudniej – wtrącił Villon. – Dobrze, że byli przewidujący.

– Powiedz jeszcze raz, co to za ludzie, Andrea?

– Obaj ratownicy górscy. Imiona: Roman i Paweł. Synowie i wnukowie stałych współpracowników. Są z nami od urodzenia. Nigdy nie zawiedli, podobnie jak ich rodzice i dziadowie.

– Nie tak często chodzimy po górach.

– Byli kilka razy kurierami, i to za czasów komunizmu. Z usług ich rodzin korzystaliśmy wielokrotnie.

– Mogą dzisiaj zobaczyć coś, co muszą na zawsze zapamiętać.

– Wiedzą o tym.

– To się okaże. Na wszelki wypadek każ ich obserwować

przez kilka tygodni.

Villon skinął głową.

– Twierdzą, że na razie niczego nie widzą.

– Tam nie ma reklam biur podróży. Coś jeszcze?

– Znaleźli tylko jaskinię, ale płytką i o bardzo wąskim wejściu. To właściwie szczelina nienadająca się dla turystów. Daleko od szlaków. Oceniają ją na najwyżej sto metrów. Dzika, ciemna.

– Połącz się z nimi i rozkaż, żeby weszli do środka i dokładnie zbadali każdy fragment każdej ze ścian, a najlepiej też sufitu.

– Oczywiście – rzekł Forteil i odszedł na bok, by ponownie wystukać numer.

– Chcesz tu zostać jeszcze dzisiaj? – spytał spacerujący po komnacie Villon.

– Tak. Muszę mieć stały dostęp do biblioteki, dopóki to wszystko się nie skończy.

– Wielki Mistrzu! – usłyszeli Alaina.

– Coś ciekawego?

– Mówią, że nic się nie działo, aż w pewnym momencie jakby trzęsienie ziemi na końcu jaskini.

– Tam nie ma trzęsień ziemi.

– To są Polacy, wiedzą o tym – przypomniał Villon.

Podniecony Alain zaczął relacjonować dalej.

– Ściana zaczęła się cofać i rozsuwać. Widzą światło wydobywające się z... wewnątrz!

Balea zerwał się z fotela. Roześmiał się i ochoczo klasnął w dłonie.

– I znowu kolejna tajemnica, Aureilu, którą przede mną

ukrywałeś. Ale i tak ją odkryłem! Ty też idź w stronę światła, jeśli je widzisz. Już nie musisz się o nic martwić! Panuję nad wszystkim!

Boże mój! Twórco życia, przewodniku po drogach czasem tak trudnych i zdradliwych. Znów musiałem zabrać życie wielu z tych, którzy kroczyli ścieżką strachu i zguby. Chcę zrozumieć, nawet jeśli nie ma dla mnie ratunku. Ukarz mnie, jeżeli grzeszę brakiem ducha, ale uratuj tę, której serce jest tak jeszcze młode. Osłoniła ciałem inne życie, które teraz jaśniej miłością i daje szczęście. Oboje błądzimy, jednak zadanie, które postawiłeś przed nami, czasem zabiera resztki tchu. Głos Kapłanów z przeszłości znowu nas wezwał, a on jest tym, czym teraz my jesteśmy. Taką zesłałeś na nas naturę. Jeśli przyjdzie nam za to zapłacić, będziemy gotowi. Ale teraz jej serce musi bić. Czuję to całą duszą i ciałem. Bo przecież życie takie właśnie jest. Wciąż coś gubimy, by zmierzyć się z nowym. Nowe są wszystkie wiosny i codzienne słowa zawieszane na krzyżu. Wciąż idziemy dalej, ale ja nie zapominam, co nas wyzwala każdego dnia. Bo powiedział to Syn Boży na wieki wieków. Amen.

Krzysztof podniósł się wolno i usiadł w ciszy na łóżku. Milczał jeszcze przez co najmniej godzinę.

Laval stanął przed drzwiami gabinetu Suara800. Drogę zastąpił mu ochroniarz.

– Zejdź mi z drogi, chłopcze – rzekł zmęczonym tonem. – Jestem ligiem, a minister z pewnością nie odmówi mi spotkania.

Osiłek rozejrzał się zmieszany i szybko przepuścił Tarezytę.

Suar800, dobiegający osiemdziesiątki, suchy starzec o przenikliwym spojrzeniu poniósł wzrok znad biurka.

– Jak śmiesz burzyć moją żalobę i niepokoić mnie tu,

w parlamencie?! – spytał zimnym, melicznym głosem.

– Przeszedłem ci pomóc, choć może robię to zbyt późno. – Laval położył na blacie niewielki, czarny przedmiot w kształcie prostopadłościanu. – Na tym *dicidoelu* są nagrane dowody tekstowe, dźwiękowe i graficzne, wobec których z pewnością będziesz chciał przygotować obronę. Zostawiam ci je. Przeszedłem także się pożegnać, bo mam pewne przeczucie, że już się nie spotkamy. Przynajmniej nie w tym gmachu. Niestety dzisiaj nie będę mógł wziąć udziału w obradach. Córka mojego dawnego przyjaciela została ciężko ranna i muszę się nią zaopiekować. On sam nigdyś wyjechał, a życie tak się ułożyło, że już nigdy nie wrócił. Jego ojciec z kolei, również mój wielki przyjaciel i nauczyciel, odszedł od nas dawno temu, bo źli ludzie zamknęli mu oczy okrutnie i tragicznie wcześniej. Zasięgnąłem rady wielkiego tregreara parlamentu, który z uwagą przyjrzał się temu, co tu jest nagrane i oznajmił mi, że winni tych czynów zostaną ponad wszelką wątpliwość ukarani. To naczelny prawnik naszego kraju, możemy się więc tylko radować. Wszak obaj poświęciliśmy życie, aby służyć żyjącym tu ludziom.

Suar800 patrzył tępo na *dicidoel*, jakby chciał zaczarować jego zawartość.

– Nie krzywdź mojego drugiego syna – rzekł cicho zachrypniętym głosem.

– „Prawo wyjaśnia, ukazuje, ostrzega, bywa że karze, a czasem nawet uczy. Ale nigdy nie krzywdzi, jeśli tylko nie fałszujemy jego litery”. To fragment twojego przemówienia z 267. sesji. Zapamiętałem go dobrze. Nie ukrywam, że było dla mnie inspiracją.

Laval wolnym krokiem wyszedł z gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

Z dyktafonu Czesia

No i olali mnie. Zostawili i kazali zwiedzać Instytut Historii i Techniki na piątym piętrze. A teraz na poważnie. Nasza Yasuko mocno oberwała. Ciągłe do nas strzelali, no to w końcu ktoś oberwał. Jest teraz tutaj, w zachodnim skrzydle pod opieką najlepszych podobno lekarzy. Laval ma tu własny szpital. Swoją drogą nieźle sobie żyje; taki niby skromniś, a właściwie rządzi czymś tak samowystarczalnym, że nie trzeba nawet stąd wychodzić. U nas też są tacy goście, może trochę szkoda, że ich nie znam, ale są. Czego się spodziewać po świecie, który jest tak podobny do naszego, choć jednocześnie tak inny? 99% tutejszej społeczności nie ma pojęcia o istnieniu układu czasowego B, jednak tajne agencje rządowe, niektórzy naukowcy, badacze i parlamentarzyści wiedzą o nas więcej niż my sami o sobie, a ja mam wrażenie, że mówi tu po angielsku więcej osób niż w Polsce. Ciekawe, jak jest po naszej stronie. Anithsanu, czyli po prostu Jill, przecież ktoś zatrudnił, wtajemniczył i wyszkolił. Nieprawdopodobna laska. Muszę się dowiedzieć, czy lubi mózgowców, bo już wiadomo, że wraca z nami. A teraz podróż z powrotem: kiedy mi powiedzieli, że mamy tu jeszcze zostać co najmniej jedenaście miesięcy, spadły mi kaptcie i przez pół godziny widziałem podwójnie. Ale dzisiaj rano na śniadaniu jakiś koleś, który pracuje na dole przy obsłudze tunelu, zameldował, że ktoś z drugiej strony odpowiedział na sygnał. Gdzie był, kiedy my przylecieliśmy? Nie ma tu zmiany nocnej'?! Zaskoczyło mnie totalnie, jak ktoś, ot tak, odnalazł coś nie do odnalezienia i jeszcze wiedział, jak odpowiedzieć na sygnał. No cóż, jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o Krzysztofa. To on przykombinował i - zanim tu się znaleźliśmy - wysłał odpowiednią wiadomość do odpowiednich ludzi. Nie chcę wiedzieć, co to za odpowiedni ludzie, zwłaszcza że się domyślam. Podobno jeśli się ma dane, które przesłał im Krzysiek, nie trzeba być nawet specjalnie byстрыm, aby trafić gdzie trzeba, poczekać na otwarcie, bo tak się dzieje, kiedy stąd wysyłają sygnał do tej konkretnej stacji, wejść i wprowadzić, no... dość duży, bo ponadstupięćdziesięcioznakowy">ponadstupięćdziesięcioznakowy

kod. Tablicy kodowej podobno nie da się nie zauważyć. Mamy teraz dziesięć godzin na powrót, inaczej sztywne połączenie się wyłączy samoczynnie. Yasuko zostaje tutaj. Tak wszyscy postanowili. Ale nie na długo, na parę tygodni, aż wyzdrowieje. Potem Krzysztof odbierze ją tym samym sposobem, jak teraz odbiorą nas.

Czas na małe podsumowanie. Ostra wycieczka, ale wiecie, jak jest; żaden dobry uczynek nie ujdzie na sucho. Mam sporo nowej wiedzy, którą nie tylko nie mogę się pochwalić, ale nawet jakbym spróbował – nikt by nie uwierzył. Niezależnie jednak od tego spiszę wszystko, co nagrałem. Tak postanowiłem. Byłem przed chwilą u Yasuko. Jest przytomna i z trudnością, ale mówi. Siedzi przy niej teraz Krzysztof.

Dzisiaj odlatuje także Yovita. Tym razem ludzie Lavalą odstawią go wraz z ojcem i dwiema ciotkami do domu. Bez eksperymentów z publicznym transportem. Właśnie się z nim pożegnałem i czuję się kurewsko źle. Przywiązałem się do dzieciaka, niezależnie od tego, ile ma nerek czy płatów mózgowych. Ostro dostał w kość od życia; moim zdaniem trochę za wcześnie. Laval obiecał załatwić swoimi wpływami sprawę Tyhrona. Nikt nie wie, co się z nim dzieje, ale nam raczej nie zagraża. Na razie to koniec, za godzinę już nas tu nie będzie. Ciekawe, czy za rok, kiedy włączę ten dyktafon, uwierzę sam sobie. Możliwe, że będę miał z tym trudności.

Haiku próbowała otworzyć szerzej oczy i podnieść głowę z poduszki, ale jednak zrezygnowała.

– Odpoczywaj – Krzysztof pogłodził ją po głowie.

– Przestań zachowywać się jak jakiś frajer – jęknęła Yasuko.

– Wkurza mnie to. Jeszcze chwila i sam mnie tym dobijesz do reszty.

– Nie ma szans – zaprzeczył z ciepłym uśmiechem Lorent. – Lekarze mówią, że teraz już nie uda ci się umrzeć.

– Nienawidzę lekarzy... są gorsi niż aurelici. W dodatku to łóżko ciągle zmienia pozycje, jakby co chwila ktoś chodził mi po

plecach od dołu.

– Podobno tak trzeba.

– Masz przecież wiedzę medyczną.

– Z trzynastego wieku. Umiem ulepić papkę z odpowiednich ziół, mieszać ze życiodajnym błotem i przyłożyć ci do rany.

Oboje się roześmiali, ale Yasuko po chwili skrzywiła się z bólu. Krzysztof znowu zmarszczył brwi i przyłożył dłoń do jej czoła.

– Miałeś przestać, jesteś starszy ode mnie zaledwie dziesięć lat, a czuję się teraz, jakbyś był moim pradziadkiem – zbeształa go znowu Kimura. Wzięła kilka głębszych oddechów i w miarę możliwości starała się rozejrzeć dookoła. – Jesteśmy sami?

– Tak.

– Podobno zrobiłeś wczoraj niezły bajzel.

Krzysztof spuścił wzrok. Haiku pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Wiem – mruknęła cicho. – Nie umiem ci dziękować. Musiałabym to robić bez przerwy.

– Pożegnałaś się z Yovitą?

– Nie, za chwilę tu przyjdzie. Pewnie, żeby przeprosić za swojego ojca i dwie ciotki. Mało mnie tu nie zamordowały, zalewając się nade mną łzami i chrzaniąc coś, że „ich fale zawsze już będą połączone ze moimi”. W tym szpitalu jest niebezpieczniej niż w wczoraj w fabryce.

– Wrócę po ciebie za dwa tygodnie.

– Tylko się za mnie nie módl. Jak Bóg sobie o mnie przypomni, to nawet lekarze nie pomogą. Chyba nie robiłeś tego znowu?

– Nie twoja sprawa, smarkulo. – Znowu uśmiechnął się

ciepło i wstał, widząc, jak wchodzi Yovita. – Zostawię was samych.

Chłopiec kiwnął głową do wychodzącego Lorenta.

– Tylko mi za nic nie dziękuj – ostrzegła Yasuko chłopca.

– Dziękuję.

– Już dawno miałam ci spuścić lanie. Ciągłe jesteś niegrzecznym chłopczykiem.

– Skąd wiesz, że dałabyś radę?

Kimura uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Nie jestem jeszcze w najlepszej formie.

– Wiem. Przepraszam za moją rodzinę.

– Są w porządku.

– Słabo ich znam. Wyjechali, kiedy miałem dziewięć lat.

Yovita przestał mówić, ale Yasuko wyraźnie usłyszała w głowie:

– *Chcę, abys obiecała, że kiedyś wrócisz do mnie.*

– *Nie wiem, jak ułoży się życie -* odpowiedziała mu w taki sam sposób.

– *Nie chcę, abys mówiła mi, jakie jest życie, chcę, abys obiecała.*

Yasuko zamknęła oczy.

– *Niewielu jest takich jak ty i ja. Nasze ścieżki w końcu znowu się przetną.*

– *Teraz wyjdę i nie będę się żegnał. Nie z tobą.*

– *Dobrej drogi, dzieciaku.*

Kiedy otworzyła oczy, Yovity już nie było.

Winda zjeżdżała dziwnie wolno. Czesiowi wydawało się, że kiedy nią wjeżdżali zaraz po przybyciu, mechanizm działał

sprawniej. Weszli do znanego już im pokoju, za którym był tylko tunel.

– Muszę tu was zostawić – rzekł Laval.

– Nie wiemy, jak dziękować. – Krzysztof skinął głową.

– I dobrze. – Anenneńczyk się uśmiechnął. – Pożegnania nie są moją najmocniejszą stroną.

– Opiekuj się nią – poprosił jeszcze raz Kapłan.

– Wiem, to zwyczajowa formułka w takich chwilach. Ja powinienem odpowiedzieć, że będzie tu bezpieczna. Pora na was. Z tobą wszystko w porządku, Anithsanu?

– Głupio się czuję – przyznała Jill. – Byłam tu tyle lat.

– Byłaś świetną agentką – powiedział poważnie Laval.

– Nie zdradź nigdy Frotrui, skąd pochodzę.

– Nie wiem, czy da się to ukryć, zaproponowałem mu pracę w SKKSP. – Laval rozłożył ręce.

Anithsanu skinęła z zadowoleniem głową.

– To dobra wiadomość.

Czerwone światło zaczęło ostro pulsować i drzwi rozsunęły się, umożliwiając wejście do blgaharu.

ROZDZIAŁ 16

Bzdet i Cipucha znowu ryknęli śmiechem, tak że Dybcio, zajęty rozmową z Jill, skrzywił się nieco wkurzony na przyjaciół.

– Nie mamy sąsiadów, geniuszu! – krzyknął specjalnie zbyt głośno punk, posyłając znaczące spojrzenie Jill.

– A noc jeszcze młoda!

– Przepraszam za niego. – Czesio poprawił okulary. Nie zważając na krzyki i rozmowy za plecami, ze sporym zakłopotaniem wpatrywał się w radosną twarz dziewczyny.

– Wiem, że nie jestem supermenem. – Uśmiechnął się niepewnie. – Ale tyle razem przeszliśmy.

Jill puściła do niego oko.

– Wiem, w czym jesteś dobry.

– No tak... jeśli tylko byś chciała... to znaczy... masz w ogóle dokąd iść? Krzysiek jutro stąd wyjeżdża.

– Mam – odpowiedziała tajemniczo.

– Jesteś z Irlandii.

– Tak – przyznała, niezmiennie rozbawiona Jill.

– Jeśli chcesz, to mógłbym ci opowiedzieć.

– Na to liczę – przerwała mu, uśmiechając się zalotnie.

Czesia nieco zatkało, ale postanowił być bohaterski.

– No więc widzisz... prawa fizyki kosmosu, są jak poemat Dantego...

– Dokąd teraz? – spytała Krzysztofa Ola Sambierska, wsparta na ramieniu wstawionego już nieco męża.

– Mam dług do spłacenia – odrzekł Lorent.

– Trudny?

– Chatillon.

– Ouuu... – Bzdet się skrzywił. – To konieczne?

– Luigi wywiązał się z obietnicy. Przy okazji, dziękuję, że zmobilizowałaś Linka, Bogdanie. – Skinął w stronę profesora.

Wilecki machnął tylko ręką.

– Wiedziałem, że oszust jeden ma stały kontakt facetem od biblioteki. Wystarczyło go kopnąć w tyłek. Długo zostaniesz w kraju?

– Jutro wyjeżdżam do Francji. Potem wracam po Yasuko. Mam w planie jeszcze kilka podróży.

– Zostałbyś jeszcze z dzień, czarnuchu. Mało się napodróżowałaś? – poprosiła z uroczym uśmiechem Cipucha.

– Wrócę za kilka dni, zostanie nam trochę czasu.

– Link będzie cię jak zwykle szukał – ostrzegła Ola.

– Taa... Ale wiesz, jak to z nami jest, ciągle się mijamy.

– Toast! – wykrzyknął Bzdet, unosząc kielich z winem.

– A za co tym razem? – spytał nie do końca już przytomnie Wilecki.

– Za to, czego jeszcze nie wiemy – zaproponowała Sambierska. – Skoro i tak wiemy zbyt wiele.

List, który dostarczył jedenaście miesięcy później do wioski Kaneczua w południowo-zachodniej Amazonii Rodrigo de Nascimento, sprzedawca gwoździ i kleju do budowy *kualuu*. Nie wiedział, kim był człowiek, który prosił o doręczenie listu.

Droga Yasuko, drogi Krzysztofie,

czas płynie szybko, ale mam nadzieję, że moja wiadomość zastała was w dobrym zdrowiu i spokoju ducha. Mam wieści od Yolity. Mediacje między klanami toczą się tak dobrze, że Tyhron zyska pozwolenie na powrót jeszcze w tym roku. Ja postanowiłem zrezygnować z godności liga i skupić się na obowiązkach, które znacie, a o których pisać nie możemy. Odkąd Suar800 odebrał sobie życie w swoim domu, jego ugrupowanie bardzo straciło na popularności i raczej nie zyska możliwości wejścia do parlamentu. Proces Óuara876 trwa. Ostatnie wydarzenia spowodowały powstanie szeroko popieranej interpelacji, aby w gmachu parlamentu umieścić kamień pamięci Lergoena, o czym z wielką przyjemnością chciałem Was zawiadomić.

Niech spokojne duchy mają was w opiece.

Laval

MODLITWA MIYAPRE

Ja, Miyapre z plemienia Kaneczua z wielkiej rodziny Północy, syn Tugurów, Kulonów, Mapuczów, Bororo i wielkich przodków z Quibaya mówię teraz do Ciebie, wszechpotężny Diosuyage. I do Twoich synów. I do Twoich braci. Nastął czas Słońca, odkąd wielki Mantu i córka Księżycy Ua wrócili zza wodospadów. Spokojnie kroczą teraz po krainie snu jak cała wioska, ale jutro znowu będą z nami tańczyć, dotykając ceiby, jeść placek *lediti* i opowiadać o dalekich krainach. Dziś już mogę śpiewać z Księżycem, pełen sił niczym jaguar, bo wysłuchałeś błagań mojego ludu i sprowadziłeś ich z powrotem na ziemię przodków Bowagindy. Ale też i Ty, który jesteś Bogiem w trzech osobach naszego Mantu, i do którego też wznosiłem tyle modłów, wysłuchałeś nas i prowadziłeś ich bezpiecznie za wodospadami. A ty Mario, matko Boga, napawałaś ich otuchą i nadzieją. To dlatego po każdym Księżycu składałam wam w ofierze cztery ryby *matata*, gdy tylko Słońce wstaje znad lasów, byście wy też mogli karmić się naszą radością. Bo serca *Kaneczua* wiedzą, że Mantu i Ua wrócili już na zawsze, by zostać, i nie budzą ich już głosy zza wodospadów.

Koniec

SŁOWNIK PODRĘCZNY

Ceiba (*Ceiba pentandra*) – puchowiec, drzewo kapokowe) – jedno z największych drzew w tropikalnej Ameryce. Dorasta do 60-70 metrów wysokości. Niegdyś czczone przez Majów jako drzewo życia.

Pikadu – tu: pas, sznur inicjalny, otrzymywany wśród niektórych szczepów Indian południowoamerykańskich przez chłopców na znak pasowania ich na mężczyznę.

Ayahuasca (napój bogów) – silny alkohol sporządzany przez Indian.

Quadrenta – tu: czwórka rycerzy aurelickich. Trójka gotowych do obrony Mistrza oraz tzw. *fax*, czyli obserwator, który nie bierze udziału w walce, tylko zajmuje się „porządkowaniem” po jej zakończeniu. Polega to na opiece nad rannymi i poległymi oraz na zatarciu wszystkich ewentualnych śladów.

Marchese – włoski tytuł arystokratyczny, odpowiednik grafa.

Umuri – pochwa na miecz.

Taroku – uświęcony tradycją miecz Kapłanów.

Connacht – jeden z dialektów języka irlandzkiego, obecnie używany przez ponad półtora miliona Irlandczyków.

Kualuu – długa, zbita z drewna balsa i trzciny totora łódka do podróży rzecznych.

SŁOWNIK UKŁADU CZASOWEGO „A” W PORZĄDKU ALFABETYCZNYM

aju – zawodowi zabójcy z Anenna Hiyaukau

Anenna Hiyaukau – jeden z największych krajów w układzie czasowym A

Anenneńczyk, Anennenka – obywatele kraju Anenna Hiyaukau

aukai – ludzie rasy białej w układzie czasowym A

bilqeruea – prawo włączenia się do transportu w *renderuea*

blgahar – miejsce w tunelu czasowym, w którym następuje ostateczna synchronizacja po skoku czasowym między układami

dicidoel – poliwęglanowy dysk służący do zapisu danych

eku – były agent, który zdecydował się pozostać w układzie B, aby założyć rodzinę

fikusektya – przyrząd do zdejmowania *vi* z przedramienia

fun – 1/10 zasuicytu

gityu – w slangu lamiarhadi: nielegalny towar

gun – anenneńska broń, podobna do pistoletu, ale zbieżność tej nazwy z angielskim określeniem broni krótkiej – przypadkowa

ka – rodzaj samochodu z Anenny Hiyaukau

kuo – waluta państwa Anenna Hiyaukau

lamiarhadi – język urzędowy kraju Anenna Hiyaukau

liczei – witaminowy napój owocowy pity zarówno

z alkoholem, jak i bez

lig – parlamentarzysta anneński

muitua – połączony z domowym komputerem monitor użytkowy, służący do wielu czynności, między innymi do przygotowywania posiłków

muselei – rodzaj wygodnego mieszkania, miejsce wypoczynku Anenneńczyków

Popraltin Tire Tioue – tajna policja rządowa w Anennie Hiyaukau

popraghitre – szef wydziału Popraltin Tire Tioue

rankai – ludzie rasy czarnej w Anennie Hiyaukau

renderuea – rodzaj uporządkowanego, ale zróżnicowanego i wyspecjalizowanego pola magnetycznego, służącego do wewnętrznego systemu transportowego, używanego w budynkach zarówno mieszkalnych, jak i biurach

res – szybki pojazd poruszający się niewysoko nad ziemią po tzw. trasach przelotowych między miastami

setr, mabhana, setrmabhana, ughabhana... – liczebniki w lamiarhadi; dziesięć, jedenaście, dwanaście, trzynaście

sesidou – wyspecjalizowany garaż dla resów połączony z systemem *renderuea*

sulastrofilen – niegroźny dla zdrowia, syntetyczny gaz antypożarowy

tajseti – policja kryminalna w Anennie Hiyaukau

tregrear – przysięgły prawnik posiadający prawo odbierania tajnych zeznań

Tarezytowie – Ludzie Pamięci, Kapłani w układzie czasowym

A

ueam – osada Skoblitów

ugha, trgha, hitra – liczebniki w języku lamiarhadi: jeden, dwa, trzy

vi – podręczny komputer tożsamościowy, umieszczany na przedramieniu

zasuicyt – jednostka pomiaru czasu; 10 zasuicytów = jedna doba

yekai – ludzie rasy żółtej w układzie czasowym A

- 1) Przekład – Czesław Miłosz ↵
- 2) Wyjaśnienia znaczeń pojęć oznaczonych gwiazdką znajdują się w *Słowniku podręcznym* na końcu książki. ↵
- 3) Małże świętego Jakuba w delikatnym sosie z koralowca. ↵
- 4) Złote jajko; rodzaj jajka z czekolady zawierające biszkopt Jaconde i galaretkę z szampana wykończoną czarną czekoladą i kawiozem w szampanie. ↵
- 5) Tłumaczenie obcych zwrotów oraz wyjaśnienia znaczeń pojęć napisanych kursywą znajdują się w *Słowniku układu czasowego „A”* na końcu książki. ↵
- 6) Papyrus Rylandsa – uważany za jeden z najstarszych (około 120 r. n.e.) zabytków piśmienniczych zawierających zapis fragmentu rozmowy Jezusa z Piłatem z *Nowego Testamentu*. Obecnie przechowywany w John Rylands University Library w Manchesterze. ↵
- 7) *Nie widzę drzewa, nie wiem, jakie to kwiaty – pachną;* haiku Basho (1688). ↵
- 8) Koine – powszechna forma języka greckiego, która zastąpiła grekę klasyczną w czasach hellenistycznych, pozostając najpopularniejszym dialektem starożytnej Europy aż do czasów późnoantycznych. ↵
- 9) Kamień z Rosetty – odkryty w 1799 roku jeden z najważniejszych zabytków piśmiennictwa, dzięki któremu rozszyfrowano hieroglify egipskie. ↵
- 10) AU (*Astronomical Unit*), pol. j.a. – jednostka astronomiczna równa odległości Ziemi od Słońca (~150 mln km). ↵
- 11) Obłok Öpika-Oorta – sferyczny obłok składający się z pyłu, gazów, komet i planetoid krążących wokół Słońca. Nazwa pochodzi od nazwisk astronomów: Estończyka Ernsta Öpika i Holendra Jana Oorta. ↵
- 12) Nazca – płaskowyż w pd.-zach. Peru, znany ze słynnych, ogromnych rysunków, pochodzących sprzed ponad 2 tysięcy lat. Z wysokości widoczne są wizerunki m.in. mały, kondora, pająka, ryby kolibra i wielu innych. Ryty rozciągają się na terenie liczącym 50 km długości i około 15 km szerokości. ↵
- 13) Eberhard Link ma tu, jak się zdaje, na myśli Ericha von Dänikena, autora teorii wpływu przybyszów pozaziemskich na rozwój i życie Ziemi w czasach

przedhistorycznych. ↵

14)

Strefa 51 – amerykańska baza wojskowa zbudowana dla CIA w 1951 roku. Najpopularniejsze teorie spiskowe głoszą o przetrzymywaniu tam pozaziemskich form życia ze statku, który ponoć uległ katastrofie w 1947 roku w Roswell w stanie Nowy Meksyk. ↵

15)

Zimowe słońce, mój cień, gdy biegnę nad ziemią, lodowacieje; haiku – Matsuo Bashō (1644-1694). ↵

16)

Pełnia Księżycy – wzdłuż mat tatami, cień sosny; haiku – Takarai Kikaku (1661-1707). ↵

17)

Shuriken – metalowa rozgwiazda używana często przez zawodowych zabójców ninja bądź azjatyckie tajne służby. ↵